

**K. J. BISHOP**

# **AKWAFORTA**

**PRZEŁOŻYŁ MICHAŁ JAKUSZEWSKI**

**WYDAWNICTWO MAG**

**WARSZAWA 2008**



Tytuł oryginału:

*The Etched City*

Copyright © 2003 by K. J. Bishop

Copyright for the Polish translation

© 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja

Korekta:

Magdalena Górnicka

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Damian Bajowski, Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-086-0

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

*Pogardą i nienawiścią darzę pychę oraz haniebne rozkosze ironii,  
gdy przekształcona w gasidło odtrąca od celu trafną myśl.*

Lautréamont, „Poezje”  
(przełożył Maciej Żurowski)

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

# JEDEN

W Kraju Miedzi nie było kamieni milowych. Nierzadko jedynym, co pozwalało wędrowcowi ocenić postępy podróży, był czas drogi od jednych szczątków albo ruin do następnych: pół dnia wędrówki od studni bez wody do armatniej lufy sterczącej z przyzmy piasku, dwie godziny, by dotrzeć do szkieletów człowieka i muła. Starożytna, wycieńczona kraina przegrywała walkę z czasem, a toczący ją rozkład udzielał się wszystkiemu na jej obszarze, jak pod wpływem chandry.

W południowej części krainy połacie pustyni występowały na przemian z obszarami porośniętymi skarłowaciałą roślinnością. Biegł tamtędy tylko jeden trakt, łączący ze sobą z rzadka rozrzucone sioła i oazy. Poprowadzono go wzdłuż pozostałości kamiennego muru, zbudowanego w zamierzchłych czasach przez jakiegoś wodza. Można się było tam natknąć na ruiny wież strażniczych i małych fortów, położonych w znacznych odległościach od siebie. Większa część muru i jego fortyfikacji całkowicie obróciła się w gruzy, ale tu i ówdzie jego stan był na tyle dobry, że pozwalał znaleźć schronienie.

Pewnego wieczoru, pod koniec Miesiąca Łupin, gdy słońce skłaniało się ku zachodowi i nie prażyło już tak mocno, droga zaprowadziła lekarkę Raule do wieży, w której zachowały się jeszcze trzy ściany. Na ten obiecujący widok ze śniadej twarzy kobiety zniknęła zasepiona mina, towarzysząca jej przez całe monotonne, parne popołudnie. Rankiem miała okazję wymienić opowieści z koczowniczymi Harutaimami, którzy również wędrowali drogą, czy raczej obok niej, jako że mieli w pogardzie zbudowane przez ludzi szlaki. Nigdy nie obozowali w pobliżu muru i ostrzegali Raule, by również tego nie robiła. Wierzyli, że w ruinach straszą złe duchy, starożytni, pełni złości nieumarli. Raule jednak wołała nocować

pod osłoną murów zamiast na otwartej przestrzeni.

W wieży znalazła popioły czyjegoś ogniska, pustą butelkę, puszkę po mięsie oraz zwitek zakrwawionych bandaży. Zsunęła się z wielbłąda, pozwalając zwierzęciu skubać kolczaste rośliny, które zakorzeniły się w szparach między kamieniami. Przesunęła stopami odpadki w kąt, rozbiła pod ścianą niewielki namiot i rozpałała małe ognisko w miejscu poprzedniego. Potem zabrała się do posiłku, przeżuwając z trudem pasy suszonej koziny, którą kupiła od Harutaimów. Z większym smakiem spożyła garść daktyli. Nadziewała je jeden po drugim na stary sztylet i piekła nad ogniem, aż stawały się gorące i miękkie. Po tej skromnej kolacji siedziała jeszcze chwilę przy ognisku, owinięta w koc i pogrążona w myślach. Była zmęczona, ale nie mogła zasnąć, choć już zapadła noc.

Po zachodzie słońca temperatura spadła gwałtownie i zerwał się ostry wichur. Gdy Raule wsłuchiwała się w jego zawodzenie, przez głowę przemknęła jej myśl, że łatwo byłoby sobie wyobrazić dobiegające z mroku głosy dzinów i ghuli albo brzęk wielbłądzich dzwonek widmowej karawany wędrującej traktem.

Gdy wreszcie zasnęła, śnili się jej umarli. Ostatnio widziała ich zawsze, gdy tylko zamknęła oczy.

\*\*\*

Mur skończył się w miasteczku Proof Rock. Późnopołudniowe słońce grzało z siłą ogniska, a nad spieczoną ziemią roily się muchy. Raule siedziała ciężko w siodle. Koszula i spodnie kleiły się do jej skóry od potu, a stopy niemal upiekły się w ciężkich buciorach. Rozejrzała się wokół bez zbytej ekscytacji.

Podobnie jak większość osad w Kraju Miedzi, Proof Rock robiło wrażenie zbudowanego z pozostałości po dawniejszych osiedlach. Jedyne widocznymi mieszkańcami byli nieliczni staruszkowie i staruszki, którzy drzemali na gankach i balkonach, sztywni jak wystrugani z drewna. Zamknięte drzwi i okiennice dopełniały obrazu opuszczonego gniazda.

Na skraju miasta znajdowała się gospoda sklecona z fragmentów złomu. Na ceglany ganek rzucały cień brezentowa markiza oraz usychająca palma. Za drzwi służył koc przewieszony przez drut, okna zaś wypełniały worki, uniemożliwiające zajrzenie do środka. Do poręczy przed gankiem przywiązano cztery wielbłądy. Raule obrzuciła je szacującym spojrzeniem. Wyglądały zdrowo, miały piękne czapraki, ale brakowało im dzwonek.

Zsunęła się z siodła, przywiązała wielbłąda do poręczy i podeszła do wejścia. Miała na

plecach lekarski tornister, świadczący, że nie stanowi zagrożenia, ale prawą dłoń trzymała blisko obrzyna, który wykonała własnoręcznie, pozabawiając strzelbę znacznej części lufy.

Odsunęła koc. Przywitały ją półmrok, wysypana trocinami podłoga, brzęczenie much oraz niemal nieznośny żar. Temperatura panująca na zewnątrz wydała się jej w porównaniu z tym całkiem przyjemna. Jedynymi gośćmi byli czterej mężczyźni grający w karty przy stoliku pełnym butelek, szklanek i stert banknotów. Wszyscy mieli stroje o ciemnych barwach, na których zapięli pasy z bronią i amunicją. Ich twarze niknęły w cieniu pod szerokimi rondami kapeluszy. Ten widok wróżył kłopoty. Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż, spoglądając na Raule.

Jeden z nich, szczupły mężczyzna, był całkowicie spowity w czarne domino, a dolną część twarzy osłaniała mu chusta. Raule uśmiechnęła się w duchu, widząc tak spektakularną karykaturę wyrzutka. Wtem jej uwagę przyciągnęła szabla, która wisiała u boku nieznanego, opierając się czubkiem o podłogę. Znała tę długą, lekko zakrzywioną pochwę.

Mężczyzna naciągnął mocniej kapelusz, jakby się obawiał jej wzroku. Jednakże w tej samej chwili jego palce, obleczone w czarne rękawiczki, zabębniły po blacie, z pozoru od niechcenia. Raule odczytała znaczenie tego gestu:

*Miło cię zobaczyć. Później.*

Pozostali trzej obrzucili ją spojrzeniami, które również zdawały się mówić: „później”, aczkolwiek w innym kontekście. Nie przejęła się tym zbytnio. Później będą w sztok pijani.

Pomijając duchy prześladowające ją we śnie, Raule od z górą pół roku nie widziała znajomej twarzy, czy to przyjaznej, czy wrogiej. W pierwszej chwili miała ochotę odjechać, ale ostatnio czuła się bardzo samotna. Podeszła do baru, w nadziei że się czegoś napije i dostanie wodę do umycia. Nie dostrzegła za nim nikogo. Jej nozdrza wypełnił ostry smród.

Zajrzała za kontuar i zobaczyła ciało starszego mężczyzny, który z pewnością był barmanem. Coś ciężkiego i ostrego rozłupało mu czaszkę jak skorupkę jaja. Kałuża krwi nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć. Na półce pod barem stało kilka butelek, ale Raule postanowiła na razie dać sobie spokój z alkoholem. Między dwiema płytami blachy tworzącymi tylną ścianę znajdowała się szpara, za którą było widać drugą izbę. Raule ruszyła w tamtą stronę, nie oglądając się za siebie.

- Stój, kobieto.

To nie był głos jej znajomego. Brzmiał twardo jak zgrzyt żuźlu trącego o żelazo. Raule przystanąła.

- Jak twoim zdaniem zginął ten człowiek? - wycedził mężczyzna.

- Powiedziałabym, że się przewrócił i uderzył w głowę - odpowiedziała, nie

odwracając się.

Rozległ się krótki, złowrogi śmiech. Potem szelest kart oznajmił, że wznowiono grę.

Chciał ją tylko nastraszyć.

Raule weszła do izby, która pełniła funkcję sypialni oraz magazynu. Na półkach leżało kilka worków z fasolą oraz kiełbasy o niezbyt świeżym wyglądzie. Na podłodze spoczywała kasa pancerna, rozbita i otwarta. Na podwórzu prowadziły dziwnie wyglądające w tym miejscu drzwi witrażowe z szybkami z żółtego i zielonego szkła. Raule przymrużyła powieki, oślepiona nagłym światłem. W narożniku podwórza znajdowała się studnia, przy której stało wiadro. Kobieta nacisnęła pompę i popłynęła brązowa woda. Raule nabrała jej w ręce i spryskała sobie głowę i szyję. W liniach jej dłoni została odrobina błota. Nie zamierzała pić tego paskudztwa, ale pomyślała, że wielbłąd może być spragniony, napełniła więc kubek i zaniósła do niego. Zwierzę wypilo parę łyków, a potem kopnęło wzgardliwie wiadro. Rozlana woda szybko wsiąkła w suchą ziemię.

Raule pociągnęła łyk z jednej ze swych manierek, a potem usiadła w cieniu palmy i zamknęła oczy. Uszy jednak miała otwarte.

Słońce przesunęło się powoli na niebie. Cienie były coraz dłuższe. Drogą przebiegł wychudzony, trzynogi pies. Z dziury obok stóp Raule wyłaziły mrówki koloru mosiądzu, długie na pół kciuka. Zaczęła je liczyć.

Po dziewięćset trzynastu mrówkach z baru dobiegł huk strzałów.

Choć właściwie się ich spodziewała, wzdrygnęła się na ten odgłos. Zeskoczyła z ganku i padła na ziemię. Raz po raz strzelano z kilku rewolwerów, mężczyźni ryczeli jak rozjuszony byki.

Potem zapadła cisza.

Raule podkraśniała się do drzwi, przykucnęła i uniosła lekko dół koca. Pośród przewróconych krzeseł i potłuczonego szkła leżały nieruchome sylwetki. Tylko mężczyzna o zasłoniętej twarzy stał jeszcze na nogach. Spowijały go obłoki dymu, rozświetlane wąskimi snopami światła wpadającymi do środka przez nowo powstałe dziury w ścianach i dachu. Naładował parę rewolwerów o długich lufach i schował do kabur. Następnie wyciągnął jatagan i uderzył trzy razy, ucinając głowy leżącym. Zawsze lubił upewnić się w ten sposób, że zabił przeciwnika. Przez głowę Raule przemknęła myśl, że robi to, by się uspokoić, podobnie jak niektórzy ludzie zawsze poprawiają krzywo wiszące obrazy albo noszą jakiś szczególny element ubrania.

Wyprostowała się. Kiedy spróbowała odsunąć koc, drut spadł na ziemię. Mężczyzna poderwał się nagle, unosząc szablę. Kiedy zobaczył, że to tylko Raule, opuścił broń.



Weszła do środka, zatrzymując się kilka kroków przed mężczyzną, stojącym po kostki w mokrych od krwi trocinach.

- Kto oszukiwał? - zapytała, spoglądając na ciała.

- A jak ci się zdaje?

Dobiegający spod chusty głos był miły dla ucha. Pobrzmiwała w nim lekko chropawa nuta północnego akcentu.

- Widzę, że nadal masz pewną rękę, Gwynn.

- Trzeba ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy - odparł obojętnie. Wylał szablę o rękaw najbliższego trupa i schował ją do pochwy. Następnie zdjął kapelusz, domino i chustę, odsłaniając białą twarz o delikatnych, cudzoziemskich rysach. Malował się na niej wyraz wytwornego spokoju. Oczy miał zielone, koloru wody morskiej, a długie, czarne włosy związał w kucyk.

- Cieszę się, że cię widzę, Raule - rzekł. Wypatrzył na stoliku całą butelkę i szklanekę, po czym nalał sobie porcję trunku. - Napijesz się?

- Może później.

Zaspokoiwszy pragnienie, przeszedł nad leżącymi ciałami i wyciągnął do niej rękę, uśmiechając się szeroko. Uśmiech przegnał z jego twarzy osobliwy spokój, zastępując go złowrogą dwuznacznością.

Raule zawahała się. Przychodziły jej do głowy imiona kilku ludzi, których wolałaby tu spotkać. Gwynn był jednak ongiś jej towarzyszem, a pod niektórymi względami również jednym z najlepszych przyjaciół. Niestety, zostało ich jej już zbyt wielu i nie mogła sobie pozwolić na wybrzydzenie. Uścisnęła jego dłoń.

- Myślałam, że dyndasz gdzieś na szubienicy.

Ich stary wróg, generał Anforth, dowódca Armii Bohaterów, nie lubił zostawiać za sobą żywych nieprzyjaciół, tak jak Gwynn.

- Ja? - zapytał, unosząc drwiąco brwi. - Przecież wiesz, że nigdy nie przepadałem za skocznymi tańcami.

Raule usłyszała w tych słowach raczej kpinę z samego siebie niż brawurę. Odkąd Gwynn okrył się sławą - albo przynajmniej niesławą - zawsze bawił go kontrast między wspaniałością mitycznych opowieści o życiu i śmierci sławnych ludzi a raczej żalonymi realiami.

- Czy Anforth nadal cię ściga? - zapytała. - Nie potrafię uwierzyć, że mógłby zrezygnować.

- Z pewnością tego nie zrobi. Stary buldog poszukuje mnie z nieustającą zawziętością.

Jestem teraz wart fortunę. Gdybym mógł kupić udziały w sobie samym, byłbym bogaty. Musiałeś ostatnio trzymać się na uboczu, jeśli nie widziałeś mojej gęby na listach gończych.

- Obawiam się, że rzadko teraz obracam się w eleganckim świecie.

Przez twarz Gwynna znowu przemknął nieprzyjemny uśmiešek.

- Słyszałem, że nikt już nie chodzi na rauty. Nawet ludzie z towarzystwa wolą się wieczorkiem wybrać na lincz. Jak rozumiem, bawisz się w lekarza w tej okolicy?

- Raz tu, raz tam. Pracy mi nie brakuje.

- Płatnej?

- Nie bardzo.

Szczerze mówiąc, Raule była bliska nędzy. Tylko nieliczni spośród tych, którym udzielała pomocy, mogli jej zaoferować w zamian coś więcej niż nocleg i skromny posiłek. A nawet jeśli zdołali wygrzebać trochę pieniędzy, nie zawsze potrafiła zdobyć się na to, by je przyjąć. Nie chcąc zatrzymywać się przy problemie własnego ubóstwa, zapytała Gwynna, czy słyszał coś o ich znajomych.

- Spotkałem Casvara na Płaskiej Górze - odpowiedział. - Gnił w jaskini, złamaną nogę żarła mu gangrena. Prosił mnie, żebym zachował się jak należy, i spełniłem jego życzenie. W Quanut widziałem nagrobek z imieniem Czerwonej Harni. A ty kogoś spotkałaś?

- Evoiry'ego, kilka miesięcy temu. Sprzedawał drewno na suku. Wyglądał nieźle.

Mężczyzna skinął głową, dotykając rękojeści szabli. Raule spojrzała na jatagan. Gwynn przywiózł go z północy. To była broń maghiańskiej roboty i jej prawdziwa nazwa brzmiała Skrzydło Czapli Przeszywa Powietrze Nad Górkim Jeziorem, ale on nadał jej nowe imię, w swym ojczystym języku anvallickim: Gol'achab, co znaczyło Nie Mój Pogrzeb.

Raule zorientowała się, że zniknęły zdobiące rękojeść klejnoty. Gwynn zauważył jej spojrzenie.

- Błyskotki zamieniłem jakiś czas temu na przydatniejsze rzeczy - przyznał. - Może i straciła na urodzie, ale nadal jest skuteczna. Od czasu do czasu oszczędzam dzięki niej trochę amunicji.

Raule zerknęła w stronę martwego barmana.

- To był taki właśnie przypadek?

- Nie. - Gwynn podszedł do jednego z zabitych i trącił go stopą. - Ten gość oburzył się z powodu czegoś, co tamten powiedział, i zareagował odrobinę przesadnie. - Popatrzył na zwłoki i pokręcił głową. - Biedny skurwysyn. Miał nerwy napięte jak struny fortepianu. Nigdy nie widziałem, żeby był zadowolony. Życie musiało być dla niego ciężkim brzemieniem.

- Wszyscy musieli mieć bardzo napięte nerwy, jeśli nagle zaczęli strzelać do siebie podczas gry w karty - zauważyła Raule.

- Chyba masz rację.

- To co zamierzasz teraz zrobić?

- Położyć się spać - odparł Gwynn, ruszając ku drzwiom. - A o zmierzchu stąd wyjechać.

Wyszedł na dwór i po chwili wrócił ze śpiworem. Zdjął rękawiczki, podwinął rękawy i zaczął przeszukiwać trupy oraz zbierać walające się w kałużach krwi pieniądze. Raule zostawiła go, wychodząc na dwór, gdzie powietrze było nieco świeższe. Przykucnęła pod palmą, spoglądając na ulicę. Staruszkowie nadal spali.

Wiem, jak się czują, pomyślała.

Po chwili Gwynn wyszedł zza budynku, strząsając wodę z dłoni. Rękawiczki miał zatknięte za pas.

Raule skrzyżowała ręce za głową i ziewnęła szeroko.

- Nie sędzę, żeby ktoś miał tu przyjść cię aresztować - zauważyła.

Gwynn wyjął z kieszeni kamizelki długiego, żółtoszarego papierosa oraz pudełko zapalek. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Szkoda, że musimy stąd odjechać...

- Nie jestem taka pewna. Z chęcią odwiedziłabym jakieś spokojniejsze miejsce.

- Znam ładny cmentarz.

Raule uśmiechnęła się półgębkiem. Grób z pewnością czekał ją już niebawem. Zapytała, w którą stronę wybiera się Gwynn. Odpowiedział, że na wschód. Oznajmiła mu, że ona jedzie na zachód i na południe.

- Tu nie znajdziesz pracy, prawda? - zapytał, wskazując papierosem na budynki po drugiej stronie ulicy.

Wzruszyła ramionami.

- Widziałam psa, któremu przydałaby się drewniana noga. - Spojrzała na drzwi. - Kim właściwie byli ci faceci?

- Wędrowałem z nimi od kilku dni. To nie było zbyt porządne towarzystwo.

Odwiązał cztery wielbłądy i zaprowadził je na zaplecze. Raule zdjęła siodło z garbu swego wierzchowca, a potem usiadła na ganku, prostując nogi. Znowu pojawił się trzynogi pies, przebiegając na drugą stronę ulicy. Pomachała ręką, odpędzając muchy. Przyszło jej do głowy, że powinni pogrzebać ciała, bo inaczej mogą wywołać zarazę.

Ale z drugiej strony wtedy miałyby zajęcie.

Czuła się ospała, i to nie tylko z powodu upału. Zastanawiała się, czy nie wstać i nie poszukać sobie jakiejś roboty. Przy tak wiekowych mieszkańcach byłoby dziwne, gdyby nikt tu nie szwankował na zdrowiu. Mogłaby też po prostu powędrować dalej. Gwynn zapewne spodziewał się, że tak właśnie postąpi. Jej ciało nie chciało się jednak ruszyć z miejsca i po chwili zasnęła. Śniło się jej, że wróciła do rodzinnego miasteczka, które było większe od Proof Rock, ale poza tym całkiem do niego podobne. We śnie wszystko wyglądało normalnie, poza ludźmi, którzy nie mieli głów. Spacerowali po suchych ulicach i trudzili się na zaniedbanych polach fasoli, a z kikutów ich szyj sterczały kręgi.

Obudził ją Gwynn. Pod wieczór furia upału nieco zelżała. Niebo już ciemniało. Wydawało się, że do gospody zleciały się wszystkie muchy na świecie. Gwynn znowu zasłonił twarz chustą i wdział gruby płaszcz. Przywiązał pozbawione jeźdźców wierzchowce za swoim i wyglądało na to, że jest gotów do wyruszenia w drogę. Zapytał Raule, czy zechciałaby pojechać z nim kawałek na wschód. Zainteresowała się, dlaczego ją o to prosi. W odpowiedzi wskazał biczem na osierocone wielbłądy.

- Zostałem zmuszony do prowadzenia życia wędrownego handlarza. Znam na suku w Yellow Clay człowieka, któremu mógłbym sprzedać te zwierzęta, a także sporo warty dobytek, jaki odziedziczyłem dziś po zmarłych kolegach, w tym również trzy tuziny sztuk broni palnej znakomitej jakości. Wolałbym jednak uniknąć spojrzeń tłumu. Jeśli zechcesz dokonać za mnie transakcji, połowa zysków będzie należała do ciebie.

- Nie.

- Nie?

- Oferta nie jest zła, ale obawiam się, że nie odpowiada mi źródło twojej szczodrości.

Gwynn wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

- Czyżbyś postanowiła wstąpić na ścieżkę męczeństwa w imię szczytnych ideałów, pani doktor?

- Mam nadzieję, że obejdzie się bez męczeństwa, ale faktycznie mogłam się zarazić paroma ideałami. - Ponownie wyprostowała nogi i zaplotła ręce na piersi. - Nawet jeśli ci ludzie nie byli warci wiele, to kogo zabili, żeby zdobyć to wszystko?

- Z pewnością innych, którzy byli warci jeszcze mniej. Jak wielu uczciwych ludzi ma w tych okolicach jakieś pieniądze?

- Ani jeden, ponieważ nieuczciwi ciągle ich rabują.

Gwynn wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Zmusił wielbłąda do klęknienia i wdrapał się na jego grzbiet. Potem kazał zwierzęciu

wstać i popędził je kopniakiem.

- Uważaj na siebie - rzucił przez ramię.

Kiedy odjechał, Raule spojrzała w drugą stronę. Miasteczko było opustoszałe. Palma zaszeleściła na pierwszym nocnym powiewie.

- Zostaliśmy tylko we dwoje - oznajmiła wielbłądowi i wstała, żeby się przygotować do drogi.

Kiedy zapinała popręgi i sprawdzała strzemiona, przyszło jej do głowy, że rozpaczliwie potrzebuje choć odrobiny pieniędzy. Skierowała się na zachód, mijając milczące domy z ich ciemnymi oknami i pustymi gankami. Cały czas walczyła z tym, co zwała widmem swego sumienia.

Ponieważ było widmem, nie miało zbyt wielu sił.

- Niech cię szlag - mruknęła, nie wiedząc, do kogo właściwie się zwraca. Zawróciła i po chwili dogoniła małą karawanę oraz jej dyplomatycznie milczącego właściciela.

\*\*\*

Pograżonym w mroku traktem toczył się szereg podskakujących, skrzypiących wozów zaprzężonych w muły. Było ich piętnaście, a towarzyszyła im garstka chudych jak szczapa krów oraz psów. Niektórzy z siedzących pod brezentowymi plandekami ludzi machali rękami do dwojga jeźdźców. Raule odwzajemniła pozdrowienie. Z chęcią zatrzymałaby się na chwilę, żeby z nimi porozmawiać, ale Gwynn z uporem wpatrywał się przed siebie. Z pewnością nie sprawiał wrażenia zainteresowanego pogawędkami z nieznanymi. Przez większość czasu był jednak rozmownym towarzyszem. Opowiadał jej niezliczone historie o niedawnych przygodach i cierpieniach. Ściślej mówiąc, o swoich przygodach i cierpieniach innych. Te drugie niemal zawsze wynikały z tych pierwszych, a on relacjonował je tonem sympatycznego sępa. W życiu wędrownego lekarza również nie brakowało zabawnych, makabrycznych epizodów i Raule szybko zaczęła wymieniać z dawnym towarzyszem upiorne anegdoty. To była druga noc ich wspólnej podróży na wschód. Z uwagi na Gwynna na odpoczynek przeznaczali najupalniejszą porę dnia. Kiedy nie rozmawiali, Raule często unosiła wzrok, spoglądając na pokrywające niebo gwiazdozbiory. Mantykora wznosiła ogon ponad Koronę; Królowa Jeźdźców zawsze była gotowa rzucić lassem; Biegący Chłopcy ścigali Skaczącą Dziewczynkę; Sęp nękał Siedmiu Gości wychodzących z Gospody; Żółw człapał z Pucharem na grzbiecie, starając się dotrzeć do Staruchy, która czekała nań po drugiej stronie nieba; Jaszczurka prowadziła dzieci do domu, podążając za sprytnym

Nietoperzem. Raule zadawała sobie pytanie, czy za miliony lat gwiazdy przesuną się na pozycje, które pokażą, jak zakończyły się te wszystkie opowieści.

- Więc który z was obrabował barmana? - zapytała w pewnym momencie.

- Ten sam facet, który go zabił - odparł. - Ale ja zabrałem mu wszystko, kiedy załatwiłem jego. To może znaczyć, że są teraz czyste, zależy jak na to spojrzeć.

- Chciałam uciec od dawnego życia - poskarżyła się Raule.

Okres zaburzeń, w które zostali wciągnięci, dobiegł końca. Wojna była przegrana. Minęły trzy lata od chwili, gdy generał Anforth odniósł zwycięstwo, położył kres rewolucji i wysłał jej przywódców do dołów z wapnem. Armia Bohaterów, nadal pod dowództwem Anfortha, polowała na dawnych wrogów na całym obszarze Kraju Miedzi. Czasem można było usłyszeć balladę o czyjejs bohaterkiej śmierci w walce z przeważającymi siłami, w rzeczywistości jednak częściej zdarzała się zdrada dawnych sojuszników, po której następowały proces i egzekucja albo po prostu szybki linch.

- Co więc czeka cię na końcu twej marszruty, pani doktor? Co jest dezyderatem, mirażem, który przyciąga twe spojrzenie?

- Zastanawiałam się, czy nie wyruszyć na Płaskowyż Teleute.

- To z pewnością niezły pomysł. Słyszałem, że to cywilizowane okolice.

- Odniosłam takie wrażenie.

Prawdę mówiąc, Raule nie miała żadnych konkretnych planów. Za jej głowę również wyznaczono nagrodę, podobnie jak za głowę Gwynna, ale suma była stosunkowo niska, a do tego Raule wywodziła się z tych stron i w związku z tym nie przyciągała tu niczyjej uwagi. Nikt nie zauważył jeszcze jednej drobnej, chudej, śniadej kobiety na targu czy w saloonie. Co więcej, mieszkańcy rozsianych po pustkowiach osad na ogół cieszyli się z odwiedzin lekarza i jeśli nawet któryś z nich skojarzył jej twarz z wizerunkiem Raule - rozbójniczki, złowrogiej szarlatanki i współniczki morderców - żaden nigdy jej nie zdradził. Wędrowała bez celu, ciesząc się, że dożyła kolejnego ranka, a dni, tygodnie i miesiące mijały jeden po drugim.

- A ty, mój rewolwerowcu odjeżdżający ku wschodzącemu słońcu, wybierasz się na prerie?

- Bynajmniej. Pociąga mnie prawdziwy Orient. Sarban, Ambashan, Icthiliki, gdzie dziewczęta są piękne...

- Ach, wschodni raj. Z ogrodami i cienistymi tarasami, na których będziesz się mógł wylegiwać przez cały dzień, piękne służki będą ci przynosiły więcej wina niż zdołasz wypić, i będziesz mógł stać się obrzydliwie bogaty, nawet nie ruszając palcem?

- To wszystko rozumie się samo przez się, prawda?

- W rzeczy samej.

Raule pogrążyła się w marzeniach o słodkim życiu w podobnym miejscu.

\*\*\*

Późną nocą natknęli się na wymarłe miasto położone przy porzuconej kopalni. Nie zatrzymywali się. Wszystko, co warto by było sobie przywłaszczyć, z pewnością dawno już zniknęło.

Godzinę po świcie dotarli do Yellow Clay. Spoglądając przez lornetki, wypatrzyli w tłumie kłębiącym się na suku liczne błękitne mundury. Żołnierze zadawali pytania i sprawdzali dokumenty. Grupy związanych sznurem pechowców pilnowali wartownicy. Kolejni żołnierze rozbijali obóz na skraju miasta.

Gwynn zaklął pod nosem.

- Możemy kontynuować wędrówkę - stwierdziła Raule, wzruszając ramionami. - Znajdziemy inne miejsce.

- Wybierasz się ze mną?

- Skoro dotarłam już tak daleko, chcę dostać swoją działkę.

Pojechali dalej na wschód i wkrótce dotarli do drugiego końca muru. Trakt dzielił się w tym miejscu na dwa szlaki przecinające czerwonawobrazową równinę.

- Przybyłam stamtąd - oznajmiła Raule, wskazując prawe odgałęzienie. - Nie ma tam nic szczególnie ciekawego.

- W takim razie pojedziemy tam - zdecydował Gwynn, skręcając w lewo.

Po czterech godzinach jazdy w rosnącym upale dotarli do czerwonych, usianych szczelinami, skalistych wzgórz o szczytach porośniętych rzadkimi krzewami. Szlak wspinał się na pierwsze z nich stromymi serpentynami, a potem biegł suchym wąwozem pośród zarośli. Rosły wśród nich nieliczne drzewa, głównie akacje i wysmukłe czarnostrąkowce, a ziemię porastał karmnik oraz twarde, splątane sukulenty. Wielbłądy skreśliły ku czarnostrąkowcom, by skubać ich liście. Niżej położone gałęzie były już całkowicie oczyszczone. Wkrótce ujrzeli winnych: stadko chuderlawych kóz. Dzwonki i piętna świadczyły, że zwierzęta są czyjaś własnością.

Po mili dotarli do skupiska chat. Na tablicy przybitej do pnia akacji wymalowano napis: PATIENCE.

W Patience, jeśli rzeczywiście tak się nazywała osada, nie było gospody, ale szyld na jednej z chat oznajmiał, że można tam znaleźć gościńcę. Raule i Gwynn zatrzymali się i

zsunęli z siodeł. Po długim pukaniu wreszcie pojawił się zaspany, gburowaty mężczyzna. Wskazał na klepisko, by im pokazać, że mają tu spać, i zażądał wygórowanej ceny. Raule stargowała ją do połowy. Nie mieli jednak żadnego miejsca dla wielbłądów. Mężczyzna stanowczo odmówił wpuszczenia ich do środka, oznajmiając, że inwentarz nie będzie zasrywał mu domu. Musieli zostawić je na dworze. Gospodarz przywołał ze środka chaty małą dziewczynkę. Dziecko miało na głowie brudny czepek. W przeszłości doznało straszliwych poparzeń. Jego twarz była czerwoną maską blizn. Zostało mu tylko jedno oko.

- Moja córka będzie miała wasze zwierzęta na oku - oznajmił mężczyzna, rechocząc złośliwie.

Raule zasugerowała, że powinni stać na straży. Jej towarzysz zgodził się z tą opinią i zaproponował, że będzie czuwał pierwszy. Kobieta wniosła posłanie do chaty i zapadła w typowy dla niej niespokojny sen. Gwynn obudził ją po południu i z kolei on wyciągnął się na klepisku, nakrywszy twarz kapeluszem. Gospodarz rozwalił się na starym siedzeniu z dyliżansu służącym jako kanapa i udawał, że również śpi, ale od czasu do czasu otwierał oczy i rozglądał się czujnie wokół. Czyżby się obawiał, że ukradną mu ziemię z klepiska albo pajęczyny z sufitu?

Dla zabicia czasu Raule zdjęła z półki talię i zaczęła stawiać pasjansa. Gdy poczuła się tak znudzona, że nie chciało się jej już więcej tasować kart, wyciągnęła z juku swój stary dziennik. W dawnych czasach prowadziła szczegółową medyczną dokumentację, ale wyrzuciła wszystkie zapiski, zostawiając tylko ten zeszyt, pochodzący z jednego z ostatnich, najcięższych miesięcy wojny. Znała go na pamięć i teraz tylko przerzucała kartki, przesuując spojrzeniem po ciasno upakowanych linijkach pisma. Dziennik zawierał nie tylko cenne informacje medyczne, lecz również osobiste wspomnienia. W przypadku wielu mężczyzn i kobiet, których przypadłości opisała tu maleńkimi literkami, owe szczegóły dotyczące ich kości, mięśni, narządów wewnętrznych, temperatury, wydaliny, wymiotów, ataków oraz zgonów były jedynymi zapiskami świadczącymi, że kiedykolwiek żyli. Imię Gwynna nie pojawiało się tu ani razu. Choć nieszczęście często przechodziło tuż obok niego, nigdy nie zadało mu poważnego ciosu. Jego dzieje były jedną wielką litanią szczęśliwych ocalań.

W połowie dziennika przestała czytać i odłożyła zeszyt. Następnie wyjęła z tej samej torby drugą lekturę, którą posiadała - przewodnik po Płaskowyżu Teleute, który nabyła jako ciekawostkę przed około sześcioma miesiącami.

Mapa na drugiej stronie okładki przedstawiała rozległą Pustynię Solną, która ciągnęła się na południowy zachód od Kraju Miedzi, przecinając brzuch świata. Dalej na zachód leżał



Płaskowyż Teleute, wąska, łukowata linia biegnąca skrajem pustyni. Raule dowiedziała się z książki, że urwisko ma z górą tysiąc jardów wysokości, a na szczycie płaskowyżu znajdują się liczne krainy, cały bogaty świat. Wstęp utrzymywał, że w dawnych czasach Płaskowyż Teleute był skrajem kontynentu, a Pustynia Solna stanowiła dno morza. Teraz jednak nie było na niej ani kropli wody. Raule wiedziała coś na ten temat. Władzę sprawowały tam koncerty handlowe. Ich ufortyfikowane osiedla górnicze funkcjonowały jak małe prowincje, a w wodę i wszystko, co potrzebne do życia, zaopatrywała je linia kolejowa. Książka zapewniała jednak, że na szczycie Płaskowyżu panuje diametralnie odmienny klimat. Tekst był pełen egzaltowanych opisów żyzności: szmaragdowozielone góry, nieprzebyte dżungle, potężne rybne rzeki oraz padający tygodniami deszcz. Raule nie potrafiła sobie wyobrazić tak wielkiej ilości wody. W przewodniku znajdowały się również barwne opisy z górą dwudziestu najważniejszych miast Płaskowyżu. Najwyraźniej były one stare, wielkie i miały bogatą historię. Nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że w którymś z nich odnajdzie raj, ale i tak poczuła się lekko oszołomiona opisami architektury, ogrodów, pałaców, uniwersytetów, strojów oraz innych przejawów wysoko rozwiniętej cywilizacji.

Zerknęła na Gwynna, który był cichy i nieruchomy jak kamień. W jego ojczyźnie, Anvall, jedyną porą roku była zima o różnych stopniach intensywności. Była to kraina biała jak księżyc i zimniejsza niż tysiąc grobów. Tak przynajmniej opisał ją ongiś sam Gwynn. Latem jej granice topniały niczym kryształki lodu na szczycie zbiornika wodnego, kiedy wstanie słońce, i spadały w czarną otchłań morza, zimą zaś głębina zwracała je lądowi. Raule zastanawiała się, czy Gwynnowi śni się czasem woda? Albo miasta, o których niekiedy opowiadał, twierdze zbudowane w połowie ze skały, a w połowie z lodu? Czy słyszał nocami zew owego niezwyklego, zimnego dachu świata, czy też jego sny wypełniały wizje przyjemności, jakie znajdzie w kwiatnych miastach Icthiliki?

Kiedy się obudził, zapytała go o to. Odpowiedział ze śmiechem, że rzadko pamięta sny.

Nasunęła się jej myśl, że fakt, iż do tej pory o tym nie wiedziała, wiele mówi o ich znajomości. Rozmowa o snach była luksusem, na jaki żadne z nich w przeszłości nie mogło sobie pozwolić.

Wojna rewolucyjna zwabiła do Kraju Miedzi licznych cudzoziemców. Najemników, niegodziwców i oszustów, wędrowców poszukujących swojej szansy oraz różnego rodzaju awanturniczą hołotę, która napływała do armii buntowników. Gwynn był jednym z kilkudziesięciu obcokrajowców służących w kompanii, w której Raule była chirurgiem. Rewolucjoniści początkowo cieszyli się masowym poparciem, ale wojna się przeciągała,

nastał głód i zrobiło się niebezpiecznie. Ludzie przenieśli swą sympatię na Armię Bohaterów, w nadziei że przywróci ona pokój i *status quo*. Rewolucjoniści nagle stali się niepożądani, a po zaprzestaniu działań wojennych za ich głowy wyznaczono nagrody. Żeby przetrwać, wiele kompanii musiało się zająć bandytyzmem, w tym również ta, w której służyła Raule. Gwynn stał się wówczas ich hersztem. Przez dwa szalone lata żyli jako piraci traktów w stosunkowo gęsto zaludnionej północnej części Kraju Miedzi. Napadali na banki i pociągi, by pokryć koszty rozrzutnego trybu życia, a jednocześnie walczyli też z armią, gdy tylko się na nią natknęli. Wola ludu w końcu jednak zwyciężyła. Przy pomocy generała Anforth'a miasteczka sformowały oddziały milicji i od tej pory nagrodą za zbrodnię częściej bywał ołów niż złoto. Dawni towarzysze masowo przeradzali się w donosicieli bądź łowców nagród. Dumni, szaleni, a także ci, którzy po prostu nie potrafili sobie wyobrazić innego życia, skończyli w płytkich grobach, Gwynn jednak okazał się rozsądniejszy. Rozwiązał bandę, stwarzając wszystkim szansę ucieczki. To wydarzyło się ponad rok temu. Raule zdołała zniknąć skuteczniej, niż zamierzała.

Marzenie o rewolucji było ongiś dla niej czymś ważnym. Po zakończeniu wojny często zadawała sobie pytanie, dlaczego jej na tym zależy, z czasem jednak przestała. Wszelkie myśli o polityce, wielkich sprawach i historii stały się dla niej jak piasek przesypywany przez bardzo odległy wiatr.

Ich gospodarz wyszedł jakiś czas temu na dwór, niosąc kilka sideł. Gwynn przeniósł się na siedzenie dylizansu i zaczął czyścić broń. Miał jej sporo: kilka rewolwerów, parę strzelb oraz piękny sztucer „Speer”, który z reguły wisiał u siodła w futerale z cielecej skóry. Gwynn nucił pod nosem, usuwając z broni nawet najdrobniejsze zanieczyszczenia. Po jakimś czasie dziewczynka przyniosła im dwie miski zupy. Postawiła je na klepisku i umknęła pośpiesznie z izby. Raule znalazła w swojej zupie kawałek mięsa i poczuła znajomy smak koziny. Uważała, że posiłek był całkiem niezły, ale Gwynn zjadł tylko łyżkę i odsunął miskę, zadowolając się papierosem oraz kilkoma łykami pociągniętymi z pozbawionej etykiety butelki. Raule skończyła zupę i sięgnęła po miskę Gwynna.

- Mogę? - zapytała.

- Proszę bardzo.

Jedząc posiłek, zastanawiała się nad swoją sytuacją. Była lekarzem, pochodziła z tych stron i Gwynn jej ufał. Z pewnością sądził więc, że jest dla niego użyteczna, i w związku z tym mogła liczyć na pewne korzyści. W przyjaźni zawsze kierował się pragmatyzmem. Raule odpowiadała ta” sytuacja. Dzięki temu mogła bez ujmy na honorze zachować podobny dystans do niego.

Droga prowadziła ich coraz bliżej Rozpadliny Świętego Kaseema, potężnego wąwozu, który przesywał Kraj Miedzi, biegnąc z północy na południe. Na moście z pewnością będą liczne stráže. Nie ulegało wątpliwości, że mogła pomóc Gwynnowi w ominięciu ich, jeśli jednak podstęp zawiedzie i dojdzie do walki, jej szanse nie wyglądały najlepiej. Umiała strzelać co najwyżej przeciętnie, a szczęście Gwynna nigdy nie chroniło nikogo poza nim samym. Nie była mu nic winna. Jeśli znajdą przed mostem jakiś suk, weźmie pieniądze i ruszy swoją drogą. Jeśli jednak tak się nie stanie, to czy warto będzie podjąć ryzyko? Doszła do wniosku, że nie.

- Jeśli przed rozpadliną nie natrafimy na żadne targowisko, wracam na zachód - oznajmiła.

Gwynn chrząknął na znak, że ją usłyszał, zaglądając do lufy speera.

Opuścili Patience wieczorem, gdy cienie się wydłużyły i przybrały fioletową barwę. Kręty trakt wyszedł spomiędzy wzgórz na suchą równinę. W świetle księżyca w kwadrze widzieli małe wysepki karmnika, oddzielone od siebie kanałami piasku. Raule odnosiła wrażenie, że niewielki skrawek gruntu powtarza się raz po raz, jakby tę okolicę stworzył jakiś leniwy bóg, posługujący się stemplem. Dręczyło ją podejrzenie, że kręci się w kółko i prędzej się zestarzeje, nim zdoła stąd wydostać.

- Przynajmniej wygląda na to, że Armia Bohaterów nie interesuje się tymi stronami - zauważyła, gdy po trzech godzinach jazdy nie spostrzegli żadnych śladów ludzkiej obecności.

- A cóż mógłby tu porabiać bohater? - zapytał w odpowiedzi Gwynn.

Późną nocą dotarli do górniczej osady, która mogła się pochwalić kilkoma ulicami i nawet była zaznaczona na mapach. Kręciły się tam dziesiątki ludzi, głównie mężczyzn o wyglądzie prawdziwych twardzieli. Nad główną ulicą dominował budynek o zasłoniętych czerwonymi kotarami oknach. Na jego werandzie wypisano pochyłymi literami: KLUB DLA PANÓW. Sąsiedował z nim saloon, z którego dobiegały głośne dźwięki pianina oraz śpiew. Na końcu uliczki znajdowały się szubienica i cmentarz. Obok tych udogodnień ulokowano zbiornik oraz koryto z wodą. Napełnili manierki i napoili wielbłądy, a potem Raule oparła się o zbiornik, żeby obejrzeć mapy. Od Rozpadliny Świętego Kaseema dzieliły ich jeszcze trzy, może cztery dni drogi. Na mapie zaznaczono tylko dwa prowadzące przez nią mosty, a drugi znajdował się na Szlaku Ghańskim, dwieście mil na północ stąd, tuż obok Glory City, gdzie ulokowała się kwatera główna generała Anforth.

Zapytała Gwynna, w jaki sposób zamierza się przedostać na drugą stronę.

- W jaki sposób? - powtórzył. - Nie wiesz, że wielbłądy umieją latać?

Znowu pociągnął łyk z nieoznaczonej butelki, zasłaniając ją chustą. Dla Raule trunk

cuchnął jak płyn do czyszczenia blachy.

- To była pijana odpowiedź - stwierdziła kobieta. - Jak brzmi trzeźwa?

- Niewykluczone, że trzeźwa odpowiedź jeszcze nie istnieje - przyznał. - Ale spróbuję ją odnaleźć. Mam zamiar zbliżyć się do naszej małej otchłani w południe. Liczę na to, że nasi przyjaciele z garnizonu nie będą mieli wtedy ochoty opuszczać chłodnego bunkra. A nawet na to, że będą sobie smacznie spali.

- A co zamierzasz zrobić, jeśli będą czuwać?

- Strzelać celniej niż oni.

- Rozumiem. Jeżeli wyrośnie ci tyle rąk, że zdołasz wypalić ze wszystkich swoich pukawek jednocześnie, załatwisz cały garnizon. Wybacz mój sceptycyzm agnostyczki, ale sądzę, że zginiesz.

- Chcesz się założyć?

- Nie ma mowy. Jeśli wygram, będziesz martwy. I kto mi wtedy zapłaci?

- Mnóstwo ludzi, o ile tylko pokażesz im moją głowę. - Gwynn wrzucił pustą butelkę na cmentarz. - Nadal zamierzasz wrócić?

- Tak.

- W takim razie może lepiej będzie, jeśli zatrzymasz się tutaj.

- Przed nami powinna jeszcze być osada o nazwie Gravel - odparła Raule. - Pojadę z tobą do tego miejsca.

Dosiedli wielbłądów i ruszyli w dalszą drogę. Widoczna w bladym świetle księżyca kraina z każdą milą stawała się bardziej pustynna. Kępy karmnika były coraz rzadsze i od czasu do czasu widzieli brązowe wydmy.

O świcie jechali już przez prawdziwą pustynię. Nad spieczoną równiną górowały czarne skalne wyniosłości. Pod skałami gromadziły się sterty ostrego, brązowego piasku naniesione przez wiatr. Szlak tworzyły tu jedynie słabo widoczne koleiny oraz - jak wszędzie - kości i odpadki. Podążali tą trasą przez dwa dni, wypatrując Gravel.

Trzeciej nocy rozszalała się wichura, która aż do świtu przybierała na sile, niosąc gęste tumany piasku. Gwynn skrył twarz pod dominem, a Raule poszła za jego przykładem, używając chusty. Mimo że jechali ze spuszczoneymi głowami, drobny piasek wdzierał się im do oczu i nozdrzy, wnikając jednocześnie we wszystkie fałdy ubrania. Wielbłądy stały się niespokojne i głośnym rykiem wyrażały niezadowolenie. Prawie już nie widzieli drogi.

- Gwynn! - zawołała Raule. - Może tak byśmy to przeczekali?

Jego odpowiedź porwał wiatr, zauważyła jednak, że uniósł bicz na znak zgody. Skryli się za skałą, skuleni obok wielbłądów. Wicher zawodził przeraźliwie, przesłaniając niebo

chmurami piasku. Zwierzęta chwilowo nie miały nic do roboty, wykorzystały więc okazję, by okazać irytację, spluwając na wiatr. Ten z kolei roznosił ślinę na wszystkie strony, pokrywając wędrowców cuchnącymi kropelkami.

Burza trwała kilka godzin. Słońce przerodziło się w ifryta smagającego pustynię płomiennym biczem. Gwynn zasnął, ale Raule zdołała jedynie zapaść w niespokojną drzemkę.

Gdy wiatr wreszcie się uspokoił, słońce dawno minęło zenit. Raule uniosła głowę. Ja, Gwynna i wielbłądy pokrywała gruba warstwa brązowego piasku. Wyglądali, jakby ziemia wypłuła ich z najgłębiej ukrytych jam. Grubsze ziarenka opadły już na ziemię, ale drobny pył nadal wisiał w powietrzu, przesłaniając niebo całunem barwy umbry. Potrząsnęła Gwynnem, żeby go obudzić, a potem oboje oczyścili ubrania i ekwipunek, na ile tylko było to możliwe. Gwynn starannie rozebrał i wyczyścił całą broń. Raule również wzięła narzędzia i olej, by doprowadzić do porządku obrzyn oraz stary karabin, używany niekiedy przez nią do polowania. Gdy wreszcie skończyli, Gwynn zaproponował, by przejechali jeszcze kawałek, a potem rozbili obóz. Raule nasunęła się myśl, że jeśli Gravel leży w pewnej odległości od szlaku, mogli podczas burzy minąć je niepostrzeżenie. Zasugerowała, żeby się rozejrzeli, i wskazała odległą o pół mili wysoką skałę, pod którą zebrała się wielka sterta piasku.

Usypisko pozwoliło im się wspiąć na wysokość około osiemdziesięciu stóp. Znaleźli się ponad warstwą najgęstszego pyłu i mogli sięgnąć wzrokiem daleko. Raule wyjęła lornetkę i omiotła spojrzeniem horyzont, nie zauważyła jednak nic poza wszechobecnym piaskiem i sterczącymi zeń gdzieniegdzie skałami.

Nic. A może jednak coś? W brązowej dali, tam skąd przyjechali, wypatrzyła szereg punkcików. W pierwszej chwili wzięła je za skalne wyniosłości, potem jednak zorientowała się, że tworzą niezwykle równy szereg. Mogły to być chaty bądź namioty.

Albo mniejsze, bliżej położone obiekty.

- Gwynn, pożycz mi na moment lornetkę - poprosiła.

Jego lornetka miała silniejsze soczewki.

- O co chodzi? - zapytał, spełniając jej prośbę.

Dzięki doskonalszemu instrumentowi Raule z łatwością zorientowała się, czym są punkty.

- Mamy kłopoty - wyjaśniła. To był szereg jeźdźców na wielbłądach. Co najmniej dwa tuziny ludzi posuwały się naprzód szybkim truchtem. Nie towarzyszyły im stada, co znaczyło, że nie są koczownikami. Przeliczyła szybko w głowie odległość i doszła do wniosku, że dzieli ich od nich niespełna dziesięć mil. - Wyglądają na Bohaterów - stwierdziła, zwracając

lornetkę Gwynnowi. Popatrzył na nich i skinął głową.

- Chyba masz rację. - Nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego. Opuścił pośpiesznie lornetkę. - To był błysk słońca w soczewce. Obawiam się, że nas zauważyli. Rozpadlina jest już blisko. Lepiej nie zwlekajmy.

Popędził kopniakiem wielbłąda. Raule bezzwłocznie podażyła za jego przykładem.

- Wątpię, by przyjechali tu podziwiać krajobraz - odezwała się po chwili, jadąc obok niego. - Czy to możliwe, że chodzi im o ciebie?

- Miałem przed miesiącem trochę kłopotów - przyznał z zażenowaniem w głosie. - Myślałem, że już ich zgubiłem.

- Naprawdę?

- Trzeba było ci powiedzieć. Przepraszam.

- A czy przyszło ci może do głowy, że trudniej by cię było wytropić, gdybyś nie zostawiał wszędzie za sobą stosów trupów?

- Próbowałem, ale sytuacja zawsze wymyka się spod kontroli.

Zjechali na dół. Raule zsunęła się pośpiesznie z siodła i splunęła przez ramię.

- Nie wiem, ile Anforth oferuje za twoją głowę, ale to z pewnością za dużo! Czy wie, że jesteś już tylko pustą skorupą?

- Lepiej pozbadźmy się obciążenia - odezwał się Gwynn, jakby jej nie słyszał. Zaczął zrzucać juki na ziemię.

Raule wyobraziła sobie, jak mógłby wyglądać ze sztyletem sterczącym między łopatkami, gniew minął jednak z zaskakującą szybkością. Jego miejsce zajął fatalizm, jakby śmierć wzięła ją już na cel. Nie widziała szans ratunku. Gdyby porzuciła towarzysza i pojechała swoją drogą, żołnierze zapewne by się rozdzielili, a w takim przypadku nie pożyłaby długo. Nie miała zbyt wiele bagażu do wyrzucenia, zaczęła więc pomagać Gwynnowi. Gdy jednak chciała przeciąć sznury mocujące mocny skórzany plecak na grzbiecie jednego z zapasowych wielbłądów, mężczyzna ją powstrzymał.

- Nie ten - rzekł. - Jest zbyt cenny.

Wzruszyła ramionami i przeszła do następnego bagażu. Gdy wreszcie wdrapała się na siodło, zerknęła na stos porzuconych rzeczy. Była wśród nich cała broń zdobyta w Proof Rock. Ktoś się nieźle obłowi.

Rzucili się do ucieczki, wzbijając tumany kurzu. Zapasowe wielbłądy biegły z tyłu, przywiązane sznurem.

- Chcesz się dowiedzieć, na co zamieniłem ozdoby mojej biednej szabli? - odezwał się po kilku minutach Gwynn. - Trzymam to w tamtym plecaku.

Raule zerknęła nań pytająco.

- To dynamit.

- Znakomicie - rzekła, odczekawszy krótką chwilę. - A ile go masz?

- Wystarczy, żeby wysadzić bunkier z wartownikami. I most też.

- Tak właśnie wyglądał twój plan?

- Aha. Miałem zamiar ci powiedzieć.

Raule pomyślała o upale i o tym, że droga kosztuje ich mnóstwo wysiłku, zwłaszcza odkąd nie posuwają się już naprzód w spacerowym tempie. Przyszło jej też do głowy, że huk będzie bardzo głośny. Następnie zastanowiła się nad faktem, że jeśli zdołają przedostać się na drugą stronę i wysadzić most, straci drogę odwrotu.

- Mam wrażenie - zaczęła - że jesteś śmiesznym, aroganckim, kaprawookim, tępym jak muł, skurwysyńskim gównojadem i że zasługujesz na to, by świat o tobie zapomniał.

Gwynn nie próbował się z nią spierać.

# DWA

Gwynn stanął w strzemionach, unosząc lornetkę do oczu. Obserwował drogę przed nimi, podczas gdy Raule patrzyła, co się dzieje z tyłu.

Widzieli już Rozpadlinę Świętego Kaseema - wąską, czarną linię majaczącą na srebrzystym horyzoncie.

Od z górą godziny ich wielbłądy galopowały, ile sił w nogach. I tak mieli wrażenie, że poruszają się zbyt wolno, ale zwierzęta okazywały już oznaki zmęczenia. Ścigający nie pojawili się jeszcze na horyzoncie, ale z pewnością nie mogli być daleko z tyłu.

- Co widzisz? - zapytała Gwynna.

- Nic. To właśnie może być problem.

- Nie rozumiem.

- Most. Wygląda, jakby się zawalił.

Raule spojrzała przed siebie, ku miejscu, gdzie droga krzyżowała się z widoczną w oddali czarną szczeliną. Nigdzie nie widziała mostu.

- Może ktoś już go wysadził? - zasugerowała. Trudno jej było uwierzyć, by mogli mieć aż tak wielkiego pecha.

Zatrzymali wierzchowce.

- Niech szlag trafi inżynierów-amatorów - mruknął Gwynn.

- I ciebie - warknęła.

Nie reagując na jej słowa, wyciągnął zza pazuchy mapę. Raule podążyła za jego przykładem, mimo że wiedziała, co zobaczy: płachtę białego papieru, na której nie zaznaczono nic poza linią Rozpadliny Świętego Kaseema. Ciągającą się bardzo daleko w obu



kierunkach. Na mapie Gwynna przedstawiono taką samą pustkę, ozdobioną pięknymi napisami: PUSTYNIA WSCHODNIA, PUSTYNIA POŁUDNIOWA, PUSTYNIA GRANICZNA, PUSTYNIA UPAŁÓW, PUSTYNIA HUMORÓW.

Raule rozejrzała się wokół. Skały były tu mniejsze i występowały rzadziej, koncentrując się na północy. Na południu rozciągał się aż za dobrze znany widok: niemal całkowicie płaska, spieczona słońcem równina. Przyjrzała się drodze. Ziemię pokrywało tu niewiele piasku i ich ślady nie były zbyt wyraźnie widoczne. Wystarczy słaby wiatr, by je zatrzeć.

- W tej chwili mogą nas zobaczyć, tylko jeśli wleżą na jakąś skałę, tak jak my. - Wskazała na południe. - Jeśli wyciągniemy ich na równinę i utrzymamy dystans, powinno się nam udać ich zgubić.

Gwynn skinął głową.

- A kiedy zrobi się ciemno, będziemy mogli wrócić na drogę.

Raule osłoniła oczy dłonią.

- Mimo wszystko powinniśmy nadal zmierzać w stronę Rozpadliny. Wielu osad i oaz nikt nie zaznacza na mapach. Może znajdziemy też jakiś most.

- To mi się podoba - rzekł Gwynn.

\*\*\*

Rozpadlina Świętego Kaseema miała sto jardów szerokości i była ponoć głęboka jak ignorancja. Ciemne, skalne ściany urwiska niknęły stopniowo w coraz gęstszym cieniu, aż wreszcie roztopiały się w rzece nieprzeniknionej nocy.

Podążali wzdłuż rozpadliny, zatrzymując się od czasu do czasu, by zmienić wierzchowce. Wielbłądy były teraz zdolne jedynie do ciężkiego truchtu. Raule wciąż się oglądała, ale za każdym razem widziała tylko pusty horyzont o brunatnej barwie. Kiedy go nie obserwowała, jej wzrok przyciągała głębia szczeliny.

Wydawało się, że słońce stanęło na niebie. Raule odnosiła wrażenie, że jakaś nieprzyjemna moc przedłuża dzień, nie dopuszczając do nadejścia nocy.

- Całkiem jakby ścigały nas widma, co? - odezwał się w pewnej chwili Gwynn.

Nie odpowiedziała.

W końcu jednak słońce zaczęło się skłaniać ku zachodowi. Gdy już zapadła całkowita ciemność, zaryzykowali krótki postój, żeby pozwolić zwierzętom na odpoczynek. Sprawdzili zapasy wody i doszli do wniosku, że wystarczy jej na tydzień. Nie wspominali już więcej o

moście. Na tym bezkresnym pustkowiu sama myśl o nim wydawała się równie absurdalna, jak myśl o deszczu. Zgodzili się, że zatoczą szeroki łuk, by nie wracać zbyt szybko na drogę. Orientując się na podstawie pozycji Jaszczurki, oddalili się od Rozpadliny Świętego Kaseema, zmierzając na południowy zachód.

Dla Raule noc była jeszcze dłuższa niż dzień. Chwilami była pewna, że słyszy ścigających ich w mroku jeźdźców. Gdy oglądała się za siebie, serce tukało jej mocno, za każdym jednak razem dostrzegała tylko skąpane w blasku księżyca pustkowie.

Świt w niczym nie zmienił sytuacji. Skręcili na zachód, tym razem kierując się słońcem. Gwynn palił jednego papierosa po drugim, wrzucając pety do pustej manierki. Późnym rankiem przejeżdżali przez ciągnący się na przestrzeni kilku mil obszar pokryty niskimi wzgórkami z jasnego skalnego rumoszu. Wyglądało to, jakby porywczy brat leniwego boga, który stworzył porośniętą karmnikiem równinę, przewrócił gdzieś w niebie półkę zastawioną olbrzymimi garnkami z niewypalanej jeszcze gliny. W południe urządzili krótki postój, a potem ruszyli w dalszą drogę przez bezlitosny upał, przysypiając w siodłach.

Raule śniło się, że jest asystentką iluzjonisty. Odziany w pelerynę magik zabijał ją i przywracał do życia na najrozmaitsze sposoby, aż wreszcie zaprowadził na szubienicę.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jesteś martwa - oznajmił.

- I tu właśnie się mylisz - odparła i obudziła się nagle.

Zostawili wzgórza za sobą, nadal jadąc po twardym gruncie. Okolice była pusta i sucha jak tysiącletnia czaszka. Nie widzieli ani jednego kaktusa ani muchy, nigdzie nie było kości ani odpadków. W całej krainie życie nie miało żadnego przedstawicielstwa. Dziwnie było pomyśleć, że to niezwykle miejsce leży w jej ojczyźnie.

Słońce zaszło. Nadal jechali przed siebie, zamierzając nazajutrz zawrócić ku drodze.

\*\*\*

Wczesnym rankiem ujrzeli jeźdźców na horyzoncie za sobą. Dzielili ich od nich najwyżej cztery mile.

- Jak to możliwe? - wydyszała z drzeniem Raule.

- Kiedy bohaterowie stają się myśliwymi, nie mają sobie równych - odparł Gwynn. W jego głosie brzmiał gniew, którego wcześniej Raule u niego nie słyszała.

Nie byli w stanie zmusić wielbłądów do galopu. Były tak zmęczone, że bicz mógł je skłonić jedynie do truchtu.

Raule widziała kiedyś, jak wielki lądowy ślimak doścignął i zabił mniejszego. Łowy

zaczęły się na jednym końcu podwórka i po trzech godzinach zakończyły na drugim. Zadawała sobie pytanie, czy ten pościg potrwa aż tak długo.

W pierwszej chwili na to nie wyglądało. Jeźdźcy przyśpieszyli gwałtownie. Wkrótce jednak osłabli. Było jeszcze za wcześnie, by mogli ich dopaść. Po paru chwilach znowu stali się tylko widocznymi na horyzoncie punkcikami.

Ta sytuacja powtarzała się wielokrotnie. Ścigający próbowali zmniejszyć do zera krótki dystans dzielący ich od uciekinierów, lecz za każdym razem te wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Raule nasunęła się myśl, że gdyby nie była to sprawa życia lub śmierci, cała sytuacja mogłaby się wydać śmieszna. Nie miała jednak wątpliwości, jak to się skończy. Czowała się zmęczona jak ktoś, kto kopie własny grób. Miała wrażenie, że pustkowie z niej szydzi. „Ciebie również słońce spali, skruszy i obróci w pył”, powtarzało drwiąco.

Obejrzała się i zobaczyła, że jeźdźcy znowu się zbliżyli. Powiedziała Gwynnowi, że muszą przyśpieszyć. Z furią okładali wierzchowce biczami, ale nie byli w stanie wydusić z nich większej prędkości. Wrogowie zbliżali się z każdą chwilą i Raule uświadomiła sobie, że, niestety, nie wzięła pod uwagę ich liczby. Było ich co najmniej czterdziestu. Widziała już niebieskie mundury. Potem jednak znowu zostali z tyłu.

Jechali milę za milą, a wokół wciąż rozciągała się ta sama pustynia. Byli coraz bardziej zmęczeni. Raule wlewała wodę do gardła i zaraz wypacała ją przez skórę. Jej głowę wypełniał pulsujący ból. W pewnej chwili dopadły ją mdłości i omal nie straciła całej wody. Trzymała usta zamknięte, oddychając przez nos, by oszczędzać wilgoć. Dręczący ją strach postarzał się i uleżał, stracił ostrość, stał się czymś zwyczajnym, nieodłączną częścią jej życia, taką samą jak kończyny i narządy wewnętrzne. Dobrze pamiętała to wrażenie z innych chwil, gdy była pewna, że zginie. Próbowowała znaleźć nadzieję w fakcie, że w tamtych sytuacjach jednak ocalała, nie znalazła jednak w sobie nic poza zgryźliwą drwiną z siebie samej.

Około południa wielbłąd Gwynna zwałił się na ziemię. Mężczyzna nie tracił czasu na próby zmuszenia go do wstania. Wpakował mu kulkę między oczy i przesiadł się na nowego wierzchowca. Śmierć wielbłąda nappełniła strachem pozostałe zwierzęta, które zaczęły biec szybciej. Trwało to jednak krótko i żołnierze dotrzyмали im kroku, kołysząc się nieustannie na przesłoniętej mgiełką granicy widzialnego świata.

Po jakiejś godzinie Gwynn zatrzymał się nagle.

- Co się stało? - wychrypiała Raule, przystając obok. Przyszło jej na myśl, że z pewnością coś zauważył.

- Nie zamierzam dalej tak uciekać - odparł z determinacją. - Lepiej stanąć do walki, nim będę za bardzo zmęczony, by celować.

Mówił ochryple i niewyraźnie, podobnie jak Raule.

- Jest ich zbyt wielu. Zginiemy - stwierdziła.

Nie odpowiedział.

Wydała z siebie pogardliwy dźwięk naśladowujący splunięcie, nie chcąc tracić wilgoci i splunąć naprawdę. Ponagliła wielbłąda kopniakiem. Po krótkiej chwili Gwynn ją dopędził. Od tej chwili jechał obok Raule, z prawej strony, nie odzywając się ani słowem ani nie spoglądając na nią. Być może doszedł do wniosku, że ufa jej rozsądkowi bardziej niż własnemu.

Raule wiedziała jednak tylko tyle, że woli zginąć później niż wcześniej.

Wyobrażała sobie, że po śmierci jej duch będzie wiecznie jeździł po pustyni. Niemal już nie pamiętała, by kiedykolwiek robiła coś innego. Miała wrażenie, że jedynym celem jej życia było doprowadzenie do tego śmiesznego finału.

Czas przestał płynąć, tak samo jak wczoraj. Minuty wlokły się bez końca. W Raule zrodziło się podejrzenie, że oboje już nie żyją.

Nagle usłyszała ochrypy głos. Poderwała się w siodle. Czy aby na pewno nie zasnęła? Uświadomiła sobie, że Gwynn zawołał ją po imieniu. Uniósł drżącą rękę, wskazując na południe. Za mgiełką było widać jakiś wielki ciemny kształt, wyglądający jak płaskowyż.

- To niezłe miejsce na stoczenie ostatniej walki - wychrypiała.

Nie mówiąc nic więcej, skręcili w tamtą stronę.

Gdy podjechali bliżej, Gwynn parsknął nagle śmiechem przypominającym krakanie kruka. Raule zastanawiała się, co, u licha, tak go rozbawiło. Uniósł lornetkę do oczu i znowu roześmiał się ochryple.

- Spójrz, co tu znaleźliśmy! - zawołał.

Raule skierowała swą lornetkę na widoczny w oddali kształt i zrozumiała, czym jest naprawdę. To był mur, górujący nad spieczoną ziemią niczym bok śpiącego lewiatana. Miał pięć kilometrów długości i wyglądał na całkowicie nienaruszony. W samym środku umieszczono łuk bramy, wsparty na dwóch kwadratowych wieżach strażniczych.

Raule nie potrafiła uwierzyć, że może być prawdziwy. Po Kraju Miedzi krążyło mnóstwo opowieści o zaginionych na pustyni miastach. Była przekonana, że to miraż, że pustynia zażartowała z niej po raz ostatni, zanim ją wreszcie zabije. Potrząsnęła głową, ale mur nie zniknął. Zbliżyli się do niego coraz bardziej i po chwili widzieli już w nim pojedyncze kamienie. Poczuli, jak jej spieczone wargi pękają, odrywając się opornie od dziąseł, do których były przylepione. Rozciągnęła usta w uśmiechu.

\*\*\*

Mur miał siedemdziesiąt stóp wysokości. Rzucił na ziemię głęboki cień, a oślepiający blask słońca nie pozwalał zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie bramy. Była wąska, zbudowana z myślą o obronie. Raule wyteżęła wzrok, usiłując dostrzec szczegóły. W jej umyśle zrodziła się wizja starożytnej metropolii o marmurowych gmachach i wciąż pełnych wody studniach. Wyobraziła sobie, że większa część miasta kryje się pod powierzchnią, sięgając brzegów chłodnego, podziemnego morza stanowiącego przeciwieństwo ciągnącej się wyżej pustyni. Znajdą tam odpoczynek i bezpieczeństwo. Miastem władały dobroczynne moce i w tych, którzy je odwiedzili, pragnienie przemocy umierało. Popuściła wodze wyobraźni i nie chciała wyrzec się tych marzeń pomimo gwałtownych sprzeciwów intelektu.

Wjechali do bramy. Mur był bardzo masywny, miał około dwudziestu pięciu stóp grubości.

Wynurzyli się w blask słońca, mrugając. Pustynia po drugiej stronie muru wyglądała tak samo. Sto jardów przed nimi faktycznie wznosiło się niewielkie miasto, ale zostały z niego wyłącznie ruiny. Zachował się tylko ten jeden bok murów obronnych. Pozostałe trzy leżały w gruzach, podobnie jak reszta grodu.

Rozbudzone nadzieje Raule obróciły się w proch, Gwynn jednak nie tracił dobrego nastroju.

- To miejsce daje nam szansę na zwycięstwo - oznajmił. Zsunął się z siodła, pociągnął długi łyk z manierki i zaczął zdejmować skórzaną torbę. - To skutecznie zepsuje im dzień.

- Albo zwali nam ten mur na głowy - mruknęła apatycznie Raule. Wysłuchała jednak prostego planu Gwynna i zgodziła się, że warto spróbować.

\*\*\*

Czterdziestu trzech żołnierzy. Raule pomyślała, że to groteskowa przesada. Ich błękitne mundury były coraz wyraźniej widoczne.

Potarła nerwowo kolbę karabinu. Serce waliło jej jak bateria dział. Stała na szczycie wieży strażniczej po zachodniej stronie bramy. Gwynn zajął pozycję na drugiej. Obie wieże miały niemal nienaruszone blanki, wewnątrz nich prowadziły na górę kręte schody, a na dole znajdowały się nietknięte sale, w których zostawili spętane wielbłądy. Wyglądało to tak, jakby tajemnicza siła, która zniszczyła miasto, zostawiła ten fragment muru jako pamiątkę po potężnym pokonanym wrogu, a co za tym idzie świadectwo własnej wielkości.

Raule miała za towarzystwo większą część ich zapasów dynamitu, prawie trzydzieści lasek. Ledwie zdążyli przygotować lonty. Adrenalina zdołała przegnać choć część zmęczenia. Może i nie byli z Gwynnem w szczytowej formie, ale z pewnością to samo można było powiedzieć o ścigających.

Gdy żołnierze byli w odległości około mili, ze szczytu wieży Gwynna dobiegł huk wystrzału. Żaden z przeciwników nie upadł. Plan wymagał, by zdradzili nieprzyjacielowi swe położenie, nie zadając mu przy tym strat, które mogłyby go skłonić do ostrożności. Jej towarzysz był przekonany, że kapitan żołnierzy rozkaże swym ludziom ruszyć hurmem do bramy i załatwić zbiegów. Raule w to wątpiła. Obawiała się, że mogą spróbować wjechać do bramy małymi grupkami, co zniweczyłoby przewagę płynącą z zaskoczenia.

- Nie zrobią tego - zapewnił Gwynn. - Nie zapominaj, że są bohaterami. Instykt nakazuje im zawsze wybierać najprostsze rozwiązanie, zwłaszcza jeśli jest nim śmiała szarża przez wejście frontowe.

Wyglądało na to, że miał rację. Żołnierze ustawili się w kolumnę i zwiększyli prędkość. Kapitan zmierzał przodem, na wielkim białym wielbłądzie. Jego kapelusze ozdobiły niebieskie pióra. Gwynn ponownie oddał niecelny strzał. Raule zrobiła to samo. Spojrzała na leżący obok dynamit oraz zapalki, które ułożyła w równy szereg. Otarła spocone dłonie o tył spodni, przygotowując się do działania.

Kapitan uniósł rękę i warknął rozkaz. Nieprzyjaciel ruszył do szarży.

W ostatniej chwili, zanim żołnierze dotarli do bramy, strzały Gwynna nagle stały się celne. Trzej jeźdźcy runęli na ziemię. Reszta wpadła do środka.

Gdy tylko znaleźli się za bramą, Raule zapaliła lonty i rzuciła na dół dwie laski dynamitu. Jedna spadła na pierwszy szereg. Wybuch rozerwał żołnierza i jego wierzchowca na krwawe strzępy. Cała amunicja, którą miał jeździec, eksplodowała. Kule poleciały na wszystkie strony. Druga laska wybuchła na ziemi tuż za trzecim szeregiem, wzbijając potężną chmurę pyłu. Wielbłądy potykały się, kilka zrzuciło jeźdźców. Raule rzuciła na dół dwie kolejne laski.

Po paru sekundach szarża się załamała, zmieniając się w chaotyczny teatrzyk cieni, w którym wierzgające i wymachujące kończynami sylwetki pochłaniała wielka chmura dymu oraz pyłu. Uszu Raule dobiegały wrzaski ludzi oraz ryki zwierząt. Mur trząsł się przy każdym wybuchu. Miała nadzieję, że rzeczywiście jest taki solidny, na jaki wygląda.

Gwynn strzelał bez ustanku w tłum. Robił to metodycznie: najpierw unieszkodliwił kapitana, a potem wybierał kolejne ofiary spośród jeźdźców. Wyglądało na to, że stara się nie zabijać cennych wielbłądów. Kilka pozbawionych jeźdźców zwierząt umknęło między ruiny.

Obleczone w błękit sylwetki padały jedna po drugiej na ziemię. Raule uspokoiła się, uśmiechając się złowrogo, i przyłączyła się do ognistego deszczu.

Uśmiech zniknął jednak z twarzy kobiety, gdy kula uderzyła w mur tuż przed jej głową. Pochyliła się z przekleństwem na ustach. O kamień uderzyły kolejne kule. Ścisnęła zapalki za mocno i złamała trzy, nim zdołała zapalić kolejny lont. Rzuciła dynamit na oślep.

Po wybuchu strzały ucichły i Raule zaryzykowała wystawienie głowy. Zobaczyła, że Gwynn wychylił się niebezpiecznie za blanki, celując ze speera w bramę. Nie widziała nic w jej wypełnionym kłębam dymu cieniu i wątpiła, by jemu się to udało.

Schował się, by naładować sztucer, i strzały rozległy się znowu. Z całą pewnością dobiegały z bramy. Trzej żołnierze zdołali tymczasem zapanować nad wielbłędami i pomknęli cwałem w stronę ruin. Raule przebiegła na drugą stronę dachu i rzuciła do bramy laskę dynamitu. Kąt nie był dogodny i laska nie wpadła do środka. Niemniej jednak eksplozja wypełniła przejście dymem. Raule wróciła na poprzednie miejsce akurat na czas, by załatwić dwóch mężczyzn, którzy wyszli chwiejnym krokiem z bramy. Spojrzeli na nią i wycelowali karabiny, ale w tej samej chwili spadł między nich dynamit. Rzut był celny i wybuch rozerwał ich na strzępy, ponownie wywołując efekt kaskady ognia.

Gwynn skoncentrował się na uciekającej trójce. Dwóch załatwił szybko, ale trzeci strzał był niecelny i wyglądało na to, że żołnierzowi uda się uciec. Powtórka okazała się jednak udana i zbieg padł na ziemię na samej granicy ruin.

Na dole nadal byli żywi żołnierze. Kilku kuśtykało w stronę wież, ale spowolnione ruchy czyniły ich łatwym łupem dla Gwynna, który popisował się umiejętnościami strzeleckimi, wykańczając ich strzałami w czaszkę.

Ostatni pozostały przy życiu żołnierz usiadł nagle i zaczął strzelać z pistoletu, ale miał tylko jedną - do tego drżącą - rękę i wszystkie kule pomknęły ku niebu. Gwynn jego również zabił. Potem na dole nie ruszało się już nic poza kurzem, a wkrótce on również opadł na nieruchomych ludzi, wielbłądy oraz małe wzgórki zakrwawionego, dymiącego mięsa.

Gwynn wyprostował się i zasalutował Raule. Odwzajemniła pozdrowienie. Cała walka nie mogła trwać dłużej niż dwie minuty. Świat wyglądał tak samo, jak przedtem, ale w tej chwili kochała go znacznie bardziej. Wiedziała, że to uczucie minie, ale na razie zamierzała się nim cieszyć.

Gwynn wskazał ręką na dół, a potem przesunął palcem po gardle, by dać jej do zrozumienia, że pójdzie sprawdzić, czy zostali jacyś ranni do dobicia. Raule zebrała nieużyty dynamit i zeszła ostrożnie po schodach.

W pomieszczeniu na dole było ciemno i prawie chłodno. Raule stwierdziła z

zaskoczeniem, że wielbłądy nie okazują niepokoju. Wszystkie cztery klęczały na ziemi i przeżuwały z senną godnością, jakby nie obchodziło ich nic poza słodkim odpoczynkiem. Raule zgadzała się z nimi w zupełności. Ostrożnie położyła w kącie niebezpieczne brzemię i usiadła na ziemi u podstawy schodów. Ugasiła pragnienie, a potem położyła się na plecach, pozwalając odetchnąć znużonemu ciału. Napawała się radością płynącą z całkowitego, łatwego zwycięstwa. Kiedy człowiek był cały i zdrowy, a jego wrogowie zginęli, życie wyglądało pięknie. Widmo jej sumienia nie kontestowało tej opinii.

Po krótkiej chwili w drzwiach pojawił się Gwynn. Twarz miał odsłoniętą, jego dłoń spoczywała na rękojeści szabli, a z ust zwisał mu papieros.

- Masz ochotę sobie pograbić? - zapytał.

- Nie bardzo. Czy zostało coś ciekawego?

- Nie mam pojęcia, pani doktor. Ale sprawdzenie tego dostarczy nam rozrywki.

Wskazał szerokim gestem na pobojuwisko.

Raule przyjrzała mu się uważnie.

- Ciągłe się wiercisz. Może masz robaki?

Łypnął na nią z ukosa.

- Czy twój radosny nastrój świadczy, że...

- Nie - przerwała. - Nie świadczy. Nigdy nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Podniosła się ciężko.

- Moja droga kobieto, jesteś żywym wcieleniem mądrości - oznajmił, cofając się o parę kroków. Przeszyła go gniewnym spojrzeniem i wyszła na dwór.

- Po prostu pamiętam czasem o ostrożności.

Ominęła zwęgloną stopę i przeszła nad nerką.

Zbieranie łupów po bitwie było żmudną i nieprzyjemną pracą. Niewiele z nich nadawało się do użytku. Większość wielbłądów była ranna i musieli je zastrzelić. W ostatecznym rozrachunku udało się im ocalić tylko osiem wojskowych wierzchowców oraz niewielki zapasik broni w niezłym stanie. Jeśli jednak chodzi o żywność i wodę, ich korzyści okazały się wręcz ogromne. Policzywszy manierki i zbiorniki, przekonali się, że mogą omijać ludzkie osady przez całe dwa tygodnie. Zdobyli też koce, przybory kuchenne i inny tego rodzaju ekwipunek mogący zastąpić to, co byli zmuszeni porzucić.

Pieniądzy nie było jednak wiele i znaleźli tylko jeden naprawdę wartościowy przedmiot. Kapitan miał zegarek, który nadal chodził. Próba na obudowie świadczyła, że wykonano ją ze szczerzego srebra. Wskazywał prawidłowy czas, dziewiętnaście minut po drugiej. Z portfela zabitego oficera Raule wyjęła kartkę papieru, na której wypisano szereg



zdań. Zapewne były to hasła, jako że przyporządkowano im daty kolejnych tygodni. Ten, kto je ułożył, musiał mieć skłonności do ulegania rzewnym nastrojom. Jedno z nich brzmiało: „Odeszłaś wczoraj, a dzisiaj pies szczeka tak głośno”, drugie zaś: „Stare strąki na ziemi, ledwie warte wysiłku wiatru”. Znalazła też świadectwo przewrotnego poczucia humoru: „Tylko ty i ja, gekonie, skąpamy w blasku księżyca trakt dzisiejszej nocy należy do nas”.

Miała nadzieję, że autorem haseł był jakiś znudzony oficer sztabowy, który siedział sobie teraz gdzieś za biurkiem, a nie jedna z ofiar dzisiejszej strzelaniny. Złożyła kartkę, myśląc, że może warto ją zachować.

\*\*\*

Otworzyła oczy i zobaczyła na niebie gwiazdy oraz księżyc, który minął już kwadrę. Leżała owinięta w koce na kamiennej podłodze pośród ruin. Pod bokiem miała zimne popioły wygasłego ogniska. Sylwetki Gwynna oraz wielbłądów rzuciły ostro zarysowane cienie w księżycowym blasku. Trupy były daleko i Raule wyczuwała w powietrzu tylko słaby odór śmierci.

Czuła się niepewnie. Nie pamiętała, kiedy zasnęła.

Na pewno to zimno ją obudziło. Przemarzała do szpiku kości. Nie chciało się jej ponownie rozniecać ognia. Wstała z wysiłkiem, podeszła do swego wielbłąda i przytuliła się do niego, chcąc znowu zasnąć. Jednakże, choć się ogrzała, nie mogła zapaść w sen.

Jej spojrzenie przyciągał lśniący w świetle księżyca mur. Miała wrażenie, że brama również na nią patrzy. Coś kazało jej wstać. Ominęła Gwynna. Obudził go odgłos jej kroków, ale zobaczył, że to ona, i znowu zamknął oczy. Raule przecięła otwartą przestrzeń, zmierzając w stronę muru. Wstrzymała oddech, przechodząc obok trupów, a potem weszła do wieży. Wspięła się ostrożnie na pogrążone w mroku schody, wdrapała się na szczyt i spojrzała na ciągnące się na południu ruiny.

Przyszło jej na myśl, że miasto jest uszkodzoną układanką, zagadką, która zawsze będzie się opierać dociekliwym. W czasach, gdy je zbudowano, musiało być tu jakieś źródło wody, na powierzchni albo pod ziemią, lecz nie pozostał po nim żaden ślad. Z ruin nie można było wyczytać jakichkolwiek informacji o przeszłości. Nigdzie nie widzieli obrazów ani inskrypcji. Granitowe schody w wieży wytarły stopy niezliczonych pokoleń. Czas aktywnego życia miasta musiał trwać równie długo, jak okres jego rozkładu. Umysł Raule wypełnił głuchy niepokój. Przypomniała sobie dawne marzenia. W dzieciństwie chciała zostać sławnym lekarzem, wyobrażała sobie, że dokona wielkich odkryć, pozna tajemnice zdrowia i

choroby, życia i śmierci. Znała to uczucie. To był żal, żal za minionym czasem i za częścią samej siebie, którą utraciła. Być może bardzo wielką częścią.

Stała tak przez długi czas. Nocny wietrzyk przerodził się w suchy, zimny wichur. Granice otaczającego ją świata spowiała ciemność. Tylko gwiazdy pozwalały odróżnić niebo od ziemi. Niezliczone mile pustej przestrzeni jakby ciągnęły Raule we wszystkie strony jednocześnie, aż sama sobie wydała się niematerialną plamą. W końcu ciemność i wiatr sprawiły, że zaczęła głęboko żałować, że przyłączyła się do rewolucji i uczestniczyła w przemocy, która drwiła z jej prawdziwych aspiracji. Poczuli się nie tylko pokonana, lecz również całkowicie wyczerpana. Przyniosło jej to ulgę.

Zeszła na dół jak lunatyczka i wróciła na leżące wśród ruin posłanie.

\*\*\*

Gwynn sięgnął pod płaszcz i wyjął stamtąd gruby rulon banknotów, który następnie wręczył Raule. Był środek nocy i przygotowywali się do wyruszenia w drogę.

- Co to ma być?

- Dla ciebie. Możesz je uznać za pieniądze na czarną godzinę.

Skinęła głową i przyjęła zwitek.

Wrócili do punktu wyjścia - musieli znaleźć targowisko. Gwynn oznajmił, że jest mu wszystko jedno, w którą stronę się skierują, na prośbę Raule pojechali więc dalej na zachód.

Gdy ich karawana opuściła ruiny, Raule często oglądała się za siebie. W świetle księżyca mur wyglądał jak prosta, biała chorągiew. Kiedy wreszcie zniknął za horyzontem, zrobiło się jej trochę ciężiej na sercu. Przyjemnie by było mieć podobnie piękny obraz przed sobą.

Droga była ciężka i nudna. Przez długi czas ich trasa biegła po płaskiej, zbitej ziemi, potem dotarli do kamienistej pustyni, której przemierzenie zajęło im trzy noce. Następnie znaleźli się na pagórkowatych pustkowiach, które pokonywali krętą trasą w ciągu czterech kolejnych nocy, po czym wrócili na spieczoną słońcem równinę. Cały czas zachowywali czujność, ale nie spotkali już dalszych wrogów ani w ogóle żadnych ludzi. Od czasu do czasu natykali się jednak na inne formy życia, porośnięte trawą i sukulentami połacie, na których żyły nieliczne gady, gryzonie i owady. Nigdzie nie widzieli śladu wody. Niekiedy na niebie pojawiał się lecący wysoko orzeł albo sęp. Tylko raz, drugiego dnia drogi przez kamienistą pustynię, orzeł opadł na ziemię, złapał coś - jaszczurkę albo szczura - i znowu wzbił się pod niebo.

Pewnej nocy Raule przeliczyła pieniądze, które dostała od Gwynna. To była kupa forsy. Odkąd opuścili ruiny, jej towarzysz stał się niezwykle małomówny. Podejrzała, że gnębi go pytanie, dokąd teraz ma uciec.

\*\*\*

Osady nie zaznaczono na ich mapach. Nie było to miasteczko, tylko skupisko chat zbudowanych obok oazy. Otaczał je jednak wielki obóz pełen namiotów i szałasów. Na wschód od niego znajdował się rozległy suk, oświetlony zawieszonymi na drutach lampami. Dotarli tam nad ranem, dziesiątej nocy drogi po opuszczeniu ruin. Księżyc - już niemal pełen dysk - świecił jasno. Zbliżali się ostrożnie i okrążyli najpierw obóz, wypatrując mundurów i wojskowych flag. Na szczęście nie odkryli niczego.

- Nawet na mojej pustyni niczego wam nie braknie - odezwał się Gwynn, cytując starożytne „Strofy Obiecującego Ifryta”. - Choć cymbał ów, kto czeka zgarbiony u Drzwi Ogrodu - dodał następną linijkę.

Staw rzeczywiście otaczał niewielki, lecz gęsty gaj. Podjechali do niego i zsiadli z wielbłądów, pozwalając im się napić i popaść.

Rozbili namioty, napełnili manierki i ułożyli się do snu. Na wschodzie pojawił się już różowy blask jutrzeńki. Gwynn przespał cały dzień, ani razu nie opuszczając namiotu. Raule budziła się często i wychodziła na zewnątrz, żeby się rozejrzeć i nacieszyć świadomością, że znowu jest wśród ludzi. Na targowisku cały czas panował spory ruch. Hałas budził w kobiecie radość, jakby po pobycie na cichej pustyni jej uszy były spragnione dźwięku. Wypatrzyła w tłumie licznych Harutaimów. O zachodzie słońca z południa przybyła nowa, liczna grupa przedstawicieli tego ludu. Jechali ze sporą pompą, w równym dwuszeregu, bijąc w bębny i śpiewając melodyjnie. Raule zauważyła, że większość koczowników, w tym również nowo przybyli, jest świetnie uzbrojona. Grupom Harutaimów zawsze towarzyszyli zbrojni strażnicy, tu jednak wszyscy dorośli i większość dzieci w wieku powyżej ośmiu lat mieli broń palną.

Gwynn wyszedł z namiotu, gdy na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Raule wskazała na wojowniczo wyglądających koczowników.

- To mogą być odpowiedni nabywcy - stwierdziła. - Nie będzie ich obchodziło, kim jesteśmy, a kiedy odjedziemy, zapomną o nas.

- Skoro tak mówisz - odparł obojętnie.

Harutaimowie rozbili namioty w kolistych i półkolistych skupiskach. Ich zwierzęta

stały w urządzonych obok okólnikach. Raule ruszyła ku najbliższej z grup, prowadząc wielbłąda, objuczonego owiniętą w derki bronią. Gwynn szedł za nią. Włożył domino, osłonił twarz chustą i zsunął na czoło kapelusz.

W płytkim dole pośrodku obozu paliło się ognisko. Siedziały wokół niego dwa tuziny Harutaimów. Raule pozdrowiła ich głośno, a potem oznajmiła, że ma broń na sprzedaż. Nim jednak skończyła mówić, koczownicy ryknęli głośnym śmiechem. Niektórzy wydali też z siebie przenikliwy tryl będący mniej uprzejmym wyrazem wesołości.

- Ostatnio bardzo wielu naszych wrogów ginie i uprzejmie zostawia nam broń - oznajmił ze śmiechem jeden z nich. - Nie musimy handlować z szakalami.

Druga i trzecia grupa zareagowała tak samo. W czwartym obozie niektórzy jednak wyrazili lakonicznie zainteresowanie. Jedna ze starych matron postanowiła pokierować rozmową i przyznała, że mogliby ewentualnie zawrzeć transakcję. Gwynn pokazał towar koczownikom, którzy wyrazili przepisowe rozczarowanie. Staruszka potrząsnęła głową i oznajmiła, że broń, niestety, jest w bardzo kiepskim stanie. Potem zaczęli się targować. Matrona była tak nieustępliwa, jakby walczyła na śmierć i życie. Gwynn nie odzywał się ani słowem, pozwalając Raule toczyć handlowy pojedynek. Po półgodzinnej przepychance kobiety nadal nie zdołały wynegocjować ceny możliwej do zaakceptowania dla obu stron. Wreszcie Raule stwierdziła, że spróbuje szczęścia w innym obozie, i zaczęła się pakować. To okazało się skuteczne. Staruszka oznajmiła, że przedtem tylko żartowała, po czym złożyła rozsądniejszą ofertę. Raule była już zbyt zmęczona, by bawić się w targi z nową grupą. Wiedziała, że kobieta się tego domyśla, ale było jej wszystko jedno. Klepnęła pięścią w otwartą dłoń na znak zgody.

Matrona odpowiedziała takim samym gestem, a potem zawołała kogoś, oglądając się przez ramię. Po paru chwilach pojawił się nastoletni chłopak niosący torbę podróżną. Staruszka wyjęła z niej zwitki zmiętych banknotów i odliczyła zapłatę. Wojowniczość całkowicie ją opuściła. Gdy dwaj mężczyźni zanieśli broń do namiotu, matrona miała tak zadowoloną minę, że Raule zaczęła żałować zbyt szybkiej kapitulacji.

Wypowiadając wiele pięknie brzmiących fraz na temat gościnności, kobieta zaprosiła Raule i Gwynna, by wypili herbatę z nią i jej rodziną. Raule zgodziła się w imieniu ich obojga i zrobiono dla nich miejsce wokół ogniska, nad którym gotowała się woda w żelaznym saganie. Wkrótce Harutaimowie i dwoje gości popijali już z blaszanych kubków napar pełen wonnych dodatków, gryząc kwadratowe cukierki, słodkie i oleiste. Gwynn nie odzywał się ani słowem, trzymając kubek pod zasłoną, ale Raule rozmawiała z gospodarzami. Choć koczownicy byli gadatliwi, to za potokiem słów kryła się bariera, za którą nie przepuszczali

obcych. Nie bali się też krytykować gości, przynajmniej pośrednio. Wysłuchawszy jednej z opowieści Raule o wojnie, jeden z młodych mężczyzn przeprosił, że przemawia bez ogródek, a potem oznajmił, że w oczach jego ludu między rewolucjonistami a Armią Bohaterów nie ma większej różnicy niż między kwiatami o różnych kolorach.

- Nie obchodzą nas sprawy tych, którzy mieszkają w domach. Mamy pod dostatkiem własnych kłopotów. Dlatego właśnie musimy kupować broń - rzekł z lekko ironicznym uśmiechem.

Potem do rozmowy włączyła się młoda kobieta, która powiedziała, że jeśli świat jest drogą wyłożoną kamiennymi płytami, Harutaimowie wędrują w szczelinach między nimi.

- Pragniemy tylko, żebyście wy, którzy chodzicie drogami, stąpali pewnie - dodała ze śmiechem.

- Ostatnio nieco przesadziliśmy z wędrowaniem - przyznała ze śmiechem Raule. - Obawiam się, że nie bardzo wiemy, gdzie jesteśmy.

Kobieta znowu się roześmiała.

- Macie mapę? Pokaż mi ją.

Raule wyjęła mapę i po paru sekundach zastanowienia kobieta wskazała punkt położony mniej więcej tydzień jazdy od południowo-zachodniej granicy Kraju Miedzi. Dalej była Pustynia Solna. Jeśli mieli skręcić na Płaskowyż Teleute, powinni to zrobić właśnie teraz. Raule zastanawiała się, co zamierza zrobić Gwynn, ale coś w jego milczeniu powstrzymywało ją przed zadawaniem mu pytań. Gdy próbowała zastanowić się nad przyczyną owego wrażenia, przychodziły jej na myśl wyłącznie duchy nawiedzające jej sny oraz bariera dzieląca żywych od umarłych.

Wkrótce pożegnali się z Harutaimami i wybrali się na przechadzkę po suku. Szli w pewnej odległości od siebie. Raule odnosiła wrażenie, że targowisko jest jeszcze mniej realne niż ruiny. Tłum kupujących był bardzo różnorodny i oferowano tu na sprzedaż najrozmaitsze towary. Skąd się wzięli ci ludzie? Czy wiatr przywiał ich tu ze wszystkich stron świata?

Nagle poczuła bliską więź z tym pstrokatym tłumem, jakby na krótką chwilę stała się członkiem jakiegoś tajnego stowarzyszenia.

Gwynn zatrzymał się nagle, wytrącając Raule z zamyślenia. Spojrzała w kierunku, w którym zwrócił głowę, i zobaczyła, co przyciągnęło jego uwagę. Pośród żywego inwentarza, kontrabandy i zwyczajnego chłamu na piasku stało pianino. Jego wygląd sugerował, że w przeszłości służyło jako taran oblężniczy. Skupiło się wokół niego pięcioro brudnych, wychudłych dzieciaków. Najstarsze dziecko - dziewczynka - zaczęło przechodzących, reszta zaś stała bez słowa z obojętnymi minami.

W dawnych czasach Gwynn słynął z upodobania do gry na tym instrumencie, podobnie jak z zamiłowania do mordów i rabunku. Gdy tylko ich banda zatrzymywała się w saloonie albo gospodzie, gdzie było pianino, spędzał za nim całe godziny. Gwynn zmierzał powoli w stronę instrumentu i otaczających go dzieci. Raule podążyła za nim. Gdy podeszli bliżej, usłyszeli głos dziewczynki:

- Jesteśmy pięciorgiem rodzeństwa, zostaliśmy na świecie sami, bo nasi rodzice wyciągnęli kopyta i babcia też. To było jej pianino. Dobrze, że ma kółka, bo dzięki temu mogliśmy je tu przyciągnąć z domu, który stoi sześćdziesiąt mil stąd. - Szeroko rozpostarła chude rączki i zawołała jak doświadczony naganiacz z wesołego miasteczka: - Nie jesteśmy żebrakami ani łamistrąjkami! Wybieramy się na Wzgórza Dzikiej Świni! Na Wzgórza Dzikiej Świni, gdzie jest złoto! Każdy, kto ma oczy i uszy, potrafi ocenić, że instrument jest wart dziesięć razy więcej niż za niego żądamy! Tylko pięćset dinarów za piękne pianino!

Z bliska instrument wyglądał jeszcze żałośniej. Mimo to Gwynn podszedł do oferujących go na sprzedaż dzieciaków.

- Mogę sprawdzić, jak brzmi? - zapytał łagodnym tonem.

Dzieci popatrzyły na siebie.

- Proszę bardzo - zgodziła się dziewczynka. - Tylko niech pan będzie ostrożny. To delikatny antyk.

- Widzę, szlachetna panienko - odparł Gwynn. Chusta w dalszym ciągu zasłaniała mu twarz.

Poruszył urękawicznionymi palcami, podszedł do wytartej klawiatury i zagrał kilka taktów prostego, smętnego preludium. Nieoczekiwanie okazało się, że pianino brzmi znacznie lepiej, niż sugerował to jego wygląd. Gwynn pozwolił dźwiękom wybrzmieć i uniósł ręce.

- Wyszedłem z wprawy - wyszeptał, spuszczać wzrok, jakby zwracał się do instrumentu, nie do obecnych tu ludzi.

Usłyszała go jednak gruba kobieta sprzedająca miedziane garnki.

- Nieprawda, kochanie - sprzeciwiła się, kręcąc głową. - To było ładne. Zagraj nam resztę. - Wstała, wzięła ze sobą składane krzesło i poczłapała do niego. - Proszę, klapnij sobie.

Postawiła krzesło na ziemi i obdarzyła Gwynna matczynym klepieniem w tyłek.

Poderwał się nagle. Raule napięła mięśnie. On jednak ujął delikatnie dłoń kobiety, uniósł ją do ust i pochylił głowę. Najwyraźniej zapragnął odgrywać dżentelmena. Potem usiadł i zaczął grać ten sam utwór. Tym razem wychodziło mu lepiej. Raule świetnie pamiętała tę melodię. Często grał ją, gdy wszyscy byli pijani, noc przechodziła w dzień, a

zabawa ustępowała miejsca otepieniu. Kilku przechodniów zatrzymało się, żeby posłuchać. W pewnej chwili dziewczynka wyciągnęła jednak rękę i uderzyła mocno w basowe klawisze, produkując dysharmonijny dźwięk.

- Starczy - oznajmiła. - Nie może pan tak grać bez końca.

Młodsza dziewczynka trąciła ją łokciem.

- Może jeszcze się nie zdecydował.

Starsza dziewczynka potrząsnęła głową.

- Wcale nie chce go kupić. Mam rację. Proszę pana?

- Masz, szlachetna panienko - przyznał Gwynn, rozpościerając dłonie w geście kapitulacji. - Jestem zmuszony podróżować z minimalnym obciążeniem, a obawiam się, że pianino nie zmieściłoby się do juków. Chciałbym je jednak na chwilę wynająć, jeśli to możliwe. - Wyjął z kieszeni pięćdziesięciodinarową monetę i podsunął ją dziewczynce. - Czy to wystarczy za godzinę grania?

- Bierz ją szybko! - wysyczał najmniejszy chłopiec.

Dziewczynka zawahała się, po czym złapała pieniążek i schowała go pod ubranie.

- Nie mamy zegarka - oznajmiła.

- Ach, tak się składa, że ja go mam - oznajmił Gwynn, wyciągając srebrny czasomierz zabitego kapitana.

Chłopiec podbiegł do Gwynna i wyrwał mu zegarek, wybałuszając oczy z podziwu.

- Jest wpół do dziewiątej - oznajmił. - Znam się na zegarku - dodał z dumą.

Dziewczynka skinęła głową i wszystkie dzieci się odsunęły. Gwynn znowu zaczął grać. Skończył preludium i przeszedł do żywszych rytmów „Pijackiej pieśni w blasku księżycy”. Zagrał „Karawanową balladę”, „Taniec Binzairaby”, „Żegnajcie, anielskie oczęta”, „Przeprosiny kata” oraz inne melodie popularne w Kraju Miedzi. Gapie byli zachwyceni. Wkrótce zaczęli klaskać w dłonie do taktu i śpiewać powszechnie znane słowa.

Potem Gwynn zagrał dwa kawałki w innym stylu, skomplikowane, melancholijne kompozycje. Raule wiedziała, że to muzyka z jego ojczyzny. Nie potrafiła uwierzyć, że zrobił coś takiego. Każdy w tym tłumie mógłby go zidentyfikować. Z pewnością też wszyscy go zapamiętają i będą mogli potem opisać. Przyjrzała się uważnie twarzom gapiów, wypatrując oznak kłopotów. Najwyraźniej jednak wszyscy poza nią dali się porwać. Gwynn zaczął grać kolejną barową melodię i znowu rozległo się klaskanie oraz śpiew.

Gdy skończyła się ostatnia zwrotka, chłopiec oznajmił piskliwym głosem, że jest już wpół do dziesiątej. Gwynn uklonił się widzom i odebrał swój zegarek. Chłopiec odprowadził przedmiot przygnębionym spojrzeniem. Rozległy się oklaski. Niektórzy ludzie rzucali monety

i dzieci zbierały je chciwie.

- To było dobre, kochanie! - zawołała gruba kobieta.

Gdy już oddalili się od pianina i zniknęli w tłumie, Raule uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie wiem, co mam o tobie sądzić - stwierdziła. - Najpierw zasłaniasz twarz jak haremowa dziewczyna w przeddzień defloracji, a potem robisz coś takiego.

- Muzyka to jedna z najpiękniejszych rzeczy w życiu - odparł ze wzruszeniem ramion.

- A ten mały recital miał być łąbodzią pieśnią czy przedwczesnym koncertem pogrzebowym? - zapytała, nie wiedząc do końca, jaką właściwie reakcją chce sprowokować.

- Żadną z tych rzeczy.

- W takim razie czym?

- Zachwytem niezwykłą chwilą.

Raule parsknęła gromkim śmiechem.

- To twoja głowa, towarzyszu.

Nie, on nie jest jednym z umarłych, pomyślała. Ja również nie.

Oznajmił jej, że oporzadzi wielbłądy i rozpali ognisko. Skinęła głową.

- W porządku. Ja wybiorę się na zakupy. Widziałam tu coś w rodzaju apteki.

Potrzebujesz czegoś?

Wręczył jej pieniądze.

- Kul, oleju do broni i mydła, jeśli mydło przetrwało w tych mrocznych czasach.

\*\*\*

Aptekarz przechowywał towary w eleganckich, drewnianych skrzynkach. Sam również był wytwornie ubrany i miał złoty monokl. Raule przystanąła przed nim i spróbowała się targować. Między słoiczkami, skrzynkami i buteleczkami pełnymi wielobarwnych, szarlatańskich specyfików można było znaleźć trochę autentycznych lekarstw, a jej zapasy już się wyczerpywały. Mężczyzna nie chciał jednak opuścić wygórowanych cen, mówiąc jej, że jeśli sobie życzy, może poszukać szczęścia gdzie indziej. Odpowiedziała, że sobie życzy.

Chodziła po suku, oglądając rozłożone na matach i stołach towary, i myślała o dzieciach z pianinem. Nawet jeśli zdołają dotrzeć na Wzgórza Dzikiej Świni, gdziekolwiek mogły się one znajdować, wątpiła, by powiodło się im tam zbyt dobrze.

- Ale przynajmniej dokądsz zmierzają - mruknęła.

Wróciło do niej wspomnienie pierwszej zagranej przez Gwynna melodii. Gdy jej głowę wypełniły powolne dźwięki, coś się w niej przesunęło, jakby Raule wreszcie znalazła



odpowiedni klucz do zamkniętego zamka. Otworzyły się drzwi żalu i przekonała się, że za nimi czekało marzenie. Było jak okrusz szkła, przejrzysty i boleśnie ostry. Fizyczne wrażenie było tak dojmujące, że musiała się zatrzymać i odetchnąć głęboko. Uświadomiła sobie, czego pragnie, i zrozumiała, dlaczego będzie musiała opuścić Kraj Miedzi i wyruszyć w dalekie strony. Chciała połączyć się nierozzerwalnymi więzami z jakimś miejscem, które pozwoli jej żyć jak człowiek cywilizowany, i zostać tam do końca życia. W ciągu najwyżej minuty ten zamiar zawładnął jej umysłem z mocą niepodważalnego autorytetu.

Czuła się tak, jakby wróciła na szczyt wieży w ruinach i ze wszystkich stron otaczała ją czarna przepaść. Jednakże zamiast stęchłych wiatrów wspomnień i wyrzutów sumienia poczuła wreszcie świeży wiatr, niosący po dziś dzień niezasiane nasiona jej starych planów. Jakimś cudem wszystkie wróciły do niej.

Pośród bazarowych namiotów i stołów jej wyobraźnia uformowała ulice i mury, a tłum kupujących zmienił się w mieszczan. Widziała twarze sklepikarzy, robotników, uczonych, kapłanów, artystów, bankierów. Wyobrażała sobie, że podobne ulice i mury oraz praworządna, cywilna ludność mogą stać się formą, w którą wleje swoją treść, by zostać szanowaną lekarką, o czym ongiś marzyła. Nawet gdy umysł Raule wrócił do praktycznych problemów chwili bieżącej, ów plan nie wydawał się jej całkowicie śmieszny. Wreszcie, w najlepszej wyobraźnalnej chwili, zdobyła pieniądze. Nie przybędzie na daleki zachód bez grosza przy duszy. Będzie miała szansę rozpocząć praktykę. Uśmiechnęła się na myśl, że jeszcze niedawno sądziła, że czeka ją nieunikniona śmierć. Nie mogłaby się mylić bardziej. Nie miała prawa zgadnąć, że po tych wszystkich trudnościach i niebezpieczeństwach fortuna wreszcie się do niej uśmiechnie.

Przyszło jej na myśl, że mogłaby spróbować zabrać Gwynna ze sobą i dać szansę rozkwitu dżentelmeńskiej stronie jego osobowości. Nawet gdyby oznaczało to wpuszczenie wilka do owczarni, w nadziei że zmieni się w owczarka, widmo jej sumienia nalegało, że tak właśnie powinna postąpić.

\*\*\*

Linia kolejowa biegnąca przez Pustynię Solną zaczynała się w miasteczku o nazwie Oudnata. Armia Bohaterów miała tam liczny garnizon, ale próba pokonania olbrzymiej pustyni inaczej niż koleją byłaby jeszcze bardziej niebezpieczna niż wejście prosto do obozu nieprzyjaciela. Teoretycznie mogłoby im się udać dotrzeć do pierwszej kopalni, ale nie zdolaliby tego dokonać niepostrzeżenie i niemal na pewno ruszyłby za nimi pościg. Na

domiar złego władze kopalń nie służyły z gościnności wobec włóczęgów.

Zostawał im tylko pociąg. Jeśli będzie ciągnęła za sobą Gwynna, z pewnością zmniejszy to jej szanse, ale była skłonna podjąć takie ryzyko. Nie zaszkodzi też, jeśli Gwynn zaciągnie wobec niej dług. Wkrótce Raule zdołała stworzyć coś, co w jej przypadku uchodziło za plan. Żeby wcielić go w życie, będzie potrzebowała pewnych rekwizytów. Przemierzyła cały suk i w końcu znalazła wszystko, czego szukała. Większość niezbędnych przedmiotów wyszukała na wózku z tandetą. Nigdzie jednak nie było drugiego aptekarza, musiała więc wrócić do sprzedawcy z monoklem. Potem ruszyła z powrotem w stronę wody i znalazła Gwynna na końcu szeregu namiotów. Rozpalił ognisko i przykucnął nad nim z patelnią, smażąc naleśniki. Rzuciła mu buteleczkę oleju do bronii, jedyne go towaru z jego listy, który udało się jej znaleźć.

- Nie ma tu mydła - oznajmiła. - Ani kul. Będziesz musiał zabijać mniej ludzi.

Złapał buteleczkę w locie.

- I dołączyć do niemytych mas. Naprawdę kocham ten twój kraj. Raule usiadła na piaszczystym gruncie. Na blaszanym talerzu przy ogniu leżał stos naleśników. Nadziała jeden na nóż, zwinęła i zaczęła jeść.

- A gdybym ci powiedziała, że nie musisz tu zostawać? Nie musiałbyś też uczyć się pokory ani wyrzekać próżności.

- Co znowu wymyśliłaś?

Zapoznała go ze swym planem i pokazała mu wszystko, co kupiła. Roześmiał się na ten widok. Tego właśnie się spodziewała. Jeśli zaś chodzi o poważną odpowiedź, oznajmił jej jedynie, że prześpi się z tym. Raule doszła do wniosku, że spełniła już wymogi uprzejmości, i skierowała rozmowę na bardziej prozaiczny temat sprzedaży części wielbłądów. Gwynn zgodził się, że mogliby to zrobić. Postanowili, że sprzedadzą sześć wojskowych zwierząt, a zostawią sobie dwa, żeby dźwigały zapasy wody. Targ wielbłądów znajdował się na końcu suku. Siedzieli tam większą część nocy, jako że żadnemu z kupujących się nie śpieszyło. Wojskowe wielbłądy wyróżniały się jednak tym, że były świetnie ułożone, i w końcu udało się im je sprzedać za przyzwoitą cenę.

Gdy wrócili nad sadzawkę, wstawał już świt. Gwynn natychmiast zniknął w namiocie, ale Raule została jeszcze przez chwilę na zewnątrz, by nacieszyć się atmosferą suku, tak samo jak wczoraj. Gdy słońce wynurzyło się zza horyzontu, z północy nadleciało stado ibisów. Ptaki wylądowały nad sadzawką, ustawione w rządki, żeby się napić. Zanurzały długie, zakrzywione dzioby w błocie, szukając owadów.

Słońce wspinało się coraz wyżej i narastał upał. Raule schowała się w namiocie i po

raz tysięczny zaczęła przeglądać przewodnik po Płaskowyżu Teleute. Przeczytała opis linii kolei zębatej, po której pociąg wjeżdżał zygzakami na szczyt urwiska na drugim końcu pustyni. Ze wszystkich opisywanych w książce miejsc, najbardziej zafascynowało ją państwo-miasto Ashamoil. Autor szczególnie zachwycał się przepływającą przez miasto rzeką. Raule raz po raz czytała opisy głębokich, wolno płynących wód, niezliczonych łodzi oraz domów o frontowych schodach prowadzących w fale.

Zasnęła i śniła się jej ulica, a na niej domy obwieszane balkonami, na których tłoczyli się umarli. Wszyscy spoglądali w dół, gapiąc się na coś, czego ona nie widziała.

Po przebudzeniu ogarnęło ją podejrzenie, że Gwynn ją opuścił. Gdy jednak wyszła z namiotu, ujrzała go w blasku popołudniowego słońca. Siedział nad wodą ze skrzyżowanymi nogami.

Osiadł już wielbłądy dla nich obojga. Obrzuciła go pytającym spojrzeniem, ale on tylko wzruszył ramionami, a gdy wspięła się na siodło i ruszyła, podążył za nią.

Po kilku godzinach, gdy zmierzała na południe, a niebo już ciemniało, Gwynn nadal jechał obok niej.

- Powiedz mi jedno - zażądała nagle. - Czy ściga cię ktoś jeszcze?

Zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem.

- Pewna kobieta w Quanut twierdziła, że jestem odpowiedzialny za jedno z jej dzieci - odparł wreszcie. - Musiałem się nieźle natrudzić, żeby przed nią uciec. Niewykluczone, że nadal mnie poszukuje.

- A czy mogło rzeczywiście być twoje?

- No cóż, miała cerę mniej więcej taką jak ty - odparł po kolejnej przerwie - a dziewczynka była czarna jak mój kapelusz, więc chyba mogę uznać, że nie porzuciłem rodziny.

Po dłuższej chwili Raule obejrzała się. Nie zobaczywszy nic, skierowała spojrzenie prosto przed siebie, kierując się ku Jaszczurce, która podążała za Nietoperzem.

\*\*\*

Na szczycie górującego nad Oudnatą płaskowyżu było widać dwie sylwetki jeźdźców na wielbłądach, rysujące się na tle gwiazd. Stanowiąca krańcowy punkt linii kolejowej osada przeżywała rozkwit. Przerwaną na czas wojny rozbudowę linii kolejowej podjęto na nowo. Brygady kładących szyny robotników trudziły się w świetle lamp. Miasteczko otaczała wysoka palisada, a w bramie stało sześciu wartowników w niebieskich mundurach.

Jeźdźcy ruszyli w dół stromą ścieżką schodzącą ze ściany urwiska. Posuwali się naprzód powoli i minęła godzina, zanim dotarli do bram miasteczka. To były dwie kobiety, spowite w czarne, wystrzępione całuny żałobne. Jedna była niska, druga zaś wysoka, ale się garbiła. Oczy zasłaniały jej brudne bandaże, a wielbłąd, na którym jechała, był przywiązany do wielbłąda drugiej kobiety. Niemal całą jej twarz skrywała zasłona, zostawiając tylko niewielkie skrawki skóry o ciemnej barwie. Zawodowy pucybut mógłby rozpoznać kolor pasty do butów „Cynamonowy wąż” firmy Holden. Miała na rękach brudne, szare rękawiczki, a jej palce nieustannie przesuwwały paciorki różańca. Mamrotała ochryplym głosem jakieś słowa w niezwykłym, być może świętym języku.

Kobiety zatrzymały się przy bramie i wartownik w stopniu kaprała zapytał, dokąd się wybierają.

- Jadę z matką na południe - odparła niższa kobieta. - Straciła oboje oczu i obu synów, moich braci. Nie może już dłużej znieść życia w tym kraju.

Wartownik popatrzył na nie z litością.

- Przykro mi, ale nie wpuszczamy żebraków do miasteczka.

- Oczywiście. Mamy pieniądze na pociąg.

Kobieta wygrzebała spod łachmanów kilka banknotów.

- Źle mnie zrozumiałaś - oznajmił stanowczo kapral. - Nie biorę łapówek. Musicie mi pokazać, że macie pieniądze na bilet, albo odjechać.

Kobieta zawahała się, ale po chwili otworzyła juki, wyjęła z nich szmaciane zawiniątko i wydobyla z niego kilka zwitków związanych sznurkiem banknotów. Żołnierz chrząknął, wysunął podbródek i wziął pieniądze w rękę. Następnie rozsypał banknoty i policzył je starannie. Potem związał je z powrotem, zaciągając mocno sznurek, i oddał wszystkie kobiecie.

- Witajcie w Oudnacie - powiedział.

Trzy dni później z miasteczka odjechał kursujący co tydzień pociąg. Kobiety wykupiły prywatny przedział. Gdy pociąg nabierał prędkości, żołnierze sprawdzili wagony w poszukiwaniu ukrywających się przed prawem przestępców. Zajrzeli do ich przedziału, ale gdy tylko zobaczyli zgarbione, mamroczące widmo żałoby, starości i śmierci, umknęli pośpiesznie.

Jakiś czas później w przedziale rozległy się salwy godnego hien śmiechu.

# CZEŚĆ DRUGA

# TRZY

Uśmiechał się z tak złośliwym spokojem, że doszła do wniosku, że do dopełnienia obrazu potrzeba tylko węzowych łusek na jego gardle i szczęce.

Stał w towarzystwie kilkunastu innych mężczyzn w plamie żółtego światła latarni gazowej u podstawy Schodów Żurawich. Sądząc po luksusowych strojach parających się przemocą ludzi - piękne, jedwabne płaszcze z wycięciami po bokach, odsłaniającymi rewolwery oraz inne żelastwo, które nosili u pasa, wyczyszczone na wysoki połysk buty jeździeckie z długimi ostrogami, ozdobione klejnotami rękawiczki - byli zabijakami, kawalerami ze straży domowej jakiegoś granda.

Biała jak ryż skóra świadczyła, że jest cudzoziemcem, jednym z tłumu przybłędów mieszkających w nadrzecznej dzielnicy. Czarne włosy, długie jak u kobiety, opadały mu swobodnie na plecy. Tył płaszcza, a także kołnierz i mankiety, zdobiły haftowane pawie pióra.

Czy był to wygląd namiętnego libertyna, czy raczej biernego, wyłącznie malowniczego dandysa? Czy wygląd stanowił odbicie jego wnętrza, czy też jego zaprzeczenie?

Zamarł w całkowitym bezruchu, tylko końce włosów poruszały się na lekkim wietrzyku. Obserwująca go kobieta również znieruchomiała, stojąc w cieniu Pasażu Wioli. Sklepów strzegły w nocy żelazne kraty, a rogowe lampy pod kroksztynami były zgaszone. Mężczyźni skoncentrowali się na rozmowie. Żaden nie patrzył w jej stronę. Z pewnością wyglądali groźnie. Można by sobie wyobrazić, że to diabły, być może zwabione do miasta przez światła o barwie siarki. Jeśli nawet nie byli istotami nadprzyrodzonymi, z pewnością

pochodzili z podziemnego świata.

Kobieta przybyła tu przed rokiem, z przeciwnej strony, z górnej części miasta. By stać się kolejną cudzoziemką z dzielnicy przybrzeżnej, opuściła dom, w którym jej rodzina mieszkała od czternastu pokoleń. Gdy była małą dziewczynką, nauczyciele próbowali wpoić jej strach przed pewnymi sprawami, ale w rezultacie zaczęła się bać ich przeciwnieństw. Kiedy dorosła, miedziane loki zdobiące jej głowę zgęstniały i pociemniały, przeradzając się w ciemnoróżową grzywę; jasnobrązowa skóra nabrała odcienia ciemnego złota, a piersi - gdy już się zaznaczyły - wyglądały jak u pozłacanego galionu okrętu pirackiego albo jakiejś straszliwej, mosiężnej bestii, której mleko pragnęliby pić nowo narodzeni tyrani. Na koniec, w dzień jej szesnastych urodzin, oczy zmieniły barwę z brązowej na czerń starego żelaza. Choć zdawała sobie sprawę, że nie tylko ona czuje się obca w tym świecie i podobne brzemie muszą dźwigać wszyscy ludzie, uznała owe zmiany za dowód, że jest jeszcze bardziej obca od nich.

Skupiła uwagę na mężczyźnie w płaszczu wyszywanym w pawie pióra. Jego spokojne zachowanie coś w niej przebudziło. Skierowała ku niemu całą swą wolę, chcąc go skłonić, by odłączył się od grupy i podszedł do niej. Jeśli jednak wiedział, że ktoś go obserwuje, nie dał tego po sobie poznać. Trzymał się blisko towarzyszy. Po krótkiej chwili mężczyźni ruszyli w górę wąskich, zygzakowatych Schodów Żurawich. Wyszli z plamy światła i wkrótce zniknęli za wspartymi na słupkach chatami.

W następnych tygodniach wypatrywała go na ulicach, lecz nadaremnie, podobnie jak jego towarzyszy. Klasyczne wykształcenie pozwalało jej wyobrazić sobie możliwy powód tej sytuacji. Niektórzy filozofowie z okresu późnego antyku głosili teorię, głoszącą, że każda osoba jest ośrodkiem wszechświata, poznawalnej rzeczywistości. Jednostka ludzka stanowiła według nich oko cyklonu, który może się przecinać z królestwami zamieszkanymi przez innych bądź też pozostawać dla nich nieprzenikniony. Według jednego ze starożytnych źródeł owa teoria miała dawać odpowiedź na pytanie, dlaczego dwaj filozofowie, którzy ongiś byli przyjaciółmi, ale potem się pokłócili i byli zbyt dumni albo może szczerze urażeni, by się pogodzić, nagle przestali się zauważać na mieście, mimo że mieszkali na sąsiednich ulicach. Mogłaby uwierzyć w taką wizję bytu, o ile w ogóle była skłonna wierzyć w cokolwiek.

Być może jej świat tylko na chwilę przeciął się ze światem cudzoziemca. Być może mężczyzna odpłynął na statku, spotkał własną śmierć albo wrócił do piekła.

W końcu postanowiła umieścić go na akwaforcie.

- Bóg ci podziękuje, nawet jeśli nikt inny tego nie zrobi - oznajmiła zakonnica.

W mieście nastala pora sucha. W powietrzu wisiał ceglany pył i roiły się brzęczące muchy. W tym okresie klimat Ashamoil najbardziej przypominał klimat Kraju Miedzi. Była to również pora świąt i parad. Uszy Raule wypełniał hałas bębnów, gongów oraz fajerwerków. Kobieta siedziała do późna w izdebce, którą przerobiła z prywatnej kuchni na coś w rodzaju laboratorium. Uzupełniała notatki dotyczące ostatniego nabytku do swojej kolekcji: męskiego płodu pozbawionego szkieletu, poronionego w piątym miesiącu ciąży.

Gdyby uniosła wzrok, ujrzałyby inne eksponaty, zamknięte w stojących na półkach słojach. Jedno z większych naczyń zawierało zrosnięte głowami bliźnięta, które miały jedną, szeroką twarz o dwóch, zwróconych lekko ku sobie profilach. Twarz miała spokojny, niebudzący lęku wyraz, oczy były zamknięte, a usta uśmiechały się pogodnie. Sąsiedni eksponat był bardziej konwencjonalnym odmieńcem. Nie miał czaszki ani mózgu, jego głowa tworzyła pustą miskę, górna część twarzy była silnie rozciągnięta, a wielkie oczy przycupnęły na szczycie czoła, jak u ropuchy. Na wyższej półce stał zabutelkowany eksponat stanowiący karykaturę dziecka. Miał około czterech cali długości, ciastowaty tułów i główkę oraz kończyny przypominające pączki liści. Opuchnięta, zniekształcona twarzyczka przywodziła na myśl szmaciane lalki mające przedstawiać ideał dziecięcej słodyczy. To był innego rodzaju bliźniak, przyczepiony do piersi całkowicie normalnej dziewczynki. Położna przyniosła noworodka do szpitala i Raule wykonała niezbędną amputację. Dziwaczna, człekokształtna narośl nie miała mózgu ani serca. Raule przekonała się o tym podczas sekcji. Eksponat w sąsiednim słoju miał kruche, wydłużone kości, a większość narządów wewnętrznych pływała wokół niego, zawieszona na błonach śluzowych, które wydostały się na zewnątrz przez otwory w ścianie brzucha. Płód w kolejnym słoju dotknęła deformacja kości twarzy, która nadała mu wygląd ryby.

Zdaniem Raule najdziwniejsze były jednak zrosłaki, których oś symetrii biegła poziomo przez miednicę. Górna połowa płodu była zwierciadlanym odbiciem dolnej. Płód miał dwie pary w pełni funkcjonalnych kończyn górnych, a sekcja pozwoliła odkryć wewnątrz wydłużonego ciała dwie pary żeńskich narządów rozrodczych. Raule wsadziła *corpus vile* do słoja, a potem przez wiele dni dręczyły ją koszmary, w których widziała, jak dziecko unosi się w morskich odmętach, koziołkując powoli w jej stronę. Jej śpiąca jaźń była przekonana, że stworzenie ma wrogie zamiary, gdy zaś Raule się budziła, serce tłukło jej gwałtownie, a czoło zlewał pot. Bardzo się ucieszyła, gdy te sny wreszcie się skończyły.

Odłożyła pióro, postawiła naczynie z bezkostnym dzieckiem na końcu szeregu słoików,



schowała notatki do segregatora, a potem usiadła prosto, spoglądając na zastawione ekspozycjami półki. Wypytywała położne o szczegóły i wszystkie pilnie notowała: wiek, stan zdrowia oraz zawód matek potworków, a także ojców, o ile byli znani. Nie odnalazła jednak żadnej wspólnej cechy rodziców ani czynnika związanego z trudnymi warunkami pracy wielu mieszkańców Limewood. Niestety, nie miała dostępu do martwo urodzonych dzieci kobiet z klasy wyższej i średniej, co umożliwiłoby porównania. Sekcje nie powiedziały jej nic. Po trzech latach badań nadal nie miała pojęcia, co może powodować aberracje. Jej teratologiczne dociekania właściwie wyszły już poza granice medycyny i miały więcej wspólnego z filozofią. Musiała też przyznać, że kryje się w nich element niezdrowej fascynacji.

Gdy była jeszcze początkującym chirurgiem, zauważyła, że zdrowym chorzy często wydają się potworami. Gdy monstrualne cechy - choroba, starość, obłąd albo deformacje - stawały się zbyt silnie zaznaczone, ofiarę poddawano ostracyzmowi, nawet jeśli nie istniała możliwość zarażenia. Raule doszła do wniosku, że w ludzkiej naturze leży głęboko zakorzeniony, przesądny strach przed przekazaniem nieszczęścia za pośrednictwem jakiegoś wymyślanego, niedotykalnego medium. Teraz uświadomiła też sobie, że jej własne badania, zmierzające do zbadania niedoskonałości ciała i poznania ich przyczyn, zrodziły się z prymitywnego pragnienia uodpornienia się na podobne przypadłości.

Poznała tę prawdę w czasie, który upłynął od chwili, gdy miejskie Kolegium Lekarzy odrzuciło jej podanie. Próbowwała walczyć, ale nic to nie dało. Przekupiła cały szereg urzędników, wydając niemal wszystkie pieniądze, i w zamian uzyskała jedynie farsę, jaką był wywiad przed komisją Kolegium. Opowiedziała o latach nauki oraz pracy jako chirurg wojskowy, ale większość obleczonych w czarne szaty mężczyzn i kobiet z komisji uśmiechała się tylko pobłażliwie. Pozostali łypali na nią ze złością, jakby brzydko pachniała.

Przewodniczący komisji należał do obozu rozbawionych.

- Proszę pani - wycedził - gdyby to kolegium dopuszczało do praktyki wszystkich wędrownych znachorów i jarmarcznych wrywaczy zębów, którzy do nas trafiają, próbowałaby pani się przyłączyć nie do związku wykwalifikowanych medyków, lecz do bandy szarlatanów! A jeśli nie jest pani wystarczająco inteligentna, by to zrozumieć, to, szczerze mówiąc, nie potrafię uwierzyć, by wystarczyło pani inteligencji, żeby opanować choć podstawy sztuki medycznej.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Raule zachowała spokój i zapytała, jak zdaniem komisji wyglądają podstawowe wymagania.

- Sześć lat akademickiego nowicjatu w zaakceptowanym przez kolegium uniwersytecie, a następnie dwa lata stażu w zaakceptowanym szpitalu. To minimum -

oznajmił przewodniczący.

- A ile mogłyby kosztować podobne studia?

- Dwadzieścia trzy tysiące florenów rocznie plus wydatki. Po trzecim roku obiecujący studenci mogą otrzymać stypendium.

- Szanowny panie, widzę, że traciłam tu czas - poczuła się zmuszona odpowiedzieć Raule. - Zostaje mi tylko poradzić, żeby przepchnął pan swoją uczoną opinię przez *Sphincter ani*, a następnie ominął *Sphincter interior* i wprowadził ją do esicy. Można żywić nadzieję, że jej szacowny ciężar doprowadzi tam do wgłobienia.

Ta demonstracja fachowej wiedzy dała Raule tylko tyle, że przewodniczący wezwał dwóch krzepkich woźnych, którzy wyprowadzili ją bezceremonialnie.

Po tym incydencie postanowiła poszukać innych opcji. Dowiedziała się, że, choć bez członkostwa w kolegium nie może otworzyć prywatnej praktyki ani pracować w szpitalu miejskim, nie wszystkie szpitale w Ashamoil podlegają władzom świeckim. Rozmaite związki religijne prowadziły niewielkie lecznice, z reguły ulokowane w biednych dzielnicach. Zwróciła się do jednego z tych Kościołów.

Czy potrafi odebrać poród? Oczyszczyć i zaszyć ranę? Określić przyczynę śmierci? O to wszystko zapytała ponura zakonnica, która prowadziła z nią rozmowę. Gdy Raule odpowiedziała twierdząco, kobieta zaproponowała jej pracę w parafialnym szpitalu, w którym nie było stałego lekarza, odkąd poprzedni umarł na zakażenie krwi. Pensja będzie niska, warunki prymitywne, a wdzięczność okaże jej jedynie bóg, w którego Raule nie wierzyła. Odpowiedziała, że się zgadza.

\*\*\*

- Popatrz! - wściekał się człowiek z diamentowym kolczykiem. - Spójrz, co zrobiła ta twoja suka!

Nadzorca, nedorzecznie wystrojony mężczyzna siedzący na ustawionym pod markizą krześle przed zagrodą, w której tłoczyli się niewolnicy, uchylił przymknięte powieki i uniósł nieco wzrok, by poznać przyczynę gniewu tubylca. Tamten obrócił głowę i zademonstrował nieozdobione ucho, z którego obficie ciekła krew. W dłoni trzymał wyrwany przez zęby niewolnicy kolczyk.

- Aha, widzę - stwierdził nadzorca i ziewnął szeroko, osłaniając usta koronkowym mankietem.

W hamaku wiszącym w cieniu tej samej markizy spoczywał drugi cudzoziemiec.

Wywodził się z tej samej rasy, co pierwszy - miał skórę białą jak gotowana ryba, a włosy czarne niczym smoła. On również ubierał się z przesadną elegancją, nie był jednak szczupły, lecz potężnie zbudowany, a jego twarz miała ponury wyraz. Gapił się na szeroką rzekę, której wody omywały stopnie ghatu schodzącego ku niej z targu niewolników. Wydawało się, że w ogóle nie zwraca uwagi na wydarzenia.

Mężczyzna ponownie zwrócił się do szczupłego, ziewającego cudzoziemca.

- Słyszałeś mnie, synu robaków? Co zamierzasz uczynić w tej sprawie?

Nadzorca westchnął głośno.

- Nic, jak przypuszczam - wycedził wyjątkowo ospale.

- Przypuszczasz? - oburzył się mężczyzna. - Przypuszczasz? A ja przypuszczam, że należą ci się baty! Czy szef płaci ci za to, żebyś nic nie robił, kiedy twój tak zwany towar atakuje mnie, gryzie i kaleczy? Nie sędzę, ty bezużyteczny nierobie! Powinieneś mi wypłacić należyłą rekompensatę za moje cierpienia. W przeciwnym razie postaram się, żeby twój szef się o tym dowiedział. A wtedy, robaku, to ty będziesz krwawił, prawda?

Postąpił krok w stronę nadzorcy.

- Proszę bardzo, zawiadamiaj go sobie - rzekł ten. - Nie zapomnij też dodać, dlaczego cię ugryzła. Mój pracodawca z pewnością okaże ci współczucie. Może wzruszy się tak bardzo, że nie każe jednemu ze swoich ludzi uciąć ci rąk.

Mężczyzna w hamaku wstał nagle i wskazał na sąsiadującą z zagrodą budkę z zasłoniętym kotarą wejściem.

- Jeśli chcesz sprawdzić, czy drzwi świątyni są otwarte, musisz poprosić, a wtedy zaprowadzimy cię i panią do budki, a potem dopilnujemy, żebyś tylko patrzył, a nie dotykał. Raczej nie możemy sprzedać dziewicy, której wepchnąłeś w otwór połowę swoich paluchów, tak?

- To byłoby sprzeczne z naszymi zasadami - zgodził się jego towarzysz, wstając z krzesła.

- Dziewicy? - Głos ugryzionego stał się o oktawę wyższy. - Brama tej dziwki była szeroka jak u kobyły!

- Obawiam się, że nigdy nie miałem okazji się przyjrzeć tej części anatomii kobyły - odparł szczupły cudzoziemiec, uśmiechając się lekko. Następnie wzruszył ramionami. - Tak się składa, że sprzedaliśmy już wszystkie dziewice w tym transporcie.

- Dlatego nie musimy pomścić jej cnoty - dodał większy nadzorca.

- Masz szczęście - skwitował szczuplejszy, pociągając mężczyznę za ocalały kolczyk.

- Obaj będziecie mięsem dla czerwi - warknął ten. - Popełniliście bardzo poważny

błąd, robaki. Każę was rozebrać, wychłostać i wydupczyć!

Ślina spływała mu po podbródku. Odwrócił się i odszedł zamaszystym krokiem, przepychając się przez tłum.

Większy nadzorca wrócił na hamak. Drugi zabił moskita, który usiadł mu na rękawie, pstryknął palcami i wszedł do zagrody, by wymienić parę słów ze smagłym kolosem ściskającym w ręce potężny bicz. Pomimo upału olbrzym miał na sobie skórzany strój. Nadzorca odsunął się i skrzyżował ręce na piersi, a gigant stuknął rękojeścią bicza w kark jedną z zakutych w łańcuchy kobiet.

Niewolnica zwróciła się ku niemu. Na jej twarzy malował się strach, nie wzdrygnęła się jednak. Splunęła na ziemię pod swymi stopami. Kolos odsunął się i strzelił z bicza, trafiając ją w udo. Kobieta zatoczyła się do tyłu. Z jej ust wyrwał się wrzask bólu. Następnie wyprostowała się i wykrzyczała całą serię słów w swym ojczystym języku. Bicz uderzył po raz drugi, tym razem oplatając się wokół ramienia. Zachwiała się po raz drugi. Tym razem zacisnęła zęby i nie odezwała się ani słowem. Kiedy odzyskała równowagę, znieruchomiała, łypiąc z wściekłością na nadzorcę i człowieka z biczem. Po jej ręce i nodze spływała krew. Człowiek z biczem przygotował się do trzeciego uderzenia i buntownicza mina kobiety złagodniała nieco.

- Wystarczy - powiedział nadzorca i opuścił zagrodę, kierując się ku krzesłu.

Człowiek z biczem również wrócił na stanowisko. Wszyscy niewolnicy odsunęli się od kobiety, jakby się bali, że przyniesie im pecha.

\*\*\*

Gwynn wynajmował mieszkanie na najwyższej kondygnacji Corozo, pięciopiętrowego budynku stojącego nad rzeką w modnej ongiś podmiejskiej dzielnicy, która ostatnio bardzo podupadła. Gdy wracał do domu, było już późno. Jego koń stapał po wyboistym bruku podminowanym przez korzenie drzew ogniowych, oraz wzmocnione pnie figowców i drzew kapokowych. Za płotami było widać zaprojektowane z rozmachem rezydencje o popękanych ścianach i zwalonych kolumnach. Na żyznej nadrzecznej glebie, widocznej w szczelinach nawierzchni, wyrastały paprocie i mech, wyglądające jak wyściółka wyłażąca ze starej kanapy. Na zapadające się werandy spływały gęste zasłony pnączy i bluszczu. Roślinności towarzyszyło życie zwierząt: żółto-niebieska papuga siedząca na starej kalinie koralowej, pyton zwinięty pod publicznym hydrantem, kolonia nietoperzy zwisających niczym podługowate owoce z wysoko wyrastających gałęzi palisandru.

Przedmieście otaczały strome ściany dwóch granitowych ostróg, biegnących ku rzece od wysokich wzgórz, na które wspinały się budynki Ashamoil, tworząc kolejne tarasy. Wietrzne przedpiersie mniej imponującego końca Parady Tourbilliona tworzyło trzecią, górną granicę, czwartą zaś była rzeka. W tej zamkniętej dzielnicy przetrzymywano nie tylko dzikie zwierzęta, lecz również populację zgrzybiałych panów i pań ze szlacheckich rodów, którzy nie zdołali dorobić się potomstwa. Gwynn zwrócił uwagę na fakt, że owi czcigodni staruszkowie trzymają się życia z nadzwyczajną zaciekłością. Najwyraźniej uważali walkę z czasem za sprawę honoru. Po nich przyjdą tu nowi prominenci, którzy wyburzą rozsypujące się rezydencje i postawią na ich miejscu szeregi wąskich domów, wytną drzewa, wyrwą korzenie i położą nowy makadam. Zwierzęta opuszczą okolicę, ustępując miejsca tłumom ludzi. Ale jeszcze nie dzisiaj. Na razie na ulicach nie pokazywały się wózki dziecięce ani sprzedawcy bułek i życie w zapuszczonych ogrodach rozkwitało bez przeszkód.

Front budynku Corozo otaczał taras usytuowany na szczycie opadających ku rzece murów. Cienia dostarczały mu doniczkowe palmy i zawsze wały się tam ich spadłe liście. Drzwi frontowe były zamknięte na stałe. Lokatorzy, goście, posłańcy oraz służba wchodziła do gmachu i opuszczali go przez podwórze na zapleczu. Znajdowała się tam stajnia, opustoszała psiarnia, a także mulista fontanna, w której lęło się mnóstwo moskitów i pijawek. Gwynn ominął tę żyzną misę i wszedł do środka tylnymi drzwiami. Pod pachą niósł płaski pakunek. Lampy w holu na zapleczu były zgaszone, spod drzwi umieszczonej pod schodami izdebki portiera również nie wypływało światło. Jedynym jego źródłem była tu łuna miejskich latarń gazowych, rozproszona przez permanentny smog. W holu panował półmrok, ale na schodach było ciemno jak pod kapturem kata. Na stole pod drzwiami leżały przeznaczone do ogólnego użytku świece typu najczęściej spotykanego w kościołach. Były wysokie, białe i paliły się długo. Gwynn zapalił jedną zapalniczką i skierował się na górę. W świetle płomienia widział zdobnie rzeźbione poręcze pokryte grubą warstwą kurzu oraz wytarty dywan wyszywany we wzory akantu. Z sufitu zwisały ciemnozielone lampy o jedwabnych abażurach, w których mieszkaly wielkie tropikalne pająki.

Na klatce schodowej zawsze śmierdziało politurą i przypalonymi grzankami. Ten odór przypominał Gwynnowi szkołę z internatem, w której co rok spędzał zimę, gdy był dzieckiem. Choć owe miesiące zapisały się w jego pamięci, miał wrażenie, że przeżył je jakiś inny chłopiec, niepodobny do tego, którym był w długich dniach lata, gdy polował w tundrze na mamuty i uczestniczył w potyczkach z konkurencyjnymi klanami. Zaduch schodów przywoływał ducha tamtego zimowego chłopca i na drugim albo trzecim pomoście Gwynn często odnosił wrażenie, że słyszy młody głos odmieniający czasowniki martwego języka

albo recytujący wyuczone na pamięć ustępy z dzieł starożytnych autorów. Tej nocy deklamował najstarsze poematy, opiewające pradawne cuda i potworności. Niektóre fragmenty zawierały wizje Ifrinn za północą, gdzie słońce nigdy nie wschodziło, a lód nie topniał. Martwi ludzie z klanów czekali tam na żyjących kuzynów. Głos opisywał osiemdziesiąt ramion i osiemdziesiąt paszcz Krakena, tonem przepętnionym dziecięcym strachem i tęsknotą szeptał o diamentowej koronie Smoka Chłodu i jego zębach wykonanych z mieczowej stali. Gdy Gwynn otworzył drzwi, głos umilkł.

Kiedy się tu wprowadził, pokoje były umeblowane. Zawiesił w oknach grubsze zasłony i zastąpił łojowe pochodnie w kinkietach lampami naftowymi, ale poza tym nie wprowadził żadnych zmian. Jadł na mieście, a mył się w łaźni. Posiadał niewiele książek. Kiedy miał ochotę poczytać, wolał skorzystać z miejskiej biblioteki. W jej świetnie urządzonych czytelnich panowała miła, spokojna atmosfera i gromadzili się tam ludzie, których pasją była wiedza. Jeśli chodzi o mieszkanie, najlepiej czuł się w klimacie nietrwałości.

Położył paczkę na biurku, zapalił auto-da-fé i wyszedł na balkon. Na dole powoli toczył swe wody Skamander. Rzeka miała pięćset jardów szerokości i była nieprawdopodobnie brudna. Jej brzegi spinało ze sobą siedem mostów, ale i tak przez całą dobę krążyły między nimi niezliczone łodzie. W półmroku nocy były one jedynie korowodem przesuających się powoli sylwetek. Każdej towarzyszyły białe, turkusowe, żółte albo ciemnoczerwone światła lamp oraz kominów. Obłoki pary i dymu rozpraszały blask, nadając scenie zamazany, niezemski wygląd. Dobiegające z rzeki odgłosy były jednak zupełnie prozaiczne: syreny i gwizdki parowców, porykiwanie zwierząt na barkach transportowych oraz przekleństwa flisaków. Na rzece nigdy nie było spokoju. Ruch i hałas nie zamierały ani na moment.

Wokół żelaznych poręczy balkonu owijały się pnącza. Ich mięsiste liście miały różnorodny wygląd, a podczas pory suchej pojawiały się sztywne kielichy w brązowo-kremowe cętki, które w ogóle nie wyglądały na organiczne. Z dotyku i wyglądu przypominały raczej celuloidowe kwiaty produkowane w fabryce. Mogłoby się zdawać, że pnącze jest zmyślnym automatem biegle naśladowującym procesy życiowe. Jego woń, aksamitna mikstura aromatycznych tonów, również przypominała raczej nowoczesną perfumierię niż dzieło natury. Nasuwało się przypuszczenie, że ewolucja ukształtowała te pnącza w taki sposób, by przyciągały ludzkie nosy, a ich pyłek przenosili ludzie, nie owady. Małe, zielone pączki kwiatów pojawiały się właśnie w tym miesiącu, gdy pogoda była upalna i bezwietrzna.

Gwynn dopalił papierosa, wrócił do środka i usiadł za biurkiem, na którym położył

pakunek. Zdjął papier, odsłaniając oprawioną w karton akwafortę. Nazywała się *Rozmowa sfinksa z bazyliżkiem* i była oznaczona jako piętnasta z pięćdziesięciu odbitek. Sfinks miał tylną część ciała i przednie nogi lwa, skrzydła orła, muskularny, nagi kobiecy tors oraz ponętą twarz. Mina kobiety wyrażała dumę, subtelność, wesołość, wtajemniczenie, dociekliwość, groźbę, beztroski erotyzm oraz tysiąc innych interesujących rzeczy, zasugerowanych z niezwykłym artystem. Bazyliżek był ozdobionym grzebieniem wężem, przedstawionym z profilu. Długie wąskie ciało miał zwinięte w sploty, a łuskowate wargi rozciągał w złowrogim uśmiechu. Odbitkę wykonano w czerni i czerwieni. Bazyliżek był w większej części czarny, sfinks zaś przeważnie czerwony. Włosy kobiety wyglądały jak strumień wina. Spotkanie potworów odbywało się w skondensowanej wersji Ashamoil. Na rycinie wyobrażono wszystkie siedem mostów, a także Pasaż Wioli, Schody Żurawie oraz kilka innych znanych Gwynnowi miejsc. Większość budynków ozdobiły przypominające graffiti fragmenty map przedstawiających zarówno Ziemię, jak i niebo. Bazyliżek leżał na ziemi i unosił głowę ku sfinksowi, który dominował nad górną częścią ryciny, siedząc na szczycie trapezowego budynku, którego Gwynn nie znał. Potwór żeński i potwór męski. Wbrew tytułowi, nic nie wskazywało na to, by ze sobą rozmawiały. Być może miała to być ironia: spojrzenie bazyliżka obróciłoby każdego rozmówcę w kamień, sfinksy zaś słynęły z tego, że zadawały zagadki, których nikt nie mógł słuchać bezpiecznie. Co więcej, złe oko bazyliżka było okiem pawiego ogona, a pośrodku ryciny widniały charakterystyczne, wyszywane w pawie pióra poły ulubionego płaszcza Gwynna, znikające za zakrętem schodów.

Piękny, kaligraficzny podpis głosił, że artystka nazywa się Beth Constanzin. Właściciel galerii nie wiedział jak się z nią skontaktować. Powiedział Gwynnowi, że przyniosła tylko tę jedną odbitkę, i dodał, że jak dotąd nie okryła się sławą. Gwynn kupił rycinę. Choć fakt, że to jego płaszcz przyciągnął uwagę artystki, sam w sobie znaczył bardzo niewiele, zaintrygowała go możliwość, że kryje się w tym zaproszenie albo może wyzwanie. Jego uwagi nie umknęła widoczna w twarzy sfinksa nuta drwiny. Cała rycina wydawała się zagadką albo żartem skierowanym pod jego adresem. Co jednak kierowało artystką? Jeśli chciała się z nim skontaktować, nietrudno było go znaleźć. Z braku lepszego wyjaśnienia powiedział sobie, że w naturze sfinksa leży zagadkowość.

Czuł się zmuszony odnaleźć Beth Constanzin. Miał ochotę zapytać właściciela galerii, czy sfinks na obrazie ma jej twarz, ale nie potrafił sformułować tego pytania tak, żeby nie zabrzmiało głupio. Zaczął wypatrywać oblicza sfinksa na ulicach i w barach. Sprawdzał też inne galerie, ale nie znalazł żadnych jej prac. Spróbował również zlokalizować trapezowy

budynek. Na rycinie znajdował się on na samych Schodach Żurawich, ale w rzeczywistości nie było tam podobnego gmachu. Przez kilka kolejnych dni poświęcał większość wolnego czasu na szukanie go po mieście, nie odniósł jednak sukcesu. Rzecz jasna, artystka mogła po prostu wymyślić budynek, gdyby jednak nie miał on żadnego odpowiednika w rzeczywistości, rycina nie byłaby porządną zagadką. Zostałoby mu tylko żmudne, lecz stosunkowo proste zadanie odnalezienia kobiety o twarzy sfinksa. Gwynn długo wpatrywał się w obraz, poszukując innych znaków, nie znalazł jednak nic. Tak się złożyło, że potem miał bardzo dużo roboty. W ciągu następnych tygodni wracał do domu późno, wstawał wcześniej i wyruszał na długie wypadki w dół i w górę rzeki. Gdy znowu miał czas na szukanie budynku, przekonał się, że utracił zainteresowanie. Odpowiednia chwila najwyraźniej już minęła. Intensywna woń perfum wypełniła jego pokój, a potem się rozproszyła, gdy kwiaty zwiędły. Minęła połowa pory suchej. Od czasu do czasu Gwynn wyjmował rycinę, by się jej przyjrzeć, ale zawsze owijał ją z powrotem w papier. Nawet nie przyszło mu na myśl, by ją zawiesić na ścianie.



# CZTERY

Skamander miał źródła w górach położonych pośrodku Płaskowyżu Teleute i dopływał do miasta Musenda, położonego na jego południowo-zachodniej krawędzi, gdzie spadał potężną kaskadą do morza. Na przeważającej części swej długości rzeka toczyła wody powoli, niosąc ogromne ilości łu, który osadzał się na błotnistych brzegach. Przystojnym księciem rzeki był umiłowany przez ludzi flaming, a jej straszliwym królem krokodyl. Pierwszy władał na górze, drugi na dole, pomiędzy nimi zaś pływali w łodziach ludzie.

Ashamoil zbudowano przy prostym odcinku rzeki, pośród tropikalnych wzgórz położonych niemal dokładnie w połowie drogi między górami a kataraktą Musendy. Miasto zajmowało około dwudziestu mil długości doliny. Jego górne dzielnice, położone w powietrznym królestwie różowych flamingów, należały do bogaczy. Wypełniały je rezydencje o marmurowych, zdobionych mozaikami murach oraz wieżach zwieńczonych kopułami z barwionego szkła. Otaczały je rozległe parkowe ogrody, a w taflach jezior odbijały się łabędzie, sztuczne wyspy oraz łodzie wycieczkowe. Niżej jednak miasto pogrążało się stopniowo w bagnie upału, brudu, hałasu i smrodu: paszczy krokodyla. Obok głównego nabrzeża na południowym brzegu znajdowało się stare, kamienne molo, na którym składowano wszelkiego rodzaju odpadki - od popękanych, zardzewiałych śrub i rur kotłowych aż po śmieci pochodzące z gospodarstw domowych. Śmieciarze zbierali je w całym mieście i sprzedawali wodnym cyganom, ci zaś zabierali gdzieś część z nich w jakimś tajemniczym celu, resztę zaś zostawiali na molo, gdzie gniła, dopóki ktoś nie wrzucił jej do wody, by zrobić miejsce dla nowych odpadków. Na wschód i zachód od nabrzeży zbudowano mnóstwo walcowni i odlewni. Z ich kominów nieustannie były kłęby czarnego dymu,

spowijające całunem niżej położoną część miasta. Żeby je rozproszyć, potrzebny był tajfun. Na żółtym nocnym niebie trudno było wypatrzeć księżyc, a gwiazdy i planety nigdy nie były widoczne. Gdy Raule dopadała szczególnie silna tęsknota za pustynnymi gwiazdami, kobieta dosiadała szpitalnego muła i wjeżdżała na górę, ponad obłoki smogu, by znowu ujrzeć znajome gwiazdozbiory. Stara lornetka pozwalała jej lepiej widzieć słabo świecące gwiazdy oraz pokrytą plamami powierzchnię księżyca.

Gdy nadciągał silniejszy wiatr, z ogrodów nadlatywały liście i kwiaty, czasami też ktoś skakał z gaju palm, porastającego szczyt jakiegoś malowniczego urwiska, wprost do rzeki albo na jeden z siedmiu mostów.

Biednym pod jednym względem powodziło się lepiej niż bogatym: jeśli chcieli skoczyć, nie mieli daleko. Podklasa pracująca gnieździła się w setkach ciasnych zaułków położonych za zbudowanymi nad rzeką fabrykami. Limewood stanowiło typowy przykład takiego przeludnionego labiryntu, pełnego nędzy i nieprawości. Z twarzy spotkanych tam ludzi można było wyczytać strach, okrucieństwo, spryt, obłęd lub rozdzierający serce smutek, ale wszystkie bez wyjątku wyrażały głód. Co rano na ulicach walały się trupy tych, którzy umarli nocą: starych i chorych, których rodziny wyгнаły z domów, niechciany niemowląt oraz zamordowanych. Ludzi zabijano tu bardzo często, ale kamienice i baraki były tak przepełnione, że tłok wcale się od tego nie zmniejszał. Raule widziała już gorsze miejsca, ale tylko w samym apogeum wojny.

Szpital parafialny był wąskim, piętrowym budynkiem wciśniętym między tartak i fabrykę mydła. W zamian za minimalne stypendium i małe, smętne mieszkanie w budynku Raule robiła co tylko w jej mocy, by pomóc niedożywionym, chorym i rannym. Tłok, w połączeniu z tropikalnym klimatem, sprzyjał szerzeniu się chorób i infekcji. Kościół oddelegował do szpitala wyszkolone zakonnice, które pełniły funkcje pielęgniarek, oraz nowicjuszek, zajmujące się sprzątnięciem i gotowaniem. Czasami to wystarczało, a w innych przypadkach nie i wtedy Raule musiała sama zmieniać bandaż, opróżniać baseny i szorować podłogi. Jej doświadczenie w opatrywaniu ran okazało się bardzo użyteczne, gdyż wiele dzieci odnosiło obrażenia podczas pracy w fabryce, a dla starszej młodzieży walki na noże były nie tyle rozrywką, ile stylem życia, a w wielu przypadkach również śmierci.

Poza Raule jedynym stałym pracownikiem szpitala był kapłan zaspokajający duchowe potrzeby pacjentów. Ów zaniedbany mężczyzna, powszechnie znany ze skłonności do oddawania się pijaństwu i lubieżności, z gorączkową pasją opowiadał pacjentom o Bogu, a gdy czuwał przy umierających, otaczała go aura nie tyle świętości, ile chorobliwej fascynacji.

Raule do pewnego stopnia zasymilowała się w Limewood. Poznała wiele

miejscowych rodzin i wkrótce dowiedziała się, że liczbie pracujących biedaków dorównuje - lub nawet ją przewyższa - liczba niezdolnych do żadnej pracy szaleńców, upośledzonych umysłowo, żyjących w nędzy starców oraz osieroconych albo porzuconych dzieci. Wszyscy oni egzystowali w slumsach jak brud w szczelinach podłogi. Widmo jej sumienia - ten dziwny, czysto intelektualny, wyprany z emocji narząd, który niczym tkanka bliznowata zappełnił pustkę po oryginalnym sumieniu, utraconym przez nią podczas wojny - nie budziło w niej współczucia dla cierpiącej ludzkości, czuła jednak czysto estetyczny niesmak na widok nędzy i deptania ludzkiej godności. To właśnie sprawiło, że znacznie ściślej przestrzegała obecnie zasad uczciwego życia, których nauczyła się przed wojną. W końcu nie trzeba było współczuć, by zachowywać się jak człowiek cywilizowany. Raule sumiennie grała rolę, którą sobie wybrała, i w rezultacie zdobyła opinię nie tylko dobrego lekarza, lecz również porządnego człowieka. Jej zainteresowanie martwymi płodami nikomu nie przeszkadzało. W innym miejscu ludzie mogliby spoglądać na to z niechęcią, ale w Limewood uważano ją jedynie za nieszkodliwą ekscentryczkę.

Wszystko zaczęło się od narodzin dziewczynki z kończynami przypominającymi płetwy. Raule widywała już przedtem podobne przypadki, zarówno u ludzi, jak i u zwierząt, ale wielka liczba ludności Limewood pozwoliła jej zaobserwować znacznie więcej tego typu wybryków natury, nawet jeśli sytuacji nie pogarszały szczególne warunki panujące w dzielnicy. Wzbudziło to jej ciekawość. Miejscowym położnym zlecano pozbywanie się trupów dzieci, które z reguły zabijano, jeśli nie umarły z przyczyn naturalnych. Raule skontaktowała się z tymi kobietami i dowiedziała się, że producenci pomyj dla świń płacą pięć pensów za funt ochłapów. Ogłosiła, że jest gotowa dać dziesięć i wkrótce wszystkie urodzone w dzielnicy potworki zawijano w szmaty i przynoszono pod drzwi jej gabinetu.

Na początku, gdy czasami spotykała się jeszcze z Gwynnem przy kolacji, wyrażał zaniepokojenie jej sytuacją i sugerował, że w innym miejscu mogłaby mieć więcej szczęścia. Być może rzeczywiście tak było, ale prawda wyglądała tak, że Raule miała już dość podróży. Co więcej, nawet jeśli jej bardziej ambitne marzenia spełzły na niczym, podjęła na nowo praktykę i czuła się usatysfakcjonowana. Nie chciała przyjąć od niego pieniędzy.

Raule zaczęła obchód sal, jak zawsze przed położeniem się spać, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło łomotanie do drzwi. Siostra z nocnej zmiany, starsza kobieta, na której spokoju i umiejętnościach Raule nauczyła się polegać, wpadła z pytającą miną do sali.

- W porządku, zajmę się tym - uspokoiła ją Raule. - Wiem, kto tak puka. Skończysz obchód za mnie?

Siostra skinęła głową.

- Oczywiście. Uważaj na siebie.

Najwyraźniej ona również rozpoznała charakterystyczne, natarczywe pukanie.

- Nie martw się. Nic mi nie będzie - zapewniła Raule, spoglądając przez ramię, i wyszła na korytarz.

Podeszła szybkim krokiem do wejścia, zdjęła klucze z haka i otworzyła frontowe drzwi szpitala, które dopiero przed półgodziną zamknęła na noc. Pod drzwiami stało dwóch półnagich uliczników. Obaj ciężko sapali.

- Będzie walka na Sadzie - wydyszał jeden z nich. - Tym razem to Bellor Vargey i Scarletino Quai. Obaj strasznie chcą się pozarzynać. Będziesz potrzebna.

Po paru minutach Raule jechała już zaprzężonym w muła ambulansiem przez kręte, rozżarzone od upału, duszne uliczki Limewood. W niektórych miejscach wyłożono je czerwoną cegłą, w innych zaś w ogóle nie miały utwardzonej nawierzchni. Chłopcy siedzieli na koźle obok niej. Mieli do pokonania tylko milę, ale tłumy robotników zmierzających na nocną zmianę uniemożliwiały szybką jazdę. Minał kwadrans, nim Raule zatrzymała wóz na małym, krytym cegłą placu znanym jako Sad (miejskowa historia mówiła, że w czasach dziadków dziadków obecnych mieszkańców faktycznie rosły tu drzewa pomarańczowe i limonowe). Wciśnięty w zaplecze wysokich kamienic przy Świetlistej barwny pas przebiegał przez dzielnicę nędzy niczym imitacja złotej nici przeciągnięta przez worek. Miejskowe dzieciaki używały placu jako pola do pojedynków.

Gdy Raule przybyła na miejsce, nadal trwały przygotowania. Po dwóch stronach placu zgromadziły się tłumy młodzieńców w kolorowych koszulach i obcisłych spodniach. Większość była boso. Wszyscy mieli noże albo pałki. Na jednym końcu stali Esplanaderzy, znaczący swoje terytorium czerwonymi papierowymi lampami. Zielone lampy na drugim końcu były własnością Grupy z Limewood. Dzieciaki, które nie należały do żadnego z tych gangów, stały między nimi, tworząc coś w rodzaju buforu.

Na środku placu krążyło wokół siebie dwóch nastolatków uzbrojonych w długie noże. Nie przybrali jeszcze pozycji bojowej. Stali dumnie wyprostowani i obracali noże w dłoniach, popisując się zręcznością. Raule poznała Bellora Vargeya z Grupy z Limewood oraz Scarletina Quai z Esplanaderów. Oba gangi były tradycyjnymi rywalami.

Raule odniosła wrażenie, że Esplanaderzy są wyjątkowo podenerwowani i skłonni w każdej chwili eksplodować przemocą. Byli najgorszymi bandytami ze wszystkich przybrzeżnych gangów. Specjalizowali się w porywaniu młodych dziewczynek i sprzedawaniu ich ciał w zaułkach oraz piwnicach, zajmowali się wyjątkowo brutalnym rekiem na szeroką skalę, a do tego nie brzydili się podpaleniami. Operacje Grupy z

Limewood były znacznie mniej ambitne. Szczyt jej możliwości stanowiły zwykłe napady i włamania.

Młodzieńcy po obu stronach placu byli coraz bardziej podekscytowani. Wykrzykiwali obelżywe słowa, obracali w dłoniach noże i pałki, przyjmowali teatralnie agresywne pozy. Nie robili tego wyłącznie na użytek przeciwnika, lecz również obserwujących ich z okien dziewczyn, a zwłaszcza kilkunastu jeźdźców, którzy stali obok neutralnych gapiów po tej samej stronie placu, co Raule. Wszyscy byli pięknie wystrojeni i uzbrojeni po zęby. Pociągali trunki ze zdobnych manierek, palili tytoń i joss, i rozmawiali ze sobą swobodnie. To byli kawalerowie ze straży domowej, którzy przyszli obejrzyć widowisko.

Na Sadzie mogli zobaczyć walkę, która nie była ustawiona ani pozorowana. Mogli też wypatrywać potencjalnych rekrutów. Nie było pałkarza, który nie marzyłby o tym, że go wybiorą. Choć służba w niższych szarżach straży wielkich domów często kończyła się śmiercią lub kalectwem, ryzyko w fabrykach i odlewniach wcale nie było mniejsze, a za oferowane tam pensje nie można by kupić nawet setnej części luksusów, jakimi popisywali się kawalerowie. Można by całkiem serio postawić tezę, że chłopcy próbujący przyciągnąć ich uwagę wykazywali się wyjątkową inteligencją.

Jednym z jeźdźców był Gwynn. Siedział na pięknym karym koniu. W Ashamoil sprzyjało mu szczęście. Kilka dni po przybyciu do miasta spotkał przypadkiem mężczyznę zwanego Marriottem, swego rodaka i dawnego towarzysza. Marriott pracował dla granda z południowego brzegu, znanego w całym mieście mężczyzny imieniem Elm. Prowadził on wiele różnych interesów, ale najważniejszym był handel niewolnikami. Ciągąca się bez końca wojna w jednym z małych kraików położonych w dżunglach nad brzegami Skamandra, niezbyt daleko od Ashamoil, zapewniała nieprzerwany napływ pokonanych i pojmanych na miejskie targi niewolników. Handel niewolnikami był tu legalny, ale to nie czyniło go bezpiecznym. Elm potrzebował szybkich, godnych zaufania strzelców i dzięki rekomendacji Marriotta Gwynn został pracownikiem należącej do granda firmy, Towarzystwa Rogowego Wachlarza. Krążące po ulicach wieści pozwalały Raule śledzić karierę Gwynna. Wiedziała, że kilka kolejnych strzelanin przerzedziło szeregi ludzi Elma, umożliwiając jej dawnemu towarzyszowi szybki awans. Gwynn był teraz starszym kawalerem, jednym z zaufanych ludzi Elma.

Raule nie potrafiła spoglądać na to bezstronnie. Gwynn okazał się niewybredny w wyborze pana, któremu służył, i z tego powodu stracił w jej oczach. Choć nigdy nie wyraziła dezaprobaty otwarcie, nie próbowała też jej ukrywać. Widywali się coraz rzadziej, aż wreszcie w ogóle zaprzestali kontaktów. Obecnie spotykali się tylko przypadkowo. Gwynn

nawiązał jednak przyjaźń - najwyraźniej opartą na wzajemnym antagonizmie - z dziwnym kapłanem pełniącym służbę w szpitalu. Raule zbywała owo osobliwe koleżeństwo wzruszeniem ramion. Trafił swój na swego.

Gdy tylko Gwynn usłyszał klekot kół jej wozu, rozejrzał się wokół. Wyglądał nieźle i najwyraźniej był w dobrym nastroju. Rozpiął płaszcz ze zdobnego czarno-perłowego adamaszku, by odsłonić wyszywaną srebrną nicią kamizelkę oraz elegancki krawat, długi, biały i obsyty koronką. Noszone przez bandytów bucioro o stalowych czubkach kontrastowały z dystygowaną resztą. Jak zwykle miał u pasa dwa rewolwery oraz Gol'achab. Ozdobił jej pochwę nefrytem i kością słoniową. Na wyjątkowo wielkim rumaku obok niego siedział Marriott, mężczyzna o bladej twarzy i ponurej minie. Jego wielka głowa majaczyła niczym księżyc w pełni nad gęstym skupiskiem pozłaczanych koronek u szyi. Kiedy Raule zatrzymała muła, Marriott popatrzył na nią bez wyrazu, Gwynn zaś pokłonił się w siodle i życzył jej uprzejmym tonem dobrego wieczoru. Nadal odnosił się do niej serdecznie i Raule lekko bawiła myśl, że może się obawiać, że pewnego dnia będzie potrzebował jej usług. W tej chwili jednak nie było jej do śmiechu.

- Dla niektórych pewnie będzie dobry - odparła, łypiąc na niego ze złością. Zeszła z kozła, ściskając torbę pod pachą i przeszła przez tłum, podążając za dwoma ulicznikami, którzy torowali jej drogę, wołając: - Przejście dla chirurga!

Po drodze poinformowali ją, że poszło o zniewagę i o dziewczynę. Pałkarz musiał być gotowy zginąć dla obu tych powodów.

Gdy Raule dotarła do pierwszego szeregu, gapię wreszcie się uspokoili. Obustronne popisy trwały już wystarczająco długo. Po chwili obaj młodzieńcy pochylili się nisko i ruszyli ku sobie. Czas popisów się skończył, nadeszła pora szybkiej, brutalnej walki. Oba gangi skandowały imię swojego faworyta. Dziewczyny wykrzykiwały słowa mające dodać walczącym odwagi i rzucały na plac płatki kwiatów oraz koperty zawierające zaproszenie dla zwycięzcy.

Walki na noże trwały z reguły krótko, ta jednak skończyła się wyjątkowo szybko. Po niespełna minucie Scarletino Quai przewrócił Bellora Vargeya i przydusił go do ziemi. Potem poruszył gwałtownie ręką i wszyscy usłyszeli krzyk bólu jego przeciwnika. Esplanaderzy wybuchli aplauzem, unosząc lampy nad głowy. Grupa z Limewood odpowiedziała chórem wściekłych przekleństw i gróźb.

Zwycięzca rozpostarł szeroko ręce, przyjmując uściski i gratulacje towarzyszy. Pokonany leżał na ziemi, ściskając się za żołądek. Raule podeszła do niego. Ranny przywitał ją przekleństwem i spróbował odepchnąć łokciem, ale zaraz znieruchomiał. Rana była

głęboka. Dwóch chłopaków z Grupy z Limewood przeniosło go na ambulans. Jeden z nich sprawiał wrażenie, że próbuje powstrzymać łzy.

- Nie wyżyje, prawda? - zapytał drugi.

- Zapewne nie - przyznała Raule. - Przykro mi.

Agonia mogła potrwać kilka dni, podczas których młodzieniec cierpiałby bez chwili wytchnienia. Zauważyła triumfalną minę zwycięzcy i uświadomiła sobie, że Scarletino Quai świetnie wie, że nie okazał przeciwnikowi litości, nie zabijając go natychmiast.

Chłopcy z Grupy z Limewood opuszczali już plac. Choć miotali gniewne słowa, byli zbyt przygnębieni, by myśleć o walce z upojonymi zwycięstwem Esplanaderami. Dzisiaj nie będzie bijatyki. Kawalerowie przekazywali sobie banknoty z rąk do rąk. Stawki najwyraźniej były wysokie. Raule zauważyła kącikiem oka, że Gwynn się uśmiecha. Pożałowała, że uratowała mu życie.

Wdrapała się z wysiłkiem na wóz i strzeliła z biczem. W drodze powrotnej ludzie schodzili jej z drogi, jakby była przewoźnikiem umarłych.

\*\*\*

Zadaniem wielebnego była opieka nad umierającymi. Wysłuchiwał spowiedzi, służył opieką duchową i udzielał ostatniego namaszczenia. W przypadku Bellora Vargeya zdążył już zrobić to ostatnie. Raule była świadkiem odprawionego pośpiesznie rytuału. Stan rannego pogorszył się fatalnie. Patrząc na niego, nie potrafiła powstrzymać myśli, że dzięki jej wysiłkom umierał trzy dni zamiast tylko jednego. Zerknęła na wielebnego, który siedział zgarbiony na stołku obok szpitalnego łóżka. Pozbawioną wyrazu twarz kapłana zlewał pot. Policzki miał nieogolone, rzadkie, siwe włosy przetłuszczone i rozczochrane, a oczy zaszkłone. Nikt nie mógłby pragnąć, by tak właśnie wyglądał ostatni człowiek, jakiego widział w życiu. Kogo pragnąłby ujrzyć Bellor Vargey? Dziewczynę, przyjaciela, Scarletina Quaia z pętlą na szyi? Z pewnością nie cudzoziemską lekarzkę odpowiedzialną za przedłużenie jego cierpień.

- Zostawię go tobie - powiedziała wielebnemu, który tylko skinął głową.

Kapłan usłyszał, że lekarka wyszła z sali. Wyprostował się na chwilę, żeby ulżyć zeszywniałym plecocom, po czym pochylił się znowu. Zaburczało mu w brzuchu. Było już po siódmej. Chciało mu się jeść i pić, ale w butelce zabrakło whisky, a w sali przebywała jedna z pobożnych sióstr, modląca się przy łóżkach. Nie mógł zejść ze stanowiska, kiedy na niego patrzyła.

- Troska o bliźnich pomoże ci dostać się do nieba, więc zatroszcz się o mnie i umrzyj szybko - wymamrotał, posługując się starożytnym językiem, na wypadek gdyby zakonnica miała dobry słuch.

Cierpienie wydelikacilo i uszlachetniło prostackie oblicze Bellora Vargeya. Będzie z niego przystojny trup.

Pociągnął za sztywny kołnierzyk, przeklinając zasady, które nakazywały mu nosić w tropikach trzyczęściowy wełniany garnitur wyposażony na dodatek w coś takiego. W dawnych czasach, gdy spędzał życie na wędrownościach, nosił białe szaty, które nie tylko od niepamiętnych czasów stanowiły wyróżnik świętych za życia, lecz również były najpraktyczniejszym ubiorem w gorącym klimacie. Jednakże nowoczesny Kościół pragnął, by pył pustkowi przeszedł do historii, i nie był zadowolony, gdy współczesny kler wnosił go do świątyń na odzianych w sandały stopach.

„Opłakuję cię stara lafiryndo, jaką był dawny Kościół, przepyszna kurtyzano, nad wyraz przekupna i obwieszona złotem! Gdyby w butelce została choć kropla, wypiłbym za ciebie, nawet jeśli twoim nowoczesnym biskupom, w których żyłach płynie rozwodniona krew, udało się zrobić z ciebie szacowną damę!”.

Tak zwracał się wielebny w myślach do dawnego Kościoła.

Dawno już minęły dni, gdy kapłan mógł się otwarcie pokazać z bukłakiem wina albo z kobietą, kardynał mógł prowadzić w swym pałacu kasyno, a papież płodzić z własną siostrą słodkie, tłuste bobaski. To właśnie współcześni myśliciele najdobitniej zapewniali, że życie religijne musi być nudne i skupiać się na wysiłkach osiągnięcia doskonałości rozumianej jako stan wolny od wszelkiej winy. Czystość stała się dla nich koroną duszy, zajęła miejsce, które dawniej przyznawano perfekcji. Niemal co dzień do listy zakazów dodawano nowy punkt. Wszystko, co pachniało pogańskimi praktykami wywodzącymi się z cudzoziemskich krain albo nosiło piętno czasów bezprawia, usuwano z religijnych rytuałów. Zaprzestano używania starożytnego języka, porzucono onejromancję, z niechęcią spoglądano na palenie kadzidła. Relikwie potępiono całkowicie, ponieważ kojarzyły się z bałwochwalstwem i cmentarzem. Wszystkie zamknięto gdzieś, gdzie nie widzieli ich wierni, albo przekazano muzeom. Anielskie zastępy wygnano z modlitewnika, na wszelki wypadek, ponieważ pismo sugerowało, że anioły wywołują kłopoty równie często, jak je rozwiązują. Co więcej, opisywano je jako dziwaczne istoty, zaprojektowane chyba specjalnie po to, by budziły swym wyglądem paniczny strach we współczesnych kongregacjach. Ekscentryczne życiorysy i dramatyczne zgony męczenników, pisma starożytnych mnichów z ich przywodzącym na myśl cieplarnię odorem namiętnego pożądania Boga, a nawet te fragmenty samych świętych ksiąg,



które nie były bezpieczne jak mleczny pudding albo suche jak piasek pustyni, schowano w tej samej szafie, w której kryły się szkielety awanturniczych mnichów-wojowników oraz rozpusztych papieży. Poza tą szafą religijne praktyki w coraz większym stopniu ograniczały się do kiermaszy dobroczynnych oraz herbatek z wikarym. Wielebny potępiał ten trend i dlatego wygłaszał w myślach elegię na śmierć dawnej burdelmamy i oskarżał nową, pruderyjną matronę.

Opłakiwał też wszystko, co sam utracił. Rzecz jasna, zawsze wracał w myślach do dziewcząt, kwiatów pustyni. Zanurzał się we wspomnieniach o kaskadach ich włosów, pobrzękujących bransoletach na kostkach i pomalowanych henną piersiach, o ich podstępnych sztuczkach i delikatnych rozkoszach. Owo wspomnienie nie tylko było przyjemne na słodko-gorzki sposób, lecz również pomagało mu zapomnieć o drugiej, całkowicie gorzkiej, pustce w jego życiu.

Bellor Vargey poruszył się. Umierający czasem to robili, jakby opuszczający ciało duch gorąco pragnął po raz ostatni dać wyraz ziemskiej świadomości. Chłopak rozchylił powieki i oblizął wargi.

- Gdzie matka? - wymamrotał.

- W fabryce, Bellor - odparł wielebny.

- A co tam robi? - zapytał ze zdziwioną miną młodzieniec.

- Pracuje.

- Aha. W takim razie gdzie Jacope? Powinien tu być.

- Na pewno poszedł gdzieś narobić kłopotów - zaimprovizował wielebny. - Żeby uczcić twoją pamięć. Z pewnością pije gdzieś teraz za ciebie.

Bellor Vargey uśmiechnął się ironicznie.

- To podobne do mojego brata. Co za łachudra! Powinien tu przyjść, żeby się ze mną pożegnać. Ale on zawsze się wykręca. Opiekuj się Emilą i módl się do Boga, żeby ukarał Quaia, załatw skurwysyna raz na zawsze. Hej, ojczulku, zawsze chciałem umrzeć w łóżku, ale nie w ten sposób, kapujesz?

Jego usta znieruchomiały. Szkliste oczy pozostały otwarte, więc wielebny zamknął mu powieki. Potem wyjął z kieszeni na piersi buteleczkę, posmarował olejem czoło trupa i wyszeptał przepisane modlitwy za duszę zmarłego.

Co prawda, dusza wcale jeszcze nie opuściła ciała. Nie do końca. Tylko nieliczni rozumieli, jak wygląda śmierć. Koniec życia był równie tajemniczy jak jego początek. Nieostygłe zwłoki przypominały płód w macicy, były jak golem, ani w pełni żywe, ani martwe. Ciało, w którym zachodziły pośmiertne zmiany, nadal więziło duszę, w całości lub w

części, przez niemożliwy do przewidzenia okres. W dawnych czasach ostatnie namaszczenie uważano za rytuał mający przegnać duszę, nie tyle pomagający zmarłym dotrzeć do nieba, ile uchronić żyjących przed resztkami woli i pożądania, które mogły jeszcze przebywać w ciele, zagubione, półświadome i w związku z tym mogące wywołać kłopoty. Nikt nie lubił duchów ani chodzących trupów. Nowomodne modlitwy nie były jednak warte zbyt wiele. Były nędzną chałturą, resztkami z uczyty języka, dziełem kiepskich tłumaczy i jeszcze gorszych wierszokletów. Nic dziwnego, że w codziennych gazetach roilo się od wiadomości o duchach. Fragmenty dusz z pewnością zalegały w mieście jak brudne ubrania po kątach i pod łózkami. Dlatego wielebny zawsze dodawał na końcu swych modlitw staromodną formułę:

- Odejdź, duszo Bellora Vargeya, i nie kłopotuj już więcej tej Ziemi. Twe ciało przypadnie robakom, albowiem mają do niego prawo. Nie zatrzymuj się w nim, gdyż nie należy już do ciebie. Jeśli to uczynisz, poczujesz, jak będą cię gryzły. Jeśli będziesz zwlekać, dotknie cię straszliwy ból zgnilizny we wszystkich jego częściach. Nie ma tu już nic dla ciebie. Zmykaj w zaświaty i nie zostawiaj tu żadnej cząstki siebie.

Nikt inny na razie nie umierał, wielebny powiedział więc zakonnicy, że z sali trzeba zabrać trupa, a potem opuścił szpital, zmierzając nad rzekę, do Żółtego Domu, w którym mieszkała Calila. Piękna, gładkoskóra Calila. Miała piętnaście lat, lecz osiągnęła już mistrzostwo w sztuce miłosnej. Zawsze witała go z bezbłędną imitacją zachwyty. Bardzo gorąco pragnął znowu stać się młody, by móc uwierzyć, że stara się go oczarować nie tylko dla pieniędzy. Przy niej mógł się całkowicie zapomnieć. Jej drobne, delikatne, cudownie kształtne ciało było krynicą wytchnienia.

Gdy było już po wszystkim i leżał bez ruchu, tuląc dziewczynę - za tę dodatkową przyjemność również musiał zapłacić - zalał się nagle łzami. Jestem wstrętny, pomyślał, kiedy go zapytała, dlaczego płacze. Przez chwilę wyobrażał sobie, że ma wystarczająco dużo pieniędzy, by ją wykupić i obdarzyć wolnością. Prawda wyglądała jednak tak, że to było ostatnie, co by zrobił.

\*\*\*

Raule wybrała się zawiadomić panią Vargey o śmierci starszego syna. Mrok jeszcze nie zapadł, pojechała więc do mieszkania Vargeyów na mule. Po drodze minęła ulicznego latarnika niosącego na ramieniu pręt do zapalania latarń. Jego podkute gwoździemi buty głośno stukwały o nawierzchnię. W Limewood nie miał zbyt wiele roboty. Tylko na nielicznych rogach ulic stały gazowe latarnie. Budynek miały tu pięć albo sześć pięter, a

uliczki były tak wąskie, że człowiek wychylający się przez okno mógł zająrzeć do mieszkania sąsiada z naprzeciwka. Spowijająca miasto luna nie docierała tu niemal wcale, a po zmierzchu na długich odcinkach ulic było ciemno, choć oko wykol. Tylko gdzieś mrok rozpraszał blask płonącej nafty albo świec. Raule nie wiedziała, o jakiej porze wróci, wzięła więc lampę naftową.

Mijając Sad, zauważyła garstkę chłopaków stojących wokół ognia płonącego w ustawionej pośrodku beczce. To nie była walka, tylko zwykłe spotkanie. Mimo to czuła się niekiedy dziwnie, przyglądając się im jako mieszkanka praworządnego świata. Ostrożna obserwacja mieszała się u niej z niezdrową nostalgią. Raule podejrzewała, że to się nigdy nie zmieni.

Vargeyowie mieszkali w szarej kamienicy z żelaznymi schodami biegnącymi na zewnątrz. Na ulicy przed wejściem było pełno klatek z kurami oraz skrzynek. Stał tam również magiel, a na kocach i workach leżało mnóstwo ludzi. Część z nich spała, inni czuwali. Niektórzy pozdrowili Raule, a kilku wyciągnęło do niej ręce.

Odwzajemniła pozdrowienia i wygrzebała z kieszeni kilka monet.

- Mieście oko na mojego muła - poprosiła, gdy palce zacisnęły się wokół pieniążków niczym pułapki na myszy. W szpary między ceglami frontowej ściany budynku wbite dwa metalowe pręty służące do przywiązywania zwierząt. Raule oplótła wodze wokół bliższego pręta.

- Niech się pani nie martwi. Jeśli trafi się jakiś złodziej, zabijemy go i zjemy - zapewnił jeden z chłopców.

- Dziękuję serdecznie - odparła Raule i ruszyła na trzecie piętro, przechodząc nad śpiącymi na schodach ludźmi. Drzwi na pomoście jak zwykle były otwarte. Dalej znajdował się pusty, cuchnący korytarz z wieloma drzwiami. Lekarka podeszła do przedostatnich.

Otworzyła je Emila, jedyna córka w rodzinie. Miała osiem lat, była wychudzona i już używała szminki oraz różu. Raule wiedziała, że dziewczynka chodzi do szkoły, gdy tylko jej matka znajduje pieniądze na cotygodniowe opłaty.

Mieszkanie pani Vargey i jej dzieci składało się tylko z jednej izby. Jacope, młodszy brat Bellora, stał oparty o ścianę, polerując zestaw mosiężnych kastetów. Miał nadąsaną minę, wydymał porośniętą rzadkim meszkiem wargę. Zerknął od niechcienia na Raule i wrócił do czyszczenia broni, trąc z zawziętością giemzą o metal. Pani Vargey płukała fasolę w drewnianej balii ustawionej pośrodku izby. Uniosła wzrok i jej wychudła twarz natychmiast przybrała tak smętny, zgorzkniały wyraz, że Raule omal nie odwróciła wzroku. Mogła przyjąć ją zawiadomić, że Bellor wrócił do zdrowia, ale albo jej twarz zdradziła prawdę, albo pani

Vargey odgadła ją instynktownie.

Kobieta ominęła Raule i wypadła na korytarz, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Lekarka czekała cierpliwie, Jacope cały czas poruszał giemzą, nie unosząc wzroku, a Emila bawiła się niebieskimi cekinami, ustawiając je w szeregi, kręgi i zygzaki. Wykonała z nich spirale, a potem sylwetkę ptaka. Raule pomyślała, że wszystkie dzieci są potworami i instynktownie o tym wiedzą. O ich nienormalnej naturze przypominali im dorośli, gdyż się od nich różniły, a dziecięce ciała nie pasowały do ich mieszkań ani narzędzi. Z pewnością właśnie dlatego dziewczynka bawiła się cekinami z tak wielką powagą i skupieniem. Próbowwała, ni mniej, ni więcej, wyczarować z ich barwnych linii świat, który spełniałby jej pragnienia i byłby posłuszny jej woli. Z drugiej strony, chłopak całym swym zachowaniem zaświadczał, że wie, iż istnieje tylko ten jeden świat, i że zabiłby go, gdyby tylko mógł.

Wyglądało na to, że pani Vargey nie wróci szybko, Raule poszła więc jej poszukać. Znalazła kobietę na dworze. Siedziała pod schodami, z rękami oplecionymi wokół kolan.

- Zawsze bardzo się bałam synów - oznajmiła pani Vargey głuchym głosem. - Bałam się Bellora i nadal się boję Jacopego.

- Ma pani też córkę - przypomniała jej Raule.

- Ona również nauczy się bać. Bellor zginął, bo był zbyt odważny. Kobiety giną, bo za bardzo się boją.

Pani Vargey złapała obrąbek spódnicy i zaczęła tłuc się pięściami w kościste kolana.

Raule nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

- Bardzo mi przykro. Ciało pani syna jest w szpitalu. Kościół pokryje koszty pogrzebu. Czy jest jeszcze coś, co mogę dla pani zrobić?

- Proszę mnie zabrać do szpitala i wyciąć mi macicę, pani doktor. To zatruty worek, który wydaje tylko zgniłe owoce. Czym jestem? - Pani Vargey cały czas tłukła się pięściami w kolana, zaciskając mocno powieki. - Jestem butelką cuchnących pomyj. Jestem piołunem. Jestem jabłkiem, w środku którego zrodził się robak! Piołunem! - krzyczała. Nagle chwyciła zębami ramię i ugryzła chude ciało.

- Niech ktoś mi pomoże! - zawołała Raule.

Dwaj mężczyźni wstali z bruku. Raule poleciła im przytrzymać panią Vargey, a potem wyjęła z torby laudanum i wlała jej do ust sporą dawkę.

Kobieta uspokoiła się niemal natychmiast. Po paru minutach spała już jak zabita. Raule dała mężczyznom po florenie i ostrożnie zanieśli kobietę na górę.

# PIĘĆ

Dziś był croal, więc przynajmniej nie musiał pić sam.

W Ashamoil dniom tygodnia nadano nazwy upamiętniające siedmiu sławnych zdrajców, czy raczej siedmiu zdrajców, którzy ongiś byli sławni, lecz dawno już o nich zapomniano. Kara, jaką im wymierzono, polegała na tym, że nie tylko ich stracono, lecz również nazwano ich imionami kolejne dni tygodnia, by przez ciągle powtarzanie utraciły znaczenie. Stało się dokładnie tak, jak pragnęli autorzy pomysłu. W dzisiejszych czasach nikt już nie pamiętał o siedmiu zdrajcach ani nie miał pojęcia, dlaczego dni tygodnia noszą dziwne nazwy: wale, hiver, croal, voil, obys, rabber i sorn.

W croale wielebny zawsze spotykał się z Gwynnem w bistrze Feniego przy Moście Więziennym.

Odsunął zakurzoną zasłonę z pomarańczowych, szklanych paciorków, która wisiała w drzwiach bistra. Jak zwykle w środku było bardzo niewiele ludzi: dwóch zawianych dziennikarzy opierających się o bar oraz siostra Feniego i jej przyjaciółki, trzynaście kobiet szyjących ubrania i stawiających tarota przy dżinie i krótkich cygarach. Kobiety siedziały przy największym stole. Gwynn zajął miejsce z tyłu. Grał ciche aubade na pianinie, które Feni kupił przed kilku laty, gdy ruch był większy i mógł sobie pozwolić na płacenie muzykom.

Wielebny położył pieniądze na barze.

- Pół flaszki „Czarnego Kordiału”, Feni.

- Kup całą, wyjdzie taniej - odparł barman.

To był ich stały rytuał. Trunek, który nie był kordialem, lecz tanią, mocną wódką z nieszpulek, miał kościelny rodowód. Jego recepturę stworzył przed z górą tysiącem lat mnich

pustelnik mieszkający w jaskini w głębi Płaskowyżu Teleute. Wielebny lubił ten napój, gdyż przywodził mu on na myśl śmiałą, pełną wigoru młodość jego religii. Niekiedy myślał sobie, że sam Bóg był wówczas młody. Pił „Czarny Kordiał” z chęcią również dlatego, że był piekielnie mocny.

- Ale ja chcę tylko połowę - oznajmił.

- A dlaczego? Za jakiś czas i tak zamówisz drugą.

- Czemu się ze mną sprzeczasz? Chcę kupić tylko pół flaszki. Jeśli potem wezmę drugie pół, zarobisz więcej.

- Jak sobie życzysz, wielebny.

Feni odkorkował z wyrozumiałą miną opróżnioną do połowy butelkę i postawił ją na barze.

Wielebny wziął ją i ruszył w stronę pianina, pociągając po drodze łyk.

- Ta melodia pasuje do baru pełnego kochanków, nie do tego miejsca - oznajmił.

- Czyżbyś cierpiał z powodów sercowych?

Gwynn nie przestawał grać. Miał rozmarzoną minę i półprzymknięte powieki.

- Z powodu duszy. Znowu zgrzeszyłem.

- Z zachwycającą Calilą?

- Tak, z tą dziewczką. Nie, to nie dziewczka, to cudowna dziewczyna. Ale one tak szybko się zużywają! Łapią francę, zachodzą w ciążę, umierają. Ach, ale póki jeszcze żyją... przysięgam, że ona jest samym życiem! Ostatniej nocy zgrzeszyłem z nią cztery razy. Cztery!

- Cztery razy? Trudno to nazwać grzechem. W twoim wieku to raczej zakrawa na cud. Mogę tylko mieć nadzieję, że moje noce również będą ogrzewać podobne grzechy, gdy już nadejdzie jesień mojego życia.

Wielebny prychnął lekceważąco.

- Jesień życia, dobre sobie! Tacy jak ty nie żyją tak długo.

- Czasami żyjemy. I bardzo nie lubimy, gdy ta sytuacja nas zaskakuje. Mam zamiar zostać w przyszłości starym rozpustnikiem. Moją rozrywką będzie wówczas sprowadzanie młodych dziewcząt na złą drogę, pojedynki z rozjuszonymi ojcami i braćmi oraz wygłaszanie błyskotliwych mów w sądzie. A jeśli dotrwam do zimy życia, postaram się, by zamknięto mnie w jakimś wygodnym więzieniu, i będę pisał pamiętniki.

- Mój synu, jeśli chcesz dożyć wieku, w którym będziesz mógł spisywać wspomnienia, powinieneś dać się zamknąć już teraz i zostać w więzieniu na stałe. Ale nie licz na to, że ktoś je przeczyta. Po twojej śmierci ludziom będzie wszystko jedno. Zapamiętaj to sobie.

Wielebny odchylił głowę i wlał trunek do gardła. Gwynn wzruszył ramionami, nie przestając grać.

- Marność, wszystko to marność i chwytanie się wiatru - czknął wielebny. Znalazł ubytek na ciemnym drewnie pianina i zaczął go powiększać. - Człowiek żyje tylko krótką chwilę, kilka lat, gdy czuje się ważny albo wydaje mu się, że powinien być ważny. A potem, na długo przed tym, nim poczuje się gotowy, nadchodzi kres. I sąd. Ziarno albo plewy, owce albo kozły, dobry albo zły. Nie ma drugiej szansy, nie ma odwołania. Ty, mój synu, oszukujesz sam siebie, okazując obojętność. Przystoi ci przerażenie, nie arogancja!

Gwynn uśmiechnął się, odrywając dłonie od klawiszy.

- To samo można powiedzieć o tobie, ojczu, zakładając, że sędzia, o ile rzeczywiście istnieje, podziela twoją opinię o tym, co jest grzechem.

Wielebny zachnął się ponownie. Był przekonany, że Gwynn zawsze się myli, gdy chodzi o kwestie moralne, a jeśli jego argumenty brzmią przekonująco, zawdzięcza to zręcznym sformułowaniom, nie treści.

- Czy nigdy się nie obawiasz, że totalnie się mylisz i czekają cię straszliwe cierpienia za to, że tak podle nadużywałeś swego intelektu?

Gwynn udał, że zastanawia się nad pytaniem.

- Nigdy - odparł po chwili, zamykając klapę pianina. - Szczerze mówiąc, wątpię, by podobało mi się w raju. Ty z pewnością czułbyś się tam fatalnie. Jeśli wierzyć waszej literaturze, byłbyś bardzo blisko piersi waszego boga, ale o innych piersiach mógłbyś jedynie pomarzyć...

Wzmianka o piersiach odwróciła uwagę wielebnego.

- Calila ma mały biust, ale bardzo ładny. Nie, wręcz doskonały. Przypomina mi Nessimę. Opowiadałem ci o niej?

- Skóra barwy polerowanej miedzi, ładne kostki, chętna i uzdolniona?

- Nie, to była Eriune. Śliczna dziewczyna. Ale Nessima, ech... była naprawdę niezwykła. Uśmiech jak słońce wstające nad wydmami. Biodra kołyszące się jak łódź na morskich falach. Brzuszek jak miękka poduszeczka. - W znużonych oczach wielebnego pojawił się błysk. - Jej oddech pachniał wonnościami i goździkami. Była fontanną pośród suszy. Winnymi gronami na krzewie. Piękne dziewczęta rodzą się na pustyni jak kwiaty po deszczu, ale podobnie jak kwiaty trzymają się krótko. Kiedy mają dwadzieścia pięć lat, wchodzi w wiek średni, a po trzydziestce zmieniają się w nienawidzące mężczyzn staruchy. Któż mógłby je o to winić? Miałbyśmy je, kiedy są młode, nieprawdaż?

- Tak, zdarza się, że to właśnie robimy.

- No cóż, mój synu... no cóż... kim byśmy byli bez naszych żalów? - Wielebny osuszył butelkę do końca. - Zgłodniałem. Zjedzmy coś.

Mieli zwyczaj dyskutować przy kolacji. Usiedli na stałych miejscach, przy stoliku ustawionym pod tylną ścianą. Feni był dobrym kucharzem i zawsze się starał dla dwóch jedynych klientów, którzy rzeczywiście przychodzili do jego lokalu, żeby jeść. Przygotował prawdziwą ucztę i ustawił ją teraz przed gośćmi: siekane kotlety z dorsza, szarańcze smażone w miodzie, pierożki z czerwonego ryżu, kiełbasa żółwiowa, wędzony w dymie torfowym węgorz faszerowany pastą z wieprzowiny, waza z miejscowymi jarzynami zalany ciemną wołową krwią i sosem śliwkowym oraz kosz pełen pasztecików z farszem sporządzonym według receptury stworzonej przez Feniego z jagnięcych trzustek, migdałów i bitej śmietany. Feni przyniósł wielebnemu drugą połowę butelki, a przed Gwynnem postawił srebrny imbryk i lakierowaną czarękę, kolejne pozostałości po dawnych, dobrych czasach. Gwynn sam nalał sobie herbaty. To była wędzona herbata o nazwie „Dziewięć Błogosławieństw”, przypominająca aromatem asfalt. Gwynn wyjął z kieszeni kamizelki owalną buteleczkę z mlecznego agatu i wlał do czaruki trzy krople płynu. Pociągnął łyk, a potem odstawił naczynie, żeby herbata przestygła. Wielebny wetknął serwetkę pod szyję, wziął sztucce, nadział pierożek na widelec i przypuścił pierwszy atak.

- Jesteś prawdziwym muzykiem i w związku z tym z pewnością stoisz po stronie Boga, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać.

Gwynn wybrał jedną szarańczę i delikatnie odgryzł jej głowę.

- Muzyka niewątpliwie należy do najwspanialszych rzeczy w życiu. Temu nie zamierzam przeczyć. Mój rozum nie dostrzega jednak powodu, by odwoływać się do boga celem wytłumaczenia jej istnienia.

- Rozum! - W ustach wielebnego to słowo brzmiało tak, jakby zostawiało na jego języku obrzydliwy posmak. - Udajesz, że mnie nie rozumiesz. Sam wielokrotnie przyznawałeś, że poznanie Boga, o jakim mówię, wykracza poza możliwości rozumu. Ja zawsze muszę bronić wiary, ty zaś jesteś wolny od tego typu ograniczeń, a mimo to uparcie odmawiasz korzystania z jakiegokolwiek *modus operandi*, poza tym jednym, który odpowiada ci najbardziej. Rozumem, metodą, którą może się posługiwać każdy zwykły, w miarę wykształcony człowiek. Jesteś jak dziecko, które boi się skosztować nowej potrawy!

- Ponieważ nigdy nie doświadczyłem wiary, obawiam się, że nie potrafię argumentować inaczej, jak odwołując się do rozumu - zauważył Gwynn.

Nigdy nie ograniczali dyskusji do tylko jednego tematu. Pozwalali, by wędrowała swobodnie, jak błędny rycerz z minionych czasów, wykonujący zadanie, które wytłumaczono



mu tylko pobieżnie albo wcale. Spierali się o kwestie dotyczące teologii i filozofii, duchowości i etyki. Wielebny miał jednak cel: pragnął zbawić duszę Gwynna. Poprząsiął, że to zrobi, ponieważ wierzył, że od tego zależy zbawienie jego własnej duszy.

Gwynn również miał cel. Pragnął przeciągnąć ich spór tak długo, jak to tylko możliwe. Intelktualna dysputa sprawiała mu przyjemność, bawiło go też obserwowanie, jak wielebny sam sobie przysparza cierpień. Trwało to już prawie trzy lata, a on jeszcze nie czuł się znudzony. Nadal bawiła go - a niekiedy niemal fascynowała - niezwykłość procesów myślowych kapłana.

Na początku ich długotrwałego sporu wielebny, niezłe wówczas zawiany, opowiedział Gwynnowi o nadnaturalnej istocie, która ongiś była obecna w jego życiu. Kochał ją, a ona kochała jego, ale potem utracił jej łaski. Cierpiał i pragnął się z nią pojednać. Mówił, że musi ofiarować jej dar, który stanie się zadośćuczynieniem.

- To musi być ludzka dusza. Nic mniej wartościowego nie wystarczy. W dodatku musi to być dusza, która zanurzyła się głęboko w rynsztoku grzechu. Nauczenie podobnej duszy prawego postępowania, nawrócenie jej i skłonienie do powrotu do źródła, zamiana ołowiu w złoto; tego rodzaju dobry uczynek byłby ofiarą godną Boga. Wiem to w głębi serca. Nie może być chwały bez poświęcenia. W tym przypadku poświęceniem będą moje wysiłki na rzecz twojej duszy. To jedyny sposób. Bariery, jakimi umysł otoczył duszę, muszą stać się tak kruche, by mogła się przez nie przebić łaska. Czy zechcesz mi w tym pomóc, szlachetny panie?

Tak oto wielebny błagał Gwynna, o którego przeszłości i obecnym życiu zdołał się już co nieco dowiedzieć. Z początku Gwynn mu odmówił.

- Ach, widzę, że się boisz. Proszę bardzo, pokaż, czy się odważysz! - zawołał wielebny.

- Kapłanie, pragniesz skazić moje serce zepsuciem, pogwałcić i zniszczyć moją zasadniczą naturę - nie ustępował Gwynn. - Mógłbym stwierdzić, że to nieprzyzwoite. Jest jeszcze kwestia tradycji. Pod pewnymi względami wciąż pozostaję wiernym synem swej ojczyzny. Z mlekiem matki wyssałem przekonanie, że religijne praktyki odciągają ludzi od obowiązków i przyjemności życia, rodzą w nich pragnienie niemożliwego, a w uganianiu się za niemożliwym nie można znaleźć honoru ani szczęścia, a jedynie dezorientację, rozczarowanie i obłąd. Choć minęło już sporo czasu, odkąd opuściłem rodzinne strony, teizm nadal mnie nie pociąga. Traciłbyś tylko czas.

- Twoja rasa w nic nie wierzy?

- Nasze klany oddają cześć przodkom i cenią dzieci. Nie widzimy powodu, by bić

pokłony przed jedną częścią kontinuum, którego innym elementem jesteśmy my sami.

Wielebny był już wówczas kompletnie pijany i bliski łez. Zaczął opowiadać o takich sprawach, jak Pojedyncza Nieskończoność, Najwyższa Moc i Niezrównana Pociecha. Gwynn mimo woli poczuł się zaniepokojony. Pozwolił sobie rozważać przez chwilę możliwość, że wszechpotężna moc rzeczywiście istnieje. W takim przypadku musiałyby się podporządkować jej woli. Nie zrobić tego byłoby naiwnością. Byłby zmuszony żyć ze świadomością, że absolutna prawda istnieje, a wszelkie alternatywne odpowiedzi są nie tylko złudzeniem, lecz wręcz kłamstwem. Przed ową wiedzą nie byłoby ucieczki. Jego umysł odrzucił z wysiłkiem tę możliwość. Gwynn zapytał z niedowierzaniem wielebnego, czy faktycznie pragnie, by tak wyglądała rzeczywistość.

Kapłan zapewnił, że pragnie tego bardziej niż cegokolwiek na świecie.

- Z całym szacunkiem, nie zrozumiałeś tego do końca, szlachetny panie - oznajmił.

Gwynnowi nasunęła się myśl, że wreszcie będzie miał o co walczyć, i w końcu zgodził się przyjąć wyzwanie kapłana. Po krótkim czasie zorientował się, że w tej bitwie nie grozi mu porażka, ale ciekawość skłoniła go do kontynuowania zabawy.

Choć w żaden sposób nie potrafił się zidentyfikować ze stanem kryzysu duchowego, pozostawało dlań oczywistością, że wielebny utracił coś bardzo cennego. W jakimś stopniu współczuł kapłanowi, który jako przeciwnik okazał się całkiem niegroźny.

- Czy kiedykolwiek twierdziłem, że jestem kimś innym niż zwykłym człowiekiem? - ciągnął Gwynn, sięgając po kawałek węgorka. - Nie sędzę. Jeśli jednak mówimy o rozumie, z pewnością potrafisz wyjaśnić, dlaczego twój bóg dał nam potężną władzę rozumowania, która nawet w najmniejszym stopniu nie pomaga nam go pojąć. To mi wygląda na przewrotność albo straszliwą niedbałość.

Wielebny obrzucił Gwynna spojrzeniem pełnym głębokiego smutku.

- Czego się boisz? Nie, nie kłopotz się odpowiedzią. To oczywiste. Obawiasz się prostoty. Lękasz się, że utracisz wszystkie komplikacje, które łechczą twą próżność. Uważasz, że zmieniłbyś się wówczas w kogoś, kim byś gardził. Ale gdy już to się stanie, nie będziesz czuł bólu. Wprost przeciwnie. Przekonasz się ze zdumieniem, że stałeś się znacznie silniejszy niż obecnie.

- Nie mam ambicji stać się kimś więcej niż teraz. Sam zdecyduj, czy to świadczy o próżności. Tak czy inaczej, jeśli chcesz mnie nawrócić drogą pokusy, będziesz musiał wykombinować coś atrakcyjniejszego niż szansa zostania prostaczkiem.

- Czym więc mógłbym cię skusić? - wymamrotał wielebny z ustami pełnymi kiełbasy.

- Czego pożądasz?

Gwynn uśmiechnął się tajemniczo.

- Choć twój cel zasługuje na wzgardę, podziwiam twą nieustępliwość.

- Ja również chwilami podziwiam siłę twojej dumy, szybko jednak przypominam sobie, że zrodziła się ze strachu. Uwierz mi, rodzic jest silniejszy od dziecka.

- Być może. Nie twierdzę, że nie znam strachu, podobnie jak nie pragnę uchodzić za niezwykłego. Wspominałeś jednak o muzyce. Powiedz to, co zamierzałeś mi rzec, zanim odwróciłem twoją uwagę.

- Jak sobie życzysz. Pismo mówi nam, że świat, a nawet cały wszechświat, jest przejawem obecności Boga dostrzegalnym dla fizycznych zmysłów, ciałem bożego ducha, stworzonym przezeń z określonych powodów. Rozumiesz?

- Zetknąłem się już z tą teorią.

- Ludzka muzyka jest głosem Boga przemawiającym za pośrednictwem człowieka. Kiedy grasz na pianinie, przebywasz bardzo blisko Boga. Gdybyś tylko o tym wiedział! Czy nie czujesz wówczas, jak twoje serce rośnie, jak przepelnia je radość?

- Z pewnością, ale to, co powiedziałeś, nie ma sensu. Muzyka sprawia mi przyjemność, to samo jednak można powiedzieć o uduszeniu przeciwnika albo przeszyciu go szablą. Jeśli ta pierwsza radość jest święta, czemu nie ta druga? - Gwynn przegryzł i przeżuł kolejną szarańczę. - Jeśli zagram fałszywą nutę, to czy z tego powodu głos boga będzie gadał od rzeczy albo kłamał? A jeśli szalenciec ucieknie z azylu, przyjdzie tu i zacznie walić w klawisze pięściami, produkując bezładny hałas, ale będzie przekonany, że gra piękną sonatę, to czy kakofonia sprawiająca ból wszystkim, którzy ją słyszą, będzie głosem twojego boga? Jeśli pogwizduję sobie wesoło po zarżnięciu jakiegoś skurczybyka, to czy twój bóg gwizdże poprzez mnie?

- I tak, i nie.

- I nie? W takim razie musiał zostawić w swym wszechświecie miejsce dla zjawisk, które zachodzą niezależnie od jego wszechobecnej woli. Śmiem twierdzić, że tak właśnie się dzieje, gdy ktoś ignoruje rozum.

- W gruncie rzeczy jestem przekonany, że nie potrafiłbyś podważyć prawidłowości rozumowania. Wyjaśnienie stworzono w czasach, gdy Kościół flirtował z klasyczną filozofią. O ile sobie przypominam, to było pod sam koniec tego okresu, zanim przestawił się na starożytny rytuały płodności.

- I?

- He?

- Jak brzmi to wyjaśnienie?

- To jedna z ezoterycznych tajemnic.
- Ale najwyraźniej masz ochotę mi ją zdradzić.
- Nic podobnego. Chciałem cię tylko zapewnić, że wyjaśnienie jest logiczne.
- Kłamiesz. Ale mniejsza z tym, mów dalej.

Wielebny pociągnął kolejny długi łyk „Czarnego Kordiału”.

- Nawet jeśli nie posiadamy ezoterycznej wiedzy, pozostajemy uzbrojeni w naszą wrażliwość, która w swym oryginalnym stanie jest nieomylna. Serce jest zdolne do bezbłędnego osądu. Czy będziemy pielęgnować tę umiejętność, zignorujemy ją i pozwolimy, by zwiędła, czy wreszcie świadomie ją wypaczymy i wykorzystamy w złym celu, to już nasz wybór. Dzięki tej naturalnej mądrości mogę ci odpowiedzieć, że gra szaleńca wyraża naturę Boga, a twoje hipotetyczne gwizdanie nie. To ty, mój synu, produkowałbyś bezsensowny hałas, podczas gdy szaleniec grałby muzykę. Nikt zdrowy na umyśle nie mógłby twierdzić inaczej.

- To ciekawe - stwierdził Gwynn. - Ponieważ jednak uważam, że jesteś szalony, nie mogę ci uwierzyć.

Wielebny machnął ręką i nagle, jak wyczarowany, pojawił się w niej papieros. Drugi ruch przywołał pudełko zapalek. Kapłan zapalił papierosa i sprawił, że zapalki zniknęły. Potem łypnął złowrogo na Gwynna.

- Przekonamy się, który z nas jest szalony, gdy nadejdzie Ostatni Dzień.

Gwynn zapalił auto-da-fé w bardziej konwencjonalny sposób. Przez parę minut siedzieli bez słowa, wydmuchując na siebie dym. Wielebny próbował wypalić spojrzeniem oczy Gwynna. Równie dobrze mógłby próbować zapalić wodę. Gwynn w końcu odwrócił wzrok, ale kapłan nawet w najmniejszym stopniu nie poczuł się zwycięzcą. Jego rozmówca sprawiał wrażenie, że po prostu przestało go interesować to, co dostrzegał w oczach wielebneho.

Kapłan zaczerpnął głęboko tchu, pociągnął długi łyk i ponownie rozpałił w sobie pasję.

- Sumienie, mój synu, jest boskim elementem w człowieku. Ty, na przykład, zabijasz ludzi, ale gdybyś miał silną wiarę, boski element w tobie rozpoznałby taką samą cząstkę w twym bliźnim i miłość powstrzymałaby twoją rękę. Gdybyś ośmielił się ujrzeć boży splendor w swych ofiarach, zrozumiałbyś, co właściwie profanujesz przemocą. Zapłakałbyś nad swoimi czynami, a potem nie grzeszyłbyś już więcej. W ten właśnie sposób rozprasza się złudzenia i neutralizuje truciznę, pozwalając miłości zatriumfować.

- Wątpię w to.

- Miłość jest najpotężniejsza - upierał się wielebny. - Nic nie jest od niej silniejsze ani bardziej święte. Dzięki miłości zblizamy się do Boga.

- A mimo to radowanie się towarzystwem ładnej dziewczyny zwiesz grzechem, choć to również swego rodzaju miłość - zauważył drwiącym tonem Gwynn.

- Żartujesz sobie ze mnie - mruknął wielebny, przełykając pasztecik. - Jeśli nie dostaniesz się do nieba, nie mów, że cię nie ostrzegałem. Jesteś przerażającą osobą.

- Zapłacę tę cenę - zgodził się Gwynn, nie okazując złości. - Być może właśnie dlatego ten świat tak bardzo mi odpowiada. Jeśli po śmierci przechodzimy do drugiego, chciałbym, żeby wyglądał tak samo jak nasz. Żeby było w nim cierpienie i cała reszta.

Wielebny prychnął pogardliwie.

- Może i wiesz coś o cierpieniu, ale zapewniam cię, że ja wiem więcej. Z radością bym się od niego uwolnił. Niestety, trzeba przetopić rudę, by uzyskać złoto. Cierpienie nas uszlachetnia.

- Nie wątpię, że cierpiałeś, ale czy możesz szczerze powiedzieć, że to cię uszlachetniło? Bez obrazy, ale...

Gwynn rozpostarł szeroko dłonie.

Wielebny wlał do gardła ostatnie krople „Czarnego Kordiału”.

- Zapewne nie wycierpiałem jeszcze wystarczająco wiele, choć z pewnością pomogłeś mi w wykonaniu normy.

- Robię, co mogę - odparł skromnie Gwynn.

Kapłan uśmiechnął się ze smutkiem i uniósł rękę, by przyciągnąć uwagę barmana.

- Następne pół, Feni!

Właściciel przyniósł mu otwartą butelkę. Gwynn ponownie napełnił czarkę herbatą, po raz kolejny dolewając do niej trzy krople z agatowej flaszki. Rozmówcy zajęli się piciem i na chwilę zapadła cisza. Potem Gwynn wypowiedział słowa, które sprawiły, że wielebny omal nie zerwał się z krzesła.

- Ojcze, być może bóg jednak istnieje.

Kapłan pomyślał, że z pewnością kryje się w tym jakiś haczyk. Jego zaskoczenie szybko się przerodziło w sceptycyzm. Czekał, by się dowiedzieć, co tym razem wymyślił jego oponent.

- Teoria ewolucji i teoria kreacji zgadzają się, że pierwszymi formami życia, które powstały, były rośliny, tak?

- Formami życia, tak - zgodził się ostrożnie wielebny.

- Tak jest. Korowód życia zaczyna się od roślin, które w ogóle nie są agresywne,

pomijając kilka mięsożernych gatunków. Potem jednak powstają zwierzęta, które z samej swej natury muszą poświęcać wszystkie wysiłki zabijaniu i zjadaniu roślin oraz siebie nawzajem. A na koniec nadchodzi człowiek, istota, która rani, kaleczy i zabija nie tylko po to, żeby przeżyć, lecz również wtedy, gdy sprawia jej to przyjemność, to znaczy często. Co prawda, posiada on silną skłonność ku cnocie, ale raz po raz udowadniał, że jego inklinacja do grzechu jest potężniejsza. Gazety ciągle się skarżą, że na świecie jest coraz więcej zła i przemocy. Tak jest w istocie. Potrafiłbym uwierzyć, że faktycznie stoi za tym jakiś bóg, który realizuje swój plan unicestwienia cichych. Mógłbym nawet uznać takiego boga za swego, choć nie chciałbym go spotkać w ciemnej ulicy.

Gwynn uśmiechnął się, zachwycony zręcznością własnego argumentu.

Wielebny nie próbował zbić twierdzeń przeciwnika bezpośrednio. Nie potrafił tego zrobić. Zamiast tego wygłosił własną tezę.

- To smutne, że sami z własnej woli się deprecjonujemy. Pozostajemy w tak silnym konflikcie z własnymi sercami, że gardzimy tym, czego pragną.

- To znaczy czym? - zapytał Gwynn z nadal bardzo zadowoloną miną.

Wielebny wziął głęboki oddech.

- Bogiem! Pragniemy Boga! Boga, o którym mówimy od trzech lat.

- O którym ty mówisz. Ja mówiłem o ludzkości.

Kapłan pociągnął za kołnierzyk.

- Ujmijmy to w słowa klarowne jak dzin. Czyż nie mówimy o wypełnieniu straszliwej otchłani, nienazwanej i bezimiennej tęsknoty w ludzkim sercu?

- Nic nie wiem o takiej otchłani - odparł obojętnie Gwynn.

Wielebny dźgnął powietrze widelcem. Na obrus skapnęły kropelki sosu.

- Dlatego, że zupełnie brak ci duchowej wrażliwości! Gdybyś potrafił ujrzeć pustkę w swej duszy, zakrzyknąłbyś z przerażenia, pragnąc, by coś ją wypełniło. Tylko nieskończoność Boga mogłaby dokonać tej sztuki. Musisz Mu się poddać albo popadniesz w obłąd!

- Aha, to znaczy, że twój bóg jest jak nieskończenie wielka balia pełna kitu. Teraz rozumiem, w jaki sposób udaje ci się sprzedać twój kult łatwowiernym. Twoje życie nie ma sensu? Sercu brakuje nadziei, miłości albo honoru? Wybierz sobie odpowiednie bóstwo, zastosuj zgodnie z instrukcją i zaczekaj, aż zaschnie. Gwarantowane wypełnienie wszelkich szczelin tanimi, lecz wytrzymałymi kłamstwami. Sprzedawane na pinty za niewielką cenę, jaką jest dusza.

- Szkoda, że nie żyjemy sto lat temu - mruknął wielebny, obrzucając go tęsknym spojrzeniem. - Kazałbym cię usmażyć na węglach za bluźnierstwo i wtedy bym wygrał.

- Myślałem, że wygrasz tylko wtedy, gdy zdołasz mnie nawrócić - zauważył Gwynn, przyglądając się z uwagą rozmówcy.

- Męczarnie oczyściłyby twoją duszę. Przed śmiercią pokochałbyś Boga, a on pobłogosławiłby mnie za moje wysiłki. W ten sposób bym wygrał.

- Naprawdę? No cóż, gdybyśmy toczyli tę rozmowę w mojej ojczyźnie, mógłbym cię zaszyć żywcem w brzuchu zdechłego mamuta za szerzenie trucizny, jaką jest religia. W gruncie rzeczy, to właśnie kazałoby mi uczynić prawo. Ponieważ jednak znaleźliśmy się w tolerancyjnym miejscu i czasie, nie ma sensu przechwalać się torturami, jakim moglibyśmy się poddać nawzajem w innych warunkach. Chyba że masz zamiar spróbować mnie zabić?

- Szukałem tylko pociechy w nostalgii - mruknął wielebny.

Gwynn zauważył, że przeciwnik zaczyna się męczyć. Ponownie podjął przerwany wątek.

- Nie wiem, czym jest to, czego twoim zdaniem mi brakuje, ty jednak przyjąłeś *a priori* założenie, że to bóg. Można by niemal powiedzieć, że ten twój bóg jest z samej definicji nieobecny. Nieobecny i niepoznawalny. Dlatego nie można w niego uwierzyć na żadnych sensownych zasadach.

Wielebnemu kręciło się już w głowie. Wymyślanie nowych argumentów sprawiało mu coraz więcej trudności. Oklapł na krześle, spoglądając mętym wzrokiem na adwersarza.

- Znowu robisz to samo. Dyskutujesz o wierze, odwołując się do rozumu. Tak się nie da. To jakbyś grał w krokieta, używając krokietów. Mogłoby się z pozoru wydawać, że to odpowiednie narzędzie, ale wcale tak nie jest. Dobra, dzisiaj przegram. Ale to znaczy, że ty również przegrasz.

- Nieprawda. Ty walczysz o przepustkę do rajów. Ja nie walczę o nic. Robię to tylko dla zabicia czasu.

- Czego właściwie tak bardzo nienawidzisz?

To zaskoczyło Gwynna.

- Nienawidzę? - zapytał ze śmiechem. - Nie nienawidzę niczego. Jak już mówiłem, lubię ten świat. A gdybym miał uwierzyć w boga, podziwiałbym go za to, że stworzył straszliwe bestie, trzęsienia ziemi i podłość, która jest w człowieku, w takim samym stopniu, w jakim darzyłbym go podziwem za udzielane z rzadka łaski. Nie kochałbym go jednak, a gdyby tego ode mnie żądał, poczułbym się rozczarowany, że ma tak dziecinne pragnienia.

Wielebny wziął się w garść i przypuścił ostatni atak.

- Starasz się umniejszyć Boga, ponieważ obawiasz się tego, kim może być. Gdybyś był Jego sprzymierzeńcem, musiałbyś się niczego nie bać... nie bałbyś się niczego musieć...

nie musiałbyś się niczego bać. - W końcu udało mu się wypowiedzieć te słowa we właściwej kolejności. Potarł brzuch i czknał. Obok jego podbródka przeleciał z bzyczeniem moskit.

- Gdybym miał jakiegokolwiek inklinacje ku religii, powiedziałbym, że ważne jest nie tyle to, czy wierzymy w boga, ile to, czy gdzieś jest jakiś bóg, który wierzy w nas - odparł Gwynn i zabił owada.

- Och, Calilo, Calilo - wymamrotał wielebny. - Bóg karze za niewierność, a ja jestem rozpustnym skurwysynem. Czy rzeczywiście pragniesz w przyszłości zdobyć tytuł lubieżnika, mój synu? Przyjrzyj mi się uważnie. Powinieneś się bać. Ja z pewnością się boję. Ale mimo to, mimo to... nadal odwiedzam panie, ponieważ są jak kwiaty kwitnące wokół wychodka, jakim jest moje serce. Przystawiłem oko do oszronionej, różowej szybki i ujrzałem wewnątrz poruszający się cień... Człowiek nie może żyć bez miłości, czyż nie tak?

- Och, z pewnością może. Ale nie jest w stanie pokochać tego, czego się boi - odpowiedział Gwynn. Upił łyk herbaty, czekając, czy jego adwersarz zbierze siły do kolejnego ataku. Kapłan jednak skierował całą swą uwagę na butelkę.

- Mam wrażenie, że zwyciężyłem w tej rundzie, ojcze.

Kapłan chrząknął, uznając swą porażkę.

Nocą wielebnego nawiedził koszmar, w którym niezwykle piękna kobieta ćwiartowała się na jego oczach. Wyjaśniła mu, że poszukuje źródła skazy, z powodu której cierpienie jest podstawową zasadą jej życia oraz całego wszechświata, ale owo zadanie przypomina szukanie igły w stogu siana. Wręczyła mu tomahawk i małą piłę, a potem zapytała, czy zechciałby jej pomóc.



# SZEŚĆ

Jej sceniczny pseudonim brzmiał Tareda Forever. Była gibką, dziewiętnastoletnią dziewczyną o spojrzeniu łani. Śpiewała rzewne piosenki w należącym do Elma klubie przy Świetlistej, gdzie była główną gwiazdą. Gdy tylko wyszła na scenę, w sukni bez rękawów uszytej ze złotej lub srebrnej lamy i w atlasowych albo siatkowych rękawiczkach, sięgających łokci szczupłych, śniadych kończyn, rozmowy w klubie cichły. Sama pisała dla siebie utwory o smutnych, kpiarskich melodiach oraz melodramatycznych tekstach. Jej geniusz polegał na tym, że potrafiła przekonująco opiewać zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne życie każdego zbira, utrzymanki, hazardzisty i przegranego kochanka.

Elm kierował drogą Taredy ku sławie, a teraz starannie dbał o jej wizerunek. Choć kupował dziewczynie wiele klejnotów i pięknych sukni, nie pozwalał jej nosić ich na scenie. Stroje, w których pokazywała się publicznie, były efektowne, ale tanie, miały w sobie tragizm wiążący się z imitacją luksusu. Jej głos zawsze sprawiał wrażenie będącego na granicy łez, ale te nigdy nie nadchodziły. Był instrumentem idealnie się nadającym do ciągłego opowiadania o zranionej dumie i tragicznym żalu.

Orkiestra zaczęła grać i Tareda uniosła głowę.

- Był księciem pecha - zaśpiewała. - Niszczył wszystko, czego się tknął, był największą ofiarą na ulicy, ale kiedyś i on przeżył miłość swego życia...

Marriott gapił się na nią tęsknie. Za tęsknie. Gwynn kopnął go dyskretnie w nogę. Jego towarzysz oderwał wzrok od Taredy i wlepił go w niebieską lampę witrażową stojącą na ich stoliku, przy którym Elm zabawiał rozmową głównego inspektora celnego oraz jego żonę. W charakterze pokazu siły, będącego jednocześnie gestem szacunku, ci kawalerowie z

Towarzystwa Rogowego Wachlarza, którzy potrafili trzymać gębę na kłódkę, towarzyszyli dziś szefowi.

Po obu stronach Elma siedzieli jego bliźniaczy ochroniarze o porośniętych kilkudniową szczecina czaszkach, Tack i Snapper. Nie pili alkoholu, tylko sok w małych szklaneczkach, które trzymali dziwnie delikatnie w wielkich łapskach. Towarzyszyli im również: żółtoskóry mężczyzna zwany Łokciem z uwagi na szczególne upodobanie do łamania tego elementu ludzkiej anatomii; Spiczasty Jasper, przystojny czarnoskóry człowiek o ustach pełnych spiłowanych zębów wysadzanych maleńkimi, błyszczącymi klejnocnikami; Sam Skręcacz o ośmiu i pół palcach nieustannie przyglądających długie wąsiska; a wreszcie Biscay Kuchmistrz, otyły, przypochlebny osobnik noszący pod wypomadowanym czubem włosów tajniki finansowej kuchni Rogowego Wachlarza. Gwynnowi nasunęła się myśl, że to paskudnie wyglądająca zgraja, przyznawał jednak, że wielu ludzi uznałoby go za równie odrażającego typu.

Elm był mężczyzną w średnim wieku wywodzącym się z nieokreślonej, śniadej rasy, szczupłym i siwowłosym. Kiedy mu na tym zależało, potrafił robić wrażenie arystokraty. Oczy miał ciemnobursztynowe i bystre jak górski potok. Nic nie umykało jego uwagi: lekkie drżenie dłoni, zaciśnięte szczęki, nazbyt ochocza lub fałszywie nonszalancka poza. Nie sposób było uwierzyć, że nie zauważył, iż Marriott pożąda Taredy. Ta sytuacja nie podobała się Gwynnowi nawet w najmniejszym stopniu, nie potrafił jednak przekonać Marriotta, by wybrał sobie mniej niebezpieczny obiekt westchnień.

Na głównym inspektorze i jego żonie ludzie ich gospodarza robili wrażenie zrelaksowanych, w rzeczywistości jednak wcale tak nie było. Od poprzedniego wieczoru liczba członków Rogowego Wachlarza zmniejszyła się o jedną osobę. Zanieśli mężczyznę zwanego Orleyem nad rzekę. Przywiązali go do krzesła, jego nogi zatopili w bloku betonu, a ręce zbili na krwawą miazgę. Rogowy Wachlarz od dawna toczył wojnę z Rodziną Pięciu Wiatrów i w końcu zdołał w niej zwyciężyć. Stało się to jednej nocy, wypełnionej starannie zaplanowanymi morderstwami. Przed masakrą umknęła jedynie garstka niższych rangą członków wrogiej organizacji, którzy przebywali aktualnie poza miastem. Orley miał jednak dług u pewnego człowieka z Pięciu Wiatrów i próbował go spłacić w ten sposób, że ukrył jego i jego rodzinę, zamierzając pomóc im w ucieczce z Ashamoil. Ostatniego dnia opuściła go jednak odwaga. Krzyczał przez knebel całą drogę na bagniste starorzecze, gdzie Tack i Snapper wyrzucili go za burtę. Gwynn cieszył się, że przebywał wówczas w sterówce i jego uwagę zaprzętały problemy wiążące się z nawigacją.

Egzekucja Orleya wytrąciła z równowagi wszystkich członków grupy. Nikt nie lubił,

gdy mu przypominano, że łatwo go zastąpić.

Elm regularnie spotykał się z głównym inspektorem i co drugą pełnię wręczał mu upominek w gotówce. Władze Ashamoil do większości spraw podchodziły bardzo liberalnie i nie wtrącały się w życie obywateli, ale na uchylanie się od płacenia podatków patrzyły bardzo niechętnie. Największy statek Elma, *Złoty Flaming*, przewoził otwarcie garstkę niewolników, by podtrzymać fasadę szacownej, licencjonowanej firmy zajmującej się handlem żywym towarem. Większą część towaru przemycano jednak do portu w ukrytej ładowni. Hojność Elma wobec głównego inspektora zapewniała, że celnicy wchodzący na pokład *Złotego Flaminga* nie zwracali uwagi na rozbieżność między zewnętrznymi a wewnętrznymi rozmiarami statku.

Główny inspektor opowiadał historię o piracie, z którym w młodości wielokrotnie krzyżował miecze. Gwynn uważał, że w tej opowieści występuje zbyt wiele pięknych kobiet, by mogła być w pełni prawdziwa, główny inspektor mówił jednak z werwą i potrafił żartować z siebie, warto więc było go słuchać. Kiedy wreszcie skończył - zabił pirata, oddał jego majątek na cele dobroczynne i uwiódł córkę („To było na długo przed tym, nim poznałem ciebie, kochanie”, zapewnił sympatyczną żonę) - Gwynn wstał i ruszył w stronę baru. Uświadomił sobie, że trzyma dłoń na rękojeści szabli, jak zawsze, gdy czuł się zaniepokojony. Nakazał sobie puścić broń.

Gdy manewrował w wąskich przejściach między stolikami, słyszał chrzęst rozdeptywanych insektów kryjących się w dywanie. Wilgoć sprzyjała robactwu, a także pleśni, pokrywającej czerwone tapety z wypukłym wzorem rozległymi, szarymi koloniami. Elm nie musiał się jednak bać, że straci klientów. Tareda przyciągała z całego miasta gości, których nie odstraszy nawet najgorszy brud.

Gdy Gwynn czekał, aż barman mu naleje, uśmiechnęła się doń kobieta w ozdobionym paciorkami czepku. Towarzyszący jej mężczyzna przeszył go pełnym złości spojrzeniem. Gwynn mrugnął do niej znacząco. Wiedziała, co widziała, patrząc na niego. Na każdego kto łypał nań złowrogo albo odwracał wzrok, przypadał ktoś, kto kierował na niego spojrzenie pełne żądy, zawiści albo i jednego, i drugiego. Nie musiało to być nic osobistego. Mogło nawet nie mieć nic wspólnego z faktem, że stosunkowo łatwo zarabiał spore pieniądze. Wiedział - nawet jeśli oni nie zdawali sobie z tego sprawy - że widzą w nim ból i śmierć, i że - w przeciwieństwie do tych, którzy otwarcie bali się cierpienia, i do tych, którzy gardzili strachem przed nim - czuli strach, ale mieli nadzieję uniknąć cierpienia, wkupiając się w łaski zła. Z chęcią grał tę rolę. W końcu nic go to nie kosztowało. Dał barmanowi napiwek i wrócił do stolika z wyrażającą pewność miną. Wiedział, że ciągle na niego patrzają.

Główny inspektor i jego żona opuścili ich około północy. Kiedy poszli, Elm zaczął omawiać finanse z Biscayem, a Tareda zakończyła występ, podeszła do stolika i usiadła Elmowi na kolanach. Pieścił ją, a ona spoglądała nań z wykalkulowanym afektem. Marriott nadal kiepsko ukrywał swe uczucia. Gwynn bał się o przyjaciela i trochę też się wstydził za niego.

Spiczasty Jasper wyjął karty i popatrzył na towarzyszy.

- Zagracie?

Wszyscy się zgodzili i położyli pieniądze na stoliku. Marriott wreszcie oderwał spojrzenie od Taredy.

Po godzinie Elm wstał, gotowy opuścić lokal. Przed wyjściem wydał jeszcze rozkazy.

- Zobaczcie się jutro z pułkownikiem - polecił Gwynnowi i Marriottowi. - Rozwiążcie nasz mały problem. Według oceny Biscaya nasze straty wynoszą jedną dziesiątą. Uważnie słuchajcie, co wam powiem. Interes wymaga, bym okazał szczodrość, nawet jeśli serce się sprzeciwia. Gdybyśmy musieli go teraz zastąpić, byłoby to uciążliwe. Dlatego nie dajcie się ponieść emocjom. Po prostu przekonajcie go, że popełnił błąd. Jeśli nie odda wszystkiego, przyprowadźcie go tutaj, nic więcej. Jasne?

Pokiwali głowami.

- Tack, szkatułka - rozkazał Elm.

Tack wyjął wąskie puzderko i wręczył je szefowi. Elm przekazał przedmiot Marriottowi.

- Pokażcie je pułkownikowi. Sądzę, że to powinno go przekonać.

Marriott schował pudełeczko do kieszeni. Elm popatrzył na swych ludzi. Nie mieli żadnych pytań, oddalił się więc, obejmując talię Taredy. Tack i Snapper powlekli się za nim.

Gra trwała do czwartej nad ranem, gdy „Diamentowy Klub” zamykał swe podwoje. Grupa podejrzanie wyglądających osobników opuściła lokal i skręciła w zaułek wiodący do stajni. Marriott był na plusie, ale miał minę człowieka, który stracił wszystko i nie ma nadziei, że cokolwiek odzyska.

\*\*\*

- On w ogóle o nią nie dba.

Gwynn zamknął oczy i zanurzył na kilka sekund głowę.

- Dbaj, na swój sposób - zaprzeczył, gdy się wynurzył.

Wypacali wypity w nocy alkohol w gorącym basenie w „Łażni Korynckiej” przed

wypłynięciem na rzekę. Większość porannych gości już poszła i w luksusowych pomieszczeniach panowała cisza. Łazienki dziewczyny przyniosły im sok owocowy oraz herbatę z ziół łagodzących ból głowy i przywracających siły.

- Jak człowiek, który trzyma ptaszka w klatce. Tareda zasługuje na coś więcej - sprzeciwił się Marriott cicho, ale gwałtownie.

- A na co twoim zdaniem zasługuje, przyjacielu?

- Na coś lepszego.

- Mogłaby się z tobą nie zgodzić. Sprawia wrażenie całkiem zadowolonej ze swej sytuacji.

- Faktycznie sprawia. Ale ma bliźny. To oczywiste. Potrzebny jej kochanek o dobrym sercu.

Gwynn wyraził swe niedowierzanie pełnym ironii uśmiechem.

- Marriott, jeśli podrapiesz jej młodą, miękką skórę, idę o zakład, że znajdziesz pod spodem serce, które gardzi miłością do czegoś równie bezwartościowego, jak drugie serce. Chodzi jej o pieniądze, tak samo jak nam wszystkim. Dał jej klejnoty warte fortunę. Wykorzystuje go w takim samym stopniu, jak on wykorzystuje ją. Kiedy zamieni ją na młodszą, będzie bogatą kobietą z mnóstwem wolnego czasu na przyjemności. Tego właśnie pragnie. To oczywiste.

Marriott potrząsnął głową.

- Niesprawiedliwie ją osądzasz, Gwynn. Ona cierpi.

- Nie, to ty cierpisz - sprzeciwił się Gwynn z nutą zniecierpliwienia.

Twarz jego przyjaciela zastygła w twardym wyrazie. Marriott nie powiedział już nic więcej. Dokończyli bez słowa kąpiel i pojechali do portu, gdzie cumowały dwie należące do Elma łodzie. Gwynn widział, że Marriott nadal jest urażony. Zły nastrój niekiedy utrzymywał się u niego całymi dniami, a nawet tygodniami. Gwynn zostawił go samemu sobie, by cieszyć się niezwykle pogodnym porankiem. Tu i ówdzie było nawet widać skrawki błękitnego nieba. Na rzece słońce z pewnością prażyło niemiłosiernie.

Gdy jechali Esplanadą, jakiś chłopak skoczył ze ściany tarasu na drogę tuż przed nimi. Miał może ze czternaście lat i był ubrany w czarne pantalonki oraz czerwoną, wyszywaną cekinami kamizelkę. Była rozpięta, pod spodem kryła się chuda, naznaczona bliznami pierś. Chłopak wyjął dwa długie noże i zakreślił nimi w zręcznym pokazie walki z cieniem. Gwynn rozpoznał zwycięzcę niedawnej walki na Sadzie. Noże nie stanowiły bynajmniej wyzwania, a jedynie demonstrację umiejętności, prośbę, by go zapamiętano. Gwynn nie zamierzał zwracać uwagi na chłopaka, ale Marriott zeskoczył z siodła.

- Chcesz się bić? - warknął.

Chłopak oblizwał wargi ze zdziwioną miną. Na szczycie muru pojawiły się twarze kilku kolejnych młodzieńców. Gwynn zatrzymał wierzchowca, przyglądając się temu z uśmiechem.

Chłopak wyprostował się na pełną wysokość, spoglądając na pierś Gwynna.

- Tak, proszę pana! - zawołał. Raczej nie mógł się już wycofać.

Marriott błyskawicznie rzucił się do ataku. Złapał z głośnym rykiem chłopaka, zdzielił go w nos, zręcznie wytrącił mu oba noże, a potem stłukł go gołymi rękami. Gwynn obawiał się, że będzie musiał interweniować, by powstrzymać przyjaciela przed popełnieniem morderstwa, ale Marriott opanował się w porę. Chłopak spluwał krwią, wyglądało jednak na to, że tylko ugryzł się w język. Otarł usta, spoglądając z konsternacją na Marriotta, który z powrotem dosiadł konia.

- Ulżyło ci? - zapytał Gwynn, gdy już się kawałek oddalili.

- Trochę - przyznał Marriott.

\*\*\*

Trzy małe parowe łodzie należące do Rogowego Wachlarza cumowały przy prywatnym nabrzeżu obok skalnej iglicy wznoszącej się na samym końcu Esplanady. Palacz, Tarfid, przygotował już jedną z nich do wypłynięcia. Gwynn stanął za sterem i popłynął w górę rzeki. Gdy opuścili Ashamoil, powietrze zrobiło się czyste, a słońce faktycznie prażyło okrutnie. Zdjął płaszcz, a potem kamizelkę. Jedną ręką poruszał kołem sterowym, drugą zaś osłaniał oczy.

Dopóki znajdowali się w granicach miasta, Marriott milczał, ale gdy na brzegach pojawiły się pola ryżowe, zaczął opowiadać o Orleyu. Mówił cicho, po anvallicku, jakby przebywający w maszynowni Tarfid mógł go usłyszeć.

- Orley był porządnym człowiekiem. Zrobił to, co musiał zrobić. Zachował się honorowo. Wolę nie myśleć o tym, co my uczyniliśmy.

Gwynn skręcił ku środkowi rzeki, by ominąć holownik ciągnący flotyllę barek.

- To nie myśl. Stało się.

Marriott nie zamierzał jednak dać za wygraną.

- Orley kiedyś stanął po mojej stronie. Powinienem być powiedzieć coś w jego obronie, ale odplaciłem mu milczeniem, ponieważ się bałem. Nie wiem, czy jest jakieś usprawiedliwienie dla takiego czynu. Naprawdę nie wiem, Gwynn.

Wyglądało na to, że satysfakcja ze spuszczenia lania chłopakowi już go opuściła i

Marriott znowu uległ depresji oraz pogardzie dla siebie, które ostatnio w coraz większym stopniu dominowały w jego nastroju.

Gwynn był przekonany, że żaden uczynek nie wymaga usprawiedliwienia, że sam fakt bycia człowiekiem w pełni tłumaczy wszelkie ludzkie postęпки, podobnie jak fakt bycia krokodylem stanowi wyjaśnienie nawyków owej bestii. Nie widział punktu, w którym mogliby się spotkać z Marriottem. Nie sądził też, by jego towarzysz mógł jeszcze kiedyś poczuć się szczęśliwy, jeśli nie przestanie wybierać cierpienia. Tragiczna rola nigdy go nie kusila, znał jednak wielu ludzi, którzy ją wybierali i stawali się od niej uzależnieni. Dlatego potrafił rozpoznać objawy, a jednym z nich była bolesna wrażliwość duszy.

- Naprawdę nie wiem - powtórzył Marriott. - Masz mnie za szaleńca? Czy jestem szalony? Może i tak. Ha! - Potrząsnął głową. - Powiedz mi, czy zawsze byłem taki?

Gwynn poczuł się bezradny.

- Jesteś zmęczony - stwierdził. - Dziś w nocy twoja lampa wypaliła się do cna. Czemu się trochę nie przekimasz?

Wskazał głową w stronę kabiny na rufie.

- Nie chce mi się spać.

Zapalił czarnego papierosa i zaciągnął się, wlepiając wzrok przed siebie. Gwynn również skierował spojrzenie na rozciągające się przed nimi widoki. Tarasy pól ryżowych i małe wioski położone na wzgórzach wyglądały malowniczo, a zielone góry widoczne w oddali były piękne. Wszystko to cieszyło spojrzenie. Ostatnio prawie zawsze był w dobrym nastroju. Jego życie nigdy dotąd nie było tak łatwe i wygodne. Często czuł się jak statek, który po wielu sztormach zawinął wreszcie do gościnnego portu. Teraz, gdy Pięć Wiatrów przestało istnieć, Rogowy Wachlarz na spółkę z sojusznikami Elma, Spółką Obrotnych Handlarzy oraz Towarzystwem Złotego Placu zdobył lwią część wpływów wśród wielkich domów. W przyszłości należało się spodziewać zdrady, ale Gwynn nie zamierzał się martwić na zapas.

Nawet bliskość pogrążonego w ponurym milczeniu, lecz wyraźnie podekscytowanego Marriotta nie mogła mu popsuć nastroju. Zaczął nucić szantę i zamyślił się głęboko.

\*\*\*

Po południu ujrzeni przed sobą hotel „Majestic”. Dwupiętrowa budowla z minionego stulecia przypominała wielki tort weselny. Mury z bielonego kamienia zdobiła kratka z białego żelaza, ozdobiona z kolei również białą glicynią. Gmach stał w pewnej odległości od

rzeki, otaczały go trawniki oraz bujne ogrody. Nie dalej niż pół mili za hotelem zaczynała się ciemnozielona dżungla.

Granica z Lużą, w której trwała wojna, znajdowała się trzydzieści mil dalej i biegła wzdłuż rzeki. Hotel „Majestic” był punktem, w którym zatrzymywały się łodzie turystyczne z Ashamoil. Wojna nie zakłóciła dotąd rzeczno-handlowego handlu, ale większe statki handlowe często były teraz wyposażone w działa, a władze Ashamoil oferowały eskortę każdemu kapitanowi, skłonnemu za nią zapłacić. Hotel miał też zdyscyplinowaną ochronę, której zadaniem było utrzymywanie porządku i dbanie o bezpieczeństwo gości. Nikogo nie obchodziło, czym zajmują się ci goście za zamkniętymi drzwiami pokoi.

Gwynn przybił do hotelowej przystani i odciął dopływ pary. Marriott wyszedł na pomost i przywiązał cumy. Gwynn doprowadził ubiór do porządku, a potem razem z nadal skwaszonym Marriotten ruszyli ku drzwiom frontowym ścieżką obsadzoną magnoliami oraz różnymi krzewami. Dwóch lokajów w białych płóciennych uniformach wpuściło ich do przestronnego holu. Tam podbiegło do nich dwóch następnych. Pierwszy wypucował im buty, a drugi wręczył wonne chusteczki do wytarcia rąk i twarzy. Potem ruszyli w górę wielkimi schodami i po krótkiej chwili siedzieli już w skórzanych fotelach w salonie apartamentu pułkownika Veelama Brighta, popijając trunki z rubinowych kielichów. Ich gospodarz tymczasem wyliczał skrętnie niebezpieczeństwa dla ciała, umysłu oraz ducha, z jakimi można się zetknąć w tropikach.

- No wiecie, musimy być ostrożni - mówił pułkownik. Był szczupłym mężczyzną o podejrzanym wyglądzie i opadających powiekach, grającym rolę oficera z nieco sardoniczną aurą. - Człowiek może się tam bardzo łatwo przerodzić w tubylca. O, tak! - Pstryknął palcami. - Kładzie się spać jako dżentelmen, a kiedy wstanie, nachodzi go chęć, by przebrać się w pióra, tłuc w bębny i ugotować towarzyszy w kotle. Prawda, Join?

- Tak jest, panie pułkowniku! - potwierdził kapral Join, ordynans Brighta.

Obaj mieli na sobie białoczerwono-złote mundury, ale uniform pułkownika miał większe i bardziej zdobne złote epolety, guziki oraz galon. Jego biała kurtka nosiła plamy od potu pod pachami i była zapięta tylko do połowy, odsłaniając kryjącą się pod spodem brudną koszulę. Z drugiej strony, wygląd i zachowanie Joina sugerowały, że ktoś nieustannie pierze, krochmali i prasuje jego mundur, strzyże mu włosy oraz zawiązuje sznurowadła.

- Młodzi mężczyźni, tacy jak wy, powinni słuchać rad starego wygi - ciągnął pułkownik, pochylając się ku nim. - Pamiętajcie o swoich domach. I o matkach. Postarajcie się przypomnieć sobie smak ich piersi, jeśli zdołacie.

Popatrzył lubieżnie na kielich, jakby dostrzegł w czerwonym szkle odległe



wspomnienia zmysłowych przyjemności.

Żaluzje były zamknięte, by chronić wnętrze przed upałem. Pokój oświetlały gazowe lampy, syczące niczym współczesne gorgony. Na kominku głośno tykał kanciasty zegar, a przez podłogę docierały tony orkiestry tanecznej, grającej w jednym z salonów na dole. Przez te dźwięki przebijało się ćwierkanie i skrzeczenie zamieszkujących dżungłę stworzeń, odległe, ale niemilknące ani na moment.

Na wiszącym nad zegarem obrazie olejnym przedstawiono młodą kobietę o królewskim wyglądzie, siedzącą na ozdobionym złotą draperią tronie. Klęczał przed nią mężczyzna w zbroi płytowej, przeznaczonej raczej do użytku ceremonialnego niż do walki. W wyciągniętej, zakutej w pancerną rękawicę dłoni trzymał lilie. Kobieta pochylała się lekko. Ona również zaczynała wyciągać rękę. Gwynn uważał, że to ciekawe, iż artysta postanowił uwiecznić chwilę, w której rezultat spotkania nadal pozostawał niepewny. Zastanawiał się niekiedy, jakie plany zostałyby zrealizowane lub spaliły na panewce, jakie nieszczęścia by się wydarzyły bądź pozostały w sferze niespełnionych możliwości, gdyby kobieta odmówiła przyjęcia kwiatów.

Pułkownik wyprostował się i uniósł kieliszek.

- Za dom, panowie!

- Za dom - powtórzyli posłusznie Gwynn i Marriott.

- Za dom, szlachetni panowie! - dołączył do nich Join.

Czterech emigrantów spełniło toast. Pułkownik pstryknęła palcami.

- Brandy, Join!

- Tak jest, panie pułkowniku.

Kapral wyjął karafkę z szafki z marmurowym blatem i nalał wszystkim. Pułkownik wziął kieliszek z jego ręki, odchylił się w fotelu i przymknął powieki, jakby chciał wywołać wrażenie, że nic go nie obchodzą motywy kierujące gośćmi.

- To bardzo dobry trunek - zauważył Gwynn.

- Cieszę się, że wam smakuje - odparł pułkownik. - Tutaj zawsze łatwo się żyło, a dobry grog jest jedną z najważniejszych rzeczy w życiu.

- Pozostałe cztery to: pamięć, zapomnienie, podli przyjaciele i honorowi wrogowie - zacytował Gwynn.

- W rzeczy samej! Tak dokładnie napisała Jashien Sath, o ile sobie przypominam - ciągnął pułkownik. - To ci dopiero była sprytna kobieta. Co prawda one wszystkie potrafią być sprytne, jeśli czegoś od nas chcą, tak? Miło spotkać w tych stronach wykształconego człowieka. Mam nadzieję, że nadal ma pan czas czytać klasyków. To chroni przed zgnilizną

mózgu.

- Nie sędzę, by moje wykształcenie mogło się równać z pańskim, pułkowniku - stwierdził Gwynn ze szczerą miną. - Aforyzmy Sath są popularne na północy, podobnie jak jej traktaty o wojnie.

- Naprawdę? - zapytał pułkownik, unosząc brwi. - Te traktaty stanowią oczywiście interesującą lekturę, ale sądziłbym, że są już nieco przestarzałe i w dzisiejszych czasach nie warto ich studiować.

- Uważamy ją za przykład honorowego wroga - odparł z uśmiechem Gwynn.

Pułkownik wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ludzka sława zawsze jest zabawką historii.

- Przynajmniej dopóty, dopóki historia chce się nią bawić.

- Nic nie trwa wiecznie - przyznał pułkownik, wzruszając ramionami.

- Skoro już o tym mowa, jak wygląda sytuacja na wojnie? - zapytał Gwynn.

- Całkiem nieźle. Nadal utrzymuje się sprzyjająca nam równowaga. Nic nie wskazuje na to, by zbliżał się koniec.

Pułkownik Bright uśmiechnął się oblesnie. W jego oczach pojawił się twardy, ostrożny błysk.

- Mam nadzieję, że nie stała się też zbyt intensywna?

- Nie, nie. Liczba ludności nie spadnie gwałtownie.

- Słyszałem, że tubylcy ułatwiają nam liczenie głów. Niech mi pan powie, czy to prawda, czy tylko makabryczna pogłoska?

- Och, to z całą pewnością prawda. Zatykają je na palach jak jabłka w polewie, mój drogi panie. Obie strony. To kompletne dzikusy. A wszystko z powodu upału. Popadają w obłąd już w łonie matki.

- Rozumiemy trudności, jakie sprawia zapanowanie nad sytuacją - zapewnił Gwynn. - Doceniamy pańskie wysiłki. Rogowy Wachlarz wysoce sobie ceni naszą współpracę.

- Dziękuję. Naturalnie, robienie interesów z wami jest dla mnie wielką przyjemnością. Join rzecz jasna jest niezastąpiony. Join?

- Słucham, panie pułkowniku?

- Zrób sobie przerwę na obiad. Wróć o trzynastej.

- Tak jest.

Kapral zsalutował, obrócił się dziarsko i wymaszerował z pokoju. Gwynn nasłuchiwał z uwagą jego kroków. Umilkły znacznie szybciej, niżby należało. Jakies pięć jardów od drzwi, według oceny Gwynna. Wystarczająco daleko, by ordynans pułkownika nie

był w stanie podsłuchać prowadzonej zwyczajnym tonem rozmowy, ale na tyle blisko, że będzie mógł usłyszeć krzyk i przybiec z pomocą.

O wojnie, w którą wmieszało się Towarzystwo Rogowego Wachlarza, miały zostać w przyszłości napisane grube księgi, żadna z nich nie miała jednak poświęcić Towarzystwu choćby przypisu. Fakt, że wojna trwała tak długo, tłumaczono wyłącznie gwałtownym temperamentem jej znanych uczestników, plemion Iko i Siba. Gdyby kiedykolwiek spisano kompletną i miarodajną relację, wspominałaby ona o następujących szczegółach:

W chwili, gdy Gwynn i Marriott odwiedzili pułkownika Brighta, wojna w Luzie trwała już około trzydziestu lat. Walki zaczęły się, gdy zamieszkujący wschodnią część kraju Iko napadli na zachodnie terytoria, należące do Siba. Iko zaopatrzyli się w nowoczesną broń, która uczyniła z nich skutecznych zdobywców. Gdy jednak na Siba przyszła czarna godzina, odwiedził ich gość, niejaki pułkownik Bright. Ów człowiek zaproponował, że zaopatrzy ich w broń dorównującą tej, którą dysponują Iko. Przywódcy Siba odpowiedzieli, że z radością przyjęliby tę propozycję, ale, niestety, straszliwie zubożeli i nie mają czym zapłacić za tego rodzaju sprzęt. Pułkownik w odpowiedzi zaproponował, że przekaze im pierwszy transport na kredyt. Ryzyko się opłaciło. Gdy głodni zemsty Siba zdobyli broń, już po kilku dniach zaczęli niszczyć i plądrować osiedla Iko. Kupowali od pułkownika coraz więcej karabinów, aż wreszcie zepchnęli Iko z powrotem na wschód.

W tym właśnie momencie Luza zainteresował się Elm. Dostrzegł źródło potencjalnych zysków, stworzył plan i wyprowadził Rogowy Wachlarz na międzynarodowe wody.

Już od dziesięciu lat wojna funkcjonowała jak precyzyjna maszyna. Siba, bojąc się, że Iko zanadto się rozmnożą i znowu zrobią się agresywni, z upodobaniem napadali na ich terytoria, uprowadzali dawnych wrogów i sprzedawali ich pułkownikowi. Bright odsprzedawał niewolników Elmowi, który następnie znajdował na nich nabywców w Ashamoil. Elm przekazywał część zapłaty w amunicji, która nadal stanowiła podstawowy towar oferowany przez pułkownika plemionom Siba. Iko z kolei znaleźli nowego, tańszego, dostawcę broni i stawiali opór wystarczająco skutecznie, by żadna ze stron nie mogła zyskać przewagi. Oni również sprzedawali jeńców wojennych pośrednikowi, człowiekowi podającym się za kupca z położonego w głębi lądu miasta Enjiran. W rzeczywistości był on agentem pułkownika, a sprzedawana przezeń broń pochodziła rzecz jasna od Elma. Należące do tego ostatniego fabryki uzbrojenia w Ashamoil mogły pracować na najwyższych obrotach dzięki wykorzystaniu przemycanych do miasta niewolników. Najchętniej używano do tej pracy dzieci, gdyż łatwiej było nad nimi zapanować niż nad dorosłymi. Ponieważ schwywanie ich również było prostsze, utrzymywała się gładka równowaga popytu i podaży.

Pułkownik utrzymywał monopol na swoim końcu operacji, a Elm wynegocjował z nim umowę, pozwalającą Rogowemu Wachlarzowi zachować analogiczny monopol w Ashamoil. Pułkownik był odpowiedzialny za zachowanie równowagi i osiągnął już wielką biegłość w tej trudnej sztuce. Musiał dbać o równą dystrybucję broni między obie strony konfliktu, by nie przestawał on się tlić, a jednocześnie nie rozgorzał pełnym płomieniem, który zbyt szybko strawiłby nieliczną populację Luzy.

Z biegiem lat Rogowy Wachlarz stawał się coraz bardziej zależny od wojny. Gwynn nie znał dokładnych liczb, ale wiedział, jak wygląda sytuacja. Gdyby Rogowy Wachlarz utracił luzański handel, nie skończyłoby się na poważnych stratach finansowych. Dom Elma utraciłby też twarz. Dawni wrogowie z pewnością zwietrzyliby szansę ataku, a sprzymierzone domy wykorzystały okazję do popełnienia zyskowej zdrady. Gwynn miał nadzieję, że pułkownik nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Niepokoił się, że może pan mieć jakieś trudności - zaczął. - Ostatnie dwa transporty nie spełniały standardów, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Szczerze mówiąc, wstydziłem się, wystawiając ten towar na sprzedaż. Czy może pan wyjaśnić, dlaczego dotarł do nas w tak kiepskim stanie?

Pułkownik łypnął ze złością na Gwynna.

- Mój drogi panie, mógłbym to źle zrozumieć! - Uniósł palec i pokiwał nim z emfazą.  
- Wojna z czasem męczy wszystkich, nawet dzikusów. Sądziłem, że pan o tym wie i pański szef również.

Słowo „szef” wypowiedział z nutą niesmaku, jakby fakt, że Gwynn jest tylko pracownikiem firmy, był dla niego zniewagą.

Podczas kilku poprzednich rozmów Gwynn odniósł wrażenie, że pułkownik sądzi, że łączy ich coś w rodzaju klasowego pokrewieństwa. Owo przekonanie było najwyraźniej elementem szerszego systemu poglądów, który między innymi kazał mu uważać siebie za człowieka cywilizowanego, a Luzan za barbarzyńców. Gwynn mógłby go wyprowadzić z błędu w obu tych punktach. Ponieważ nie byli spokrewnieni ani nie walczyli w bitwie u swego boku, nie łączyły ich żadne więzy, a jedyne, co mieli ze sobą wspólnego, to barbarzyństwo, jakiego nie powstydziłby się żaden kanibal.

- Istnieje też alternatywne wyjaśnienie - podjął Gwynn. - Niedawno jeden z naszych konkurentów próbował przemyścić do Ashamoil transport Ikoil. Zatrzymała ich łódź celników. Najwyraźniej podczas przesłuchania załogi padło pańskie nazwisko.

- Obawiam się, że nie rozumiem, co próbuje pan sugerować. Mam wrażenie, że to beczelność - wycedził pułkownik. - Jeśli nie chcecie współpracować ze mną, znajdźcie sobie

innego zbieracza żywego towaru.

- Oferowali panu bardzo atrakcyjną cenę - ciągnął nieporuszony Gwynn - a pan w zamian sprzedał im śmietankę ostatniego transportu, zostawiając dla nas towar w trzecim gatunku. Wiemy, kim byli nabywcy. Nie zamierzają nadal płacić panu tak wiele. Szczerze mówiąc, nie są już w stanie tego robić.

Pułkownik nie zamierzał dać za wygraną.

- Być może nie widzę powodu, by uwierzyć w pańskie słowa.

- Niech mi pan wybaczy, ale z naszego punktu widzenia to nie ma znaczenia.

Niemniej z łatwością możemy zademonstrować panu dowód.

Gwynn skinął dłonią na Marriotta, który wydobyl szkatułkę i podał ją pułkownikowi.

Ten otworzył pudełko i przyjrzał się zawartości. Trzeba przyznać, że jego twarz nie zmieniła wyrazu. W pudzderku znajdowało się kilka ludzkich uszu owiniętych w impregnowany papier. Były miękkie od gotowania i zwisały z nich wielkie, wystrzępione fragmenty owłosionej skóry głowy. Rozpoznał długie płatki jednego z nich oraz kwadratowy, mięsisty kształt drugiego. W szkatułce były też trzy rozpoznawalne nosy oraz kawałki workowatej, pomarszczonej skóry, które nie kojarzyły się pułkownikowi z niczym szczególnym.

- Pragnie mi pan zaimponować tym, jak zwykle radzicie sobie z kłopotliwymi sytuacjami? Podobne sprawy nie robią już na mnie wrażenia. Przestały je robić, gdy pana jeszcze nie było na świecie.

Cisnął pudełko na marmurowy blat szafki. Jedno z uszu spadło na podłogę.

Gwynn zakręcił brandy w kielichu.

- Pułkowniku, zapewniam, że nie przyszliśmy tu po to, by panu grozić. Musimy jednak jakoś rozwiązać bieżący kryzys. Czy załatwimy to po przyjacielsku? Zdajemy sobie sprawę, że każdy może ulec pokusie. Od cenionego współnika oczekujemy jedynie rekompensaty. To właśnie kazano mi panu przekazać.

Gwynn nie powiedział już nic więcej. Pułkownik gapił się na zegar, jakby chciał go zniszczyć spojrzeniem. Gwynn nie był w zbyt optymistycznym nastroju. W gruncie rzeczy, spodziewał się najgorszego. Spróbował zerknąć Marriottowi w oczy, ale przyjaciel wpatrywał się w obraz.

W końcu jednak pułkownik kaszlnął cicho. Gwynn uznał to za przyznanie się do porażki.

- Według naszej oceny poniesione przez nas straty razem z różnymi wydatkami związanymi z tą sytuacją równają się w sumie stu dziesięciu tysiącom florenów. Muszę prosić

o spłatę w złocie, przed upływem tygodnia.

Po drugiej rundzie daremnej walki wzrokowej z zegarem pułkownik skinął sztywno głową.

- Otrzymacie zapłatę. A teraz opuście, proszę, ten pokój.

\*\*\*

Podczas rozmowy myśli Marriotta krążyły daleko. Dźwięki muzyki, odgłosy dżungli, tykanie zegara, głosy Gwynna i pułkownika, wszystko to działało mu na nerwy. Skupił uwagę na obrazie. Jego wzrok przyciągały lilie. Kwiaty sprawiały wrażenie, że świecą własnym światłem, unosząc się w jakiejś odrębnej przestrzeni, jakby nie były przytwierdzone do płótna razem z resztą obrazu, lecz jedynie na nim przysiadły. Ich nieskalana biel i owa szczególna izolacja przywodziły Marriottowi na myśl arktyczne gęsi, które przelatywały mu nad głową, gdy leżał sam w głębokim śniegu. Po chwili opuścił hotel i wrócił do przeszłości. Słyszał tylko dobiegający z góry zew gęsi oraz własny, urywany oddech. Trwała pełnia lata i choć była już późna noc, słońce nadal płonęło na horyzoncie niczym węgielek, który nie chce zgasnąć. Śnieg był czerwony, ciemnoczerwony, a w jego zagłębieniach zalegały czarne cienie. Wyglądał jak aksamitny płaszcz, ale był zimny i wilgotny.

Dali mu szansę. Chłosta nie miała być śmiertelna. Sześćdziesiąt batów - wystarczy, żeby zranić, ale nie zabić. Miał futro i był silny, mógł poszukać schronienia, ale postanowił już, że nie pragnie dłużej żyć. Nie doświadczył dotąd niczego, co wzbudziłoby w nim miłość do życia. Satysfakcję sprawiało mu wyłącznie złodziejstwo. Zawsze potrafił znaleźć sposób, by zdobyć to, co nie należało do niego.

W wiosce go tolerowano, ponieważ nigdy nie kradł zbyt wiele, a często był użyteczny. Był silnym młodzieńcem i potrafił wykonać pracę dwóch mężczyzn, czy chodziło o kopanie torfu, uprawianie upolowanych jeleni, czy też o poruszanie miechami w kuźni. Tolerowano go aż do chwili, gdy zrobił coś bardzo głupiego i paskudnego - wziął sobie córkę śpiewaka sag, dziewczynę o rzadko spotykanych jasnych włosach i głosie słodkim jak miód. Wszyscy ją kochali i nikt nie wybaczył mu tego uczynku. Wiedział, że lepiej im nie mówić, iż był w owej chwili przekonany, że dziewczyna naprawdę należy do niego. Zdawał sobie sprawę, że z takiego myślenia nie może wyniknąć nic dobrego, i czuł bolesne wyrzuty sumienia na myśl, że skrzywdził tę, której pragnął najbardziej na świecie. Nienawidził siebie. Niemniej nawet w owej chwili, gdy leżał na śniegu odarty z wszelkiej woli, nienawidził również swych pobratymców, za to, że go odtrącili. Chłosta by wystarczyła. Nie zrobiłby już

tego więcej. Wróciłby do kradzieży jeleniego mięsa oraz bezwartościowych mosiężnych spinek do płaszczy, zniósłby nieufne, pogardliwe spojrzenia i nigdy już nie odważyłby się skierować na nią spojrzenia.

Któż jednak mógłby podjąć takie ryzyko? Nikt go nie bronił. Jego rodzice i bracia milczeli, jakby był dla nich obcy.

Czuł się zaskoczony, że tak łatwo przyszło mu wybrać śmierć. Brakowało mu tego, czego potrzebuje człowiek, by skończyć ze sobą. Próbował dźgać nożem własne ramię, ale nie potrafił się zdobyć na to, by ciąć wystarczająco głęboko. Mógł jednak pozwolić, by zabił go świat. Na to z pewnością było go stać.

Świat jednak miał inne plany. Tej samej nocy, gdy go wygnano, los sprawił, że jego droga skrzyżowała się z trasą pędzących na łeb, na szyję sań zaprzęzonych w psy. Z początku udawał trupa, zamykając oczy, gdy zwierzęta go obwąchiwały. Nagle usłyszał chrzęst ludzkich kroków na śniegu i poczuł na szyi dotyk ciepłych palców.

Potem rozległ się śmiech i młodzieńczy głos:

- Lepiej wstań, bo inaczej pozwolę im cię zjeść. Może nawet zjem cię sam. Jestem okropnie głodny, a masz na kościach całkiem sporo mięsa.

Marriott zdołał wytrzymać jeszcze kilka sekund, ale potem opuściło go pragnienie śmierci. Otworzył oczy i zobaczył chłopaka mniej więcej w jego wieku, odzianego w skórę i grube futro. U pasa nieznajomego wisiał miecz.

Nagle z sań zeskoczyło coś, co wyglądało jak wielka, kudłata kula śniegu. Szczeniak energicznie polizał Marriotta w nos.

- Poznaj Dormartha - rzekł z uśmiechem chłopak. - Nie ma zbyt dobrych manier, ale w naszym niecywilizowanym świecie może to uchodzić za zaletę. Jestem Gwynn, do niedawna z Falias, obecnie bez stałego adresu.

Marriott wstał. Nie ufał przybyszowi, ale starał się tego nie okazywać. To była szansa na nowy początek. Ujrzał przed sobą szeroką, otwartą drogę, po której kroczyła nowa wersja jego osoby.

Chłopak zwany Gwynnem nie zadawał mu bezpośrednich pytań. Powiedział, że jego zaprzęg coś podekscytowało, a ponieważ poczuł ciekawość, pozwolił psom podążyć za tropem. Marriott podejrzewał, że zwierzęta zwietrzyły krew płynącą z jego ran, ale nie wspominał ani słowem o biczowaniu, ani o żalosnych obrażeniach, które sam sobie zadał. Nikt nie musiał nic wiedzieć o tym, kim był przedtem.

Potem w jego pamięci pojawiały się luki. Przypominał sobie, że jechał na saniach i grzał się pod futrami, pogrążony w drzemce. Przypominał też sobie, że Gwynn dał mu butelkę

destylowanego metheglinu, on zaś wypił ją w całości, opowiedział o wszystkim, a potem wymiotował na śnieg. Wyglądało na to, że nowa droga, na którą wkroczył, natychmiast zrobiła się kręta.

Niemniej w pełnych gwałtownych przygodach latach, które nastąpiły po spotkaniu z Gwynnem, Marriott nie tylko okrył się sławą, lecz również zdobył reputację człowieka rycerskiego wobec kobiet. Mimo to kobiety go unikały, jakby nosił piętno, wyraźnie dostrzegalne dla ich oczu. Marzył o szczęściu i często się zakochał, ale w odpowiedzi zawsze spotykał się z obojętnością, strachem albo pogardą. Zrodziło się w nim przekonanie, że swym brutalnym uczynkiem ściągnął na siebie klątwę.

Gdy tylko ujrzał Tareę Forever, natychmiast poczuł do niej uwielbienie, ale od tego czasu posunął się znacznie dalej. Ponieważ nie mógł przed nią uciec, co noc zakochał się w niej coraz bardziej. Stała się ośrodkiem jego świata. Był przekonany, że tylko ona może mu zapewnić prawdziwe ocalenie. Zdawał sobie sprawę, że ulega złudzeniu, że Tareda śpiewa tylko dla niego, że rozumie i akceptuje wszystko, co kryje się w jego sercu, choć w rzeczywistości setka mężczyzn i kobiet słuchających jej razem z nim żywiła to samo przekonanie.

Wmówił sobie, że gdyby choć raz uśmiechnęła się szczerze do niego, gdzieś daleko od sceny, ów uśmiech oczyściłby go z winy. Uzyskałby przebaczenie, klątwa zostałaby zdjęta i otworzyłyby się przed nim drzwi do miłości. Będzie mógł wzbudzić w niej pożądanie.

Marriott popuścił wodze fantazji. Wyobraził sobie, że znowu leży na śniegu, ale w saniach siedzi Tareda, odziana w futro z białych norek. Wyciągnął do niej dłoń, a ona uśmiechnęła się i przyciągnęła go bliżej.

Rzecz jasna, kobieta, której rycerz wręczał kwiaty, również przybrała w jego umyśle postać Taredy. Cały czas wpatrywał się w obraz, choć jego widok budził w nim lęk, aż wreszcie usłyszał głos pułkownika Brighta, nakazującego im opuścić pokój.



# SIEDEM

Gwynnowi obraz przedstawiający kobietę i rycerza przypominał przycupniętego sfinksa i pokrytego łuską bazyliszka, dzieło nieuchwytej artystki. Przebudziła się w nim uśpiona dotąd ciekawość i ów nastrój skłonił go do wznowienia poszukiwań Beth Constanzin.

Chwila była odpowiednia. Od miesięcy nie miał tyle wolnego czasu. Po wizycie, jaką złożyli wspólnie z Marriottem pułkownikowi Brightowi, na wszystkich frontach zapanował spokój. Pułkownik regularnie przysyłał nowy towar i wszyscy w transportach byli młodzi, piękni i silni. Dla Rogowego Wachlarza nastały czasy pokoju i dobrobytu.

Gwynn zabrał się systematycznie do zadania, które sam sobie wyznaczył. Przyszło mu na myśl, że trapezowy budynek wyobrażony na rycinie może być powiększeniem mniejszej konstrukcji - domku w którymś ogrodzie albo grobowca, jakiegoś pomieszczenia, w którym odnajdzie dalsze wskazówki. Ten pomysł przypadł mu do gustu. Wziął w ręce wielki plan Ashamoil i podzielił go na sześćdziesiąt kwadratów, używając czerwonego atramentu. Następnie pociął papier na kawałki wzdłuż czerwonych linii, narysował szkic budynku i zapłacił drukarzowi za sześćdziesiąt odbitek. W ciągu kilku następnych dni skontaktował się z sześćdziesięcioma osobami, które miały dobrą opinię jako oczy i uszy do wynajęcia. Wszyscy zapewniali, że potrafią znaleźć wszystko, co tylko im kazać. Każdemu Gwynn wręczył kopię rysunku oraz fragment planu przedstawiający okolicę, którą mieli przeszukać. Zapłacił im połowę umówionej ceny z góry i obiecał szczerą premię szczęściarzowi, któremu przypadła w udziale część miasta zawierająca tajemniczy obiekt.

Potem pozostało mu tylko czekać.

\*\*\*

Minął miesiąc. Gwynn siedział nagi na łóżku, zastanawiając się nad rezultatami swych starań. Nalał sobie kolejny kieliszek wina. Nie osiągnął nic.

Wszyscy rzekomo niezawodni szpiedzy wrócili doń, by zameldować, że ich wysiłki zakończyły się fiaskiem.

Zastanawiał się, czy nie wysłać ich po raz drugi, tym razem na poszukiwania kobiety o twarzy sfinksa, doszedł jednak do wniosku, że jeśli miała to być gra, trzeba ją było uznać za nudną i prymitywną. Gwynn poczuł się rozczarowany artystką. Skarcił sam siebie za uleganie irracjonalnym sentymentom.

Osuszył kieliszek i zamknął oczy. Pod nieobecność wzroku inne jego zmysły się wyostrzyły. Usłyszał przebijający się przez hałas nad rzeką oraz miejski zgiełk głos w pokoju na dole. Zapewne był to aktor ćwiczący monolog:

- Urodziłem się jako człowiek, ale wywołana tym groza oraz bolesna rana zadana mojej dumie już w młodym wieku skłoniły mnie do poszukiwania alternatywy. Najszczęśliwszy czułem się jako świnia. Dywan z gnoju sprawiał mi więcej przyjemności niż utkany z jedwabiu, a wiadro pomyj miało taką samą wartość jak burgund i faszzerowane figi. Po odzyskaniu postaci dwunoga nie udało mi się już więcej zostać świnia, zdołałem jednak zamienić się w kozła. Ten stan byłby dla mnie zadowalający, gdyby nie fakt, że moje żółte oczy o efektownych, poziomych źrenicach miały w sobie niezaprzeczalne piękno, gdy więc widziałem w strumieniu swe odbicie, ogarniała mnie tęsknota, sprawiająca mi ból. Znalazłem ukojenie w ziemi i ślepcie. Ty, który codziennie oglądasz ptaki i zazdrościsz im skrzydeł, nawet sobie nie wyobrażasz, jak szczęśliwa czuje się dżdżownica. Zna ona tylko jedno pragnienie - wypełnienia swego wnętrza ziemią - a jego spełnienie nie nastęrcza jej trudności. Wyłącznie dzięki zakresowi oraz intensywności swych zmysłów wspaniała świnia może się uważać za lepszą od królewskiego robaka... Uwielbiam mętne obrazy, przyjacielu. Nie wolno ci zapominać, że ostrzegałem cię przed skrzydlatymi ośmiornicami, które lada dzień przyniosą miastom całego świata wiadomość zawierającą surowe upomnienie. Czy zauważyłeś przelot tych posępnych, skrzących się mięczaków, gdy stałeś z twarzą przyciśniętą do okna, strasząc przechodniów widokiem zapadniętych policzków i rozczochranych włosów? Powieki twych sowich oczu nie mrugnęły ani razu. Choć jednak widziałeś, jak morderca i pederasta kłaniają się sobie na ulicy, pewni, że nic im nie grozi, być może inne anomalie umknęły twej uwagi. Ośmiornice potrafią się świetnie kamuflować, nawet jeśli nie rozróżniają kolorów...

Głos nadal wygadywał podobne rzeczy, ale Gwynn przestał go słuchać. Wyczuwał w powietrzu zapach nadchodzącej zmiany pór roku. Suche miesiące dobiegały już końca. Wkrótce atmosferę przesyci wilgoć, niosąca ze sobą metaliczną woń ziemi, zapowiedź nadciągającego monsunu.

Jego dni wypełniała teraz swobodna rutyna. Budził się późno, dużo czytał albo przesiadywał w kawiarniach. Po południu z reguły spotykał się z kolegami z pracy w Klubie Sportowym Tarasu Mimos, gdzie strzelali, fechtowali i jeździli konno. Potem spędzał godzinę albo dwie w klubowym barze i szedł do „Łaźni Korynckiej”. Wieczory spędzał z tymi samymi kolegami albo w szerszym towarzystwie. Oddawał się wówczas czynnościom stanowiącym nieodłączną część eleganckiego życia: grze w karty, bilardowi, tańcowi, wystawnym kolacjom, teatrowi, spacerom służącym wyłącznie temu, by się pokazać, a także rzecz jasna kupowaniu ubrań. Tego dnia poszedł wziąć miarę na trzy nowe garnitury. Po dwóch godzinach oglądania próbek materiału - dla jego krawca tkaniny, których używał, były prawdziwą pasją i potrafił snuć niezwykle ekfrastyczne wywody na temat ich splotu, układania się oraz barwy - Gwynn dokonał wreszcie wyboru spośród zestawu lekkich i ciężkich jedwabi, żakardów, adamaszków, krep, mor, przyciągających spojrzenie brokatów, ozdobionych wytłaczanym wzorem brokacików i matelasów, barwionych skór oraz tkanin wyszywanych metalową nicią. Potem poświęcił kolejną godzinę na przegląd materiałów na płaszcze, kamizelki, spodnie oraz koszule. Nowa moda preferowała pozbawione koronek, jednobarwne koszule z wysokim kołnierzykiem. Krawiec poinformował go również, że koronkowe krawaty stają się elementem stroju noszonym wyłącznie przez damy. Jeśli dżentelmen nie chciał zrobić z siebie durnia, musiał się ograniczyć do zwykłego jedwabiu.

Gwynn pomyślał, że krawiec jest jednym z najlepszych ludzi, jakich zna.

Nocą pracował. Przed godziną wrócili ze Spiczastym Jasperem z wizyty u czterech młodych, domorosłych kombinatorów, którzy zdołali zaciągnąć u Elma zdumiewająco wielki dług. Bogaci rodzice nie chcieli ich wykupić, a młodzieńcy okazali się nieoczekiwanie twardzi, przez co Gwynn i Jasper zostali zmuszeni do sporego wysiłku. W końcu jednak udało im się doprowadzić chłopaków do stanu wystarczająco kiepskiego, by rodzice pożalowali swego skapstwa.

A teraz wyglądało na to, że będzie musiał siedzieć sam nago na łóżku i pić wino, które miał nadzieję wypić z Beth Constanzin. Gdy tak sformułował tę myśl, natychmiast odstawił butelkę i skrzywił się w ciemności.

Zastanawiał się, czy po prostu nie położyć się spać, ale nagle usłyszał na korytarzu ciche kroki. Poznał chód pani Petris z trzeciego piętra. Kroki ucichły i dzwonek w jego

salonie zadzwonił.

Miał ochotę udać, że śpi. W końcu było już późno. Niemniej wizyta pani Petris zawsze oznaczała zaproszenie na przyjęcie. Miał kilku sąsiadów, ale tylko z nią utrzymywał towarzyskie kontakty. Pani Petris nawiązywała takie kontakty z każdym. Gdyby w budynku zamieszkał kamienny blok, zmusiłaby go do przychodzenia na swoje kolacje i wieczorki.

Wstał, włożył szlafrok i podszedł do drzwi.

- Cześć, Gwynn!

Pani Petris sięgała mu głową do piersi. Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby pomalowane błękitem indygowym, co było modne w czasach jej młodości. Przed kilkoma dziesięcioleciami była tancerką rewiową. Nadal miała figurę tancerki, a jej twarz, choć chuda jak u starego ptaka i pokryta przypominającą marcepan białą ołowiową, promieniowała niestrudzoną żywotnością. Kobieta włożyła wyszywaną czarnymi paciorkami suknię, która miała pewnie z pięćdziesiąt lat, a krótkie, białe włosy zdobił diadem z kryształów i czarnych piór. Jak zwykle pachniała szampanem i przemawiała dziewczęcym, podekscytowanym tonem, który zapewne również był kiedyś modny.

- Cześć, pani P. - odpowiedział. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Tak się cieszę, że jesteś w domu! Wiedziałam, że nie muszę się martwić, że cię obudzę. Na dole czeka madame Enoch i kilka innych osób. Chcemy urządzić mały seansik. Byłabym zachwycona, gdybyś mógł się do nas przyłączyć. Proszę, powiedz, że się zgadzasz! Miałam nadzieję, że zechcesz nam coś zagrać. Poprzednim razem muzyka bardzo pomogła. Tak się cieszymy, że mamy w domu muzyka, i to takiego przystojnego!

Gwynna nadal bolały ręce od bicia zbłąkanych młodzieńców, nie mógł jednak powiedzieć tego pani Petris.

Nie potrafił nic poradzić na to, że ją trochę polubił. Jego babcie były ponurymi, wojowniczymi kobietami, które sprawowały polityczną władzę i władały mieczem z jednakową swobodą, zrodzoną z długiego doświadczenia. Inne stare kobiety w klanie zachowywały się podobnie albo były rozmawiającymi z umarłymi wrózkami, wiedźmami, których należało się wystrzegać. Każda z nich wkładała jednak wszystkie swe siły w służbę klanowi. Czerpały dumę z tego, że są silnymi ogniwami długiego łańcucha. Gwynn doszedł z czasem do wniosku, że pani Petris okazała większą siłę charakteru, pozostając przez całe życie frywolna jak motylek.

Powiedziała mu kiedyś, że przypomina jej zmarłego syna, który utopił się, pływając łodzią. Często wyrażała pragnienie otaczania się młodymi, interesującymi ludźmi. Zaciągnęła go już na kilka swoich seansów. Zapraszane przez nią media niezmiennie były okropnymi,

starymi artystkami wodewilowymi, ale udało mu się odbyć kilka interesujących rozmów z innymi gośćmi. Byli to ludzie, których raczej nie miałby szans spotkać w ramach swych codziennych poczynań. Na tych spotkaniach zawsze było więcej kobiet niż mężczyzn. W jego ojczyźnie tego rodzaju kobiety zapewne zostałyby wrózkami.

- Oczywiście. Z chęcią przyjdę - zapewnił.

- Och, cudownie! - Rozpromieniła się, łapiąc go za ramię. - Tylko porządnie się ubierz, zgoda? Włóż coś, co sprowadzi mistyczną atmosferę. Duchy są okropnie wrażliwe na takie sprawy.

- Sprawdzę zawartość szafy, pani P. Obawiam się jednak, że nie mam zbyt wiele doświadczenia, jeśli chodzi o mistykę i o upodobania duchów w kwestii garderoby.

Pani Petris zachichotała.

- Jesteś prawdziwym skarbem, mój drogi chłopcze. Bardzo proszę, znajdź coś w swym kufrze z kostiumami.

Gwynn przeprosił ją i wrócił do sypialni. Natychmiast przyszedł mu na myśl odpowiedni zestaw. Ezoteryczny symbolizm nie był mu całkowicie obcy. Po krótkiej chwili wrócił do drzwi spowity w czarny strój oraz swój pawi płaszcz. W żałobny krawat z czarnego płótna wpiął broszę z kameą, *memento mori* wyobrażające czaszkę w pętli, jedną z nielicznych zachowanych przezeń pamiątek po czasach, gdy parał się bandytyzmem.

- Och, znakomicie! - zawołała radośnie pani Petris. - Umarli będą zachwyceni! - Pokiwała kilka razy głową, odsłaniając w uśmiechu niebieskie zęby. - Dziękuję, mój drogi. - Ponownie dotknęła jego rękawa. - Chodź, wszyscy czekają na ciebie.

Podeszli do schodów i ruszyli w dół.

- Myślałeś o sprawie, o której mówiliśmy w zeszłym miesiącu? - zapytała pani Petris, wspierając się lekko na jego ramieniu.

- Przemyślałem ją starannie, zgodnie z obietnicą - odparł.

- Ale nie podjąłeś żadnych działań?

- Nie było nikogo, kto mógłby mnie do tego skłonić. Być może jestem zbyt wybredny. A może to kobiety są zbyt wybredne. Z drugiej strony, nie chciałbym, żeby wybrał mnie ktoś niewybredny.

- Miłość jest straszliwie ważna, mój drogi Gwynnie. Ludzie jej potrzebują.

- Wiem, pani P.

- Cieszę się z tego. Żeby żyć, jak należy, człowiek musi być pewny paru rzeczy, nawet jeśli ta pewność nie do końca opiera się na prawdzie - oznajmiła z ironicznym śmiechem.

- Wezmę sobie twoją radę do serca.

- Znajdziesz odpowiednią kandydatkę na żonę, mój drogi. Taka kobieta istnieje. Każdy ma kogoś, kto jest dla niego stworzony. - Dotarli już pod jej drzwi. - Zaprosiłam dziś dwie młode damy. Może to będzie jedna z nich? Nigdy nie wiadomo, prawda?

Gwynn przyznał jej rację.

Pani Petris uchyliła lekko drzwi, by wpuścić go do środka, i natychmiast zatrzasnęła je za sobą. Wiedział z poprzednich spotkań, że ma to na celu zapobieżenie ucieczce wypełniającego pokój duchowego eteru.

Salonik, do którego weszli, udekorowano ciemnofioletową gazą. Jedynym źródłem światła były świece płonące w mosiężnych uchwytach w kształcie nagich mężczyzn i kobiet o głowach zwróconych ku górze, a ustach rozwartych niesamowicie szeroko. Właśnie w te usta wetknięto świece. W powietrzu unosiła się intensywna woń kadzidła.

Wokół nakrytego czarnym obrusem stołu siedziało sześć osób. Pani Petris przedstawiła im Gwynna.

- Baira i Onex Ghiralfi. - Wskazała na dwie eleganckie kobiety siedzące obok siebie. Obie pochyliły z uśmiechem głowy. - A to jest porucznik Cutter. - Mężczyzna w mundurze halacjańskiego huzara wstał i uklonił się sztywno. - Kuzyn porucznika, Marcon. - Wątpy młodzieniec w wieku około osiemnastu lat, który mógłby uchodzić za niezwykle pięknego, gdyby jego spojrzenie nie było zupełnie martwe, powtórzył ukłon Cuttera. - Panią Yanein już chyba poznałeś.

Gruba, ale bardzo przystojna kobieta w średnim wieku, odziana we wdowią czerń i obwieszona rubinami, skinęła z uśmiechem głową.

- Na twoich urodzinach, moja droga. Był tak odważny, że ze mną zatańczył.

I wystarczająco ostrożny, by zrobić to tylko raz. Tego jednak Gwynn nie powiedział. W zeszłym roku dwóch starszych, bogatych hrabiów pojedykowało się o nią. Ten, który uszedł z życiem, został jej czwartym mężem. Miesiąc później już nie żył. Zmarł na atak serca, jak mówili ludzie, przynajmniej ci taktowni.

Gdy pani Petris już go przedstawiła i oznajmiła, że Gwynn zapewni im muzyczny akompaniament, uklonił się uprzejmie.

- Cieszę się, że miałem okazję was poznać, a panią spotkać ponownie, pani Yanein. Jestem tylko amatorem, ale zrobię, co będę mógł.

Twarz ostatniej osoby zasłaniał szal, spowijający jej głowę niczym głęboki kaptur. Na srebrnym stojaku przed nią umieszczono kryształową kulę. Pani Petris zwróciła się w tamtą stronę.

- Z dumą i radością przedstawiam ci madame Enoch, przez którą będą dziś do nas

przemawiać duchy.

Gwynn nigdy jeszcze nie słyszał o tym medium. Gdy kobieta zdjęła szal, ze zdziwieniem stwierdził, że ją zna. Pochodziła z Kraju Miedzi, była jednym z licznych tamtejszych wagabundów. Spotykał ją tam od czasu do czasu. Zajmowała się kurewstwem, handlem bronią, kradzieżą bydła, szulerką oraz aktorstwem. Widział, że ona również go poznaje.

Pokreślone kohlem oczy przyglądały mu się z wyraźnym rozbawieniem.

- Powiadają, że wszystkie najlepsze melodie należą do diabła. Nie sądzisz, że to prawda, młody człowieku?

- Madame, niedawno powiedziano mi, że muzycy stoją po stronie pewnego boga - odparł z uśmiechem Gwynn.

- Mam nadzieję, że nie przywołamy dziś nic nazbyt diabolicznego! - przerwał im porucznik Cutter, śmiejąc się nieco zbyt głośno.

- Och, mam wrażenie, że już to zrobiliśmy - odezwała się pani Yanein. Uniosła dłoń do tłustego gardła, przyglądając się z uwagą Gwynnowi.

- Mógłbym się z panią zgodzić, wdowo Yanein - odparł Gwynn. Kobieta roześmiała się, nieco swobodniej niż Cutter. Pani Petris wsparła ją radosnym chichotem.

- Gwynn, mój drogi... - Pociągnęła go za rękaw. - Chodź do pianina i zagraj nam coś. Jakąś uwerturę! Kiedy już porozmawiamy z duchami, urządzimy przyjęcie. Od spirytyzmu do spirytualiów.

Zawsze powtarzała ten sam żart. Wszyscy uśmiechnęli się albo roześmiali, poza młodym Marconem, który najwyraźniej nie widział powodu, by zachowywać się uprzejmie.

Pianino, również ozdobione fioletową gazą, stało pod ścianą nieopodal stołu. Gwynn usiadł na nakrytym kilimem stołku.

- Niech pan nam zagra coś niebiańskiego - poleciła madame Enoch. - Nie chcemy, żeby piekielne moce zakłóciły spokój porucznika Cuttera. Niech to będzie muzyka odpowiednia dla świętych misteriiów.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - dodał porucznik Cutter.

Gwynn zaczął od nieszkodliwej sonatiny w tonacji moll, która nie przeciążała zbytnio jego zmęczonych dłoni. Gdy tylko zagrał kilka tonów, madame Enoch rozkazała wszystkim złapać się za ręce i zamknąć oczy. Zaczęła się trząść i jęczeć. Po chwili nagłym szarpnięciem ciała oznajmiła przybycie pierwszego ducha. Był nim syn pani Petris. Przemówił do matki za pośrednictwem madame Enoch, zapewniając ją, że przebywa w raju. Zapytał matkę o zdrowie. Ona odpowiedziała, że wszystko z nią w porządku.

- Czy ty również czujesz się dobrze? - zapytała zmarłego syna pani Petris.

Zapewnił ją, że tak.

Gwynn usłyszał cichy odgłos, który szybko umilkł. Ktoś, nie potrafił powiedzieć kto, omal się nie roześmiał.

Następnie madame Enoch przywołała dla porucznika Cuttera ducha poległego towarzysza. Huzar wypowiedział pełnym żaźnienia tonem słowa przeprosin.

- A czy jest duch dla Marcona? - wycodziło potem medium.

- Nie - sprzeciwił się pośpiesznie chłopak. - Nie chcę z nikim rozmawiać.

Pani Yanein jednak chciała. Jej kolejka trwała najdłużej, pragnęła bowiem pomówić ze wszystkimi zmarłymi mężami. Pani Enoch świetnie się spisała, dając każdemu z nich inny głos, pani Yanein zaś wykazała się równie wielkimi zdolnościami aktorskimi, zapewniając kolejne cienie o swej miłości.

Gdy już pożegnała się z ostatnim mężem, hrabią, z ust madame Enoch wyrwały się warkliwe dźwięki. Gwynn uznał, że ma to znaczyć, iż „duchy” ją opuszczają i „znowu staje się sobą”. Przestał grać i odwrócił się.

Madame Enoch poderwała się nagle i chwyciła kryształową kulę. Pochylała się i dyszała ciężko, a w końcu udała, że wraca powoli do siebie.

- Jestem kompletnie wycieńczona - oznajmiła ochryłym głosem. - Zróbmy sobie przerwę. Pani Petris, napijmy się trochę shandy.

- Isobel, osiem razy shandy! - zawołała gospodyni, zwracając się w stronę kuchni.

Goście przenieśli się na fotele ustawione na drugim końcu pokoju. Gwynn również podążył w ich stronę. Zacheęcony uśmiechami Bairy i Onex Ghiralfi, zajął miejsce między nimi. Kącikiem oka zauważył, że pani Yanein usiadła blisko porucznika Cuttera. Pani Petris pograżyła się w rozmowie z madame Enoch, wypytując ją o życie pozagrobowe. Druga dawna gwiazdka sceny, obdarzona wyższą inteligencją, udzielała jej uspokajających odpowiedzi.

- Przyszły byt jest bardzo przyjemny, pani Petris - oznajmiła stanowczo. - Umarli nie muszą pracować i zawsze mogą robić, co chcą.

- Czy nigdy nie czują się nieszczęśliwi?

- Tylko w takim stopniu, w jakim to potrzebne, by przydać ich egzystencji cierpkiego smaku życia. Nie mogą cierpieć zbyt dotkliwie ani nazbyt długo. Oczywiście, nie mogą też umrzeć.

- Powiedz mi jeszcze, czy zawsze wiedzą, że umarli?

- Nie zawsze zdają sobie sprawę, jak bardzo są martwi - odparła madame Enoch.



Gwynn skupił uwagę na dwóch młodszych kobietach.

Baira powiedziała mu, że jest matematykiem, a Onex przedstawiła się jako astronom.

Gwynn nie wymienił swego zawodu i kobiety nie pytały go o to.

Isobel, służąca pani Petris, przyniosła szklanki na tacy.

Gwynn zaczął, aż siostry wezmą swoją, a następnie zrobił to samo.

- Teraz przyjdzie kolej na panie - zauważył. - Z kim w zaściatach chcecie porozmawiać, jeśli wolno zapytać?

- Z siostrą - odpowiedziały chórem.

- Było nas trzy - wyjaśniła Onex.

- Była architektem - dodała Baira. - Zginęła w wypadku na budowie.

- Przykro mi.

Gwynn zadał sobie pytanie, dlaczego siostry nie widzą, że madame Enoch jest oszustką. Być może jednak potrafiły to dostrzec i podobnie jak on przyszły tu wyłącznie z powodów towarzyskich.

Onex uśmiechnęła się smutno.

- My panu odpowiedziałyśmy - zauważyła Baira. - Teraz pan musi nam odpowiedzieć, z czym duchem chce pan rozmawiać.

- Nie, nie, ja jestem tylko elementem dekoracji. Nie zamierzam rozmawiać z umarłymi.

Onex wyciągnęła ku niemu rękę. Pozwolił, by ujęła jego dłoń. Jej kciuk delikatnie pogłaskał jego nadgarstek od spodu. Spojrzała mu w oczy, marszcząc brwi.

- Dlaczego szybko nie znajdzie pan swojej damy?

- Nie zgubiłem ostatnio żadnej damy - odparł.

Poczuł niepokój, ale starał się tego nie okazywać. Nagle przypomniał sobie nadzieje, jakie żywiła w stosunku do niego pani Petris. Z pewnością wspomniała o tym siostrze. Uspokoił się, rozbawiony.

Onex potrząsnęła głową.

- Dostrzegam w gwiazdach bardzo wiele. Regularności ich ruchu są językiem. Moja siostra widzi jeszcze więcej w liczbach. Co pan tu robi?

- Gram na pianinie, rozmawiam z wami, sprawiam przyjemność sąsiadce - odparł lekkim tonem Gwynn.

Obie siostry jednocześnie uniosły po jednej brwi.

- Rankiem, kiedy się budzę - zaczęła Onex - zawsze spoglądam w lustro i rozmawiam z nim, by się dowiedzieć, kim się stałam podczas snu. - Musnęła palcem mankiet jego

koszuli, gdzie wśród haftowanych nici błyszczały czworokątne diopsydy. - Pan wygląda na człowieka, który lubi swoje lustro.

- Ale z nim nie rozmawiam.

- Być może powinien pan. Proszę przynajmniej zastanowić się nad tym: kiedy gwiazda odbija się w rzece, można zaczerpnąć wodę w garść i w ten sposób pochwycić kawałek gwiazdy. Chyba że chce mi pan wmówić, że gwiazda i jej światło to coś innego?

Cokolwiek mógłby jej odpowiedzieć, nie miał szansy tego zrobić. Z ust madame Enoch nagle wyrwało się głośne, ochryple westchnienie. Wszyscy skierowali na nią spojrzenia. Kobieta wypuściła z rąk szklanke, która upadła na kolana pani Petris, złapała się za pierś, otworzyła szeroko usta i padła na podłogę twarzą do dołu.

Gwynn w pierwszej chwili pomyślał, że to kolejny pokaz aktorstwa, ale pani Petris uklękła szybko przy leżącej i odwróciła ją na plecy. Stało się oczywiste, że kobieta nie żyje.

- Jej serce nie wytrzymało - mruknęła pani Petris. - Biedaczka.

Pani Yanein spojrzała na zwłoki z wyrazem nieokreślonej aprobaty na twarzy.

- Nie sądzicie, że czas to jedyny drapieźnik, który w ostatecznym rozrachunku nie stoi po stronie życia? - zapytał Marcon zimnym, poważnym tonem.

Cutter odchrząknął.

- Czy powinienem, hmm, sprowadzić tragarza?

- Och... tak, chyba dobrze, żeby ktoś to zrobił - zgodziła się pani Petris.

Cutter opuścił pomieszczenie zamaszystym krokiem, zabierając ze sobą chłopaka o martwym spojrzeniu. Pani Yanein podążyła za nimi.

Siostry wstały jednocześnie, przekazały kondolencje i również wyszły. Po drodze obrzuciły Gwynna dziwnie wymownymi spojrzeniami, jakby ich trójka znała jakąś tajemnicę.

Gwynn został sam z panią Petris. Kiedy się zorientowała, że nie zamierza jej opuścić razem z pozostałymi, podbiegła do niego, wtuliła mu twarz w pierś i zalała się łzami. Zaprowadził ją do sofy, a potem polecił Isobel posiedzieć z nią, dopóki nie przyjdzie tragarz. Nie chciał, żeby panią Petris obciążono kosztami wyniesienia ciała, dał więc służącej pieniądze na wypadek, gdyby Cutter tego nie zrobił.

Przed wyjściem popatrzył jeszcze na zmarłą madame Enoch. W gruncie rzeczy miała szczęście: nie skończyła w płytkim grobie wykopanym na pustyni i znalazła sobie nowe życie, choćby nawet śmieszne. Analogia nie umknęła jego uwagi.

Zszedł na dół i wyszedł na taras.

Lekki wietrzyk przyniósł ze wzgórz wonności, rzucając wyzwanie bijącemu od Skamandra odorowi dymu silnikowego oraz cuchnącego mułu. Noc była pogodna.

Zapalił auto-da-fé. Nie czuł się zmęczony. Wypełniał go niepokój.

Zaciągnął się kilka razy i wyrzucił papierosa do rzeki. Miał ochotę na coś weselszego. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio porządnie się zabawiał. Spojrzał na kieszonkowy zegarek. Było zaledwie pół godziny po północy, postanowił więc złożyć wizytę wujkowi Vanbutchellowi. Poszedł do stajni i osiodłał konia.

\*\*\*

Vanbutchell mieszkał w starym getcie lekarzy, po drugiej stronie rzeki. Gwynn pojechał ulicami biegnącymi powyżej Corozo, skręcił na wschód, na Paradę Tourbilliona i podążał nią całą milę, docierając aż do modnego końca, gdzie tłumy gości kłębiły się w ulicznych barach przed wejściem do kabaretów, siedząc pod markizami i pod ozdobionymi frędzlami parasolami, albo tańczyły w pozbawionych ścian salach balowych o nazwach takich, jak „Zapomniane Godziny” czy „Plotki o Rozkoszy”. Z każdych drzwi dobiegała muzyka i wszystkie te melodie zderzały się ze sobą na ulicy niczym pijacy.

Gwynn przedostał się przez tłum, nie zwracając na otaczających go ludzi większej uwagi. Myślał o przeszłości. Wróciły doń ostatnie wspomnienia z klanowej cytadeli w Falias. Jej czarne, bazaltowe mury skuł lód, a dachy i kopuły pokrywała gruba warstwa śniegu. Ulice, które rzadko bywały gościnne, opustoszały całkowicie. Wszyscy przebywali w wielkiej sali położonej w głębi fortecy. Setki ludzi siedziały na poduszkach wokół ustawionych w koncentrycznych kręgach na podłodze palników, w których palił się niebieskim płomieniem gaz. Gotowali, pili i rozmawiali. Przez krąg błękitnego światła przewijali się ambasadorowie, petenci oraz artyści. Raz na miesiąc, późną nocą, majordomus uderzał w gong i wróżki wchodziły gęsiego do sali, by przepowiadać przyszłość i przeklinać wrogów klanu. Uważały legendy za prawdę, taniec gwiazd za klucz do wiedzy, a północny wiatr za pieśń z krainy umarłych. Ich przepowiednie często się sprawdzały.

Głęboko zakorzeniony w anvallickim społeczeństwie ateizm nie kłócił się z równie głęboko zakorzenionym szacunkiem dla przodków oraz dla ich mocy. Jeżeli umarli członkowie klanu udzielali wsparcia żywym, zawsze zwiększało to popularność rządzącej rodziny. W latach, gdy przodkowie okazywali powściągliwość, sprawujący władzę musieli być bardzo ostrożni.

Opowiadano, że dusze wróżek potrafią swobodnie wędrować między codziennym światem a zaświatami. Czas i odległość osłabiły młodzieńczą wiarę Gwynna w ów drugi świat, skutą lodem krainę duchów pod gwiazdzistym niebem. Jej miejsce zajęła obojętność.

Nie utracił jednak całkowicie zdolności do wiary. Madame Enoch była oszustką, ale nie potrafił w podobny sposób zlekceważyć Onex Ghiralfi. Trochę żałował, że nie zapytał jej, co widzi w gwiazdach.

Gwynn dotarł jasno oświetloną ulicą aż do Mostu Ognia. Strzegła go para mosiężnych gigantów, mężczyzna i kobieta. W uniesionych rękach trzymali ongiś pochodnie, teraz zastąpione lampami gazowymi. Gwynn wjechał na most, dołączając do tłumu jeźdźców, pieszych, powozów oraz lektyk zmierzających na drugą stronę. Gdy już znalazł się na brzegu, skręcił na zachód, ku Schodom Kła, minął Małe Wieże i ponownie skręcił na zachód, w stronę Bramy Omfale stanowiącej wejście do getta. Usłyszał, że zegar wybił pierwszą. Kilkakrotnie zmieniał kierunek na dziedzińcach i w pogrążonych w mroku krytych przejściach, aż wreszcie dotarł do uliczki, przy której mieszkał Vanbutchell. Była wąska, bardzo stroma i pozbawiona nawierzchni. Budynki były tu drewniane. Pod okapem domu Vanbutchella umieszczono mahoniowe chimery, a na małym patio znajdowała się mozaika przedstawiająca alchemiczną alegorię. Przed wejściem paliła się lampa oliwna. Gwynn pociągnął za sznurek dzwonka u drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział. Ponawiał próbę kilkakrotnie, lecz bez rezultatu. Vanbutchell albo wyszedł, albo doprowadził się do stanu nieprzytomności jednym ze swych eliksirów. Gwynn dał za wygraną i rozważył inne stojące przed nim opcje. Znajdował się niedaleko Schodów Żurawich. Między nimi a Świetlistą znajdowało się największe nocne targowisko w mieście. Znał tam kilku handlarzy, skierował się więc w jego stronę.

U podnóża Schodów Żurawich pojechał na skróty Pasażem Wioli. Końskie kopyta stukwały w płytki nawierzchni z głuchym pogłosem. Wyjechał z pasażu prosto na nocne targowisko, do zaułka dmuchaczy szkła. Było tu tłoczno i musiał zwolnić do leniwego stępa. Gdy przepychał się przez tłum, jego spojrzenie przyciągnęły bańki stopionego szkła, które tańczyły na końcu długich prętów i rosły powoli, przechodząc w wielkie sfery, lśniące i półprzezroczyste. Skręcił w lewo, w ulicę szlifierzy drogich kamieni. Oferowano tam na sprzedaż stopy wyszywanych paciorkami albo inkrustowanych wachlarzy, pantofelków, rękawiczek, sztuców, przyborów do pisania i wszystkiego, co można było ozdobić klejnotami. Widział nawet przetrzymywane w akwariach żywe żółwie, w skorupy których wprawiono drogie kamienie ułożone w geometryczne figury. Potem skręcił w zaułek cukierników, a następnie producentów gwoździ, i pisarzy listów. Później przeciął placyk zajęty przez wytwórców klatek dla ptaków i owadów. Owi rzemieślnicy dzielili się miejscem z mężczyzną sprzedającym krokodyle jaja pomalowane w jaskrawe kolory oraz z dwiema nastoletnimi dziewczętami oferującymi na sprzedaż chłopca o zażawionych oczach.

Ta trasa doprowadziła Gwynna do rogu ulicy tkaczy, która wiała się przez całe targowisko, wielokrotnie zawracając i krzyżując się ze sobą. Wzdłuż całej ulicy i ponad nią wisiały na tyczkach i drutach tkaniny oraz dywany. Obok nich zawieszono zapalone świece, pozwalające zobaczyć barwy i wzory. Cała ulica wyglądała jak długi, różnobarwny namiot albo zrzucona skóra kolorowego węża. Gwynn szedł nią przez krótki czas, a potem skręcił w mały labirynt zaułków na samej krawędzi rynku, gdzie rezydowali farmaceuci. Szukał kabiny o jaskrawoniebieskich zasłonach i znalazł ją. Obok stała młoda dziewczyna. Podeszła bliżej i zapytała, czy Gwynn chce zostawić konia. Odpowiedział twierdząco i wręczył jej wodze. Potem wszedł do kabiny i po krótkiej chwili ją opuścił.

Obok biegło kilka ulic niestanowiących części targowiska. Panowała na nich ciemność, ale nie były opustoszałe. Gwynn ruszył jedną z nich, znalazł wolny ganek i wyjął swój zakup: dwie zakorkowane fiołki, w tym jedna oznakowana srebrną plamką. Nalał płyn z oznakowanego flakonika do drugiego i uniósł go do ust. Gdy chemikalia weszły w reakcję, naczynko wypełniła para. Gwynn wciągnął ją w płuca i oparł się o drzwi.

Wzdłuż jego kręgosłupa szybko przebiegły ukłucia gorąca. Usta i gardło wypełniła mu suchość, której towarzyszyło straszliwe swędzenie. Kości bolały go, jakby próbowały je złamać olbrzymie ręce, a oczy wydawały się opuchnięte i wypełnione piaskiem.

Po około pięciu minutach tych niemiłych wrażeń zastąpiły je inne, znacznie przyjemniejsze.

Wkrótce Gwynn czuł się już tak szczęśliwy i pełen radości, że nie był w stanie się ruszyć.

Euforia trwała z górą godzinę, nim zaczęła powoli słabnąć. Gwynn mógł otworzyć oczy i opuścić zaułek. Kręciło mu się w głowie i nadal był w wyjątkowo dobrym nastroju. Wsunął w dłoń dziewczyny hojny napiwek, wspiął się na siodło i odjechał.

Nie opuszczał go upojny humor, a za towarzystwo miał jedynie własny umysł.

- Coś w gwiazdach. I co ty na to powiesz? - zapytał konia.

- Jakich gwiazdach? - zdziwił się wierzchowiec, podrzucając łbem, by wskazać żółtą mgłę nad nimi. - Gwiazdy znajdują się w stanie bytu lub niebytu, zależnie od tego, czy je widzę. Nie widzę ich, w związku z tym ich nie ma. Gwiazdom mówię stanowcze nie.

- Mylisz się, koniu. Gwiazdy istnieją.

- Masz w sobie mnóstwo wiary. Czy jutro wstanie dzień?

- Poszukam dziś w nocy owej damy - zapowiedział Gwynn. - Tego nieuchwytnego imago kobiety.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł, prosty i nieodparty jak doskonały krąg.

Wróci na ulicę tkaczy i pojedzie wzdłuż niej. Dzięki magicznemu skojarzeniu ulica stanie się gnostycką nicią, która zaprowadzi go ku temu, co najbardziej pragnął odnaleźć. Temu, co ujrzał w twarzy sfinksa, czy była to prawdziwa zagadka, bezsensowna zagadka, czy może w ogóle nie było żadnej zagadki. Zdawał sobie sprawę, że z reguły to rolą świata jest stawianie ludziom trudnych i absurdalnych zadań, nie *vice versa*. Nie widział jednak powodu, by musiało to być powszechnie obowiązującą zasadą, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy ludzie zaczęli demonstrować, że są zdolni do władania światem.

- Chyba nadal jestem na haju.
- Jesteś - zgodził się koń.
- Ta przygoda pozwoli nam poddać próbie naturę świata.
- Minąłeś tę ulicę, rewolwerowcu.
- Spokojnie, koniu, dogonimy ją.

Gwynn jechał przed siebie, aż wreszcie ulica tkaczy znowu przecięła jego drogę. Potem zagłębił się w labirynt tkanin. Towarzyszył mu radosny, władczy nastrój.

Podczas drogi przez ulicę wypełniający jego organizm narkotyk ułatwiał mu radowanie się szczególnego rodzaju przyjemnością: urokiem albo czarem nocy, w którym serce, spragnione tajemnicy, i oczy, uwielbiające niejasność, zderzają się z instynktem przetrwania, nakazującym widzieć wszystko jasno. W konflikt z nastrojem Gwynna, chcącego, by świat zmienił się stosownie do jego życzeń, weszło przeciwstawne pragnienie, by porwało go i zmieniło coś potężniejszego niż on.

Zepsuło?

Zaraziło?

Nakarmiło?

Nie potrafił nazwać tego pożądanego.

Malowniczy tunel wił się w górę i w dół, a także na boki. Gwynn jechał wciąż przed siebie. W każdym tkanym wzorze widział zamek czekający na klucz albo wytrych, w każdym czarnym cieniu odwrotną stronę powierzchni wystawionej na ukryty blask, a za każdą twarzą nie jedną istotę, lecz wiele, nieustannie się tasujących tożsamości.

Czy artystka nie mogła się ukrywać w jednej z owych talii postaci? Wyobraził ją sobie jako szkarłatną kartę, królową problemów.

Nasunęła mu się myśl, że sfinks z pewnością jest najbardziej wyrafinowaną z bajecznych bestii. Nie zabijał dla zaspokojenia zwierzęcego głodu ani z powodu ślepego gniewu, lecz świadomie eliminował głupców, którzy nie potrafili dostarczyć mu rozrywki. Rozmawiając ze swymi ofiarami, sugerował, że szuka ucieczki przed samotnością - musiał

wszak być samotny, nie miał bowiem równych sobie - a owo zachowanie sugerowało, że jeśli potwór posiada samowiedzę, którą oferował jako nagrodę za prawidłową odpowiedź, owa samowiedza nie wystarczała, by zapobiec nudzie. Być może należało go uznać za herb klas gadających. Jeśli jednak chodzi o bazyliuszka, Gwynn nie był pewien, czy ma on jakikolwiek cel poza tym, że jest oczywistym symbolem niebezpieczeństwa, rynsztokowym kuzynem dumnego smoka, czymś, co wzbudza przelotny podziw i strach, ale potem eliminuje się to bez żalu.

W tej właśnie chwili coś dosłownie wpadło mu w oko. Gwynn zamrugał i usunął obcy przedmiot.

To był długi włos.

Włos ciemnoczerwonej barwy, przywodzącej na myśl wino, krew oraz świecące przez cały dzień słońce dalekiej północy. A także szczególną barwę czerwonego tuszu. Włos wplątał się w grubą brokatową tkaninę. Gwynn uwolnił go delikatnie i uniósł pod światło najbliższej świecy.

W pełgającym świetle włos zaśnił szklistym blaskiem. To była śmiała, wulkaniczna czerwień. Królewska czerwień leżąca w jego lewej dłoni, linia świetlistej jasności.

Na jego twarzy - bez wiedzy i pozwolenia umysłu - wykwitł uśmiech pełen zdumienia i całkowicie niewinnego zachwyty. Potem Gwynn zaatakował właściciela straganu, nad którym wisiała tkanina. Pokazał mu włos i zapytał, czy zna osobę, do której należy. Właściciel popatrzył nań jak na szaleńca i odpowiedział, że nic nie wie na ten temat. Zasugerował jednak, że jeśli zwróci się do kobiety siedzącej na rogu ulicy tkaczy oraz zaułka skrybów i zapłaci jej dwukrotnie więcej, niż ta od niego zażąda, być może będzie mogła go oświecić.

Gwynn owinał włos wokół palca wskazującego i wsunął dłoń do rękawiczki, żeby go nie zgubić. Nie ruszył jednak prosto w stronę zaułka skrybów. Odnosił wrażenie, że to byłby nadmierny pośpiech. Chciał jeszcze przez jakiś czas napawać się chwilą odkrycia, przeciągnąć ją, by się przekonać, co się z nią stanie. Dopiero później przejdzie do następnej fazy.

Skreślił w wąski zaułek ołowiarzy, który zaprowadził go na skraj rynku. Po drugiej stronie ulicy znajdował się znany mu bar o nazwie Carrefour. Przywiązał konia do poręczy, gdzie odzwierny mógł mieć go na oku, wszedł do środka i zamówił *ale*. W barze było tłoczno i Gwynn zajął ostatnie wolne miejsce przy stoliku, za którym siedziało trzech nieznajomych mężczyzn. Czując się niewidzialny dla ich oczu, zdjął rękawiczkę i wbił spojrzenie w owinięty wokół palca włos, sącząc jednocześnie piwo. Próbował zdecydować, co właściwie

oznacza jego odkrycie, ale wysiłek umysłowy, jakiego to wymagało, okazał się zbyt wielki dla jego zmęczonego umysłu. Jego myśli zachowywały się jak bardzo lotny płyn.

Nagle ze zdziwieniem usłyszał głos siedzącego obok mężczyzny:

- Niech mi pan wybaczy, ale wygląda mi pan na szalonego poetę. Głos brzmiał ochryple i oschle, a ukryta w połowie za czarnym szalikiem twarz przypominała długi, ostry cień. Pił whisky.

Gwynn przyjrzał mu się z uwagą, a potem potrząsnął głową.

- Nie. Jestem taki sam, jak pan.

- Tak też myślałem - przyznał nieznajomy. - W przeciwnym razie pański wygląd nie przyciągnąłby mojej uwagi. Co więc oznacza ten... włos?

- To prezent. Podarunek.

- Często dostaje pan prezenty?

- Rzadko.

- Tego również się domyśliłem. - W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta satysfakcji. - To znaczy, że miał pan szczęśliwy dzień.

- Na to wygląda.

- Wie pan, pewnego dnia, przed wielu laty, siedziałem sobie nad morzem i obracałem w rękach szklaneczkę, tak samo jak teraz - zaczął nieznajomy. - Nagle z zamyślenia wyrwał mnie wielki cień, który padł na ulicę. Uniosłem wzrok i zobaczyłem statek, parowiec, największy jaki w życiu widziałem. Oceaniczny. W owej chwili w moim życiu zaszła gruntowna zmiana. We mgnieniu oka uświadomiłem sobie, jak wiele spraw mnie ominęło. Wiedziałem, że statek przyplłynął tu dla mnie, że powinienem wsiąść na jego pokład. Niech pan nie pyta skąd. Czasami takie rzeczy po prostu się wie. Nie ruszyłem się jednak z miejsca. Byłem wówczas zbyt pełen nienawiści, rozumie pan? Nienawidziłem nawet tego statku. Dlatego przekląłem go, przekląłem jego cień, kapitana i wszystkich, którzy przebywali na pokładzie. Czasami wydaje mi się, że nadal tam siedzę, spoglądam na statek i przeklinam go, jak największy głupiec na ziemi. Gdybym jednak znalazł rudy włos, taki jak ten, myślę, że potrafiłbym trafić na pokład. Wie pan dlaczego? Napis na burcie brzmiał *Szkarłatna Linia*. Wiedziałbym, że to znak. Czasami znak to wszystko, czego potrzeba człowiekowi, by mógł zebrać odwagę. Gdybym znalazł kiedyś ten włos, który ma pan na palcu, pewnie zostałbym już księciem w swoim własnym kraju. - Pokiwał głową. - Tak jest, byłbym kimś ważnym.

Człowiek siedzący naprzeciwko uśmiechnął się z goryczą. Był młodszy, od stóp do głów spowijał go czarny aksamit.

- Panowie, jestem muzykiem. To ciekawe, że kiedyś śniło mi się, że znalazłem



czerveną strunę do lutni, włókno, które na potrzeby tej rozmowy możemy uznać za podobne do włosa. W swym śnie nałożyłem ją na lutnię i dzięki niej mogłem grać muzykę, jakiej nigdy dotąd nie słyszano na świecie. Ale po przebudzeniu nie pamiętałem ani jednego dźwięku. Mogę wam jedynie powiedzieć, że wyrażała życie pełne piękna, uczuć i odważnych czynów. To była muzyka zaczarowanej duszy. Mojej duszy. Od tego czasu ciągle próbuję ją odnaleźć, lecz bez powodzenia. - Popatrzył na Gwynna. - Teraz jednak zrodziło się we mnie przekonanie, że trzyma pan w rękach nić mojego geniuszu. Panu na nic się ona nie przyda, dlatego proszę, by mi ją pan oddał. Patrząc na pana palce, widzę, że gra pan na jakimś instrumencie. Z pewnością rozumie pan, ile wycierpiałem. Jego podbródek drżał. Wydawało się, że mężczyzna jest na granicy łez. Potem przemówił trzeci gość, stary i chudy jak szkielet: - Mogę wam opowiedzieć o minotaurze. Ów potwór narodził się w starym, czarnym mieście łowców słoni. Mogłoby się zdawać, że było to brutalne, lecz proste miejsce, w którym każdy mógł się obawiać, że zamordują go dla jego zębów. To było wystarczająco nieprzyjemne, ale prawda o niegodziwości panującej w miasteczku nie była aż tak prosta. Rosły tam figowce i cyprysy, a nocą ich liście kołysały się gwałtownie, choć nie wiał wiatr. Rankiem znajdowano czaszki małp, zawieszane na gałęziach. Z zamkniętych na kłódki pokojów, w których nie było okien, znikaly dzieci. Każda rodzina co pokolenie traciła w ten sposób jedno albo dwoje. Natomiast te, które ocalały, wyrastały na złych, wypaczonych ludzi. Nikt nigdy nie odzywał się do minotaura, chyba żeby po to, by z niego drwić. Nikt nigdy go nie dotykał, najwyżej okładano go pałkami. Kiedy miał dziesięć lat, uciekł z osady. Nikt nigdy mu nie powiedział, że w szerokim świecie znajdzie coś lepszego, ale od czasu do czasu czuł niezwykle, cudowne zapachy przynoszone przez wiatr. Prześledził też wzrokiem szlak słońca na niebie i pragnął podążyć za nim dalej, poza horyzont. Ucieczka nie osłodziła jednak w żadnym stopniu jego bytu. Wręcz przeciwnie, spotykały go kolejne katastrofy, dręczyły cierpienia zarówno dobrze znane, jak i nowe: rozpaczliwa samotność, choroba, głód, pokazy dziwolągów, brak szczęścia u kobiet, walki byków w ubogich wioskach, których mieszkańcy nie mogli sobie pozwolić na prawdziwego byka, pobyty w więzieniu. To życie budziło w nim wściekłość, strach i oszołomienie. Nigdy nie nadano mu imienia. Po długim czasie znalazł wreszcie pracę jako pomocnik grabarza. Był on okrutnym człowiekiem i chłostał swego pracownika za dnia i w nocy. Po kilku tygodniach takiego traktowania minotaur rozbił mu czaszkę łopatą. Złapała go milicja. Próbowali go powiesić, ale jego szyja wytrzymała, a sznur się zerwał. Rzucił się do szarży i zdołał uciec. Czmychnął w góry i tam wreszcie dokonał czegoś, co ludzie, przynajmniej niektórzy, mogli szanować. Przyjęto go do bandy rozbójników. Towarzysze nadali mu imię „Byczek”. Jego ludzka strona nie interesowała ich zbytnio, ale byka polubili.

Zabił jeszcze wielu ludzi. Rabował, palił i plądrował, robił wszystko, co robili inni zbójcy. Nauczył się chodzić wyprostowany, mimo że miał ciężką głowę, a nawet kroczyć butnie. Dla zaspokojenia żądzy czasami wybierał kobiety, a innym razem krowy. Jego pragnienia były niejasne. Pewne rzeczy darzył czystą, instynktowną miłością: zbutwiałe siano, księżyc w pełni, gitarową muzykę. Żadna z nich nie mogła jednak zmienić jego losu. Pewnego roku wybuchła wojna. Minotaur zaciągnął się do armii. W jego sercu nie płonął rzecz jasna ogień patriotyzmu. Po prostu przyszło mu do głowy, że nieźle by było robić to co zawsze i brać za to regularną pensję. Tak oto stanął wreszcie na własnych nogach. Jako półzwierzę - coś więcej, a zarazem coś mniej niż człowiek - był urodzonym żołnierzem. Kule nigdy go nie tknęły. Mogłoby się здаwać, że chroni go magia. Żołnierze cenili jego towarzystwo. Przynosił im szczęście. Nauczyli się rozumieć jego ryczącą mowę i prosty język znaków, którym ją uzupełniał. Awansował szybko jak orzeł wzbijający się ku niebu. Odnosił zwycięstwa i zbierał medale. Został bohaterem. Kobiety oddawały mu się z chęcią i zapomniał o krowach. Zrobiono go generałem. Wspominano nawet, że ma poślubić królową. Okazało się, że jednak jest dla niego na świecie wspaniałe miejsce. Tak mu się przynajmniej zdawało. Niestety, nieprzyjaciel zwyciężył. Ludzie byli rozgoryczeni i poszukiwali kozła ofiarnego. Minotaura zamknięto w lochu. Żołnierze z jego własnej armii wyprowadzili go na dziedziniec i zdarli mu szczypcami epolety, a następnie urwali jądra. Zawiazali mu oczy opaską, rzucili na wóz, zawieźli go do labiryntu i zamknęli w nim. Przerażone skurwysyny pochowały go żywcem. Karmili go zgniłymi jabłkami i cebulami, wrzucanymi do szybów zbyt głębokich, by mógł się wspiąć na górę. Cała reszta jego długiego życia była przygębającym korowodem wciąż pogłębiającej się ciemności, coraz węższych tuneli, samotności, pogardy dla siebie i świata, tłuczenia głową o ściany i kopyt ślizgających się w gnoju. Czasami minotaurowi śniła się czerwona nić, która zaprowadzi go do wyjścia. Jeśli nawet jednak taka nić istniała, w ciemności nie byłby w stanie jej odnaleźć.

- To jednak dopiero początek opowieści - podjął po krótkiej przerwie staruszek. - Kule nie miały się minotaura, ponieważ nie był realny. Był postacią ze snu człowieka, który siedział samotnie w lochu. Więzień nie miał pojęcia, na czym polegała jego zbrodnia ani jak brzmiał wyrok. Nie było żadnego procesu. Poza zamkniętymi drzwiami w murach celi były tylko dwa otwory: okno, położone zbyt wysoko, by mógł przez nie wyglądać, oraz odpływ w podłodze. Po pierwszym miesiącu więzienia, gdy był pewien, że popada w obłęd, razem z tacą z porannym posiłkiem do jego celi wsunięto karty papieru oraz pióro, stalówki i atrament. Policzył papier. Kart było dokładnie sto. Na chwilę poczuł się nieco mniej nieszczęśliwy, to jednak szybko minęło. Potem dopadł go lęk silniejszy niż kiedykolwiek od

chwili uwięzienia. Wiedział, że musi się domyślić, do czego ma służyć papier. Każda oznaka łaskawości ze strony tych, którzy go więzili, była coś warta. Nie potrafił też powstrzymać nadziei na coś więcej, coś szalonego: że dano mu szansę ocalenia, jeśli tylko potrafi znaleźć właściwe słowa. Mógł napisać przyznanie się do winy, zostawiając wolne miejsce, w które ktoś będzie mógł wpisać nazwę zbrodni, albo zapewnić, że jest niewinny. Mógł błagać uniżenie, przedstawić wiarygodne alibi bądź napisać gniewny traktat, który zademonstruje jego odwagę i być może da mu prawo do życia. Mógł też spróbować napisać coś tak głębokiego, pięknego albo dowcipnego, że jego prześladowcy uznają, że zasłużył na wolność. Doszedł do wniosku, że musiałyby mu sprzyjać wielkie szczęście. Nigdy nie był dobrym hazardzistą. Potem nasunęła mu się myśl, że papier miał być narzędziem tortur. Mógł przyjąć założenie, że jutro umrze albo popadnie w obłąd, i bezzwłocznie wypełnić wszystkie karty pisaniną, w nadziei że uzyska zbawienie albo przynajmniej zostawi coś po sobie i w przyszłości być może ktoś to odnajdzie. Z drugiej strony, mógł założyć, że spędzi w samotności wiele lat bądź nawet dziesięcioleci, a w takim przypadku powinien zużywać papier bardzo oszczędnie, pisać codziennie tylko parę słów i długo nad nimi medytować. W ten sposób dostarczyłby umysłowi zajęcia i powstrzymałby nadciągającego pawiana szaleństwa. Niewykluczone, że jeśli wytrzyma wystarczająco długo, dadzą mu więcej papieru albo jakieś inne źródło rozrywki. Będzie jednak musiał zdecydować, co uczyni, i podejmować tę samą decyzję jutro, pojutrze oraz każdego następnego dnia. Codziennie pytanie, ile i jakich słów ma dziś napisać, będzie dla niego sprawą życia i śmierci, obłąd lub normalności. Co prawda, bez trudu potrafiłby sobie wyobrazić straszliwsze, bardziej bolesne tortury, ale nie był w nastroju do dziękowania losowi. Przez cały dzień leżał jak kłoda, nie mogąc wziąć w rękę pióra ani zrobić czegokolwiek. Przywitał noc cichym jękiem wyczerpanego dziecka. Powtarzał sobie, że każda śmiertelna istota spotyka się codziennie z najrozmaitszymi ograniczeniami, że przedtem również żył we mgle nieświadomości, oddalony od innych ludzi i bezradny wobec kaprysów losu, a w związku z tym jego sytuacja przed uwięzieniem nie różniła się zbyt wiele od obecnej. Podobna sofistyka nie robiła jednak na nim wrażenia. Nocą nawiedził go długi i nieprzyjemny sen o minotaurze, sen, który zdawał się trwać znacznie dłużej niż godziny nocy. Żył życiem owej istoty, dzień po dniu, przez całe dziesięciolecia, aż wreszcie światło skłoniło go do rozwarcia powiek.

- O, minotaurze! - jęknął, ocierając łzy z twarzy. - Twa ciężka głowa opada niczym narcyz rosnący nad wodospadem. Rana w twym kroczu się paskudzi. Przez okres równy długiemu obiegowi szóstej planety wokół słońca nie słyszałeś nic poza własnym, żalobnym rykiem. Nie przyszło ci jednak do głowy, by własnymi rogami otworzyć tętnicę w swym

udzie i w ten sposób zakończyć swe życie. To dowodzi, że jednak jest w tobie więcej zwierzęcia niż człowieka. Gdy byłem tobą, nie potrafiłem pomyśleć o samobójstwie i w związku z tym musiałem cierpieć, dopóki nie obudziło mnie światło. To zapewne zakończyło twe życie. O, łaskawe moce, wycierpiałem wyrok wystarczająco srogi, by zadośćuczynić za każdą zbrodnię! Ponieważ spędziłem w więzieniu tak wiele czasu, wycierpiałem tak wiele i popadłem w tak głęboki obłąd, powinienem natychmiast odzyskać wolność! Co więcej, uważam, że należy mi się rekompensata!

W miarę, jak przechodził od języka snów do języka jawy, jego głos przesycalo coraz silniejsze oburzenie. Zdawał sobie sprawę, jak śmiesznie brzmi. Szczerze pragnął, by postępowano z nim uczciwie, nie znał jednak żadnego powodu, dla którego akurat jego spośród wszystkich ludzi miałby spotkać podobny zaszczyt. Wspomnienie snu o minotaurze prześladowało go przez cały dzień, cały czas towarzyszyło jego myślom, niczym czarny pies śledzący wędrowców na odludnych traktach. Nie był w stanie myśleć o niczym innym. Gdy zapadła noc, usiadł na łóżku, czyniąc sobie wyrzuty za to, że zmarnował cały dzień na bezsensowne rozpamiętywanie wciąż tych samych obrazów. Wyobrażał sobie ciemność, czekającą niecierpliwie w zimnym półmroku barwy indygo, który ogarnął świat poza więzieniem, pragnącą pochłonąć łupinę zjedzonego dnia. Myśl o nocy napelniała go lękiem. Gdy jednak zamknął oczy, znalazł się wewnątrz snu równie czarującego, jak sen o minotaurze był przerażający. Tym razem był zielonym ptakiem, który zaprzyjaźnił się z księżniczką. Dziewczyna uciekła z zamku i wypłynęła żaglówką na morze, a ptak żeglował wraz z nią i razem przeżywali różne przygody. Pod koniec snu księżniczka zamieniła się w czerwonego ptaka, a potem oba ptaki - czerwony i zielony - odleciały razem ku gwiazdom letniego nieba. Ten sen również trwał wiele lat. Mogłoby się zdawać, że jego umysł generuje czas. Nawet jeśli rankiem czekała go egzekucja, przeżył już więcej lat niż zwykły człowiek, aczkolwiek połowę tego czasu spędził w duchowym i cielesnym piekle. Nagle odpowiedź na trudne pytanie, co zrobić z papierem, stała się dla niego oczywista.

- Mam dla tych, którzy mnie uwięzili, jedynie pogardę. Nie interesują mnie ani oni, ani ich świat. Nie przyznaję się do godzin, które spędzam na jawie w ich więzieniu - oznajmił uroczyście sam sobie. - Tylko sen należy do mnie i spiszę świadectwo z wydarzeń, które wyśniłem. Zużyję tyle papieru, ile uznam za stosowne. Nie wiem, w co grają moi prześladowcy, i nie znam zasad. Dlatego nie podejmę gry. Nie będę nawet próbował.

Usiadł, wziął w rękę kartę papieru i zapisał wszystko, co zapamiętał z dwóch długich snów. Ponieważ nie chciał się zniżyć do komunikowania się z prześladowcami, nawet przypadkowo, skończywszy pisać, podarł kartę i wrzucił ją do spływu. Od razu poczuł się

odważny, jakby zaczął potajemnie pracować dla jakiejś szlachetnej sprawy. Mijały dni. Co noc nawiedzały go sny, a każdy trwał długie lata i był niezwykły. W niektórych miał dobre życie, w innych zaś złe. Grał role bohatera, czarnego charakteru, ofiary, kochanka, zdrajcy i błazna. Pytanie, na czym mogła polegać jego zbrodnia i jak ma uniknąć kary, straciło dla niego znaczenie. Miało czysto hipotetyczny charakter. Więzień w zasadzie przestał istnieć jako odrębna osoba. Jego nocne wcielenia zdominowały go całkowicie. Istniał wyłącznie wtedy, gdy miał zamknięte oczy. Kiedy zabrakło papieru, ucieszył się z tego, gdyż należał on do jego dawnego życia, którym obecnie gardził. Następnej nocy miał sen normalnej długości. Śniło mu się, że w celi odwiedził go jowialny mężczyzna, który oznajmił, że wszystko to było próbą, której poddał się dobrowolnie i za którą otrzyma sowitą zapłatę. Kiedy się obudził, czuł się niedobrze, a prawa ręka go bolała. Spojrzał na nią i zobaczył, że ucięto mu palce, a potem zabandażowano dłoń. Do celi przyniesiono tacę, a wraz z nią kolejny plik papieru. Stało przed nim pytanie, czy ucięcie palców było okrutną, czy raczej łagodną karą. Wkrótce z niesmakiem i wstydem uświadomił sobie, że myśli jak jego dawne wcielenie. Pozbawiając go części ciała, tajemniczy dręczyciele zdołali przyciągnąć jego uwagę. Poprzysiągł, że będzie kontynuował oniryczny żywot, ale nie potrafił już uwierzyć w siebie. Okaleczenie zbyt silnie nim wstrząsnęło. Pomimo wszelkich starań nie potrafił odzyskać obojętności. Od tej pory każdej nocy śniło mu się, że przebywa w celi, tak samo jak za dnia. Rzecz jasna, popadł w obłęd. Pewnego dnia popełnił w swym szaleństwie groteskowy uczynek. Wsadził lewą dłoń do spływu, gdyż zaczął go interesować bijący stamtąd smród. Nie odkrył tam jednak nic poza cuchnącą cieczą. Gdyby tylko znalazł czerwoną nić, panowie! Bardzo długą czerwoną nić z przywiązaniem na końcu kluczem. Kluczem, który cały ten czas leżał w nieznanym wodach, w morzach położonych poza ściekami świata. Trzeba go tylko było przyciągnąć. Potem wsunąłby klucz pod drzwi i ci, których zwał swymi prześladowcami, mogliby go wreszcie wypuścić.

Opowieść dobiegła końca. Staruszek osunął się na blat i zalał łzami.

- Staralem się! - łkał. - Tak bardzo się starałem. Próbowałem wszystkiego. - Przeszył Gwynna spojrzeniem pełnym niewysłowionego gniewu. - Kto ci dał prawo zatrzymać tę boską nitkę, nędzniku?

- On ma rację - poparł go mężczyzna z szalikiem. - Mam wrażenie, że ten włos może być coś dla nas wart. Więcej niż dla pana, nieznajomy.

- Powinniśmy o niego zagrać - oznajmił młody mężczyzna w aksamitnym stroju. - Jaką grę lubi pan najbardziej? Pokera, kości?

Gwynn wstał. Jego ciekawość została zaspokojona z nawiązką. Chwila mogła nie

tylko dojrzyć, lecz najwyraźniej również zgnić, a taki przejrzały moment cuchnął paskudnie.

Z torby u pasa wyjął jeden z zapasowych naładowanych bębenków, które zwykł nosić przy sobie. Wyjął trzy naboje i położył je na stole.

- Jeśli brzemia, jakie musicie dźwigać, są dla was zbyt ciężkie, oto rozwiązanie - rzekł. - Gdybyśmy przebywali w mniej publicznym miejscu, mógłbym zrobić więcej, żeby wam pomóc, ale w bieżącej sytuacji... - Wzruszył ramionami. - To wszystko, co mam wam do zaoferowania.

- Jest pan nędznikiem - odparł zimnym tonem mężczyzna w aksamitnym stroju. - Z pewnością pan oszukiwał. Straci pan wszystko, co pan wygrał.

Człowiek z szalikiem prychnął pogardliwie.

- No i co z tego, chłopcze? Prędzej czy później spotyka to każdego.

- Ja poradzę sobie lepiej! - zawołał najstarszy z mężczyzn z niezdrowym błyskiem w oczach. - W młodości byłem lalkarzem. Miałem córeczkę, małego aniołka, ale umarła na gorączkę z drgawkami. Była wspaniałym dzieckiem, za dobrym dla tego świata. Żeby pocieszyć się po tej stracie, zrobiłem piękną marionetkę, dziecko z porcelany, drewna i jedwabiu. Wykonałem ciało, które czekało na duszę. Przywiązałem do jej stawów wiele nitek i mogła się poruszać jak żywa. Gdybym jednak odnalazł czerwoną nitkę, gdyby bogowie dali mi czerwoną nitkę, którą mógłbym przywiązać do miejsca położonego obok jej serca...

Gwynn wyszedł. Głos mężczyzny roztopił się powoli w gwarze tłumu.

- Czas, panowie - wyszeptał. Dosiadł konia, który zarżał głośno. Potem Gwynn wrócił na ulicę tkaczy.

\*\*\*

Na rogu zaułka skrybów faktycznie siedziała kobieta. Była stara i wyglądała złowrogo. Jej poźółkła łysina przywodziła na myśl melon.

- Czcigodna ciociu - przywitał ją siedzący na koniu Gwynn. - Słyszałem, że możesz mi sprzedać odpowiedź na pewne pytanie. Od kogo pochodzi ten włos?

Zdjął rękawiczkę i wyciągnął do kobiety rękę z włosiem owiniętym wokół palca.

Wiedział, że zachowuje się irracjonalnie, ale w owej chwili nie miało to dla niego znaczenia. Może nadal leżał w zaułku, pogrążony w narkotykowym śnie, może na świecie rzeczywiście istniało coś takiego jak magia i ktoś rzucił na niego zaklęcie, a może postradał zmysły. Nie obchodziło go, jak jest naprawdę. Wreszcie odnalazł trop. Gdy znajdzie, czego szukał, zdecyduje, w co ma wierzyć.

- Pięćdziesiąt florenów - odpowiedziała starucha.

- Odliczył setkę i podał pieniądze kobiecie.

- I włos - zażądała.

Odwinął go i podsunął jej. Ujęła włos między dwa palce i w tej chwili Gwynn go puścił.

Zwinęła włos w kulkę. Dmuchnęła na niego, splunęła i powąchała. Potem włożyła go do ust, pożuła i wyciągnęła powoli.

- Rzadki smak - wymamrotała. Opuściła melonowatą głowę, zatkniętą na cienkiej łożdźce szyi. - Są ślady. Legowisko na schodach. - Uniosła wzrok. - To, czego pragniesz, znajdziesz na Schodach Żurawich.

- To niemożliwe - odparł bez ogródek Gwynn. Przeszukał już schody bardzo dokładnie, gdy po raz pierwszy próbował odnaleźć Beth Constanzin, i znał tam każdy budynek.

- Przekonaj się o tym na własne oczy. Albo nie. Jak wolisz. - Wzruszyła ramionami. - Nie zapomnij o nim. Nie chcę go.

Podsunała mu błyszczący od śliny włos.

Wyciągnął szablę i uniosł włos na jej czubku.

- Jeśli się mylisz, wróć po swoje pieniądze, wiedźmo.

Czarownica zachichotała jak mała dziewczynka.

Wytarłszy czerwoną nitkę i ponownie owinąwszy ją wokół palca, Gwynn zapomniał o wątpliwościach i skierował się ku Schodom Żurawim. Przyszło mu na myśl, że czarownica mogła wcale nie mówić o budynku. Może spotka tam rudowłosą artystkę we własnej osobie.

Zsunął się z siodła i poprowadził konia długimi, stromymi i krętymi schodami. Nikogo tam nie znalazł. Wrócił na dół. Wierzchowiec okazywał oznaki zniecierpliwienia, ale nie odezwał się już ani słowem.

Gwynn spróbował zebrać myśli.

Przemknęło mu przez głowę, że aby trafić na odpowiedni moment, trzeba być jak nitka wątku, krzyżująca się w określonym punkcie z nitką osnowy. Ta metafora przypadła mu do gustu. Wynikało z niej, że zapewne za długo siedział w Carrefourze i przybył zbyt późno. Uśmiechnął się szyderczo do siebie, choć w głębi duszy podziwiał też absurdalność tej sytuacji. Był zewnętrznym obserwatorem w takim samym stopniu jak protagonistą tej skomplikowanej historii.

Co byłoby bardziej niedorzeczne: kontynuować poszukiwania czy dać za wygraną? Z początku uznał, że to pierwsze. Zdjął rękawiczkę, odwinął włos z palca i rzucił na ziemię, nie

patrzac, gdzie upadł. Powiedział sobie, że wróci do domu i uzna wszystko, co wydarzyło się tej nocy, za halucynację. Choć jednak jego umysł podjął taką decyzję, ciało automatycznie wróciło na schody. Koń szedł obok niego z łbem zwieszonym w wyrazie znużonej rezygnacji.

Gdy dotarł już prawie na szczyt, ujrzał sylwetkę utkaną ze światła. Czworokąt o dwóch pochyłych bokach.

Oddech zamarł mu w piersiach. Trapez był oknem usytuowanym we wnęce na strychu starej dwupiętrowej, drewnianej rudery o ścianach spowitych pnączami, które opadały z dachu, zasłaniając otwór. Przedtem zauważył tylko dwa zwyczajne, sąsiednie okna. Teraz, gdy w pokoju paliło się światło, trapez stał się widoczny. Gwynn widział fragment wewnętrznej ściany, ozdobionej nieoprawionymi rycinami. To nie mógł być przypadek. Z pewnością miał przed sobą jej pracownię.

Zadał sobie pytanie, czy naprawdę działały tu nadnaturalne moce, i doszedł do wniosku, że ta myśl nie podoba mu się nawet w najmniejszym stopniu. Zakwalifikował fakt odkrycia domu do swej największej metafizycznej kategorii, której nadawał nazwę „ślepy traf”.

Potem, ponieważ nie mógłby pojawić się pod jej drzwiami z gołymi rękami, popędził z powrotem na targ, kupił prezent i wrócił do domu na schodach. Po drodze zastanawiał się nad znaczeniem związku między budynkiem na rycinie a oknem w domu. Otwór okienny można było interpretować jako przeciwieństwo litej bryły budynku, podobnie jak wytrawiona płyta była odwrotnością ryciny. To odbicie było oryginałem. Być może miała to być subtelna wskazówka, której nie zauważył. Utrudniał mu to zresztą prosty fakt, że światło mogło być zgaszone lub zapalone.

Kiedy wrócił, nadal się paliło. Boczna furtka bez zamka zaprowadziła go na maleńkie, pokryte kamieniami podwórko, na którym rosła dzika jabłoń. Na tylną ścianę budynku wspinały się trzy biegi żelaznych schodów. Gwynn przywiązał konia do drzewa i wszedł na najwyższy pomost. Ujrzał drzwi pokryte białą, złuszczającą się farbą. Na ościeżnicy umieszczono mosiężną tabliczkę ze zdobnym napisem: BETHIZE CONSTANTIN, RYTOWNIK. Uniósł rękę, żeby zapukać, ale zawahał się nagle. Wyobrażał sobie, że sfinks z ryciny jest wiernym wyobrażeniem artystki, wyobraźnia spełniła już jednak swą rolę. Jeśli zapuka, zamieni tajemnicę na wiedzę. Być może któreś z nich poczuje się rozczarowane.

Nie ma zysku bez ryzyka, pomyślał ze wzruszeniem ramion i zapukał.



# OSIEM

Kobieta o palcach poplamionych tuszem usłyszała pukanie do drzwi i otworzyła je. Natychmiast poznała charakterystyczny pawi płaszcz i jego właściciela. Mężczyzna pokłonił się w pas, bardzo uprzejmie, a potem wyprostował się z uśmiechem złoczyńcy na twarzy.

To, co ujrzał, wykraczało poza jego nadzieje. Kobieta dorównywała mu wzrostem i była dobrze zbudowana, pełna muskularnej gracji. Cerę miała ciemnozłotą, gładką jak bursztyn, a faliste włosy o znanym mu już ciemnoróżowym odcieniu układały się w diadem nad subtelną, czarującą twarzą sfinksa. Oczy, co do koloru których nigdy nie potrafił się zdecydować, wyobrażając sobie zmysłowy topaz, roziskrzoną zieleń, a nawet harmonizującą z włosami czerwień, okazały się w rzeczywistości głęboko czarne. Jeśli były oknami, prowadziły do nieoświetlonego pokoju.

Miała na sobie oliwkowy szlafrok wyszywany w żółte ptaki oraz rdzawoczerwone spodnie od piżamy. Była bosa i Gwynn zauważył, że ma paznokcie u nóg pomalowane cynobrowym lakierem, jak wodna cyganka.

Uśmiechnęła się chytrze.

- Zjawił się pan bardzo późno - zauważyła. Brzmienie jej głosu zaskoczyło Gwynna. Przemawiała z akcentem typowym dla wykształconych warstw w Ashamoil. Wyobrażał sobie dotąd, że będzie pochodziła z krain równie odległych, jak jego ojczyzna. Splotła palce pod brodą. - Czy jest pan śmiercią, czy diabłem?

- Jeśli mam wybór, wolałbym nie być żadnym z nich, pani - odparł.

- Ale tradycja mówi, że wysoki ciemnowłosy dżentelmen, który składa wizytę późną nocą, musi być albo jednym, albo drugim.

- W takim razie jestem zmuszony odrzucić tradycję. Nie jestem bynajmniej kimś tak znakomitym. Obawiam się, że nie można mnie nawet zwać dżentelmenem.

- To może się okazać korzystne - ucieszyła się. - A jak pan ma na imię?

Uklonił się lekko, dotykając piersi czubkami palców.

- Jestem Gwynn z Falias i z radością zostałbym pani sługą.

Wyciągnęła do niego szczupłą, pokrytą stwardnieniami dłoń. Pod paznokciami miała ślady czarnego tuszu. Gwynn uniósł jej rękę do ust i pocałował uprzejmie. Poczłł nieco gorzki aromat chemikaliów. Miał ochotę przeciągnąć pocałunek dłużej, niż pozwalały na to zasady uprzejmości, pohamował się jednak.

- Słyszałam o Falias - powiedziała. - Pochodzi pan z krainy wiecznych lodów, nad którą świeci gwiazda polarna. Zaiste jest pan cudzoziemskim diabłem. - Pochyliła głowę. - Zwyciężył pan w mojej grze. Teraz przekonamy się, czy możemy zagrać w inną. Następny ruch należy do pana, kimkolwiek może pan być.

Mrugnęła doń znacząco.

Cholera, ależ jest pociągająca, pomyślał.

Podał jej małą paczuszkę zawierającą prezent.

- To tylko spóźniony dodatek do skomplikowanego zadania, jakie pani przede mną postawiła - oznajmił.

Odwinęła przedmiot, stojąc w przedpokoju, i roześmiała się głośno, gdy go uniosła. To było jajo o miękkiej skorupie, pokryte geometrycznym labiryntem czerwono-czarnych plam.

- To bardzo ładna i celnie dobrana dekoracja - zauważyła, obracając je w dłoniach. - Jakie stworzenie może się z niego wykluć?

- Niczego nie obiecuję, pani, ale jeśli będzie je pani trzymała w ciepłe, może doczeka się pani bazyliczka.

- Mam nadzieję, że tak się stanie - oświadczyła. - Na świecie żyje stanowczo za mało apokryficznych dziwolągów. Położę je przy oknie, gdzie często będzie na nie świeciło słońce. A teraz - ciągnęła, unosząc brodę - skoro dotarł pan po długiej podróży do tego orlego gniazda, czy zechce pan wejść i napić się wina z jego panią? Ostrzegam jednak, że to miejsce jest poświęcone sztuce i mam tu tylko tani, czerwony sikacz.

- Nikt jeszcze mnie oskarżał, że jestem zbyt wybredny, gdy chodzi o wino - zapewnił Gwynn.

Zaprosiła go gestem do środka.

Pokój, w którym się znalazł, był jej pracownią. W przestronnym pomieszczeniu

panował zorganizowany bałagan. Trapezowe okno, z lampą i wazonem suszonych kwiatów na parapecie, znajdowało się blisko prawej ściany. Środek zajmowały trzy prasy, pod oknami zaś stało kilka zbiorników i wanien. Jedną ze ścian pokrywały półki, na których stały puszkami z tuszem oraz inne zbiorniki i buteleczki. Pod pozostałymi ścianami ustawiono ławy z szufladkami pod spodem. Nad nimi wisiały setki szkiców i odbitek, przypięte pineskami do tablic ogłoszeniowych. Wyglądało na to, że właścicielka dużo pracuje.

Kobieta położyła jajo na parapecie trapezowego okna.

- Słońce, księżyc i parafina pomogą mu się wykluć - powiedziała, zapalając lampę zapalką.

Poprosiła go, żeby obejrzał ryciny, i udała się do sąsiedniego pokoju. Po chwili wróciła z dwoma kieliszkami wina.

Gwynn przyglądał się dziełom sztuki, od czasu do czasu zadając pytania, na które Beth odpowiadała tonem poważniejszym, mniej kpiącym od tego, którym przywitała go przy drzwiach. Zrozumiał, że kobieta pragnie, by najpierw poznał ją za pośrednictwem jej sztuki. Obrazki na ścianach zgrupowano według tematów. Na pierwszej wisiały ryciny o tematyce botanicznej, zoologicznej i technicznej. Wszystkie szczegóły przedstawiono na nich bardzo starannie. Druga ściana była podzielona między pejzaże - również wyobrażone z wielką dokładnością - oraz portrety, głównie aktorów i piosenkarzy. Kilka przedstawiało Tarede Forever. Fragment ściany poświęcono na „kurioza dla panów”, jak określiła to Beth. Ryciny przedstawiały modelki, sławne i nieznane, w rozmaitych roznegliżowanych, lubieżnych pozach. Niektóre odbitki były typowymi przykładami sztuki erotycznej, inne przypominały raczej karykatury, wyobrażające spasione *femmes fatales* i odaliski, którym towarzyszyły dotknięte priapizmem karły, satyry albo psoludzie.

- A to są dzieła, które wykonałam dla własnej przyjemności - oznajmiła Beth, gdy Gwynn dotarł do ostatniej ściany.

To były naprawdę dziwaczne ryciny, fantazje przypominające portret sfinksa i bazyliuszka, ale bardziej niezwykle. W większości dawał się wyczuć podobny nastrój narracji albo teatru, ale sceneria była całkowicie wymyślona: osobliwe, nieprawdopodobnie bujne ogrody, grotty, pawilony, dwory i komnaty, w których niezwykłość i brutalność łączyły się ze sobą, tworząc gęstwą szczegółów. Wszyscy mieszkańcy owych barokowych krain baśni byli dziwolągami, nie legendarnymi istotami, lecz czymś, co się zrodziło - albo wylęgło - z osobistych halucynacji: mężczyznami, kobietami i hermafrodytami o atrybutach flory, fauny, a nawet maszyn. Odziany w żakiet mężczyzna z wysokim, dymiącym kominem wyrastającym z czubka głowy. Fajka wodna o czterech przewodach przypominających kręte szyje, z

twarzami kobiet i małą zamiast ustników. Mężczyzna o dolnej połowie ciała lamparta ściskający w dłoniach muszlę ślimaka, z której wystaje ręka. Rycina, na której umieszczono tytuł - *Jak się przyozdabiamy* - przedstawiała leżącą na wyściełanej piórami kanapie kobietę, która otwierała ręką drzwi umieszczone w jej brzuchu. Było za nimi widać ogród ukryty wewnątrz jej ciała. Mogłoby się zdawać, że Beth połączyła wszystkie swe dzieła, zmieszała je ze sobą tworząc karuzelę zamiany i metamorfozy.

To był świat karnawału, odwrócony do góry nogami, wywrócony na lewą stronę, przepełniony i parodystyczny. Wiele rycin skupiało się na tematach żądzy i obżarstwa. Liczba uczestników erotycznych scenek wahała się od dwojga aż po orgiastyczny tuzin. Wszyscy penetrowali się nawzajem za pomocą osobliwych narzędzi. Choć obrazy były dziwaczne, wyobrażone na nich postacie przepełniały radość i gracja, jakby wszystkie ożywiały ten sam frenetyczny, ale szczęśliwy duch. Na innych rycinach istoty o proteuszowych kształtach pochłaniały wystawne dania albo pożerały się nawzajem, używając zwierzęcych paszcz, lepkich liści mięsożernych roślin bądź metalowych kończyn wyposażonych w piły, ostrza i haki. Zjadającym i zjadanym sprawiało to jednakową przyjemność. Nazwanie tego teatrem ciała byłoby zbyt wąskim określeniem. To była komedia wszelkiej materii.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał pointrygowany Gwynn.

- To nienaturalna historia wiecznie zmiennego bytu - odrzekła. - Pozostałe po starym świecie śmietnisko, które wylazło na wierzch podczas odwilży. Nowy świat w formie nimfy, zanim się rozstrzygnie, jak będzie wyglądała jego dojrzała postać.

- A jakie czynniki o tym zdecydują?

- Natchnienie i namiętność, być może z odrobiną tragedii. Albo cynizm, w pokojach za zamkniętymi drzwiami. Czas pokaże.

Dotknęła jego szyi, przebiegając delikatnie palcami poniżej ostro zarysowanej żuchwy.

Jest też pożądliva, pomyślał. Jego również ogarnął pożałdliwy nastrój.

- Spodobał mi się twój wygląd - oznajmiła. - Dlatego umieściłam cię na rycinie. Cieszę się, że przyszedłeś. Myślę, że teraz znajdziesz się też w innych moich dziełach.

- Z radością stanę się inspiracją dla twojego geniuszu - zapewnił, unosząc kieliszek.

Skinęła dłonią, uśmiechając się jak ćma.

Gwynnowi trudno było oderwać spojrzenie od jej głęboko czarnych oczu. Poprowadziła go do sypialni. Pokój był mniejszy niż pracownia i wyglądał bezosobowo. Meble były tu ładne i dobrze dobrane, ale widziało się niewiele ozdób: srebrna kadzielnica wisząca nad kominkiem, miseczka pomarańczy goździkowych stojąca na sekretarzyku,

kolejny wazon z suszonymi kwiatami.

Beth usiadła w swobodnej pozie na łóżku, Gwynn zaś rozparł się w fotelu. Dokończyli butelkę wina, a potem wstała i stanęła za nim. Objęła dłońmi jego szyję, zdejmując krawat i kołnierzyk. Gwynn przypomniał sobie, że całkiem niedawno leżał w niezbyt czystym zaułku. Jeśli jednak czuła bijący od niego zapach ulicy, najwyraźniej nie przeszkadzało jej to.

Zaczęli się kochać.

Spodziewał się, że będzie to ciekawe przeżycie, i nie poczuł się rozczarowany. Wszystkie znane mu wrażenia przerodziły się w coś, czego nie potrafił opisać słowami, nawet samemu sobie. Oczy otworzyły mu się na piękno jak nigdy dotąd. Nie widział w długim zarysie jej boków, śmiałym profilu piersi, łuku pleców, gładkich krzywiznach bioder i w asie karo, zdobiącym jej intymne miejsce, mało istotnych nowinek nieznanego ciała, lecz sztukę, która ożyła. A kiedy go dotknęła, wyczuł w niej zamiar, wobec którego przyjemność miała uboczne znaczenie, coś, co musiał uznać za fascynująco złowrogie. Jego ciekawość rosła razem z ekstazą, ale gdy ta druga osiągnęła szczyt, ta pierwsza nadal potężniała, irytująco niezaspokojona.

\*\*\*

- Powiedz mi, Gwynnie z Falias, dlaczego potrzebowałeś tak wiele czasu, by mnie odnaleźć? - zapytała Beth drwiącym tonem, który wydawał mu się tak bardzo czarujący. W końcu dopadło ich zmęczenie i leżeli w jej łóżku, pijąc drugą butelkę wina.

Gwynn doszedł do wniosku, że wystarczy część prawdy.

- Przeszkodziły mi inne sprawy. Praca.

- Ach, więc pracujesz?

- Widzisz, jest coraz gorzej. Nie jestem diabłem, dżentelmenem ani nawet bogatym nierobem.

Przyjrzała mu się z uwagą. Był nagi i łatwo można było zauważyć kolejne warstwy jego anatomii: mięśnie, ścięgna, szkielet. Białą skórę pokrywały liczne blizny. Jego ciało nie ukrywało żadnych tajemnic. Można z niego było wyczytać wszystko.

- Żartowałam. Widzę, że jesteś człowiekiem czynu.

Gwynn uśmiechnął się leniwie.

- Z zawodu tak. Ale z natury skłaniam się do bezczynności. Nie tyle bazyliszek, ile sfrustrowany lew salonowy.

Zamknął swe jasne oczy.

Ukryty pod czerwoną grzywą mózg Beth pracował intensywnie. Musiała zdecydować co z nim zrobić. Popchnęła ją ku niemu ciekawość. Zaspokoila ją już, ale tylko częściowo. Brała sobie dotąd kochanków, gdy miała na to ochotę, ale zawsze rozstawała się z nimi po jednej nocy.

Problem miał fundamentalny charakter. Należeli do niewłaściwego gatunku.

Ten, kto leżał w jej łóżku, rzecz jasna również nie był jej współplemieńcem, po raz pierwszy jednak wydawało jej się, że mogą do siebie pasować.

Pogłaskała długim palcem gładką, wrażliwą skórę poniżej krawędzi jego kości biodrowej.

- W moim czasie nie jesteś kimś takim, biały człowieku.

- A kim, pani?

- Sprytną, mówiącą bestią. Podstępny wążem...

Roześmiała się cicho, nie przerywając pieszczoty.

Westchnął.

- Wężę nie darzą szacunkiem zasłużonego odpoczynku ludzi - zauważył, marszcząc drwiąco brwi.

- W rzeczy samej. To niepoprawne bestie - zgodziła się. - Powinno się je zamykać w ciemnych celach. Rzucić na pożarcie głodnym sukcom.

Pocałował ją ze śmiechem. Potem niespodziewanie odsunął jej rękę.

- Posłuchaj, nie chcę cię oszukiwać. Może i nie jestem diabłem, ale pracuję dla niego.

Dla handlarza niewolników.

Beth uniosła brwi w geście rozbawienia.

- I co z tego?

- To ci nie przeszkadza?

- Czemu miałyby przeszkadzać? - Wzruszyła ramionami. - Wszystkie wielkie cywilizacje, jakie kiedykolwiek istniały, miały za podstawę jakąś postać niewolnictwa. Nie jestem pewna, czy rozsądnie jest niszczyć podstawę, na której wspiera się cała reszta. - Oparła się na łokciu. - Wydaje ci się, że jestem miękka i ulegam emocjom?

- W żadnych razie, pani. Miałem nadzieję, że ulegasz swym żądom.

- Podobnie jak ty ulegasz swoim?

- Zgodziłbym się od czasu do czasu ulegać twoim.

Wsunęła się na niego. Była ciężka jak złoto, a także bardzo ciepła. Zamknął oczy, by czuć ją tylko jako ciepło i nacisk. Doszedł do wniosku, że te właśnie słowa najlepiej opisują wszystko, co wydarzyło się nocą. Siły powodujące zmianę.

Czy znudziła mu się już dotychczasowa tożsamość? To było trudne pytanie. Z pewnością czuł się zadowolony i wiódł wygodne życie, być może więc znowu zapragnął niebezpieczeństwa. Ta myśl nawiedzała go od czasu do czasu, aż wreszcie przestał myśleć, skupiając całą uwagę na niej.

Gdy znowu leżeli beczynnie, tym razem w blasku upalnego poranka, wrócił sennie do tematu swego zawodu.

- Jeśli zostaniemy kochankami, czy choćby przyjaciółmi, może ci grozić niebezpieczeństwo. Mam nieprzyjemnych wrogów i równie niesympatycznych towarzyszy. To przestępcy, opryszki, dewianci...

Rozpostarła rękę.

- Z pewnością ty również potrafisz być niemiły, a mimo to poszłam z tobą do łóżka.

- Ale mnie można przegnać. - Przetoczył się na bok, by zrobić miejsce między ich ciałami. - Niektórych moich znajomych nie pozbędziesz się tak łatwo. I to właśnie oni żyją najdłużej.

Przyciągnęła go z powrotem do siebie.

- Pozwoliliśmy, by zaskoczył nas dzień - mruknęła. - Zostań tu. Śpij.

\*\*\*

Gwynn wkrótce się przekonał, że Beth przepada za towarzystwem ludzi z nizin. Lubiła się włóczyć po salach bilardowych, uprawiać hazard z flisakami i cyganami w nadrzecznych piwnicach, pić z najgorszymi wyrzutkami w takich mordowniach, jak „Szaleństwo Ludzi” czy „Chlorowa Gwiazda”, zakładać się na walkach kogutów, opowiadać świńskie kawały podobnym do świń ludziom w przypominających chlewy pokojach. Tak właśnie zwykła spędzać noce. Gdy Gwynn zaczął dzielić z nią owe rozrywki, zauważył, że Beth nie okazuje najmniejszego strachu w towarzystwie oprychów. Przekonał się też ze zdumieniem, że żaden z odrażających, niebezpiecznych typów, z którymi tak swobodnie się zaprzyjaźniała, nigdy nawet nie próbował jej grozić. Najwyraźniej mężczyźni nie byli w stanie wyobrazić sobie Beth w roli ofiary.

Spróbował to zrobić i przekonał się, że to niemożliwe. W każdej wizji, którą potrafił stworzyć, bez wysiłku odwracała sytuację i zabijała go.

Czasami zastanawiał się, skąd się bierze jego niezwykle fart, który tak wiele razy pozwalał mu uniknąć śmierci. Być może Beth otrzymała w darze podobne szczęście.

Mimo to nie miał zamiaru przedstawiać jej kolegom z pracy.

Uwielbiała chodzić na portowy jarmark. Fascynowali ją zaklinacze węży, karły-akrobaci, kobiety z brodą, bezwłosi bracia, cyklop, specjalista od uwalniania się z więzów zwany Modomem, siłacz Hart, który zginał żelazne sztaby i żonglował siekierami oraz małymi kulami armatnimi, ludzie-gumy, iluzjoniści, lalkarze, stary Bibbar i jego cyrk pcheł, ogromna Żarłoczna Palee, która jadła wszystko, co jej podano, łącznie z gnijącymi zdechłymi szczurami i potłuczonymi butelkami, oraz cała reszta ludzkich dziwolągów. Mówiła, że to dla niej najlepsze źródło inspiracji.

Gwynn zastanawiał się, dlaczego dotąd jej nie spotkał. Odwiedzała te same okolice, co on. Mogłoby się wydawać, że coś uszkodziło jego poczucie celu.

Gdy byli tylko we dwoje, wymieniali powoli, w małych porcjach, wspomnienia z przeszłości. Opowiadała mu o nielicznej rodzinie, spokojnym domu, młodszej siostrze, która umarła, długich chwilach milczenia podczas posiłków, dzielących od siebie nieliczne opowieści, powtarzane raz po raz.

- Od pewnej chwili tym ludziom nie przytrafiało się już nic nowego - stwierdziła.

Jedynym krewnym, o którym mówiła z sympatią, był dziadek ze strony matki. Służył ongiś jako nadworny kartograf księżnej-gubernatorki Phaience i gdy tylko udało się go obudzić z drzemki albo oderwać od lektury, wyjmował stare mapy i opowiadał Beth wszystko, co wiedział o pięknie narysowanych i pokolorowanych krainach, powtarzając historie przyniesione mu przez podróżników.

Powiedziała Gwynnowi, że już wówczas marzyła o tym, że wyruszy w długi rejs po oceanie i być może nigdy nie wróci.

- Wszystko zaczęło się w oceanie. To w nim kryją się wszystkie możliwości, przynajmniej symbolicznie - oznajmiła. - Niewykluczone, że fizycznie również.

- Twoja część świata na wszystkich mapach była pokolorowana na białe - oznajmiła mu pewnej nocy, gdy popijali koktajle w barze na Moście Błękitnym. - Zaznaczono na nich tylko dwa miasta i chyba też morze.

Pokiwał głową.

- To będzie Nas Ura. To znaczy „siwa fala”. To morze pochłania mnóstwo statków. Tymi samymi słowami określamy wrażenie przemijania życia. Starcy mawiają, że słyszą zbliżającą się siwą falę, albo każą przynieść sobie koc, który powstrzyma siwą falę. Nie wiem, co było najpierw, ten zwrot czy nazwa morza.

- Dziadek nigdy nie spotkał nikogo, kto zapuściłby się dalej niż Góry Graniczne - dodała. - Zawsze sobie wyobrażałam, że ludzie z północy są czysto biali, mają białe włosy, perłowe oczy i mieszkają w zamkach z lodu.



- Biały, zielony i przezroczysty lód rzeźbiony w wieże, kolumnady i wysokie przypory  
- oznajmił z uśmiechem Gwynn. - Były tam też lodowe posągi, a nawet rzeźbione z lodu ogrody. Było za zimno, żeby mogły tam rosnąć lodowe drzewa.

- I lodowe ptaki też?

- Gęsi śnieżycy.

- A jak naprawdę wyglądało?

- Falias? To tłoczne, brudne miasto, tak samo jak to, tyle że jest tam tak zimno, że zamarza nafta. Lód faktycznie wykorzystuje się jako materiał budowlany, ale zawsze jest czarny od ropy naftowej i sadzy. Można powiedzieć, że panuje tam szczególna atmosfera.

- Naprawdę?

- Bardzo bym nie chciał cię rozczarować - odparł. - Wierz, w co chcesz. Odjechałem stamtąd już dawno. Nie wiem, jak miasto wygląda teraz.

- Znam miejsce, które wygląda jak raj - odrzekła. - Pokażę ci je, zanim nadejdzie monsun.

# DZIEWIĘĆ

Nogi chłopaka były zniekształcone i koślawe, typowe dla dzieci, które od bardzo młodego wieku pracowały w fabryce. Miał trzynaście lat i pracował od szóstego roku życia. Młody, jeszcze miękki szkielet wypaczał się, gdy dzieci stały przy maszynach osiem do czternastu godzin na dobę. Zniekształcenia prowadziły do zaburzeń w dopływie krwi, co z kolei wiodło do zaniku szpiku kostnego. Te zaburzenia mogły wystąpić we wszystkich kościach, ale u chłopaka najsilniej uwidaczniały się w prawym nadgarstku, który był straszliwie opuchnięty - miał średnicę dziewięciu cali - i bardzo bolesny.

Takie kończyny zawsze trzeba było amputować. Alternatywę stanowiła utrata życia. Po operacji Raule przyjrzała się kościom. Często oglądała podobny obraz: były zupełnie pozbawione szpiku, wyglądały jak suchy koral. Jeśli chłopak wyżyje, może uda się znaleźć dla niego inną pracę. Coś, co będzie mógł robić jedną ręką.

Fabryki codziennie okaleczały i zabijały pracujące w nich przymusowo dzieci. Wszystkie one, jak ten chłopak, ulegały stopniowym deformacjom, niektóre zaś doznawały straszliwych obrażeń w wypadkach z niezabezpieczoną maszyną. Często się słyszało, że ruchoma część maszyny wciągnęła jakieś dziecko do środka, rozszarpując je na strzępy albo miażdżąc śmiertelnie. Dzieci kupowano w sierocińcach albo domach dla biedoty. Kontrakt zmuszał je do pracy za drobny ułamek płacy dorosłego aż do chwili, gdy skończyły dwadzieścia lat, o ile pożyły tak długo. Ich los był niewiele lepszy od doli niewolników z dżungli. Niektóre rodziny sprzedawały dzieci, by uniknąć głodu, inne zaś po to, by spłacić długi albo zaspokoić nałogi.

Uśpiła chłopaka, podając mu wielką dawkę syropu z maku. Uśmiech na jego twarzy

świadczył, że pogrążył się w opiumowych snach. Niekiedy ludzie budzili się z nich, pragnąc narkotyku. Zawarta w tym ironia nie umykała uwagi Raule.

Było już późno. Zajrzała do sąsiedniej sali, gdzie przy jednym z łóżek czuwała siostra z nocnej zmiany.

- Siostrze, idę spać. Mogłabyś mieć oko na chłopaka na łóżku siedemnastym?

Kobieta kiwnęła głową.

- Oczywiście. Dobran...

*Brzdęk-brzdęk. Łup-łup-łup.*

Raule poczuła, że ramiona jej opadają. Tak bardzo chciało się jej spać. Nawet jeśli szyderczy koń snów znowu zanieśie ją ku znajomym koszmarom, przynajmniej jej ciało wypocznie.

Siostra skierowała w stronę korytarza zimne spojrzenie.

- Jest pani zmęczona, pani doktor - oznajmiła stanowczo, jakby rozmawiała z pacjentką. - Ja się tym zajmę.

- Najpierw sprawdzimy, kto to jest - odparła z bladym uśmiechem Raule. - Tym razem to nie brzmi jak dzieciaki.

Słyszała przynajmniej jeden kobiecy głos wykrzykujący inwektywy i przekleństwa. Docierał aż tutaj, pomimo odległości i grubych murów. Zakonnica wzruszyła ramionami.

- Jak pani sobie życzy. - Zawahała się, kręcąc głową. - Obawiam się, że tutejsi ludzie zauważyli pani dobre serce. Wykorzystują panią bezwstydnie.

Tego właśnie chcę, pomyślała lekarka.

- Wstyd to luksus. Podobnie jak dobre serce - odparła.

Zakonnica popatrzyła na nią dziwnie. Poirytowana, zażenowana Raule wyszła na korytarz, wzięła klucze i ruszyła ku drzwiom. Był w nich kwadratowy judasz. Otworzyła go i wyjrzała na zewnątrz.

Ujrzała w otworze czyjeś oko. Było ciemne, mocno pomalowane kohlem i barwnym pudrem, a także pełne gniewu. Należało do madame Elavory z klubu dla panów „Szafranowy Taras”, najdroższego burdelu w Limewood.

Madame Elavora zamrugła i Raule uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Gwałtowne uczucie malujące się w oku pod wypacykowanymi powiekami nie było gniewem, lecz przerażeniem.

\*\*\*

Nastolatka leżąca na zaścielonym wytartym atłasem łożu wykrzykiwała sprośne wyrazy. Miotła się i wrywała czterem kobietom trzymającym ją za kończyny. Gdy Raule i burdelmama dotarły na miejsce, w pokoju przebywało też kilkanaście innych kobiet i dziewcząt oraz dwóch wymalowanych chłopców. Wszyscy płakali prawie tak samo rozpaczliwie, jak dziewczyna na łożku.

Miała oliwkową skórę, proste, czarne włosy i niebieskie oczy. Była Luzanką, Ikoi. Tak przynajmniej powiedziała Elavora. Poród zaczął się nagle i był pośladkowy.

Dlaczego Elavora nie pobiegła do położnej, tylko do szpitala? Odpowiedź była oczywista: miała nadzieję sprzedać płód, którego dolne kończyny sterczały już z paskudnie rozszarpanej pochwy dziewczyny, słynącej z zainteresowania podobnymi przypadkami lekarce.

W pierwszej chwili Raule sądziła, że ma przed sobą rezultat jakichś niewiarygodnych seksualnych igraszek albo nawet makabrycznego dowcipu. Błona otaczająca wystające spomiędzy nóg dziewczyny stworzenie czyniła jednak prawdę niezaprzeczalną. Wyraźnie było widać pokryte cienką łuską kończyny oraz krótki ogon. To był młody krokodyl wielkości ludzkiego niemowlęcia.

Raule kazała wszystkim opuścić pokój. Madame Elavora wyszła bez sprzeciwu, ale z pewnością będzie czekała pod drzwiami. Gdy tylko Luzanka została sama i nikt jej już nie trzymał, uspokoiła się wyraźnie. Parła, zaciskając pięści na pościeli. Nie krzyczała już, tylko warczała rytmicznie przez zaciśnięte zęby.

Lekarka nie dała sobie czasu na zastanowienie. Po prostu zaczęła pomagać rodzącej.

Gdy pojawiła się główka, Raule przeżyła kolejny szok. Była ludzka.

Dziewczyna zaskoczyła lekarkę.

- Podaj mi je - wyszeptała.

Dziecko oddychało i płakało jak normalne ludzkie niemowlę. Przyssało się do piersi, zaciskając maleńkie pazurki.

Raule zabrała się do roboty. Trzeba było oczyścić i zaszyć rany. Choć dziewczyna straciła mnóstwo krwi, nadal była przytomna. Wydawało się, że ból jej nie przeszkadza. Spokojnie przemawiała do noworodka we własnym języku.

- Wiem, że chcą pani sprzedać moje dziecko, pani doktor - zwróciła się nagle do Raule. - Jak pani sądzi, ile jest warte?

Lekarka zrozumiała, że to retoryczne pytanie.

- Jego ojciec był bogiem - ciągnęła dziewczyna. - Bogiem rzeki. Przywołałam go we śnie i uległam mu w jego wodnym królestwie. Powiedział mi, że urodzę jego dziecko i że

stanie się ono zbawcą mojego ludu. Że będzie władało mocą rzeki.

Raule słuchała jej uważnie. Zaczęła podejrzewać, że wszystko to jej się śni.

- Bóg mi powiedział, że jego syn będzie wyglądał tak samo, jak on.

Lekarka nie przestawała szyc. Kiedy skończyła, spojrzała na dziewczynę, która tymczasem umilkła. Nowo narodzony potwór również milczał. Dziewczyna podała go Raule.

Był martwy.

- Rzeczny bóg miał głowę krokodyla, a ciało człowieka - oznajmiła spokojnie. - Zawiodłam. Może magia wypaczyła się w mojej macicy, a może bóg mnie oszukał. Podobno pani kolekcjonuje potwory. Niech pani sobie weźmie i tego.

Raule przyjęła dziecko, poruszając się jak automat.

Madame Elavora czekała pod drzwiami. Natychmiast przypuściła atak na wychodzącą lekarkę, ale ta uniosła przed siebie ciało krokodylowego dziecka niczym talizman i kobieta cofnęła się trwożnie.

\*\*\*

Raule siedziała bez ruchu aż do późnej nocy. W jej głowie kotłowały się myśli. W końcu zaniósła ciało potworka do swej pracowni, by poddać je sekcji. W krokodylowej części nie znalazła żadnych dostrzegalnych anomalii. Noworodek był płci męskiej. Ludzka główka oraz mózg również były pozbawione defektów. Dziecko miało niebieskie oczy, jak matka. W miejscu, gdzie głowa łączyła się z ciałem, łuska przechodziła stopniowo w gładką, niemowlęcą skórę.

Sporządziła szczegółowe notatki i narysowała liczne szkice zewnętrznej i wewnętrznej anatomii, po czym przygotowała słoje, w którym będzie przechowywała dziecko. Anormalny trupek mógł stać się podstawą wielu teorii, ale nie wydobędzie z niego żadnych konkluzji.

Nie czuła radości, zachwytu, lęku ani nawet grozy.

Wyłącznie smutek.

Doszła do wniosku, że może musi upłynąć trochę czasu, by szok minął, pozwalając więc upływać kolejnym dniom, czekając, aż zapłonie w niej ogień.

Jak to możliwe, że podobny widok nie wywołał we mnie żadnej głębokiej zmiany?

Zadawała sobie to pytanie tak wiele razy, że stało się szeptem nieustannie słyszalnym w tle jej umysłu. Znaczną część wolnego czasu, którego miała tak niewiele, spędzała na gapieniu się na słoje z potworem. Ów widok był jednak dla niej całkowicie obojętny. Naczynie również dobrze mogłoby zawierać marynowaną cebulę. Zaczęła zadawać sobie pytanie, czy

nie straciła czegoś więcej niż tylko sumienie. Być może jej osobowość niszczyły powoli, niczym kamień wygładzany przez wiatr w Kraju Miedzi, siły, o których wiedziała równie mało, jak kamień o ruchach atmosfery.

\*\*\*

Raule nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Nie szukała w Ashamoil miłości. Wchodziła niekiedy w związki, ale żaden nie trwał długo ani nie miał wielkiego znaczenia. Choć powszechnie szanowano ją w Limewood, nie znalazła tutaj przyjaciół. Zaczynała niemal tęsknić za towarzystwem Gwynna.

Nie spodziewała się, by ta ponura sytuacja miała się w jakikolwiek sposób zmienić, a już z pewnością nie oczekiwała, że nawiąże stosunki z Jacopem Vargeyem.

Ten nieprawdopodobny romans zaczął się rankiem pewnego hivera, dwa tygodnie po narodzinach krokodylowego dziecka, gdy pani Vargey zmarła na wściekliznę. Raule zdołała ustalić źródło zakażenia: ukąszenie małpki należącej do kataryniarza mieszkającego w tym samym budynku. Gdy powiedziała mu, co się stało, nieszczęśnik zadusił zwierzę poduszką, zalewając się łzami. Dla pani Vargey było już jednak za późno. Raule powiedziała sobie, że to kolejny przykład na to, jak wielką farsą jest życie.

Pani Vargey zmarła w szpitalu. Trzy dni później Raule postanowiła porozmawiać z Jacopem.

- Emila powinna nadal chodzić do szkoły - oznajmiła młodzieńcowi spokojnie, ale stanowczo. - Czy zrobisz to dla siostry?

Jacope, który opierał się o ścianę, czyszcząc nowy sztylet, wzruszył niedbale ramionami.

- A jak za to zapłacę, pani doktor?

- Pieniędźmi, które zarabiasz. Tymi, za które kupujesz sobie ładne zabawki, jak ten nóż, i te nowe buty. Wiem, że kradniesz. To mnie nie obchodzi. Ale twoja siostra cię potrzebuje. Szkoła nie kosztuje znowu tak wiele. Czemu nie miałbyś zrobić czegoś dla niej?

Uśmiechnął się pogardliwie.

- Mówi mi pani, że powinienem nadal czynić zło i skazać się na potępienie, żeby moja młodsza siostra, jak dorośnie, mogła się uważać za lepszą ode mnie?

Raule odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

- Uważasz, że powinnam powiedzieć: „Jacope Vargey, znajdź sobie uczciwą robotę. Wtedy nikt nie będzie się uważał za lepszego od ciebie”?

Ryknął głośnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Raule również się roześmiała, dokładnie w taki sam sposób.

- Jacope, lepiej by było, gdybyś przestał rabować - podjęła, poważniejąc nagle. - Jeśli cię aresztują, czeka cię szubienica. Pomyśl, co się wtedy stanie z Emilią.

- Wzrusza mnie pani troska o nią - odrzekł z gorzkim sarkazmem.

Raule zawstydziała się nagle.

- Przepraszam, Jacope. Może zaczniemy tę rozmowę od nowa?

- Nie chcę z panią rozmawiać.

Potem nastąpiła długa, nieprzyjemna chwila, gdy Raule nie odzywała się ani słowem. Czowała się głupio i była wściekła na siebie. Potem podeszła do Jacopego i objęła go.

Zaskoczyła ją żarliwość jego odpowiedzi. Jej własny entuzjazm zdziwił ją jeszcze bardziej.

Radość Raule w znacznej mierze wywodziła się z niezmiennie towarzyszącego zakazanym przyjemnościom dreszczyku, którego od dawna sobie odmawiała. Był zbirem, być może mordercą, i był dwukrotnie od niej młodszy. Za tym dreszczykiem szybko zjawiała się nostalgia.

Żądza nie była tym rodzajem ognia, który chciała w sobie rozpaścić, zawsze jednak była ludzkim uczuciem. Od tej pory często sypiała z Jacopem. Czasami odwiedzała go w pokoiku, który nadal wynajmował, a kiedy indziej on przychodził do niej, do szpitala.

Jacope rzadko się odzywał. Wolał się porozumiewać za pomocą dotyku. Kiedy ją pieścił, jego ręce przemawiały równie elokwentnie jak wtedy, gdy czyścił broń, jednakże zawsze wykrzywił usta w wyniosłym grymasie, a w jego oczach gorzał ogień pogardy. W łóżku okazywał przedwczesną dojrzałość, zachowując się jak doświadczony mężczyzna, ale pod każdym innym względem pozostawał chłopcem.

Raule sprawiało przyjemność, że jest znacznie starszą partnerką. Przyszło jej na myśl, że nigdy nie radziła sobie dobrze z byciem młodą, ale być może pewnego dnia poradzi sobie lepiej z byciem starą. Spędzając noce z tym chłopakiem, nie robiła nikomu krzywdy, widmo jej sumienia zbywało więc tę kwestię wzruszeniem ramion, pozwalając jej radować się tanimi przyjemnościami, jakie zapewniał jej Jacope.

Chłopak nie zabrał też Emili ze szkoły. Raule przekonała się, że w rzeczywistości bardzo kocha siostrę. Po śmierci matki dziewczynka stała się małomówna, była jednak zbyt twarda, by ulegać żałobie przez dłuższy czas. Jacope nadal zarabiał pieniądze w ten sam sposób.

- Chcę być bogaty - mówił. - Chcę mieć konia i piękne ubrania. I pragnę, żeby Emila

też to wszystko miała. Nie mów mi o ryzyku. Nie jestem moim głupim bratem, który dał się zabić. Nie wdaję się w walki, których nie mogę wygrać.

Raule uświadomiła sobie, że nie ma sensu próbować go przekonać.

\*\*\*

- To miejsce leży w dżungli - oznajmiła Beth.

Gwynn pomyślał o czarnym bagnie, w którym utopili Orleya.

- A gdzie dokładnie?

- Na południu. Niedaleko stąd.

Poranek był przyjemny. Wiszące nad mostami Ashamoil słońce grzało łagodnie, lekki wietrzyk przynosił znad rzeki odrobinę wilgoci, tchnienie zbliżającej się pory deszczowej. Wynajęty przez nich kaik był ładną łodzią o pomalowanym na ciemnoniebiesko kadłubie ozdobionym przy nadburciu srebrnymi kwiatami z drewna. Wyściełane jasnoniebieskim jedwabiem ławy były podniszczone, ale całkiem wygodne.

Oboje złapali za wiosła i popłynęli w dół Skamandra. Po około dwóch milach dotarli między niskie wzgórza i na sygnał Beth skręcili na południe, w jeden ze starożytnych kanałów nawadniających odchodzących od rzeki po obu stronach. Wąski, pogrążony w cieniu kanał przecinał dżunglę idealnie prostą, zieloną linią.

Od chwili, gdy opuścili rzekę z panującym na niej intensywnym ruchem, nie spotkali już żadnej łodzi. Towarzystwa dotrzymywały im tylko wielkie, jaskrawo ubarwione węże wodne. Choć były jadowite, nie stanowiły zagrożenia, trzymały się bowiem swojego żywiołu, omijając łódź szerokim łukiem. Jediną potencjalną groźbę stanowiły krokodyle. Gdyby potężny gad zaatakował łódź, mógłby ją wyrzucić. Dlatego Gwynn zabrał ze sobą strzelbę. Choć jednak od czasu do czasu widzieli wielkie, ciemne łby wystające z wody, żaden z potworów nie okazywał im zainteresowania.

Gęsta dżungla zatrzymywała większą część promieni słońca i na kanale było niemal chłodno. W nieruchomym powietrzu unosiła się wilgoć. Pachniało tu starością. W leśnym półmroku widzieli olbrzymie węże, szmaragdowozielone boa dusiciele, zwisające w wielkich pętłach z ciemnych od rosy konarów. Były równie ospałe jak mieszkające w rzece krokodyle. Gady nie były jedynymi olbrzymami, na jakich się natknęli. Przepływając obok ruin jakichś świątyń, minęli w odległości kilku stóp wylegujące się na porośniętych pnączami ghatach tygrysy. Zauważyli też coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak leżąca na wodzie zgraja bandyckich masek pozbawionych właścicieli. Okazało się jednak, że to stado ogromnych



ciem o skrzydłach ozdobionych znakami przypominającymi białe oczy.

Ze wszystkich stron dobiegało ich pohukiwanie, skrzeczenie i piski dobywające się ze zwierzęcych gardeł. Ptaki wyglądały jak plamy oślepiająco jaskrawego oranżu, zieleni, fioletu, żółci i błękitu.

Gdy słońce wyszło zza drzew, temperatura wzrosła gwałtownie. Beth zasugerowała, by odłożyli wiosła do chwili, gdy upał przejdzie. Przycumowali pod wyniosłym mahoniem, i otworzyli butelkę wina oraz słoiki z melonami i figami w brandy, które przywieźli w charakterze przekąski.

Podczas podróży mówili bardzo niewiele. Milczenie sprawiało im przyjemność i nie przerwali go także, jedząc posiłek.

- Popatrz - odezwała się nagle Beth, spoglądając w kierunku, z którego przyплыnęli. Wskazywała na coś z uśmiechem. Gwynn odwrócił się i zobaczył okrągły przedmiot unoszący się na falach kanału. To był szklany pływak z rybackiej sieci, kula niebieskawego szkła dorównująca niemal rozmiarami ludzkiej głowie. Gdy ów podróżnik zrównał się z łodzią, Beth pochyliła się i wyciągnęła go z wody.

Przyjrzała się z podziwem zdobyczy, a potem rzuciła przedmiot Gwynnowi, który obrócił go w rękach. Szkło było kiepskiej jakości, ale pęcherzyki i nieregularności nadawały mu ciekawszy wygląd. Uniósł kulę na wysokość swej głowy i dla żartu popatrzył przez nią.

- Dźwigasz cały świat na swych barkach! - zawołała ze śmiechem Beth.

- Przekazuję go w twoje ręce - odparł i rzucił jej kulę.

Złapała ją z wdziękiem i uniosła przed sobą niby trofeum, balansując nią na palcach. Potem wychyliła się przez nadburcie i cisnęła kulę z powrotem do rzeki.

- A więc to jest ten twój raj - stwierdził Gwynn.

- Moim zdaniem niewiele mu brakuje. Nie zgadzasz się ze mną?

- W tym rajy nie ma zbyt wiele miejsca dla ludzi.

Na jej twarzy pojawił się chytry uśmiezek.

- To prawda - zgodziła się. Rozprostowała ręce i nogi. Miała na sobie zielone, jedwabne pantalonki sięgające do połowy łydek. Zdjęła buty i powoli pocierała o siebie bosymi stopami.

Słońce przesunęło się dalej na niebie i na wodę znowu padł cień. Gwynn zapytał, co znajduje się dalej.

- Kolejne kanały - odparła Beth. - Ciągną się całymi milami. Ale powinniśmy już wracać, chyba że chcesz spać w łódce.

Nie miał na to ochoty, zawrócili więc kaik i znowu zaczęli wiosłować. Po krótkim

czasie dotarli do ruin świątyń.

- Zatrzymajmy się tu na chwilę - zaproponowała nieoczekiwanie Beth. - Tygrysy chyba już sobie poszły.

Gwynn nie był tego taki pewien, miał jednak broń i nie sądził, by coś równie wielkiego jak tygrys mogło się podkraść do nich bezszelestnie w tak gęstej roślinności. Wyszli na ląd i usiedli na porośniętym pnączami starożytnym, kamiennym molo.

Gwynn poświęcił chwilę na przyglądanie się Beth. Choć padało na nią niewiele światła, jej włosy i skóra lśniły czerwono-złotym blaskiem. Była ośrodkiem jasności w wilgotnym, bagnistym świecie, czymś, co przybyło tu z królestwa słońca.

Jej oczy wywodziły się jednak z podziemnego świata. Ich ciemna barwa nie mogłaby być bardziej głęboka. Miał wrażenie, że widzi jedynie sam wierzchołek jej duszy.

Przewróciła go na molo.

Gdy skończyli się kochać, położyli się, wspierając głowy na ciele partnera, i zapadli w krótką drzemkę. W dżungli robiło się coraz ciemniej. Dopiero gdy w gęstniejącym mroku rozległy się dźwięki przypominające odległe uderzenia gromu, a węże boa zaczęły się budzić, przeciągając się wzdłuż konarów, wstali i wsiedli do łódki.

Kiedy wrócili na rzekę, było już ciemno. Włączyli się w szereg łodzi zmierzających do miasta. W miarę, jak zbliżali się do Ashamoil, tropikalne gwiazdy stopniowo znikły z nieba.

# DZIESIĘĆ

Stado ibisów czarnopiórych poderwało się do lotu, pochłonawszy wszystkie rybnie flaki pozostałe w porcie po porannym połowie. Ptaki przeleciały nad dolnymi stopniami ghatu, gdzie tłum kobiet prał ubrania, a dzieci próbowały łowić ryby. Na położonym na szczycie schodów targu niewolników zaczynał się handel.

Dzień już w tej chwili był straszliwie upalny. Gwynn siedział pod markizą, trzymając w rękach szklanę chłodzonego ponczu oraz dzisiejszy numer „Chóru porannego”. Marriott leżał w hamaku i czyścił nożem paznokcie. Dwóch rozebranych do pasa chłopców chłodziło ich wielkimi wachlarzami z piór flamingów.

Obok zagrody stało trzech sprzedawców z Rogowego Wachlarza, nadzorujących pracę służących, którzy smarowali oliwą skutych łańcuchami niewolników. Sprzedawcom towarzyszyło trzech młodzieńców, trzymających nad nimi parasole. Nawet przywiązane pod pobliską markizą konie Gwynna i Marriotta miały chłopca, który je wachlował.

Gwynn postawił szklanę na szerokiej, rzeźbionej poręczy fotela i potarł powieki, by przegnać senność z oczu. Był w samej koszuli, a na głowę włożył kapelusz. Ponownie wziął szklanę w rękę. Jednym okiem czytał gazetę, obserwując jednocześnie okolicę.

Otrzymali ostrzeżenie.

Pojawiło się już kilku rannych ptaszków. Gwynn przyjrzał się im z uwagą, ale wszyscy byli zwyczajnymi klientami. Ziewnął szeroko.

Po jakiejś godzinie poczuł nagle mrowienie w karku. Oderwał wzrok od gazety i ujrzał zbliżającą się grupę.

- Idą - rzucił.

Marriott wyprostował się w hamaku, obracając nóż w palcach jak chłopak z gangu.

Z przejścia między dwoma budynkami po prawej wyłonił się mężczyzna z diamentowym kolczykiem w uchu. Brakowało mu nie tylko drugiego kolczyka, lecz również ucha. Przyprowadził dziesięciu uzbrojonych towarzyszy o groźnym wyglądzie. Wszyscy mieli na czołach wymalowany albo wytatuowany czerwony znak. Mężczyzna z kolczykiem również.

Gwynn złożył gazetę i położył ją na ziemi, obok szklanki. Następnie wsparł łokcie na poręczach fotela, czekając, aż człowiek z kolczykiem i jego oddział podejda bliżej.

Zatrzymali się przed markizą. Człowiek z kolczykiem splunął Gwynnowi pod stopy. Pozostali zajęli pozycje za swoim szefem.

- Cześć, żałosny kutasie - rzucił człowiek z kolczykiem.

- Dla ciebie jestem pan Żałosny Kutas - odparł ze spokojem Gwynn.

- Będę mówił do ciebie, jak mi się spodoba. Debil. Dupek. Cwel.

Gwynn zignorował obelgi.

- Co się stało z twoim uchem? - zapytał.

- Rana się zapaskudziła i trzeba je było uciąć. Dostałem zakażenia krwi. A wszystko przez to, co mi zrobiła ta twoja dziwka. - Podszedł krok bliżej - Dlatego przyszedłem zażądać rekompensaty - zakończył z uśmiechem.

- Rozumiem - odparł Gwynn, wskazując na towarzyszącą mu grupę. - A ci faceci z pomalowanymi głowami to twoi kumple, którzy przyszli ci pomóc. Zgadza się?

- Ci dżentelmeni są dla mnie jak bracia. Wstąpiłem do Zakonu Krwawego Ducha. Pomogą mi oderwać ci uszy, wyciąć wargi i...

Gadał tak przez dłuższą chwilę. Kiedy skończył, pojawiło się już kilku gapiów.

- No to bierzcie się do roboty - rzucił Gwynn.

- Co?

- Pamiętaj, że jest półgłuchy - podpowiedział mu Marriott.

- Powiedziałem, bierzcie się do roboty - powtórzył Gwynn, podnosząc głos. - Jak widzicie, jesteśmy z kolegą straszliwie zajęci.

- Za chwilę będziecie straszliwie martwi - odparł człowiek z kolczykiem, uśmiechając się szyderczo.

Nagle rozległ się cichy furkot. Niektórzy z Krwawych Duchów odwrócili głowy, ale było już za późno.

Korzystając z tego, że nie patrzą, Gwynn oddał kilka strzałów.

Pięciu Krwawych Duchów, do których celował, padło na ziemię.

Tymczasem człowiek z kolczykiem otworzył i zamknął usta. Z szyi sterczał mu nóż Marriotta. Z rany tryskały strumienie krwi. Po chwili on również zwałił się na ulicę.

Reszta Krwawych Duchów zamarła. Patrzyli na Marriotta, który tymczasem wydobył karabin, i na Gwynna, który nie podniósł się z fotela. Unosił dymiący rewolwer, a palcami lewej ręki bębnił w drugi. Popatrzyli na leżących towarzyszy. Wszystkie kule trafiły w sam środek znaków na ich czołach.

Gwynn pokiwał do nich rewolwerem z długą lufą.

- Mam tu jeszcze jedną kulę. Który z was chciałby ją otrzymać?

Jeden z Krwawych Duchów warknął wściekle i sięgnął po broń.

Po mgnieniu oka pozostali zrobili to samo. Gwynn utracił przewagę zaskoczenia, a przeciwników było pięciu, doszedł więc do wniosku, że odległość jest stanowczo za mała. Wypalił w nogi mężczyzny stojącego najbliżej i skoczył w bok. Odrzucił rewolwer, który trzymał w prawej ręce, i wyciągnął drugi, naładowany. Przeciwnik, do którego strzelił, padł z krzykiem na ziemię, trzymając się za kolano. Gwynn wylądował na nim, pobudzając go do kolejnego krzyku. Tak jak na to liczył, pozostali bali się strzelać, żeby nie trafić towarzysza, który miotał się na ziemi, próbując zrzucić z siebie Gwynna. Marriott klęknął na ziemi pod hamakiem i zastrzelił jednego z nich. Pozostali przypomnieli sobie o nim ponieważ. Dwóch odwróciło się, by się z nim policzyć, a trzeci szarpał się z pistoletem, który się zaciął. Gwynn zastrzelił z bliska rannego przeciwnika, a potem wycelował w jednego z dwóch, którzy się odwrócili, i przestrzelił mu żuchwę. Marriott załatwił drugiego. Potem Gwynn usłyszał kolejny strzał i poczuł w prawym barku ostry, piekący ból. Ostatni Krwawy Duch nadal nie mógł sobie poradzić z nieposłuszną bronią. Gwynn wystrzelił i usłyszał, że Marriott jednocześnie zrobił to samo. Krwawy Duch padł na ziemię.

Gwynn przyjrzał się swemu barkowi. Nie odniósł żadnych szkód poza zniszczoną koszulą i głębokim zaledwie na pół cala draśnięciem. Wyprostował się, strzepnął kurz z ubrania i popatrzył na Marriotta.

Jego towarzysz miał niezadowoloną minę.

- Przepraszam. Ten, którego trafiłem najpierw, nie był do końca martwy.

Gwynn podniósł z ziemi odrzuconą broń. Ból był niewielki i już mu przechodził.

- Nic nie szkodzi, przyjacielu - rzekł. - *Yche'ire faudhan bihat*. Nie zawsze udaje się zabić wszystkich.

Marriott rozciągnął usta w wąziutkim uśmiešku. Potem potrząsnął głową i wrócił na hamak.

Gwynn ponownie usiadł w fotelu i wziął szklanekę oraz gazetę. Wszystkie trzy rzeczy,

których bezwzględnie potrzebował do odpoczynku, ocalały, jakby bronił ich jakiś niewidzialny strażnik skromnych przyjemności życia. Pstryknął palcami i chłopcy wyszli zza markizy, wracając do wzbudzania powiewów wachlarzami.

Gwynn pociągnął łyk ponczu i westchnął z namysłem.

- Krwawe Duchy! Słyszałeś kiedyś o nich?

- Nie. To ty śledzisz wszystkie plotki.

- To pewnie tylko wynajęte żule z wymyślną ozdobą na głowie.

Gwynn osuszył szklankę i zapalił papierosa. Potem podsunął paczkę Marriottowi.

Jego przyjaciel wziął papierosa, spoglądając na trupy.

- Została tylko krew i duchy - stwierdził, spluwając na ziemię.

Gwynn ryknął śmiechem, ale Marriotta najwyraźniej nie rozbawił własny żart.

Na targu znowu zaczął się ruch. Gapie się rozeszli. Po krótkiej chwili nie wiadomo skąd pojawiła się zgraja uliczników, którzy podbiegli do ciał. Byli bardzo sprawni. W ciągu dwóch minut rozebrali trupy do naga. Jeden z nich miał taczkę. Załadowali na nią wszystkie łupy i zniknęli za pobliskim barakiem.

To nie był wcale koniec. Po chwili przyszli dorośli ludzie, poruszający się sztywnym krokiem. Spowijały ich ciemne łachmany, całkowicie zakrywające twarze oraz ciała przed promieniami słońca i ludzkim wzrokiem. Pracując dwójkami albo trójkami, zawlekli dziesięć trupów do pobliskich ciemnych zaułków.

Jeden z nich rzucił Gwynnowi monetę.

Sępy spotykało się w każdej części miasta. Nie były wybredne, Gwynn widział, jak zabierały martwych, umierających i kalekich. Nikogo z tych, których wyniosły, już potem nie widziano. Niektórzy mówili, że to trupojady, inni zapewniali, że służą ludziom praktykującym czarną magię, jeszcze inni zaś, że zatrudniają ich władze miejskie.

Tego ranka nie doszło już do dalszych incydentów. W południe zjawili się Spiczasty Jasper i Łokieć, żeby ich zmienić.

Ten drugi pogrzebał czubkiem buta w plamie krwi na ziemi.

- Ominęła nas zabawa? - zapytał z lekkim rozczarowaniem w głosie.

- Aha - zgodził się Gwynn.

- Co się wydarzyło? - zainteresował się Jasper. - Wygląda na to, że przydałaby się wam pomoc - dodał, wskazując na rękaw Gwynna.

Ten wzruszył ramionami.

- Niezadowolony klient przyprowadził kolegów.

- Jaki klient? - nie ustępował Łokieć.

- Jakiś właściciel łodzi z Phaience - zaimprovizował Gwynn. Nie miał zamiaru się przyznawać, że strzelali do niego ludzie jednouchego alfonsa.

- A jak się nazywał? - podjął Jasper. - Mam tam kuzynów, którzy zajmują się tym interesem.

- Nie opowiadaliśmy sobie historii rodzinnych - odparł Gwynn. Złożył gazetę i wstał. Przechodząc obok Jaspera, poklepał go po ramieniu. - Szkoda, że cię tu nie było, kanibalu. Miałyś świeże mięso na śniadanko.

Ciemnoskóry mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć. Przerwał mu Marriott, który zeskoczył nagle z hamaka i przeszedł obok z wyrazem straszliwej goryczy na twarzy. Odwiązał konia, skoczył na siodło i odjechał galopem. Gwynn i dwaj pozostali odwrócili z zażenowaniem spojrzenia, nie chcąc patrzeć sobie w oczy.

\*\*\*

Nocą Marriott przyszedł do „Diamentowego Klubu”. Tareda Forever włożyła dziś suknię zszytą z maleńkich srebrnych lusterek. Minęły tygodnie, odkąd okazał zainteresowanie jakąkolwiek rozrywką poza oglądaniem jej występów. Nocami, gdy nie śpiewała - gdy należała wyłącznie do Elma - popadał w najczarniejszą depresję. Dzisiaj pilnował jej Tack oraz młodzieniec o nastroszonych włosach zwany Kingscombem. Obaj zasiedli za stołem najbliższym sceny. Marriott zajął miejsce z tyłu, licząc na to, że go nie zauważą.

Starał się zapomnieć o tym, co wydarzyło się na targu niewolników.

Tareda często oplatała się rękoma, jakby ten delikatny uścisk chronił ją przed rozpadnięciem się na kawałki. Marriott wyobraził sobie, jakby to było, gdyby to on ją obejmował. Pragnął, by przestała śpiewać, spojrzała na niego i zmieniła marzenia w rzeczywistość. Po występie Tack i Kingscomb zaprowadzili ją za kulisy, a on zapalił silnie znieczulający joss.

Elm nigdy nie zlecał mu zadania pilnowania Taredy. Z pewnością już na samym początku zauważył jego uczucia. Marriott zadawał sobie pytanie, jak długo Elm ją sobie zatrzyma. Z pewnością za jakiś czas się nią znudzi. Zawsze szybko nudził się kobietami. Wtedy Marriott będzie miał szansę.

Skończył palić, opuścił klub tylnymi drzwiami i wszedł do pierwszego burdelu, który spotkał. Burdelmama pokazała mu dziewczyny, a on wybrał tę, która najmniej przypominała mu Taredę.

Potem pojechał do domu przez skąpane w bursztynowym blasku latarni ulice,

pogrążony w rozmyślaniach nad własnym losem.

Cierpię, ponieważ jest niemal nieosiągalna. Ale gdybym opuścił miasto i nie mógł jej więcej widzieć, byłoby jeszcze gorzej.

Byłoby, prawda?

Jestem słaby, skonkludował po raz milionowy.

Cóż mu pozostało? Mógł jedynie czekać, mieć nadzieję i cierpieć. Kto by pomyślał, że można w tym odnaleźć swego rodzaju honor? Jestem głupcem.

Podążając stromą, cichą uliczką nieopodal Mostu Spalonego, zaabsorbowany swą niedolą Marriott usłyszał nagle z tyłu donośny turkot. Obejrzał się i zobaczył, że na ulicę wyjechał wóz. Przechylił się na zakręcie tak bardzo, że wydawało się, że się przewróci, wyprostował się jednak i pomknął w dół.

Marriott trącił konia, pośpiesznie zjeżdżając na bok.

Wóz nie był zbyt solidny, a kołyszący się na nim ładunek wyglądał na stanowczo zbyt wielki i źle wyważony. Hamulec najwyraźniej się zepsuł i wóz pędził coraz szybciej. Nadal zaprzężony do niego osioł, mknął szalonym galopem, daremnie próbując ucieczki. Woźnica wychylał się chwiejnie w bok, w jednej ręce trzymając lejce, a drugą naciskając dźwignię hamulca.

- Z drogi! - wrzeszczał, gdy wóz mknął z łoskotem na dół. - Wszyscy z drogi!

Z podskakującego, kołyszącego się wehikułu sypał się ładunek. Owinięte w papier paczki otwierały się natychmiast, pękając z głośnym łoskotem. Po bruku spadały jaskrawe odłamki szkła we wszystkich kolorach.

Marriott zadał sobie pytanie, co za idiota wpakował na wóz tak wielką ilość szkła.

Wóz przemknął obok niego. W tej samej chwili dogonił osła. Biedne zwierzę wpadło pod przednie koła, pojazd podskoczył i przewrócił się na bok. Woźnica spadł z kozła. Reszta ładunku pofrunęła w górę. Polichromatyczne bomby eksplodowały z głośnym traskiem jedna po drugiej.

Gdy kaskada hałasu wreszcie ucichła, Marriott podjechał do szczątków wozu. Zsunął się z siodła i przyjrzał pobieżnie woźnicy, a potem osłu. Obaj nie żyli. Jaskrawe jak tysiąc kwiatów odłamki pokrywały dłuższy odcinek ulicy. Marriott gapił się na ową tęczę, której nie oglądał żaden żywy świadek poza nim. Wiedział, że to z całą pewnością nie był dobry znak.

Ruszywszy w dalszą drogę, przekonał się, że nawet myśli o Taredzie nie potrafią do końca przegnać wspomnienia walki na targu niewolników. Nadal widział oczyma duszy Krwawego Ducha szarpiącego się z zaciętym pistoletem. Potem widział, jak celuje do niego, i czuł, jak spazm targa jego dłonią w chwili, gdy naciskał spust. Widział, jak Gwynn się



wzdryga (i wyobrażał sobie, że kula przemknęła kilka cali w prawo, przebijając głowę jego towarzysza). Widział, jak strzela do zabitego przeciwnika zamiast do tego, który jeszcze żył, i słyszał, jak potem kłamie. Nie sądził, by jego kłamstwo zabrzmiało przekonująco, niemniej jednak Gwynn mu uwierzył.

Wyobraził sobie, że opowiada mu, co wydarzyło się naprawdę, choć świetnie wiedział, że nie robi nic w tym rodzaju. Nakaże sobie o tym wszystkim zapomnieć.

Gdy Marriott wrócił do mieszkania, które wynajmował w zaułku przy Świetlistej, zdołał już niemal przekonać samego siebie, że jego kłamstwo było prawdą i to Zakon Krwawego Ducha, nie on, powinien odkupić Gwynnowi koszulę.

Gdy jednak rozwiązywał sznurowadła, jego prawą dłoń ponownie szarpnęły skurcze. Drżała potem tak gwałtownie, że musiał się rozebrać, używając tylko lewej ręki.

\*\*\*

- Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

- Przecenisz zainteresowanie większości ludzi podobnymi sprawami. Ale obiecuję. Masz moje słowo honoru.

To było w czołach po incydencie na targu niewolników. Wielebny wypił bardzo dużo i znowu zaczął gadać o ezoterycznych tajemnicach. Tym razem mocny „Czarny Kordial” rozwiązał mu język i kapłan opowiedział Gwynnowi o kilku sprawach, o których powinni wiedzieć jedynie wtajemniczeni.

- Wysłuchaj mnie z odrobiną szacunku dla świętości słów, które usłyszysz. Bóg jest nieskończony, a to co nieskończone musi zgodnie z logiką zawierać w sobie wszystko co istnieje, a także wszelkie możliwości. Z tego wynika, że w Bogu istnieje potencjał tego, co nie jest Bogiem. Kiedy stworzył wszechświat, ów potencjał się zrealizował. Urzeczywistnioną postacią tego, co nieboskie, zwiemy rzeczywistością piekielną. Jej natura jest czystym paradoksem. Z tego powodu, mój synu, w stworzonym przez Boga wszechświecie może istnieć coś, co nie jest boskie.

- I to wszystko? - zapytał Gwynn, popijając łyk herbaty.

- Za trudne dla ciebie? - Wielebny miał zadowoloną minę. - To mnie nie dziwi. Z pewnością tak będzie lepiej. Nie powinienem opowiadać ateście o takich sprawach.

- Możesz być pewien, że nikomu nie powtórzę ani słowa. Załóżmy, że twoja teoria jest prawdziwa. Przykładami tej „rzeczywistości piekielnej” byłyby takie osoby, jak na przykład ja, zgadza się?

- Tak...

- Znakomicie. Nawet w tym obrazie świata jestem tym, kim pragnę być.

- ...ale tylko, gdy chodzi o twe przywary i zbrodnie. Jakaś część ciebie, być może nawet więcej niż połowa, jest doskonała. Jesteś świetnym kandydatem do odkupienia. Twoja niegodziwość sięga głęboko, ale nie zajmuje wielkiego obszaru.

Gwynn wziął sobie kawałek żółwiowo-pigwowego pasztetu, który był dziś głównym daniem.

- Czy więc można powiedzieć, że twój bóg i ta rzeczywistość piekielna są wrogami?

- Sprawa nie jest taka prosta. Rzecz jasna, Bóg wiedział, że to się wydarzy. Rzeczywistość boska była gotowa na przyjście rzeczywistości piekielnej. Ponieważ wszystko jest od Boga, a niczego, co jest od Boga, nie można do końca zniszczyć, rzeczywistość piekielną trzeba poddać transformacji. Musi ona uznać swój błąd, zrozumieć nielogiczny charakter własnej egzystencji i postanowić stać się częścią boskiej rzeczywistości. Gdy wszystko zostanie nawrócone, ów błędny potencjał nie będzie już istniał. Wszechświat osiągnie doskonałość. Wszyscy jesteśmy substancjami uczestniczącymi w owej największej alchemii, w Wielkim Bożym Dziele.

- Bardzo wzruszające. A jak do tego zgrabnego planu pasuje twoje piekło?

- Wyobraź sobie garncarza, który zdejmuje z koła nieudaną misę i rozbija ją, by wróciła do balii z gliną. Potraktowana w ten sposób dusza cierpi, a te cierpienia nie ustaną, dopóki nie przestanie istnieć. Zostaniesz potłuczony na kawałki, a pozostałe po tobie szczątki wejdą w skład czegoś innego. Bóg będzie próbował raz po raz, dopóki jego Dzieło nie zostanie ukończone. Ale ciebie, mój synu, dawno już wówczas nie będzie.

- To piękne - stwierdził z podziwem Gwynn.

- Piękne?

- Oczywiście. Taka niezwykła, tragiczna opowieść nie mogłaby nie być piękna.

Wielebny prychnął pogardliwie.

- Z pewnością wydaje ci się, że twoje drwiny świadczą o wyrafinowaniu. W rzeczywistości są dziecinne. Czy nawet nie spróbujesz... nie ośmielisz się zakwestionować podstaw swej niewiary?

- Nie sędzę, bym był zobowiązany do dodatkowych wysiłków dla powodzenia twoich planów, ojciec - odparł Gwynn, unosząc brwi.

- Masz trochę racji - przyznał z westchnieniem żalu wielebny, po czym poszukał pociechy w butelce.

- Chciałbym jednak podyskutować o tej wyimaginowanej aberracji twojego

wyimaginowanego boga. Aberracji, którą z tak wielkim wysiłkiem stara się wyeliminować. Czy mam rację, zakładając, że przemoc należy do rzeczywistości piekielnej?

- Przemoc, okrucieństwo i wszelkie postacie niegodziwości - odparł wielebny w przerwach między łykami trunku. - Wszystko to nie jest częścią boskiej natury. Przykro mi, że cię rozczarowałem. Wiem, że spodobał ci się twój pomysł okrutnego boga.

Gwynn machnął lekceważąco nożem.

- Zdecydowanie wolałbym, żeby nie było żadnego boga. Muszę jednak wyznać, że jestem zdziwiony. Dlaczego akurat ten szczególny punkt waszej doktryny jest tajemnicą? Czy nie chcielibyście, by wasza trzódka wierzyła, że tylko cnota ma boski charakter?

Wielebny potrząsnął z emfazą głową.

- Masy mogłyby to zaakceptować, ale złośliwi intelektualiści twierdziliby, że to dowodzi, że Bóg jest niedoskonały i ma ograniczenia. Uczepiliby się pomysłu Boga zmuszonego do wysiłku, Boga, który trudzi się dla usunięcia skazy, walczy o nadejście lepszego świata jak zwykły człowiek, a nawet Boga, który jest chory. To już się przedtem zdarzało i zawsze prowadziło do dualizmu. Ludzie zaczynają uważać zło za niezależną siłę, równie potężną jak dobro. Do tego nie można dopuścić.

- Ale nawet jeśli rozważamy wyłącznie ludzki gatunek, wszystko wskazuje na to, że mała plamka rzeczywistości piekielnej z łatwością przyćmiewa swe boskie źródło.

- Jesteś złym człowiekiem, ale to nie powinno cię skłaniać do lekceważenia siły dobra kryjącego się w innych - pouczył go wielebny.

- A co z niewiarygodnie potężnym złem natury? - ciągnął Gwynn. - Nie wiemy, czy zwierzętom okrucieństwo sprawia równie wielką przyjemność, jak nam, lecz nawet jeśli ich bestialstwo nie dorównuje naszemu wyrafinowaniu, z pewnością jest bardzo pospolite i przybiera najrozmaitsze formy. U zwierząt występują wszelkie postacie okrucieństwa, od prostej brutalności krokodyla, aż po zachowanie dzierzby, która otwiera dziobem czaszkę ofiary i wyjada żywy mózg, albo gąsienicznika, który składa jaja w żywych gąsienicach innych owadów, by jego larwy pożarły je żywcem. Albo weźmy samicę megaseli, która jest mniej okrutna, lecz z pewnością również nie zalicza się do świętych. Przychodzi na świat bez skrzydeł ani nóg i przez całe życie karmią ją mrówki. Jej bytowanie ogranicza się do lenistwa i oszustwa. Powinniśmy także uwzględnić wszelkie nośniki chorób, gdyż nauka odkryła niedawno, że są one maleńkimi zwierzętami.

Gwynn przemawiał z wielkim entuzjazmem. Większą część życia spędził w krainach, gdzie bytowało niewiele gatunków, dlatego fascynowała go obfitość życia w tropikach i regularnie studiował zoologiczne czasopisma w miejskiej bibliotece.

- Złośliwość najwyraźniej kwitnie na całym świecie - skonkludował.

- Skończyłeś? Pytam, bo zademonstrowałeś tylko, że spoglądasz na świat w wypaczony sposób. Ignorujesz wspaniałość i czułość natury niczym głupkowaty błazen bawiący się z karaluchami w kącie ogromnej sali tronowej. Sam przyznajesz, że pragniesz skalać dzieło stworzenia. To nie jest godny cel.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ta twoja rzeczywistość piekielna potrafi walczyć? Że zwycięża w tej walce, i to już od dawna?

Wielebny nie pozwolił, by przeciwnik odwrócił jego uwagę.

- Nie jesteśmy w stanie pojąć intencji tego, co jest nieskończone i nie zna granic - wymamrotał i pociągnął długi łyk. - Z czasem Bóg wszystko uczyni pięknym. Nie potrafisz sobie wyobrazić jak bardzo pięknym.

To były ostatnie składne słowa, jakie wypowiedział kapłan, nim trunek, który do tej pory czekał spokojnie, ukrywając się we krwi, przystąpił do nagłego szturm i pozbawił gospodarza przytomności.

\*\*\*

Następnego dnia wielebny ocknął się w luksusowym hotelu. Jego ubranie doprowadzono do porządku i ułożono obok łóżka. Ktoś przewidujący zostawił mu też opakowanie proszków od bólu głowy. I całe szczęście, bo musiał iść do szpitala. Co prawda, nie sądził, by lekarka albo któraś z siostr poczuły się szczególnie zawiedzione, gdyby się nie zjawił, wiedział jednak, że jedna z pacjentek jest umierająca, a bardzo nie lubił, gdy omijała go śmierć.

Kiedy dotarł na miejsce, pacjentka trzymała się jeszcze życia, ale już bardzo słabo. Nie cierpiała na żadną szczególną chorobę, była po prostu stara. Usiadł przy łóżku kobiety i wbił wzrok w jej kościstą, nieruchomą twarz.

Ile już razy oglądał śmierć? Z pewnością tysiące. A w każdym z tych przypadków wypatrywał tego samego: czegoś w twarzy albo w oczach, co by mu powiedziało, że umierająca osoba ujrzała Boga. Nigdy jednak nie udało mu się zobaczyć owego znaku. Jego przedłużająca się nieobecność bardzo niepokoiła kapłana, do tego stopnia, że ostatnio zaczął wypytywać pacjentów, spokojnie, ale z pasją:

- Co pani widzi? Co pani czuje?

- Nic nie widzę - wychrypiała poirytowana kobieta, nie otwierając oczu. - Czuję się zmęczona jak stara kość obracana przez wiatr.

- A może pani coś słyszy? - nie ustępował wielebny, choć dręczyło go poczucie winy.  
- Niech pani posłucha uważnie.

- Słyszę twoje bredzenie, kapłanie - jęknęła kobieta. - I jest to ciężkie brzemię dla moich uszu. Zamknij się albo pójdz sobie gdzieś, gdzie nie będę cię słyszeć.

- Przepraszam - mruknął wielebny.

Dał za wygraną i od tej chwili nie odezwał się już ani słowem, obserwując kobietę. Nie zauważył jednak nic. Kiedy umierała, jej oczy się otworzyły, jeśli jednak zobaczyła coś bardziej świętego niż sufit, nie okazała tego w żaden sposób. Kolejne czuwanie nic mu nie przyniosło.

Rozejrzał się ukradkiem wokół. Upewniwszy się, że w sali nie ma żadnych zakonnic, wy dobył zza pazuchy butelkę i pociągnął pośpieszny łyk.

Kapłan świetnie zdawał sobie sprawę, że większość ludzi nie interesuje się tym, co ich czeka za bramą śmierci, bądź też ślepo wierzy w to, co mówi im ta czy inna religia. Czuł się winny między innymi dlatego, że choć w dyskusjach bronił wiary, sam nigdy naprawdę jej nie miał. Nie była mu potrzebna, posiadał bowiem niezaprzeczną wiedzę o istnieniu Boga. Tak przynajmniej wówczas sądził.

W tym właśnie punkcie jego myśli zawsze zaczynały gryźć własny ogon.

Wielebny przypominał sobie - choć nie był już pewny wiarygodności swych wspomnień - że znał Boga, czuł Jego obecność, słyszał Go, a być może nawet widział. Boska obecność - czy może zjawisko, które brał za obecność, i które wydawało mu się boskie, ponieważ jego wielkość znacznie wykraczała poza wszystko, co kiedykolwiek dostrzegł w ludziach oraz w naturze - przez całe życie wypełniało go i otaczało ze wszystkich stron.

Nie opuszczało go ani na moment i dlatego dopiero w dniu, gdy to w końcu się stało, uświadomił sobie jego ogrom. Zniknęło nagle, bez ostrzeżenia, jak kapryśna kochanka.

Kapłan nie znał żadnych słów, którymi mógłby opisać ową obecność. Jej zniknięcie pozostawiło po sobie pustkę, ból serca i żalobę, które były bezimienne, lecz najbardziej przypominały poczucie wygnania. Ostatnio zrodziło się w nim przekonanie, że owo wrażenie towarzyszy wszystkim ludziom, choć tylko niektórzy są tego świadomi, inni zaś - jak Gwynn - nie zdają sobie z tego sprawy.

Wielebny nie ograniczał się do rozmów z umierającymi. Jeszcze częściej zdarzało mu się przemawiać do umarłych. Ich milczenie zawsze rozwiązywało mu język.

- Czas kradnie nam zdolność zachwyty, tak? - zaczął, zwracając się do zmarłej kobiety. - Powoli, ale nieubłaganie, wypłukuje nasz entuzjazm, zastępując go niepewnością. W młodości byłem zachwycony Bogiem i wyruszyłem na pustynię głosić kazania o bożej

miłości. Pustynie budziły mój entuzjazm. Każdego dnia dostrzegałem Boga w straszliwych promieniach słońca, spalonej ziemi i gorącym wietrze, co noc zaś widziałem go w wiecznie się zmieniającym księżycu, ogniskach palonych przed namiotami oraz w ciszy snu. Przede wszystkim jednak, wyznaję to szczerze, pani, i przykro mi, jeśli razi to twe stare uszy, widziałem Boga w kobietach, w ich wspaniałych ciałach i oczach gazeli, w ich słodkich i porywczych nastrojach. Kiedy pościłem, nawiedzały mnie wizje zasłony skrywającej niebo i uświadomiłem sobie, że kryje się za nią niezrównane piękno i słodycz, niezrównana porywczność, wdzięk i chwała! O ironio, to właśnie przez dziewczynę utraciłem Boga. Zasłona mogła być jedyną prawdą o świętości. Kiedy zamknę oczy, nadał widzę ów straszliwy kwef! Moja dusza tęskni do Boga, ale człowiek to nie tylko dusza. To straszne, ale glina mojego ciała pożąda gliny ciał młodych dziewcząt. Wybacz mi, proszę, niedelikatność, ale niemal udało mi się przekonać samego siebie, że odnajdę z powrotem Boga w ich ramionach i w ich nieprzystojnych miejscach. Dziękuję ci za uwagę, pani.

Zakrył głowę zmarłej prześcieradłem i ruszył do Żółtego Domu.

Czekały tam nań złe wieści. Kiedy zapytał o Calilę, właścicielka odpowiedziała, że pewien mężczyzna kupił ją do swego prywatnego użytku i zabrał stąd. Zasugerowała inną dziewczynę, ale wielebny czuł się oszukany i okradziony. Opuściło go pragnienie przyjemności. Poszedł sobie i usiadł pod naftową latarnią na kamienistym gruncie w miejscu, gdzie wyburzono cały szereg przybrzeżnych domów. Zbierał kawałki cegieł bądź dachówek i rzucał je kolejno do wody.

Gdy już mu się to znudziło, zaczął wypuszczać kokony z wewnętrznych powierzchni dłoni.

Nigdy nie wiedział, co się z nich wylęgnie. Często były to osy, lecz zdarzało mu się również produkować wiję, skarabeusze, a nawet kolibry. Tym razem, gdy oprzędy pękły, wyszły z nich wielkie ćmy księżycowe. Siedziały mu na dłoniach, poruszając półprzezroczystymi, jasnozielonymi skrzydłami. Kiedy skrzydła wyschły, owady odleciały, wzbijając się szybko w powietrze. Wielebny śledził je wzrokiem. Choć nie chciał ich polubić, nie potrafił powstrzymać myśli, że są bardzo piękne.

Były jednak skazane na zagładę. Przyciągało je palące się na górze światło. Dwukrotnie okrążyły żelazną klatkę, w której palił się ogień, a potem pomknęły prosto w płomienie i zginęły z dwoma cichymi trzaskami.

Z oczu wielebnego popłynęły łzy frustracji, nie chciał jednak dać za wygraną. Wyhodował dwa kolejne kokony, z których wykluły się wspaniałe, niebieskie ważki.

One również poleciały w ogień i spadły na ziemię jako dwie zwęglone pałeczki

przypominające zużyte zapalki. Dysząc ciężko, wielebny wyprodukował kokony po raz trzeci. Znowu pojawiły się ćmy, tym razem brązowe, mechate i niezbyt ładne. Kapłan próbował je przepłoszyć, by poleciały nad wodę, lecz obie podażyły za poprzedniczkami prosto w płomienie.

W końcu uznał się za pokonanego i zagoił rany w dłoniach. Potem wepchnął kłykcie do ust, by nie zacząć wyć jak szaleniec.

# JEDENAŚCIE

Do Ashamoil dotarła pora deszczowa, przynosząc ze sobą powietrze przypominające gorący klej, a także burze z piorunami oraz roje komarów i meszek, much i cykad. Dym oraz pył węglowy, unieruchomione przez wilgoć, unosiły się gęstymi kłębami nad Skamandrem oraz spowijały niżej położone tarasy. Tkaniny butwiały, tynk się kruszył, metal rdzewiał. Całe miasto parowało i cuchnęło przepelnionymi ściekami, każdy powiew zwiastował dyzenterię i cholere.

Zmiana pór roku tradycyjnie przynosiła ze sobą niezwykle mody, ponieważ ludzie, których było na to stać, starali się odwrócić czymś swą uwagę od fizycznych niedogodności, sprawić, by umysł zapomniał o cierpieniach ciała. W zeszłym roku modna była nauka. Wiele kuchni przerobiono na czas pory deszczowej na laboratoria. Rzecz jasna, w rezultacie wielu mieszkańców wysadziło się w powietrze, zginęło od trujących oparów, spowodowało pożary albo zaraziło się różnymi chorobami od zwierząt, na których przeprowadzali doświadczenia. Spowodowało to reakcję w przeciwną stronę i w bieżącym roku zapanował szal na uromantycznione średniowiecze, pełne magii i pozbawione jakiejkolwiek technologii. Człowiek nazwiskiem Durn Limment, który zbił wielki majątek na chemicznych barwnikach, farbach i tuszach, dostrzegł szansę komercyjnego wykorzystania fantastycznych wyobrażeń i zamówił u Beth ilustracje do bestiariusza. Miało to być kosztowne wydanie o ograniczonym nakładzie - „współczesny inkunabuł”, jak określił to Limment - wydrukowane przy użyciu jego farby drukarskiej i oprawne w skórę barwioną jego ultramarynowymi i złotymi barwnikami. Oznajmił Beth, że zostawia jej całkowitą swobodę, gdy chodzi o ilustracje, pod warunkiem, że jej prace zademonstrują pełen zakres kolorów oferowany przez jego produkty i



zostaną ukończone szybko, by w pełni wykorzystać nastrój chwili.

Gwynn widział ilustracje, które zaczęła tworzyć Beth. Miał wrażenie, że zaprowadzają one porządek w jej świecie nieokreślonych dotąd form. Łączyła ze sobą poszczególne elementy i nazywała to, co powstało: stworzeniu o ciele sowy, skrzydłach z ognia oraz głowie roześmianego, czarnoskórego dziecka nadała imię Rambukul; istotę o ciele statku, dziewięciu łabędzich szyjach i głowach w kształcie dziewięciu lili nazwała Lalgormą. Najdziwniejszym z jej dzieł był jednak gładki, czerwony kamień o brodzie z białej trawy, który nosił imię Ombelex. Choć robił wrażenie martwego przedmiotu, przedstawiła go zamkniętego w masywnej, żelaznej klatce. Stworzyła również wyobrażenia tradycyjnych potworów, w tym nowego bazyliuszka. Miał on męską twarz o ostrych rysach, kaptur, jak u kobry, złożony z pawich piór oraz ciernisty język. Sfinks, którego przedstawiła, miał zwyczajową postać złożoną z elementów lwa, orła i kobiety, choć z jakiegoś tajemniczego powodu bawił się szklanym pływakiem do sieci.

Choć Beth była zajęta tym projektem, kontynuowała też pracę, która zapewniała jej regularny dochód. Najwięcej czasu pochłaniało jej zaspokajanie wciąż rosnącego popytu na erotyczne portrety. W nich właśnie dawał się dostrzec wpływ jej nowego kochanka. Powiedziała Gwynnowi, że jest monochromatyczny i składa się z samych linii, co czyni go idealnym materiałem dla rytownika. Twarze i postacie pojawiały się na jej rycinach coraz rzadziej, a ich piękno sprawiało coraz bardziej żołnierskie wrażenie. Przejęły też coś ze spokoju swego modelu, a także z podskórnego nurtu złośliwości, jaki można było zaobserwować w typowych dlań gestach i minach. Ów model nie miał wiele do powiedzenia na ich temat, uśmiechał się tylko wyniośle, gdy stanął z nimi twarzą w twarz. Świetnie rozumiał, jakiego rodzaju zachowania wymaga rola jej muzy.

W prywatnej sztuce Beth zmiana zaznaczała się jeszcze silniej. Oznajmiła, że bestiariusz zaspokaja jej zainteresowanie osobliwymi postaciami, przestała malować dziwolągi i skupiła się na serii akwatint o mrocznych barwach, w których zdobny, zmysłowy chaos poprzednich rycin zastąpiło coś, co było jego niemal dokładnym przeciwieństwem. W architektonicznych przestrzeniach - przygniatająco ciasnych albo przygniatająco przestrzennych - pojawiały się niewyraźne ludzkie sylwetki, stojące samotnie lub parami. Skrywały się częściowo w cieniu albo znajdowały się bardzo daleko i wydawało się, że artystka uchwyciła je na krawędzi zniknięcia. Gwynn wyczuwał w tych scenach jakieś tajemne życie, jakby za murami znajdował się ukryty świat, o którego istnieniu świadczyło ukradkowe zachowanie postaci albo tajemnicze przedmioty leżące na ulicy, jakby ktoś je tam porzucił.

Rzecz jasna, wszyscy w Rogowym Wachlarzu szybko się dowiedzieli, że Gwynn ma nową kochankę, do tego bardzo atrakcyjną. Towarzysze suszyli mu głowę, chcąc się dowiedzieć, kiedy ją poznają. Tylko Marriott nic nie mówił. Coraz bardziej zamykał się w sobie. Gwynn tymczasem coraz rzadziej spotykał się z kolegami. Większość czasu spędzał z Beth. Czasami nawet obserwował ją przy pracy. Potrafiła się zmienić z twórczyni snów w wydajną maszynę. Gdy po raz pierwszy zobaczył, jak się poci nad prostymi zadaniami wchodzącymi w skład procesu rytowniczego: od piłowania krawędzi metalowych płyt aż po czyszczenie ich z tuszu i bituminu za pomocą całych jezior terpentyny i ryz papieru, zapytał, dlaczego nie wynajmie pomocnika. Odpowiedziała mu, że praca fizyczna zmusza do wysiłku jej ciało, pozwalając jednocześnie odpocząć duchowi i umysłowi. Dodała też, że jej zdaniem dyscyplina zwyczajnych czynności ma w sobie pewną wartość, pod warunkiem, że jest to jedynie dyscyplina, nie niezmienny stan rzeczy.

Beth ze swej strony przyglądała się, jak Gwynn oddaje się ćwiczeniom z szablą. Często poświęcał na to krótką chwilę rankiem, zaraz po myciu. Pewnego dnia wyznała, że zazdrości mu umiejętności walki. Oznajmiła, że tylko w niebezpiecznej sytuacji człowiek może się przekonać ile jest wart. Odpowiedział coś niezobowiązująco, zastanawiając się w duchu, jaka właściwie sytuacja może się okazać dla niej niebezpieczna. Odwiedzali wspólnie bardzo podejrzane miejsca i nigdy dotąd nie musiał stawać w jej obronie.

Nie potrafił jej zapytać, dlaczego zwróciła na niego uwagę, często jednak zastanawiał się nad tą kwestią. Zdawał sobie sprawę, że pod pewnymi względami są raczej przykładem przyciągających się przeciwieństw, które w rzeczywistości wcale się nie uzupełniają. Po raz drugi wspomniała o wyruszeniu w wieloletni rejs, wędrowce z portu do portu bez dłuższych postojów ani perspektywy zakończenia podróży. Świadomie lub nie, planując opuszczenie Płaskowyżu Teleute, mówiła „ja”, nie „my”. Nietrudno było sobie wyobrazić, że mogłaby wyruszyć w taką podróż, zmierzać wciąż przed siebie bez cienia strachu, szukając ciągle nowych zjawisk, by włączyć ich esencje do swych wymaganych światów.

Los, który spotkał Marriotta, stał się dla Gwynna ostrzeżeniem. Uważnie obserwował własny nastrój, wypatrując oznak melancholii. Zauważył u siebie nieco zwiększoną, lekko cikliwą fascynację romantycznymi porami świtu i zmierzchu, a także minimalne zwiększenie wrażenia ulotności życia oraz zasadniczej samotności, pamiętał jednak te łagodne objawy ze swych poprzednich romansów i nie widział powodów do obaw o własne zdrowie. Przynajmniej umysłowe. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy miasta, podczas pory deszczowej bał się choroby. Wilgoć sprzyjała pasożytom i epidemiom. Wózki trupiarzy przemierzały miasto dwa razy dziennie. Zwłoki rzucano do rzeki, co przyciągało stada krokodyli. Gady

szybko się nauczyły, o jakiej porze przybywają wózki. Godzinę po wschodzie i godzinę po zachodzie słońca w wodzie przy molach Ashamoil roiło się od głodnych bestii. O tej porze mniejsze łodzie trzymały się środka rzeki, unikając agresywnych, prymitywnych wędrowców przemierzających wody przybrzeżne. Tam, gdzie żerowały krokodyle, nie zapuszczały się żadne łodzie.

Beth i Gwynn dwa razy w tygodniu płynęły łódką do położonego w dżungli kanału. Panowała tam równie przytłaczająca atmosfera, było jednak czyściej. Podczas jednej z tych wycieczek niebo całkowicie przesłaniały rozgrzane białe chmury, a w powietrzu unosiła się piżmowa woń. Beth siedziała na dziobie łódki, odziana w starą koszulę, spodnie z podwiniętymi nogawkami i sandały. Paznokcie u nóg miała pomalowane na złoto. Gwynn również był w samej koszuli, a włosy związał w kucyk. Z przenośnego palnika ustawionego na dnia kaiku buchały opary oleju kamforowego, odstrasżające komary. Mieli też składany namiot z gazy złożony z trzech ścian i dachu, chroniący ich przed upałem i przed owadami, a także przed olbrzymimi pajakami, które leżały się podczas pory deszczowej i nawet w najmniejszym stopniu nie brzydzyły się odorowi kamfory ani żadnego innego. Fakt, że były wystarczająco wielkie, by można było do nich strzelać z rewolweru, stanowił bardzo wątpliwą pociechę.

W południe zatrzymali się u stóp ghatu i rozłożyli osłonę. Gdy już zjedli obiad i grali leniwie w kości, Gwynn dowiedział się czegoś nowego o Beth i jej fascynacji oceanem.

- Nigdy nie byłam nad oceanem, ale pamiętam, że tam poleciałam - zaczęła. - Pamiętam statki i łuk horyzontu. Siedziałam na urwisku i spoglądałam z góry na port. Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że to wspomnienie wcale nie przypomina snu?

- Uwierzyłbym, ale gdybyś się upierała, że to rzeczywiście nie był sen, wiara mogłaby mnie opuścić.

- Aha, pewnie tak właśnie by się stało. Nie pamiętam, ile miałam lat, gdy mi się to przyśniło. Byłam mała. Wiem jednak, że przedtem byłam grzeczną dziewczynką, a potem zaczęłam kłamać i wagarować. Ludzie zawsze znajdowali powód, żeby się mnie czepiać, ale wydawało mi się, że wcale nie gniewają się na mnie, tylko na kogoś innego. Na grzeczne dziecko, którym byłam przedtem. Nie rozumieli, że tamtej dziewczynki już nie ma, że zginęła bez śladu, a w jej łóżku obudziła się inna istota. Czasami myślę, że tamta dziewczynka wyruszyła na ocean, a ja jestem jej jedyną częścią, która pozostała, być może niczym więcej niż osadem jej wspomnień bądź wyobraźni, uwięzionym w śmietniku wiecznej przeszłości. A może jestem czymś, co wówczas spotkała, i co zgodziło się zamienić z nią na miejsca. Albo może zmusiłam ją, żeby się ze mną zamieniła.

- A na którą z tych możliwości byś się zdecydowała, gdybyś mogła wybierać?

- Chyba na przedostatnią.

- Chciałabyś być potworem, ale nie okrutnym?

- Nie nazbyt okrutnym. Potworem, nie bydlęciem. Czy znasz historię o człowieku i ciężkiej skrzynce?

- Jestem przekonany, że nie znam.

- Pewien człowiek zdobywa małą skrzynkę. W niektórych wersjach opowieści kupuje ją, w innych zaś otrzymuje w nagrodę za dobry uczynek. To nieważne. Historia naprawdę zaczyna się w chwili, gdy osoba, od której otrzymał skrzynkę, mówi mu, że im dłużej będzie zwlekał z jej otwarciem, tym cenniejsza stanie się jej zawartość. Nasz bohater w to wierzy i przez kilka miesięcy nosi szkatułkę ze sobą. Staje się ona jednak coraz cięższa i po pewnym czasie nie jest już w stanie jej dłużej dźwigać. Rozważa możliwość kupna osła, ale uświadamia sobie, że wkrótce skrzynka stanie się tak ciężka, że nawet osioł jej nie udźwignie. Pewnego dnia zacznie potrzebować konia, a wreszcie słonia. Będzie już wówczas stary i nie zostanie mu wiele czasu, by cieszyć się tym, co zawiera szkatułka. Dochodzi do wniosku, że najrozsądniej uczyni, otwierając ją.

- I co znajduje w środku?

- Diabliska. We wszystkich wersjach jest to błazen, który opowiada wulgarne kawały. Bohater z początku jest wściekły, że nie otrzymał nic bardziej wartościowego, okazuje się jednak, że diablisk jest dobry i sprytny. Pomaga bohaterowi zdobyć serce kobiety, której pragnął od początku opowieści. Rzecz jasna, to właśnie ją miał nadzieję znaleźć w skrzynce.

- I od tego czasu zawsze zadawał sobie pytanie, czy gdyby zaczekał chwilę dłużej, jego pragnienie by się spełniło - domyślił się Gwynn.

- W niektórych wersjach. Najczęściej jednak jest przekonany, że postąpił właściwie. Zdobył kobietę swych marzeń i na dodatek diabliska, który jest użytecznym przyjacielem. W jednej z rzadziej powtarzanych wersji dowiaduje się, że w skrzynce zawsze był tylko diablisk, który zaprowadziłby go do tego, czego pragnął najbardziej, cokolwiek by to było. Wtedy zaczyna żałować, że zażyczył sobie tylko kobiety, i historia kończy się mniej szczęśliwie.

- Ale to właśnie tę wersję lubisz najbardziej - domyślił się Gwynn po raz drugi.

- Masz rację. Jedna ze starożytnych szkół filozoficznych twierdziła, że zawsze zdobywamy to, czego najbardziej pragniemy. Dlatego filozofowie z tej szkoły radzili ludziom, by byli śmiali i pragnęli wielkich rzeczy.

- A czy wspomnieli kiedyś, czego sami pragną?

- Nie otwarcie. Chcieli władzy, ale zawsze używali eufemizmów.

- Ha! - zakrzyknęła triumfalnie w następnej chwili, ponieważ zwyciężyła w grze. - Opowiedziałam ci historię. Teraz ty musisz zrobić to samo.

Gwynn przyznał, że tak będzie uczciwie, i zapytał, jakiego rodzaju opowieść chciałyby usłyszeć.

- Prawdę o tobie - odparła. - Co cię skłoniło do porzucenia ojczyzny i wyruszenia w tak dalekie strony? Czego pragnąłeś?

- Chciałem żyć - odparł, spoglądając na wodę. - Wśród moich rodaków istnieje przysłowie, głoszące, że jeśli członkowie rodziny nie są zajęci zabijaniem wrogów, muszą poszukać innych ofiar i w końcu zaczynają mordować się sami. Nie chciałem, by spotkał mnie ten los, więc pewnej nocy uznałem za stosowne ukraść psi zaprzęg i opuścić Falias. Byłem wówczas młody. Nim zdążyłem odjechać daleko, spotkałem drugiego chłopaka, który został moim przyjacielem. Obaj zmierzaliśmy ku zachodzącemu słońcu, aż wreszcie dotarliśmy do małego księstwa o nazwie Brumaya. Niestety, podczas naszego pobytu w tym państewku wybuchła wojna. Okazało się, że agresorem był mój klan. Rozpoznano mnie i zamknięto w książęcym więzieniu jako szpiega. Rzecz jasna, próbowałem ich przekonać, że nie jestem w domu zbyt popularny, ale oni oczywiście mi nie uwierzyli. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że mój przyjaciel zdołał uniknąć aresztowania i wynajął ludzi, którzy pomogli mu mnie uwolnić. Niemniej jednak, musiał sprzedać niemal cały nasz dobytek, by ich opłacić. Zostały nam tylko łachy, które mieliśmy na grzbietach, oraz jedno szczenię. To znaczy, że mieliśmy trzy gęby do wykarmienia. Aby uniknąć ponownego aresztowania albo głodowej śmierci, zaciągnęliśmy się do zaciężnej armii. Z pewnością docenisz ironię zawartą w fackie, że jej pracodawcą był książę Brumai. Wkrótce więc byłem zmuszony walczyć z rodakami i wywarłem na nich zemstę wystarczająco krwawą, by zaspokoić nawet dumę nastoletniego chłopaka. Wtedy właśnie zdobyłem tę szablę - dodał Gwynn, stukając palcem w pochwę Gol'achab.

- Tak czy inaczej, w Brumai musieliśmy się zaciągnąć na trzy lata - kontynuował. - Potem następne kontrakty zaprowadziły naszą armię na południowy zachód. Kiedy trzy lata minęły, znaleźliśmy się w Kraju Miedzi. Mój przyjaciel miał już tego dość i ruszył swoją drogą. Ja zostałem. Z początku szło mi dobrze, potem już nie tak bardzo. Jeszcze później zrobiło się fatalnie. Miałem szczęście, że uszedłem z życiem. Pomogła mi przyjaciółka. Właściwie chyba nie powinienem jej zwać przyjaciółką. Mogłaby się ze mną nie zgodzić. Jest jednak kobietą z zasadami. To nie ulega kwestii.

Przerwał. Beth patrzyła na niego dziwnie.

Nie, nie na niego. Uświadomił sobie. Na coś za jego plecami.

- Gwynn... - wyszeptała.

Cokolwiek tam było, nie wyglądała na przestraszoną. Ton jej głosu i wyraz oczu wyrażały podziw, a nawet zachwyty. Poczłł lekkie, śmieszne ukłucie zazdrości.

Uniosła powoli rękę i wskazała na miejsce położone nad jego barkiem.

- Mamy czcigodne towarzystwo.

Gwynn miał już ochotę powiedzieć, że choć dramatyczne napięcie jest wspaniałą rzeczą, jasna komunikacja również ma swoje zalety. Nagle jednak poczuł woń nowego przybysza i serce zabiło mu gwałtownie.

Tygrys.

Twarz Beth promieniała.

Poruszając się bardzo ostrożnie, Gwynn wyjął z prawej kabury rewolwer i odwrócił głowę.

Ujrzał bestię przez przejrzystą tkaninę. Siedziała nie dalej niż dwa jardy od niego. Wymierzył w nią rewolwer. Bał się jej siły i masy. Gorąco pragnął ją zastrzelić. Naciągnął kurek. Tylko największym wysiłkiem woli powstrzymał się przed naciśnięciem spustu.

Serce podchodziło mu do gardła, wyczuł jednak, że Beth jest zupełnie spokojna.

W końcu tygrys się poruszył. Okrążył namiot, zszedł na dół po schodach i skoczył z pluskiem do wody. Kaik zakółsał się na falach, uderzając mocno o najniższy pomost ghatu.

Gwynn powoli wypuścił powietrze z płuc. Spojrzał na Beth, która obserwowała czarno-złoty łeb prujący wodę.

- Dziękuję - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, byś mi wybaczyła, gdybym to zrobił.

Obrzuciła go kolejnym ze swych enigmatycznych spojrzeń i wzięła kubek z kośćmi. Gwynn odłożył z westchnieniem rewolwer.

Wygrał następną grę i Beth zachowała się sportowo, pytając go, czego pragnie.

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie boisz się tego, co powinno budzić strach - odparł, spoglądając na nią spokojnie.

- Odpowiedź jest prosta. Nie potrafisz zgadnąć?

- Jestem żołnierzem, pani. Umieję wyczytać wszystko z oczu przeciwnika. Najłatwiej jest dostrzec jego zamiary. Potem człowiek uczy się widzieć dusze. Wszyscy świecą dla niego jasno i nikt nie może go zaskoczyć. Tak przynajmniej brzmi teoria. Muszę jednak wyznaczyć, że twoja kwintesencja jest dla mnie nieprzenikniona. Gdybyś była nieprzyjacielem, poczułbym się zaniepokojony. W obecnej sytuacji jestem po prostu ciekawy.

- No cóż, być może nie mam duszy. Może właśnie ta część mnie odeszła owej nocy, gdy miałam sen o locie nad ocean. Może to, kim jestem, nie boi się tygrysa, bo jest od niego znacznie silniejsze. A tygrys to rozumie.

Jej słowa wcale nie wydały mu się nonsensem. Zmysły Gwynna wychwytywały subtelne sygnały świadczące, że Beth skrywa wielką tajemnicę, przywodzącą na myśl świat sugerowany przez jej nowe ryciny.

- Na starość powinniśmy stawać się mądrzejsi. - Spojrzała na dżunglę i wodę za jego plecami. - Powinny się w nas otwierać bezdenne studnie bogactwa.

Wręczył jej kości.

- Zagramy jeszcze raz?

- Ale już ostatni.

- Zgoda.

Oboje oszukiwali, ale Beth nieznacznie wygrała. Oznajmiła, że nie ma już więcej pytań, ale nadal domagała się fantu, więc Gwynn upłócił wieniec z pnączy i ukoronował ją nim. Potem uklęknął i wspaniałomyślnie odsłonił przed nią gardło.

Nocą, gdy wrócili do Ashamoil, Beth zapragnęła zajrzeć na portowy jarmark, zawrócili więc kaik na przystani i ruszyli w stronę odległego o kilka przecznic targowiska z jego flagami i płonącymi pochodniami. Beth z zachwytem odkryła nową atrakcję, zajmującą miejsce nieopodal udekorowanego kajdanami podium Modoma. Był to mężczyzna w średnim wieku, który nie chciał zdradzić, jak ma na imię. Leżał na plecach na małym materacu, odziany tylko w przepaskę biodrową. Był przeciętnego wzrostu i wyglądał na zdrowego. Był czysty, podobnie jak jego materac, skórę zaś miał prawie tak samo jasną jak Gwynn, choć o różowawym odcieniu. Leżał z zamkniętymi oczyma, a jego usta rozciągały się w łagodnym uśmiechu.

Był dziwolągiem wyłącznie dlatego, że z pępka wyrastał mu lotos. Kwiat był wielki i doskonale uformowany, a jego płatki miały różowawą barwę, podobnie jak skóra mężczyzny.

Beth podeszła bliżej, by przyjrzeć się lotosowi. Mężczyzna nawet nie drgnął. Pogłaskała płatki.

- Szylinga za pociągnięcie - oznajmił mężczyzna, nie otwierając oczu. - Jeśli zdoła pani wyrwać kwiat, zdobędzie pani nagrodę.

- A jaką?

- To nieważne, bo nie wyrwie go pani. Nikomu dotąd się to nie udało i nikomu się nigdy nie uda.

Beth wyciągnęła szylinga z kieszeni spodni. Mężczyzna przyjął od niej monetę i

schował ją pod materac. Pociągnęła kwiat po raz drugi, tym razem z całej siły. Jak zapowiedział mężczyzna, lotos nie chciał wyjść. Wydawało się, że ma korzenie potężne jak góra.

Mężczyzna miał głęboki pępek i nie sposób było zobaczyć, w jaki właściwie sposób kwiat łączy się z jego ciałem. Beth odsunęła się od niego.

- Gwynn, teraz ty spróbuj.

Gwynn skrzyżował ręce na piersi i spojrzał z góry na mężczyznę z lotosem.

- Dziękuję, moja droga. Tego rodzaju ekshibicjonistyczne fantazje nie są w moim guście.

- Nie bądź taki ponury. Mógłbyś go uciąć. To na pewno by ci się spodobało.

- Odrośnie - wtrącił mężczyzna. - Korzenie kryją się w moim ciele i wypuszczają nowy kwiat.

- Jaką długość mają te korzenie? - zainteresowała się Beth.

Z ust mężczyzny wyrwało się długie, senne westchnienie.

- Większą niż potrafi sobie pani wyobrazić.

- Czy sprawiają panu ból?

- Nie.

- To dlaczego chce pan, żeby go wyrwano? Uważam, że jest piękny. Nie lubi go pan?

- Lubię. Ale większość ludzi czuje na jego widok niesmak, podobnie jak pani towarzysz. Nigdy nie kochał mnie nikt poza rodzicami.

- Wydaje mi się, że on naprawdę wyrasta z brzucha - powiedziała Beth do Gwynna. - Nie wygląda na to, żeby był przyklejony.

- Umieść go w swoim bestiariuszu - zasugerował Gwynn.

Ruszyli w dalszą drogę.

- Nawet nie przyszło ci na myśl uwierzyć, że kwiat może naprawdę wyrastać mu z brzucha, prawda? - zapytała.

- W rzeczy samej, nie przyszło, kochanie - odparł. Nie była to do końca prawda, ale coś nagle sprawiło, że postanowił się oddalić od Beth.

- Za mało pragniesz od świata, Gwynn - stwierdziła, kręcąc głową.

\*\*\*

Siedział sam w swym mieszkaniu, zastanawiając się nad znaczeniem miłości.

Choć często zdarzały się chwile, gdy pragnął uwierzyć, że to, co czują do siebie z



Beth, jest prawdziwą miłością, wiedział, że to nieprawda. To nie było uczucie, czy raczej sytuacja, którą po anvallicku określało się słowem *cariah*. Choć szybko polubił język Ashamoil, który składał się z eleganckiego szkieletu halacjańskiej gramatyki obudowanego licznymi zapożyczeniami z kilkunastu innych języków, był przekonany, że jego ojczysta mowa posiada precyzyjniejsze narzędzia do definiowania pewnych pojęć oraz stanów emocjonalnych. Jednym z nich była miłość. W języku Beth mógł, gdyby zechciał, powiedzieć „kocham cię”. Po anvallicku takiego zdania nie dało się sformułować. Słowo *cariah* nie miało formy liczby pojedynczej. Można go było użyć jedynie w liczbie mnogiej. *Cariah* uważano za uczucie, które istnieje wyłącznie w postaci wzajemnej albo nie istnieje w ogóle. Owo pojęcie implikowało też dobrowolne zatarcie granic tożsamości. Gdy ktoś chciał wyrazić *cariah* do drugiej osoby, najczęściej mówił: „kochamy, jak woda kocha wodę, a ogień ogień”.

By dosłownie przetłumaczyć zdanie „kocham cię”, musiałby użyć słowa *naithul*, oznaczającego zwracanie się albo pochylenie ku przedmiotowi zdania. Mogło ono oznaczać sympatię, podziw, cielesne pożądanie, a nawet głębokie oddanie, ale nie sugerowało wzajemności. Obsesja Marriotta na punkcie Taredy Forever była przykładem najgorszej postaci *naithul*. Tego słowa rzadko się używało między równymi sobie.

Istniało też jeszcze inne słowo, *suhath*, oznaczające osobę spotkaną na skrzyżowaniu dróg. Dwoje wędrowców spotykało się, cieszyło przez chwilę swym towarzystwem, a potem ruszało w dalszą drogę. Gwynn był przekonany, że jego związek z Beth należy właśnie do owej kategorii. Wolał nie liczyć na nic więcej, poza jednym: pragnął ją zrozumieć, zanim się rozstaną.

Zdawał sobie sprawę, że jego uwagi umyka coś istotnego. Można by powiedzieć, że widzi paski, ale nie dostrzega tygrysa. Dlatego właśnie postanowił odwiedzić wujka Vanbutchella. Tym razem był ostrożniejszy i zapowiedział się z wizytą, żeby nie jechać na próżno.

\*\*\*

O umówionej godzinie wujek Vanbutchell otworzył przed nim drzwi. Wyglądał jak bardzo stary, dobrotliwy, lekko zagubiony anioł odziany w złotą smokingową marynarkę włożoną na pasiastą piżamę oraz wyszywaną paciorkami czapkę, która opadała mu na czoło. Alchemik przywitał ciepło Gwynna i poprowadził go korytarzem do swej mrocznej jamy zastawionej kanapami. Gwynn usiadł na jednej z nich, ustawionej pod regałem o półkach zastawionych antycznymi fajkami wodnymi.

- Minęło wiele czasu, odkąd cię ostatnio widziałem - zauważył Vanbutchell, chowając dłonie w rękawach.

- Obawiam się, że miałeś konkurencję, gdy chodzi o wykorzystanie mojego czasu, wujku.

- Poczuję się urażony, jeśli masz na myśli te szumowiny z nocnego targowiska!

- Byłem zmuszony ich odwiedzać, bo ty odwiedzałeś odmienne stany świadomości. Szczerze mówiąc, ostatnim razem było całkiem nieźle. Powinieneś uważać, bo stracisz klientów. - Gwynn uśmiechnął się na widok niezadowolonej miny staruszka. - Nie masz powodów do obaw. Twój rywal to coś zupełnie innego. Coś, czego nie da się zamknąć w butelce.

- Ach, więc to jest dama? A jeśli nie dama, to może chłopiec?

- Wujku, nie wyjaśnię ci, co to jest - odparł Gwynn, potrząsając głową. - Mogę ci tylko powiedzieć, że potrzebuję czegoś, co pozwoli mi zrozumieć pewną niejasną sprawę. Co masz mi do zaoferowania?

- Tak się składa, że mam coś, co pozwoli ci wejrzeć w siebie - zapewnił Vanbutchell, kierując się ku szafce z mnóstwem zamkniętych szufladek. - Masz szczęście, gdyż mogę ci to sprzedać za niewygórowaną cenę. - Otworzył jedną z szufladek i wyjął z niej szklaną fiolkę, którą następnie wręczył Gwynnowi. - Nazywa się „Morza Księżycy”. Moim zdaniem to świetnie dobrana nazwa dla tej cudownej zupki.

Gwynn przyjrzał się zawartości fiolki, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym. Płyn był czerwonawobrazowy, wodnisty i lekko mętny.

- To znaczy, że nieźle miesza we łbie, tak? - zapytał.

- Halucynacje są totalne - zapewnił rozpromieniony Vanbutchell. - Ujrzysz blask fantastyczny.

Gwynn odłożył fiolkę, żeby Vanbutchell mógł ją zabrać.

- Gdyby chodziło mi tylko o odlot, powiedziałbym ci to. Potrzebne mi informacje, nie iluzje.

- Ach, nie, nie, źle mnie zrozumiałeś! - zawołał pośpiesznie Vanbutchell, unosząc dłonie w uspokajającym geście. - Ta tynktura przeniesie cię w miejsce, z którego będziesz mógł dostrzec wszystko, co powinieneś wiedzieć. Pozwala ominąć iluzję linearnego czasu. Używałem jej wielokrotnie i mogę stwierdzić, że nigdy się nie rozczarowałem. Właściwie pozwala nie tyle wejrzeć w siebie, ile wyjrzyć na zewnątrz... - Vanbutchell zachichotał. - A to z pewnością ważniejsze dla każdego, kto nie jest mistykiem, ty zaś nie wyglądasz na mistyka, jeśli mi wybaczysz tak śmiałą osobistą uwagę. Dla racjonalnego, dociekliwego *bon viveura*,

nadaje się znakomicie.

- Skoro tak ją zachwalasz, nie potrafię się powstrzymać od sceptycyzmu.

Vanbutchell rozpostarł dłonie.

- Wiesz, że nigdy nie sprzedaję nikomu towaru, nie zaznajomiwszy go z nim najpierw.

Co powiesz na niewielką próbkę gratis?

Gwynn obrócił fiolkę w palcach.

- Są jakieś efekty uboczne?

- Nie ma żadnych, ale nie mieszałbym jej z niczym. Rzecz jasna, nie mogę ci też zagwarantować bezpieczeństwa w przypadku nadużycia. Można ją zażywać rozcieńczoną bądź nie.

- Dobra, spróbuję. Zapal ogień, wujku, jeśli łaska.

\*\*\*

- To niezrównana kobieta! - zauważył z aprobatą pułkownik Bright. - Ma piękny zad!

- Bardzo piękny, sir! - zgodził się kapral Join i zasalutował.

- Bogini! - zawołał wielebny.

- Gwiazda - dodał z uśmiechem astronom.

- Zamieniłbym na nią Tarede - oznajmił Elm, mrugając znacząco. Tareda Forever gniewnie wydeła zmysłowe usta, widoczne nad kołnierzem z zielonych piór. Po chwili jednak się uśmiechnęła.

- A co ty byś za nią oddał, Gwynn? - wyszeptła, pochylając się ku niemu.

Spojrzał na bestię, o której mówili, sfinksa spacerującego w kółko po plaży przed hotelowym tarasem, gdzie siedzieli, osłonięci bambusowym daszkiem. Na stole stał szampan i winogrona w kryształowej misce. Błyszczące jak glazura niebo i morze ciągnęły się aż po horyzont, na którym rysowała się linia parowców.

- Chyba wkrótce się przekonamy - odparł.

Wszyscy siedzący za stołem ludzie patrzyli na statki, które przemierzały morze z niezwykłą szybkością.

Gwynn wstał i zszedł na plażę. Sfinks podszedł do niego. Oddech istoty był gorący jak piec, pachniał różami i świeżo zabita zwierzyną. Jej oczy wyglądały jak żelazne kulki.

Odwróciła się i oddaliła nieco. Gwynn zerknął na morze i zauważył, że parowce rzuciły kotwice.

Z największego z nich wysiadł generał Anforth, odziany w jasnoniebieski mundur,

ozdobiony złotym galonem jeszcze większym niż noszony przez pułkownika Brighta. Generał ruszył ku brzegowi, idąc po falach niczym święty. Trzymał w dłoni smycz, na której prowadził nagiego Marriotta, czołgającego się po wodzie na rękach i kolanach. Anforth zatrzymał się na brzegu, a Marriott szarpał smycz, śliniąc się i warcząc.

- Do nogi! - warknął generał i Marriott przykucnął na piasku, obrzucając Gwynna szalonym, przesyconym żądzą mordy spojrzeniem.

- Zawsze wiedziałem, że kiedyś cię złapię, Gwynn - oznajmił Anforth. - To była tylko kwestia cierpliwości.

Wyciągnął szablę. Gwynn wiedział, jak to się musi skończyć, ale i tak dał z siebie wszystko. Sfinks powstrzymywał Marriotta, zadając mu zagadki, a Gwynn walczył z generałem Anforthem. Starzec był niezrównanym szermierzem. Oszołomiony Gwynn nie miał szans, odnosił jedną ranę za drugą. Nie czuł bólu, tylko porażające upokorzenie.

Sfinksowi powiodło się lepiej. Bestia odgryzła Marriottowi głowę i wypluła ją do wody, gdzie ta kołysała się na falach. Potem odwróciła się do Anforth. Złapała go za ramię olbrzymią, pazurzastą łapą, obaliła na ziemię i przygniotła swoim ciężarem. Generał wyrwał się nadaremnie. Sfinks wysunął pazury drugiej łapy i wypatroszył go jak rybę.

Gwynn chciał nagrodzić bestię brawami, ale przekonał się ze zdziwieniem, że Anforth uciął mu prawą rękę. Dłoń spoczywała na ziemi, ściskając nie Gol'achab, lecz kawałek czerwonego sznurka, który nikał w kikucie nadgarstka.

Osunął się w fale, padł na ostre muszelki. Spojrzał błagalnie w puste oczy sfinksa. Jego nozdrza wypełnił słodkawy odór. Z piersi potwora wyrwał się niski warkot. Gwynn zorientował się, że metalowe oczy są jedynie powiekami. Przeszywały je poziome szczeliny, zamknięte maleńkimi zameczkami. Ostatkiem sił uniósł lewą rękę, wyciągając palce ku bliższemu oku.

\*\*\*

Gwynn rozchylił powieki. Przez chwilę czuł się zdezorientowany, potem zrozumiał, że znajduje się w pokoju Vanbutchella. Zaklął cicho.

- Niedobrze? - zapytał stojący nad nim staruszek. - Źle się czujesz?

- Nie, wszystko w porządku.

Zerwał się z kanapy i poprawił ubranie. Vanbutchell powiedział prawdę, rzeczywiście nie było efektów ubocznych. Przynajmniej natychmiastowych. Nic nie świadczyło, że przed chwilą pogąrzył się w narkotycznym oszołomieniu na - sprawdził zegarek - pół godziny.

- Mam nadzieję, że twoja wizja była głębsza i prawdziwsza niż zwykłe sny? - zapytał Vanbutchell.

- Nie mnie oceniać głębię i prawdę - odparł Gwynn, poprawiając buntowniczy mankiet.

- A czy czujesz się zainteresowany dalszymi wycieczkami na księżycowe morza?

Wizja już się rozwiła i Gwynn odzyskał zwykły dla siebie sceptycyzm. Miał nadzieję, że chemiczne oczy narkotyku pozwolą mu zrozumieć ukryte aspekty Beth zarejestrowane przez jego własne oczy, jak na przykład chwile, gdy dyktowała skrybom w nieznanym im języku, a oni w jakiś tajemniczy sposób zapisywali wszystko wiernie, sylaba po sylabie. Gdy jednak wspominał teraz wizję, wydała mu się fałszem. Był przekonany, że gdyby potrwiała wystarczająco długo, by zdążył uchylić żelazne powieki, ukazałaby mu kłamstwo.

- Nie, nie sędzę. Niech będzie to co zawsze. Cztery drachmy wystarczą.

- Jak sobie życzysz. - Vanbutchell podszedł do szafki i wyjął z niej małą buteleczkę. - Czy mogę zapytać, dlaczego tak polubiłeś tę mieszankę?

- Dlatego że koi lęk przed absolutną prawdą - odparł Gwynn, odliczając zapłatę. - Dobranoc, wujku.

- Ach, tak, z pewnością ma takie działanie. Dobranoc i miłych snów.

# DWANAŚCIE

W „Diamentowym Klubie” zadomowiły się chrząszcze ozdobione czerwonymi plamkami przypominającymi oczy. Wszędzie na podłodze można było zobaczyć pary płomiennych, przesuwających się szybko punkcików. Wyglądało to ładnie, ale odór rozdeptanych owadów był, niestety, bardzo nieprzyjemny. Chcąc uwolnić od nich lokal, Elm nabył kilka żółtych pytonów, słynących z apetytu na wszystkie gatunki chrząszczy. Jeden z węży wspiął się na krzesło Gwynna i Spiczasty Jasper zdołał go zachęcić do spijania piany z kufła piwa. Gwynn próbował zmusić gada do zapalenia papierosa, ale spotkał się z nieubłaganym oporem.

Elm zwołał swych najbardziej zaufanych ludzi, by wygłosić oświadczenie.

- Panowie, jak wszyscy wiecie, mój najmłodszy syn, Elei, spędził ostatni rok w domu mojej siostry, w Musendzie. Z przyjemnością was zawiadamiam, że dziś rano wrócił do Ashamoil. Jutro wieczorem urządzać w swojej willi przyjęcie powitalne.

Gwynn bił brawo razem z pozostałymi, ale słuchał tylko jednym uchem. Siedzący po jego lewej stronie Marriott wiercił się nerwowo. Tareda miała dziś wolne, a pod jej nieobecność Marriott nie wiedział, co ze sobą zrobić. Pozostało mu tylko picie na umór. Oczy miał przekrwione, cerę żółtą jak zaszcpany śnieg, a minę ponurą i zrozpaczoną. Składał i rozkładał serwetkę, rozluźniał i zacieśniał krawat, czyścił zęby paznokciami, a potem paznokcie zębami. Wyglądało to żałośnie. Przez cały wieczór Gwynn próbował z nim porozmawiać, ale uzyskiwał w odpowiedzi wyłącznie monosylaby i udręczone spojrzenia. W końcu dał za wygraną. Pozostali od początku po prostu ignorowali Marriotta, najwyraźniej nie chcąc, by pociągnął ich za sobą na dno. Nawet Elm nie zwracał na niego uwagi. Niepokoiło to

Gwynna, Elm bowiem nigdy niczego nie lekcewał. Czyżby czekał, aż Marriott oszaleje do końca? Nagle usłyszał własne imię.

- Gwynn, chcę, żebyś przyprowadził tę swoją damę. Uważam, że już wystarczająco długo ją ukrywałeś.

- Z pewnością to zrobię, jeśli będę mógł, ale niewykluczone, że poczyniła już inne plany. Ma bardzo niezależną naturę - odparł niewinnym tonem Gwynn.

Elm pochylił się ku niemu, odsłaniając w uśmiechu kilka zębów.

- Obawiasz się, że nie potrafisz jej przekonać, że spędzenie wieczoru na picu wina, ucztowaniu i tańcach w mojej willi będzie lepszą rozrywką niż spotkanie się z szumowinami w nadrzecznych mordowniach?

- Elm, ona jest kobietą - wyjaśnił z miną cierpiętника Gwynn. - Ja jestem tylko samcem naszego gatunku. Nie potrafiłbym jej przekonać, że słońce wschodzi na wschodzie, gdyby wolała, żeby robiło to na zachodzie - zakończył, przy akompaniamencie śmiechu kilku obecnych.

- Gwynn, ty pantoflarzu, czego się boisz? - zadrwił Elm. Wydaje ci się, że ktoś z tu obecnych ci ją poderwie?

Zebrani ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Gdyby wykazała się aż tak złym gustem, że związałyby się z którymś z tych odrażających lumpów, mógłbym się jedynie ucieszyć, że się od niej uwolniłem - odparł Gwynn leniwym tonem.

Wszyscy obecni, poza Marriottem, odwzajemnili mu się chórem obelg. Nagły hałas zaniepokoił pytona tak bardzo, że zsunął się z krzesła Gwynna i skrył pod sąsiednim stołem. Niektórzy opowiadali potem, że widzieli, jak sączył piwo z kranów przy barze. Spiczasty Jasper wyzwał Gwynna na pojedynek na urodę i szlachetność, Tack i Snapper chcieli się z nim mierzyć na siłę, Łokieć zaś na męskość.

- Kiedy tylko zechcecie, żalosne kundle - zgodził się ze spokojem.

- W takim razie, czemu by nie na przyjęciu? - zadrwił Biscay Kuchmistrz.

- Biscay, ty łotrze, chcesz zdobyć moją panią pokazem śmiałej księgowości?

- Bystrość w interesach niejednemu już pomogła osiąść młode, słodkie ciało - zauważył grubas.

- Niejedno ciało z pewnością wydaje się młode w mrocznym burdelu, a mężczyzna wiecznie wdychający smród własnego sadła może je uznać za słodkie.

Biscay odchylił głowę i ryknął głośnym śmiechem.

- Nie bawię się z nim! On się rzuca!

- Dobra, panowie, wystarczy tego - odezwał się Elm. - Gwynn, przyprowadź ją. Nie bądź samolubny. Ozdób przywitanie mojego syna. Elm przemawiał swobodnie, ale w jego głosie brzmiała nuta rozkazu. Wiedząc, że nie może już posunąć się dalej, Gwynn uniósł ręce w geście poddania.

- Rzecz jasna, spróbuję uczynić wszystko, czego ode mnie żądasz.

Później, wspominając tę rozmowę, skrzywił się na myśl, jak bardzo obraźliwa była dla Beth. Ze swoimi kolegami mógł jednak mówić o niej tylko w ten sposób.

Gdy opowiedział jej przepraszającym tonem o żądaniu Elma, parsknęła śmiechem.

- Ale ja chcę tam pójść! Jestem przekonana, że elegancki świat wcale nie będzie się ze mną kłócił. - Odwróciła się od niego i oparła w wytwornej pozie koło swej prasy. - Jutro kupię sobie suknię i Obdarta Różyczka pójdzie na bal złych ludzi... - Podeszła z powrotem do niego i objęła go w pasie. - Ze swym czarnym rycerzem.

Zauważyła jego niezadowoloną minę i obrzuciła go figlarnym spojrzeniem.

- Czego się boisz? - zapytała.

Szczerze mówiąc, nie obawiał się już o jej bezpieczeństwo. Elm miał rację. Bał się, że straci ją na rzecz kogoś z towarzyszy.

- Na początek, tego, że jeszcze raz usłyszę to pytanie, moja droga! - odpowiedział.

\*\*\*

Gwynn nie zapamiętał zbyt wiele z przyjęcia. Nie wątpił, że hulanka była straszliwa, jako że przez dwa następne dni czuł się źle, ale szczegóły zniknęły w czarnej dziurze i zdołał odzyskać tylko kilka tych, które wypływały na powierzchnię niczym pęcherzyki, kiedy leżał w łóżku.

Niemal wszystkie z tych wspomnień dotyczyły Beth. Rzekomo gwiazdą przyjęcia był syn Elma, którego Gwynn w ogóle nie pamiętał, w rzeczywistości jednak pierwsze skrzypce grała Beth, przyćmiewając nawet Taredę Forever. Przeobraziła mężczyzn z Rogowego Wachlarza, czego Tareda, nawet w swym najbardziej tragicznym repertuarze, nie zdołała dokonać. W umyśle Gwynna przewijały się urywkowe wspomnienia chwil, gdy każdy z jego kolegów kolejno zmieniał się w towarzystwie Beth w czarującego dżentelmena o szlachetnym zachowaniu i uprzejmej, inteligentnej mowie. W jednym z tych fragmentów widział, jak Beth pozwala się objąć Elmowi, który z pełną powagą oznajmił: „Pobierzcie się. Życzę wam wszystkiego najlepszego”.

Własnego zachowania nie przypominał sobie w ogóle. Nie był w stanie przywołać nic,



co by mu powiedziało, czy owa dziwaczna łaska spłynęła również na niego. Pamiętał jednak, że Marriott jej nie doświadczył. Widział go, jak klęczał w kącie i płakał, trzymając się za głowę.

- Ręce mi drżą, ręce mi drżą, nie mogę patrzeć - powtarzał.

Gwynn zorientował się, że jego myśli wkroczyły na niezwykły szlak:

Z czego będę musiał zrezygnować, by naprawdę ją zdobyć?

\*\*\*

W croal czuł się już na tyle dobrze, że mógł się udać na zwyczajowe spotkanie z wielebny.

Kapłan zauważył, że Gwynn jest jeszcze bledszy niż zwykle i mało je. Porzucił swój wywód - i tak skopał go totalnie - i wskazał nożem na niemal nietknięty talerz adwersarza.

- Co się stało? Jesteś chory?

- Nie, tylko trochę zmęczony.

- Wyglądasz mi na chorego. Co się stało, mój synu?

Gwynn niespodziewanie wypowiedział na głos swe myśli.

- To tylko łagodny przypadek...

Umilkł nagle, przypominając sobie o dyskrecji. Niewypowiedziane słowo zastąpił nieokreślonym gestem.

- Franczy? - spróbował zgadnąć wielebny. - Mój synu, mam nadzieję, że nie wstydzisz się odwiedzić lekarza?

- Dziękuję, ale z moim zdrowiem wszystko w porządku - odparł Gwynn. - Chciałem powiedzieć „przepracowania”.

- Nieprawda - zaprzeczył wielebny, kręcąc głową. - Potrafię rozpoznać zachowanie człowieka, w którego życiu intymnym przydarzył się niemiły incydent. Jeśli to nie franca, to może zrobiłeś dzieciaka tej swojej pani, o której nie chcesz mi nic powiedzieć?

- Nie.

- A może ktoś inny zrobił jej dzieciaka, a ona próbuje zwalić winę na ciebie? - nie ustępował wielebny. - Albo po prostu jej żądze są nienasycone i czujesz, że... więdniesz?

Dla emfazy pokiwał obwisłą nitką makaronu uniesioną na widelcu.

Gwynn stracił w końcu cierpliwość.

- Ze mnie możesz sobie żartować do woli, ale jeśli jeszcze raz wyrazisz się o Beth bez szacunku, zabiję cię, ty stary durniu!

Kapłan gwizdnął cicho.

- Ojoj! Widzę, że jest bardzo niedobrze. Powinieneś zrozumieć moją troskę. Przecież wiesz, że dla moich celów musisz pozostać w nietkniętym stanie. Dlatego interesuje mnie twoje zdrowie.

- Mam nadzieję, że nie wydaje ci się, że to zabawne.

- Mój synu, obawiam się, że nigdy się nie uważałem za twojego osobistego błazna.

Gwynn wziął się w garść. Odzyskał poczucie humoru.

- Czyż ta pozycja nie jest wzajemna? Ubarwiam twą smętną egzystencję, nieprawdaż, ojcze? I obaj możemy sobie trochę pogadać...

Zapalił auto-da-fé, zaciągnął się głęboko i wypuścił kółka dymu w stronę kapłana.

- Wiesz, co myślę? - zapytał wielebny. - Myślę, że zakochałeś się na umór. A przynajmniej tak ci się wydaje.

- A jeśli nawet, to co z tego?

Wielebny ponownie wykonał tę swoją sztuczkę, wydobywając znikąd papierosa i zapalki. On również zaczął wypuszczać z ust kółka z dymu. Jedno z nich przeleciało przez środek kółka Gwynna.

- Mój synu, uwierz mi, to nie może być prawdziwa miłość. Są mężczyźni zdolni do podobnego uczucia, szczerego, wiernego i głębokiego, i są też inni, którzy nie są do niego zdolni i nigdy nie będą. To niewyobrażalne, by ktoś taki jak ty mógł należeć do tej pierwszej kategorii.

- To bałamutne słowa. Wątpię, byś sam w nie wierzył.

- Powiedz mi więc, w co wierzę.

- W coś wręcz przeciwnego. Przypuszczam, że po prostu jesteś zazdrosny. Nie chcesz, żebym był szczęśliwy. Wolałbyś sobie wyobrazać, że cierpię, by mieć pewność, że nie jesteś samotny w swych męczarniach. Mam rację, ojcze?

Wielebny zastanawiał się przez chwilę nad swą motywacją i doszedł do wniosku, że faktycznie kierował nim duch zazdrości oraz złośliwości. Uświadomił też sobie jednak, że wcale się tym nie przejmuje. Gwynn mógł być jego przyjacielem, ale był też wrogiem. Los powinien zsyłać nań cierpienia, ale traktował go z wyrozumiałością, na którą Gwynn nie zasłużył. Wielebny pomyślał o wszystkich swych utraconych miłościach, od Boga aż po Calilę. Zainteresowanie zbawieniem duszy Gwynna, a również własnej, osłabło w nim nagle, ustępując miejsca duchowi mściwości. Nie potrafił się powstrzymać przed wypowiedzeniem kolejnych złośliwych słów.

- Uraziłeś mnie, a przecież tak bardzo się starałem spojrzeć na sprawę z twojego

punktu widzenia! Pomyślałem sobie, że ktoś taki jak ty, człowiek światowy, *bon vivant*, z pewnością musi cieszyć się życiem, w żadnym wypadku nie pozwalając, by to życie cieszyło się nim. Czyż nie odgrodziłeś się stanowczo od sentymentów, nie okaleczyłeś swej duszy dla zaspokojenia próżności? Jak więc możesz sobie wyobrażać, że szalejesz z miłości? Nie wiem, co jest z tobą nie w porządku, ale z pewnością się nie zakochałeś!

Gwynn zrobił zamyśloną minę.

- Tak ci się zdaje? - zapytał z nutą rzadkiej u siebie łagodności i jeszcze rzadszej szczerości. - Słyszałem, jak zwracałeś się do przewrotnej dumy, która twoim zdaniem mną włada, próbowałeś mnie skusić do odrzucenia szlachetniejszej wrażliwości. Popeliłeś poważny błąd. Nawet ja potrafię to dostrzec. Czy chcesz poderżnąć sobie gardło tylko dla taniego i złośliwego argumentu w naszej dyskusji? Naprawdę wierzysz, że dam się tak łatwo pokonać, zwłaszcza że mam teraz coś cennego do stracenia? Towarzystwo Beth jest dla mnie najwyższą radością i najwspanialszym wyzwaniem - ciągnął z narastającym namaszczeniem.

- Ogień, który we mnie rozpała, w niczym nie przypomina zwyczajnego. Jestem przekonany, że nigdy się nią nie znudzę. A choć byłoby brakiem rozsądku uwierzyć, że możemy mieć wspólną przyszłość, tylko głupiec by pozwolił, żeby zmaćło to szczęście w chwili bieżącej. Nie zhańbię Beth, mówiąc o niej w nieszczerych słowach. Moje myśli mogą zawierać błędy, ale nie będzie w nich drwiny. Gdy mówię o niej, zawsze przemawiam z całkowitą powagą.

Wielebny zwiesił głowę. Chwila złośliwości minęła. Czuł się zawstydzony i zbity z tropu. Z owej dezorientacji zrodził się jednak zachwyt. Kapłan uświadomił sobie, że wreszcie zdołał zadać celny cios. Było ironicznym paradoksem, że dopiero wybuch irytacji, chwila słabości pozwoliła mu odsłonić coś, co jego adwersarz starannie skrywał. Prostacki atak trafił w nieosłonięte miejsce i przeniknął wystarczająco głęboko, by wydobyć na powierzchnię kroplę cnoty.

- Przepraszam - rzekł wielebny, unosząc spojrzenie. - Wybaczysz mi?

- Albo niczego nie można wybaczyć, albo nie ma nic do wybaczenia. Powtarzałem to wielokrotnie, ale, o ile mi wiadomo, nikt mnie nie słuchał.

Na kilka minut zapadła cisza. Wreszcie wielebny przemówił, wracając do dawnej retoryki.

- Mój synu, twoje uczucie dla owej damy jest jedynie objawem tęsknoty za zjednoczeniem z Bogiem. To nie ulega wątpliwości. Wreszcie udało mi się coś osiągnąć! Tak jest. W końcu wygrywam, ponieważ przyznałeś, że darzysz ją prawdziwym uczuciem i pragniesz przyzwoitego życia z ukochaną.

- Jak zwykle źle mnie zrozumiałeś, jeśli sądzisz, że pragnę czegoś przyzwoitego.

- Do diabła z przyzwoitością, ona nie ma znaczenia. Pragniesz jakiegoś życia z nią.

Bóg mi świadkiem, wygrywam!

Wielebny walnął pięścią w stół, aż wszystkie naczynia podskoczyły.

- Wierz, w co chcesz. Dla mnie to bez znaczenia.

- Jestem przekonany, że wygrałem tę rundę, nawet jeśli nie chcesz uznać swej porażki.

- Niczego nie zamierzam uznawać. Niemniej runda była ciekawa. Za to muszę ci podziękować. Jak już jednak wspominałem, czuję się zmęczony. Dlatego muszę ci życzyć dobrej nocy.

Gwynn położył na blacie zapłatę za posiłek, pożegnał wielebnego skinieniem głowy, wstał i wyszedł.

Gdy tylko znalazł się na dworze, zagwizdał cicho. Potem dosiadł konia i ruszył klusem przed siebie.

Czuł, że kwiat zachwyty otwiera się w nim bezgłośnie. To wrażenie zjawilo się po raz pierwszy w chwili, gdy zapewnił wielebnego o szczerości swych uczuć wobec Beth.

- Nie wiem, czy dzisiaj wygrałeś, ojcze, ale ja z pewnością coś zdobyłem - mruknął.

\*\*\*

Niewielki instrument - przypominający delikatny, miniaturowy kilof - wniknął bez trudu w oko młodzieńca leżącego na wznak na stole demonstracyjnym. Wysoki, dziarski mężczyzna, który przedstawił się jako doktor Lone, poruszył zręcznie nadgarstkiem, a potem wydobyl narzędzie. Gałka oczna pacjenta wróciła na poprzednie miejsce.

- Proszę bardzo, panie i panowie! - podjął doktor Lone, zwracając się do audytorium zgromadzonego w nowym, ceglany gmachu Towarzystwa Higieny Społecznej. - Przy minimalnym wydatku pieniędzy, czasu i wysiłku uczyniliśmy z wilka owieczką! Kiedy się ocknie, nie będzie już pragnął bić, gwałcić, zabijać ani krzywdzić ludzi w żaden inny sposób! Wasze szacowne matki i niewinne córki nie będą już musiały obawiać się go po zmierzchu. Jest łagodny. Jest cichy. Jeśli pragniecie ujrzeć dowód prawdziwości moich słów, wróćcie tu jutro, gdy odzyska przytomność. Będziecie mogli zbadać go osobiście!

Lone uniósł ręce, by uciszyć aplauz.

- Panie i panowie, stoimy na progu nowej, humanitarnej ery. Ludzie podobni do tego osobnika, nieszczęsne ofiary najgorszych aspektów własnej natury, nie będą już musieli się tłoczyć w więzieniach i zakładach dla obłąkanych. Nie będą też więcej zagrażać

praworządnym obywatelom! Ci byli przestępcy i obłąkańcy w swym nowym stanie nie będą również obciążeniem dla ciężko pracujących mężczyzn i kobiet, potrafią bowiem, równie pewnie jak woły, wykonywać proste prace fizyczne, które obecnie zlecamy słabym dzieciom i niebezpiecznym dzikusom. Krótko mówiąc, panie i panowie, zmienimy zło w dobro tanim i wydajnym sposobem.

Raule stała z dala od podium, wśród zwykłej publiczności - pierwsze rzędy zajęli członkowie Towarzystwa, wśród których było sporo lekarzy z Kolegium w przyciągających spojrzenia czarnych togach - i słuchała przemowy tylko jednym uchem.

Na początku swej lekarskiej kariery w Limewood sumiennie starała się nadążyć za najnowszymi osiągnięciami medycyny. Gdy tylko znalazła na to czas, czytała biuletyny i uczęszczała na publiczne wykłady. Niestety, szarlataneria okazała się nieporównanie pospolitsza od użytecznej wiedzy, więc po kilku miesiącach Raule dała sobie z tym spokój. Zjawiała się tu wyłącznie dlatego, że plakat doktora Lone wzbudził jej makabryczną ciekawość.

- Szanowni koledzy, towarzysze w wielkiej walce ludzkości o doskonały świat, mam zaszczyt przedstawić wam przykłady tego, o czym będę mówił jutro. Zaprezentuję wam je moja córka, Opal!

Na scenę wyszła zadbana nastolatka, prowadząca grupę sześciorga mężczyzn i kobiet. Lone oznajmił, że są to byli pacjenci, na których przeprowadził taką samą operację. Zapewnił, że wszyscy byli przedtem gwałtowni, obłąkani bądź skrajnie niezrównoważeni. Wszyscy zademonstrowali publiczności identyczną osobowość, spokojną i mało rozgarniętą. Lone spoliczkował jednego z mężczyzn, a ten skulił się trwożnie. Potem nakrzyczał na kobietę, która spojrzała nań bez wyrazu. Tymczasem córka doktora zносиła na scenę miski wypełnione kartoflami. Ustawiła je przed szóstką delikwentów, a potem wręczyła im noże.

- Wszyscy, obierać ziemniaki! - rozkazał doktor Lone.

Jego pacjenci przykucnęli i posłusznie zabrali się do pracy.

W tym punkcie Raule odwróciła się i wyszła. Jej naukowa ciekawość osiągnęła naturalne granice. Nie pragnęła się dowiedzieć, jaki los czeka młodzieńca, któremu na jej oczach pokrojono mózg. Dosiadła muła i ruszyła przez ciepłą mżawkę z powrotem do szpitala, by dokonać popołudniowego obchodu. W szpitalu było mnóstwo pacjentów, jak zawsze podczas pory deszczowej. Warunki panujące w Limewood urągały zasadom higieny i dzielnica była szczególnie płodną wylęgarnią chorób. Do szpitala trafiło mnóstwo starych, młodych, słabych i po prostu pechowych, których dopadły infekcje i gorączka.

W drodze powrotnej zauważyła chłopaka i dziewczynę, którzy obejmowali się w

drzwiach. Dziewczyny nie znała, ale chłopakiem był Jacope Vargey. Poczula lekkie ukłucie  
żalu.

# TRZYNAŚCIE

W barze „Pod Głową Lichwiarza”, nieopodal portowego jarmarku, jak zwykle roilo się od pijaków. Około północy zrobiło się naprawdę hałaśliwie. Klientela składała się głównie z robotników pracujących na nocną zmianę oraz handlarzy i artystów z jarmarku. Hart, Modomio i Palee siedzieli za stołem, jedząc ze wspólnej wazy. Zjawili się tam też Gwynn, Biscay, Łokieć, Kingscomb oraz nowy członek Rogowego Wachlarza, młodzieniec zwany Wheltem. Przyszli tu dlatego, że Biscay lubił ten lokal. Gruby rachmistrz oznajmił, że potrzebuje pieniędzy, i zasugerował karty. Niestety, szczęście mu dziś nie sprzyjało. Wybrało Whelta. Wydawało się, że nie może dziś przegrać. Niski, gadatliwy, pobudliwy chłopak ekscytował się coraz bardziej, w miarę jak stos pieniędzy obok niego rósł. Łokieć i Kingscomb, obaj już zdrowo zawiani, przegrali prawie tyle samo, co Biscay. Gwynn nie pił zbyt wiele i grał ostrożnie, pogodziwszy się z myślą, że dzisiejsza noc należy do kogoś innego.

Z nadejściem wczesnych godzin poranka karta odwróciła się jednak. Whelt i Kingscomb wyszli na dwór się odlać, a kiedy wrócili, chłopak zaczął przegrywać. Kingscomb żartował, że Whelt na pewno wysikał całe swe szczęście. Biscay bezlitośnie wykorzystał szansę i wkrótce odzyskał wszystko, co stracił. Kiedy Wheltowi zabrakło pieniędzy, grubas zaproponował, że mu pożyczy.

- Lepiej uważaj, to nie będzie przyjacielska pożyczka - ostrzegł chłopaka Gwynn i skwitował wzruszeniem ramion złowrogie spojrzenie, jakim obrzucił go Biscay.

Whelt odrzucił propozycję i przestał grać.

Od tej chwili grubas wygrywał już bez przerwy. Gwynn przyglądał mu się z uwagą,

pewien, że oszukuje, nie potrafił go jednak przyłapać. Łokieć upił się już tak bardzo, że było mu wszystko jedno, ile przegra, Kingscomb sprawiał Wrażenie, że lada moment wybuchnie w ataku szału, Whelt zaś miał żałośnie smętną minę. Gwynn omal nie westchnął z ulgi, gdy barman wezwał do składania ostatnich zamówień.

Zaczął powątpiewać w prawdziwość wspomnień, jakie zachował z przyjęcia. Od tamtej pory żaden z jego kolegów nawet nie wspomniął o Beth. Co więcej, wpływ, jaki na nich wywarła, ulotnił się bez śladu.

Następnego wieczoru, gdy siedzieli z Beth w barze na Moście Błękitnym, pijąc ostatni kieliszek przed snem, poruszył ten temat.

- Wszystko, co zapamiętaliśmy z tego przyjęcia musi być niewiarygodne - przyznała. -  
Swoim wspomnieniom z pewnością nie ufam. Istnieje teoria, mówiąca, że świat nie jest w rzeczywistości jednym miejscem, które wszyscy dzielimy ze sobą, lecz ma wieloraką postać. Każda osoba żyje we własnym świecie i wszystkie one przenikają przez siebie nawzajem, gdy się spotkają, choć w przeciwieństwie do płynów mogą się rozdzielać równie łatwo, jak się mieszają. Być może wydarzyło się właśnie coś w tym rodzaju.

- Wierzysz w tę teorię?

- Wydaje mi się atrakcyjna. A na ogół wierzymy w to, co nas pociąga, nieprawdaz?

Gwynn sądził, że to interesujący pomysł, nie miał jednak żadnej opinii na temat jego prawdziwości. Faktycznie wyglądało to trochę tak, jakby świat przesycony szczególnym czarem Beth spotkał się ze światem ludzi z Rogowego Wachlarza i zdominował go, a potem wycofał się pośpiesznie. Sama jednak przyznała, że nie można polegać na wspomnieniach o tym incydencie.

Jedno było pewne: zachodziła w nim jakaś zmiana. Czuł się inaczej, nawet gdy nie myślał o niej. Nie udawał, że w pełni rozumie, na czym polega ten proces. Zakładał, że pojmie go, gdy będzie już po fakcie. Nie wątpił też, że Beth przekształciłaby go jeszcze bardziej, gdyby jej na to pozwolił, nie potrafił jednak odgadnąć, jak głęboko sięgałaby owa zmiana ani czy miałaby permanentny charakter.

Nie brał poważnie pod uwagę możliwości odwrotu. Myśl, że coś mogłoby go przeobrazić, nadal go pociągała. Uświadomił się, że bierze się to z jego antypatii do wszystkiego, co absolutne i niezmiennie.

Potem jednak nadeszły chwile, gdy nie miał już czasu na filozoficzne refleksje. Praca, w której do tej pory miał błogosławiony spokój, wróciła w spektakularny sposób na główną scenę jego życia.

Poprzedniej nocy pracował na nocnej zmianie, nadzorując załadunek transportu broni



dla pułkownika, i późnym rankiem jeszcze spał. Obudziły go krzyki i łomotanie do drzwi. To był Kingscomb. Wyglądał jak ktoś, kogo zmuszono do zjedzenia żywych pajaków.

- *Złotego Flaminga* zatrzymali celnicy. Szef się wściekł. Zaraz będzie spotkanie w willi.

Zmęczony Gwynn zaklął ze złością i powiedział Kingscombowi, żeby zaczekał, aż się ubierze.

- Pośpiesz się.

- Po kogo jeszcze masz pójść?

- Po Marriotta, Łokcia i Jaspera.

Gwynn wciągnął ubranie i wcisnął kapelusz na rozczochrane od snu włosy. Potem zbiegł za Kingscombem po schodach i popędził do stajni, zapinając po drodze pas z rewolwerami.

Nocą padał deszcz i blask słońca przedzierał się przez nisko wiszące, perłowe chmury przesłaniające górną część miasta. Z mokrych chodników buchała para, unosząca się ku chmurom. W rynsztokach leżały liście, błoto i martwe cykady. Gdy ruszyli konno przez miasto, Gwynn zaczął wypytywać towarzysza o szczegóły, okazało się jednak, że Kingscomb wie bardzo niewiele.

- Weszli na pokład rano, gdy tylko statek przybił do brzegu. Potem w Urzędzie Celnym doszło do jakiegoś przewrotu i skurwysyn, który zatrzymał *Flaminga*, jest teraz nowym głównym inspektorem.

- Jak się nazywa?

- Udo Nanid.

Gwynn nie znał tego nazwiska, ale w końcu nie było w tym nic dziwnego.

Żaden z trzech pozostałych nie był rannym ptaszkiem i wszystkich zastali w domu. Gdy jechali razem do Elma, Gwynn miał oko na Kingscomba. Coś w zachowaniu młodszego mężczyzny wydawało mu się podejrzane. Miał wrażenie, że Kingscomb nie mówi mu wszystkiego. Ta myśl go zaniepokoiła. Elm z pewnością będzie dziś w paskudnym nastroju, a Elm w paskudnym nastroju był w stanie podejrzewać każdego o wszystko. Gwynnowi nie podobała się myśl o przesłuchaniu przed śniadaniem, doszedł więc do wniosku, że powściągliwość Kingscomba może się brać z podobnych obaw.

Po godzinie wszyscy starsi kawalerowie - a także najwyżsi rangą spośród młodszych - zebrali się w willi Elma na Tarasie Palmiarni, w długim, pozbawionym okien pokoju o ścianach wyłożonych mahoniową boazerią, gdzie zwykle urządzano spotkania. Był tam również Elei. Chłopak siedział obok ojca, odziany w czarno-srebrny płaszcz. Miał nowiutkie

pistolety i krzyżujące się na piersi bandolety. Liczył sobie dopiero czternaście lat i otaczała go aura delikatności, którą zawadiacki strój tylko pogłębiał.

Na przywitanie Elm łypnął spode łba na swoich ludzi. Gdy jednak przemówił, jego głos brzmiał spokojnie.

- Panowie, dzisiejszej nocy nasz statek, *Złotego Flaminga*, zaatakowała, unieruchomiła i weszła na jego pokład grupa celników pod dowództwem niejakiego Uda Nanida. Otworzono drugą ładownię, skonfiskowano ładunek i zatrzymano załogę. O piątej rano naszego przyjaciela, głównego inspektora celnego, zatrzymano pod zarzutem korupcji. O szóstej rano Nanid został zaprzysiężony jako nowy główny inspektor. O siódmej dostarczono mi do rąk własnych list, zawiadamiający, że pan Nanid zamierza rozpocząć urzędowanie od gruntownej kontroli oraz audytu finansów Towarzystwa Rogowego Wachlarza. O siódmej trzydzięci przeczytałem o tym wszystkim w gazetach.

Elm przerwał, być może chcąc dać mniej bystrym członkom towarzystwa czas na zrozumienie implikacji swych słów. Pociągnął łyk ze stojącej na stole szklanki i mówił dalej:

- Ponieważ to wiadomość z pierwszych stron gazet, opcja zabójstwa Nanida jest, niestety, zamknięta, przynajmniej w chwili bieżącej. Szantaż również nie wchodzi w grę. Wygląda na to, że skurwysyn jest czysty, a nie mamy czasu, by go w coś zrobić. Nawet gdyby był skłonny zawrzeć honorowe porozumienie, co nie wydaje się prawdopodobne, gdybyśmy wystąpili w tym momencie z podobną propozycją, uznano by to za słabość. Takiej właśnie sytuacji zawsze się starałem unikać, panowie. - Elm obnażył zęby w złowrogim uśmiechu. - Być może zanadto popuściłem wam cugli? Pozwoliłem, żebyście brali moje pieniądze i prawie nic nie robili, zamiast zachowywać nieustanną czujność?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią na te pytania.

- Wśród leniwych psów, jakimi jesteście, z pewnością ukrywa się pracowity szczur. Dowiem się, kto nim jest, i zapłaci za to życiem. A jeśli chodzi o resztę was, koniec z lenistwem. Żyjemy w spokojnych czasach, co pozwala nam unikać wyzwań. To największa słabość współczesnego społeczeństwa i z pewnością stanie się ona przyczyną jego upadku. W życiu każdego mężczyzny nadchodzi chwila, gdy musi on wejść w ogień i albo spłonąć, albo wyjść z niego silniejszym. Postanowiłem, że zrobię to teraz i w związku z tym wszyscy będziecie musieli postąpić tak samo. Zawierzę wam i udowodnicie, że miałem rację, albo zginiecie próbując.

- Szefie, co chcesz nam powiedzieć? - odważył się zapytać Jasper.

- To, że wyciągnąłem rękę do niezgody. Wszyscy będziecie poddani próbie. Dziękujemy opatrności za stare, osobliwe zwyczaje. Wysłałem już zawiadomienie do Urzędu

Celnego i wkrótce spodziewam się potwierdzenia.

- Jakie są warunki? - zapytał Biscay.

- Trzech ich ludzi na każdego z nas, na Moście Pomników. Wiem, że to będzie trudne, ale w przeciwnym razie Nanid mógłby ulec pokusie odmowy. Panowie, dowiedziecie swej wartości zwycięstwem tak wspinałym, że poborcy podatków nie odważą się już więcej nas niepokoić, albo skończycie w grobie. I ja razem z wami. Należycie do mnie, jak więc mógłbym nie wziąć na siebie części odpowiedzialności za wasze niepowodzenie?

Wśród kawalerów Rogowego Wachlarza zapadła cisza. Wszyscy znali starożytny zwyczaj, wywodzący się z czasów, gdy w Ashamoil nie istniały jeszcze sądy i prawo. Od wielu stuleci Most Pomników był niekiedy dla miejskich grandów tym, czym Sad był dla gangów z Limewood. Każdy, kto chciał rozstrzygnąć spór i mógł sobie pozwolić na uiszczenie opłaty, której żądały władze miejskie, miał prawo wyzwać przeciwnika do próby walki na moście. Początki owej tradycji ginęły w pomroce dziejów. Nie zachowała się również pierwotna nazwa mostu. Obecna pochodziła od ogromnych posągów starożytnych bohaterów ustawionych na jego balustradzie. Od ostatniej walki minęło już pięćdziesiąt lat, ale lokalne przepisy nadal obowiązywały. Jeśli Nanid odrzuci wyzwanie, będzie musiał wycofać zarzut przemytu i zatrzymać wszelkie dochodzenia w tej sprawie.

- Ten Nanid to śmiałe bydlę - oznajmił Elm. - Niewykluczone, że ma nadzieję, że na to właśnie się zdecyduje. Postarajmy się, by ta nadzieja przywiodła go do zguby. Ruszamy na wojnę. Przygotujcie się. Możecie odejść.

Wszyscy wstali z krzeseł i wyszli bez słowa. Idąc marmurowymi schodami, Gwynn przyglądał się twarzom towarzyszy. Jedne wyrażały stoicyzm, inne radość. Nikt nie sprawiał wrażenia niezadowolonego i nikt nie okazywał strachu. Emocje, których wypatrywał u innych, odkrywał wyłącznie u siebie.

Ze szczególną uwagą obserwował Kingscomba. Przez cały czas trwania przemowy Elma z twarzy młodszego kawalera o nastroszonych włosach nie zniknął lekki uśmiešek. Teraz młodzieniec również się uśmiechał. Gwynn nie potrafił się uwolnić od wrażenia, że kryje się w tym coś dziwnego. Postanowił zawierzyć instynktowi.

Gdy wyszli do ogrodu, dogonił Marriotta, Jaspera i Łokcia. Wszyscy trzej - nawet Marriott - byli pobudzeni i oczy im błyszczały. Gwynn przypomniał sobie, że w dawnych czasach Marriottowi rola żołnierza w prawdziwej armii podobała się znacznie bardziej niż jemu.

Dosiedli koni i razem opuścili willę. Po chwili Gwynn odłączył się od grupy, dyskretnie podążając za Kingscombem, który jechał przodem. Młodzieniec skierował się

prosto w dół, do niżej położonych dzielnic miasta. Zabudowa była tu gęstsza i Gwynn musiał trzymać się blisko śledzonego, by nie zniknął mu za zakrętem. Mijając „Łazienę Koryncką”, zeskoczył z konia i rzucił wodze odźwiernemu. Od tej chwili śledził Kingscomba na piechotę, kryjąc się w porannych tłumach.

Młodzieniec w końcu skręcił w ulicę w zapuszczonej okolicy przy Moście Więziennym, nieopodal bistra Feniego, po czym wszedł do nędznego ceglanego budynku, na którym wisiał szyld „Pokoje do wynajęcia”. Gwynn znalazł się w środku pół minuty po nim i rozejrzał się w holu, w którym śmierdziało myszami. Za biurkiem konsjerżki siedziała na wysokim, dzieciannym krześle karlica.

- Ten człowiek, który przed chwilą wszedł? Dokąd poszedł? - zapytał Gwynn, kładąc na tacce kilka monet.

- Pierwsze piętro, pokój dwunasty - odpowiedziała karlica.

- Klucz.

- Wziął zapasowy. - Wskazała na drzwi za plecami Gwynna. - Tam są schody. Tylko niech pan nie narobi bałaganu ani nie zostawi ciała. Portier nie cierpi ciała.

Gwynn wszedł na piętro i skręcił w lewo, w korytarz o drewnianych ścianach. Usłyszawszy odgłosy walki, przyspieszył kroku. Hałas dobiegał z pokoju numer dwanaście.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Gwynn otworzył je szeroko. W izbie panował bałagan. Kingscomb i Whelt szarpali się ze sobą, tarzając się po podłodze. Kingscomb miał rewolwer, a Whelt rozpaczliwie próbował odsunąć go od swojej twarzy. Gdy drzwi otworzyły się z hukiem, obaj odskoczyli od siebie. Kingscomb wystrzelił, kula trafiła w podłogę. W następnej chwili strzał Gwynna wytrącił mu broń z ręki.

Młodzieniec zamarł w bezruchu, gapiąc się z przerażeniem na przybysza. Whelt zaczął histerycznie chichotać.

Wtem w korytarzu rozległy się szybkie kroki. Gwynn wsunął się bokiem do izby, nadal celując w Kingscomba, i wyrztał na zewnątrz, by sprawdzić, kto idzie.

To byli Spiczasty Jasper i Łokieć. Obaj zatrzymali się w drzwiach. Oni również wyciągnęli broń. Łokieć skierował swoją w stronę Gwynna.

- Co tu, kurwa, robicie? - zapytał Gwynn.

- Tak sobie pomyśleliśmy, że dziwnie się zachowujesz, więc pojechaliśmy za tobą - wyjaśnił Jasper. Gwynn uniósł powoli brwi.

- A co ty, kurwa, tu robisz? - zapytał Łokieć.

- Śledziłem jego - odparł Gwynn, wskazując głową na Kingscomba - bo dziwnie się zachowywał. - Uśmiechnął się. - A już myślałem, że dzisiaj nie wydarzy się nic zabawnego.

Łokieć opuścił pistolet i potarł nos.

- Przepraszam - mruknął.

- Nie ma za co.

- Co on tu robił?

- Próbował zabić Whelta.

Kingscomb zaczął coś mówić.

- Zamknij się! - warknął Łokieć.

- Kto za niego ręczył? - zainteresował się Jasper.

Łokieć chrząknął w odpowiedzi.

- No tak. To teraz powinieneś się tym zająć!

- Znam jego matkę - sprzeciwił się Łokieć. - Obiecałem jej, że będę miał na niego oko.

Nie mogę złamać słowa.

- Srać na to - skwitował Jasper.

- W porządku - powiedział Gwynn. Podeszedł do Kingscoma i Whelta, a potem kazał im klęknąć i spuścić głowy. Gdy wykonali polecenie, Whelt, który już się nie śmiał, zaczął głośno krzyczeć. Gwynn uderzył chłopaka mocno w potylicę ręką broni, pozbawiając go przytomności. Potem tak samo potraktował Kingscoma. - To będzie mój dobry uczynek na dziś - oznajmił, przechodząc obok Łokcia.

- Porządny z ciebie facet, Gwynn.

- Srać na to - odrzekł.

\*\*\*

Śruby łodzi zmaciły stojącą wodę starorzecza. Gwynn zatrzymał ją i oparł się o koło sterowe. Zapalił papierosa, spoglądając na popołudniowe słońce odbijające się w tafli wody. Od strony rufy dobiegły go dwa ciche pluski, ledwie się przebijające przez warkot silnika i operowe pienia ptaków. Po chwili do sterówki zajrzał Elm.

- Zabierz nas do domu - rozkazał.

Zeznania Whelta brzmiały następująco: kiedy wyszli z Kingscombem skorzystać z rysztołu tej nocy, gdy grali w karty „Pod Głową Lichwiarza”, zapytał Kingscoma, w jaki sposób Elmowi udaje się przemyścić przez cło tak wielu niewolników, a ten opowiedział mu o drugiej ładowni *Flaminga*. Whelt był nowy i nikt go dotąd nie poinformował o jej istnieniu. Whelt przysięgał, że nie przekazał tej informacji Nanidowi, zapewniając, że musiał ich podsłuchać ktoś trzeci. Dodał, że Kingscomb obawiał się, że Whelt może zdradzić, że się

przed nim wygadał. I próbował go uciszyć, ale przeszkodził mu Gwynn. Kingscomb, przesłuchiwany oddzielnie, rzecz jasna zapewnił, że jest niewinny, twierdząc, że bili się z Wheltem o kobietę. Odnaleziono ją i potwierdziła, że faktycznie spotykała się z obydwojema, zdradzając Kingscomba z Wheltem, ale to nie znaczyło wiele. Nawet jeśli mówiła prawdę, nie dowodziło to prawdomówności Kingscomba. Pozostawało też pytanie, skąd Whelt wiedział o drugiej ładowni, o ile Kingscomb mu o niej nie powiedział.

To Spiczasty Jasper zasugerował, żeby poradzić się prawdomównicy, a Gwynn poręczył za zdolności staruchy z nocnego targowiska.

Elm wyraził zgodę i kobietę przyprawiono do willi.

Pokazano jej Kingscomba i Whelta. Zbadala obu, patrząc im w oczy, obwąchując wewnętrzne powierzchnie dłoni i oblizując koniuszki palców. Zakończywszy te procedury, oznajmiła, że obaj są winni głupoty i nietrzymania języka za zębami. Stwierdziła jednak, że Whelt jest uczciwym idiotą, a Kingscomb kłamcą. Rzeczywiście podsłuchał ich ktoś trzeci, kto znajdował się w zasięgu słuchu i przekazał informację Nanidowi.

Elm zapytał, kto to był.

- Nie jest ci pisane się tego dowiedzieć, panie - odparła starucha.

Opierała się wszelkim próbom wyciągnięcia z niej odpowiedzi, aż w końcu Elm stracił cierpliwość i osobiście poderżnął jej gardło.

Potem rozkazał swym ludziom odnaleźć tę trzecią osobę. Najpierw jednak wybrali się nad rzekę, by pozbyć się Kingscomba i Whelta, którego prawdomówność nie wzbudziła w zniesmaczonym Elmie litości.

Pół godziny po tym, jak opuścili starorzecze, Elm wrócił do sterówki. Zachowywał się swobodnie, niemal przyjaźnie, ale jego słowa brzmiały dziwnie.

- Gwynn, ostatniej nocy, nim to wszystko się wydarzyło, miałem wizję krokodyla albinosa. Bestia przemówiła do mnie. Powiedziała, że nie może być chwały bez poświęcenia. Co ty na to?

Gwynn rozpoznał słowa wielebnego. Zakręciło mu się w głowie. Otworzył usta, by się zgodzić, uważał bowiem, że tak będzie najrozsądniej, nim jednak zdążył przemówić, Elm przerwał mu, kręcąc głową.

- Nie ciebie powinienem o to pytać. Niektórzy wojownicy są jak krótko żyjące kwiaty, inni zaś jak chwasty, których nie sposób wykorzenieć. Ty zaliczasz się do tych drugich. Nie wierzysz w poświęcenie, prawda?

- To tylko moja prywatna opinia - odparł ostrożnie Gwynn - jestem jednak przekonany, że sposób myślenia pochwalający poświęcenie cechuje się szlachetnością, która

jest w swej zasadzie tragiczna. Tragedia znajduje chwałę w szlachetnej klęsce, ostatecznym rezultatem pozostaje jednak klęska. Dla komedii chwała leży w szczęśliwym zwycięstwie. Wolę komedie.

Elm ryknął śmiechem.

- Jeśli tak to ująć, ja również je wolę. Z całą pewnością.

Spojrzał na zegarek i wyszedł ze sterówki, zostawiając zdumionego Gwynna samego.

\*\*\*

Nadeszła odpowiedź z Urzędu Celnego. Zawierała zgodę. Walka na Moście Pomników miała się odbyć za trzy dni, w sorn.

Wszyscy przyjęli tę wiadomość z entuzjazmem, którego powodu Gwynn nie potrafił zrozumieć. Najśmieszniej jego zdaniem zachowywał się Łokieć. Ponieważ to on ręczył za Kingscomba, utracił twarz i teraz pragnął zrehabilitować się w bitwie.

Gwynn zadał sobie pytanie, czy to możliwe, że Beth mimo wszystko wywarła na jego kolegów trwałą wpływ. Być może ich dziwaczna skłonność do bohaterstwa była czymś, co pozostawało w uśpieniu od czasu przyjęcia? Przypomniał sobie jednak, że Marriott czuł się wówczas nieszczęśliwy, a teraz był od dłuższego czasu w świetnym nastroju.

W końcu zapytał o to Jaspera.

- Dlaczego się cieszę? - Jasper odrzucił głowę do tyłu ze zdumioną miną. - Idziemy zabijać poborców podatków, a ciebie to nie cieszy?

- Byłbym bardziej zadowolony, gdyby mieli mniejszą przewagę liczebną - odparł Gwynn.

Jasper zachichotał i stuknął go lekko w ramię.

- Lepiej odbierz jaja z lombardu - poradził.

Nadeszły wieści, że Urząd Celny poprosił sojuszników o pomoc, by móc wystawić wymaganą liczbę ludzi. Gwynn zastanawiał się, czy Spółka Obrotnych Handlarzy albo Towarzystwo Złotego Placu zdradzą Rogowy Wachlarz, czy może Pięć Wiatrów wstanie z grobu. Najwyraźniej jednak celników miały wesprzeć rozmaite grupy walczące z handlem niewolnikami. Był to osobliwy sojusz, jako że miasto zarabiało wielkie sumy na podatkach płynących z tego procederu i z całą pewnością nie chciało go powstrzymać. Na wojnie jednak często zdarzały się nieprawdopodobne alianse.

\*\*\*

Nadszedł wieczór, przynosząc złowróżbne chmury barwy mosiądzu. Raule jadła ryż w swym gabinecie, gdy jedna z nowicjuszek zapukała do drzwi.

- Pani doktor, jakiś mężczyzna chce się z panią widzieć. Mówi, że pani go zna. - Dziewczyna zrobiła niepewną minę. - Jest ubrany jak przedsiębiorca pogrzebowy.

Od nocy, gdy Scarłettino Quai zabił Bellora Vargeya, Raule nie zamieniła z Gwynnem ani słowa. Unikała go, a on nigdy nie próbował się z nią skontaktować. Czytała jednak w gazetach o zbliżającej się bitwie między Rogowym Wachlarzem a Urzędem Celnym i domyśliła się, że wizyta ma coś wspólnego z tym wydarzeniem. Kusiło ją, by kazać nowicjusze go odesłać, wydawało się jednak wątpliwe, by tak łatwo miał dać za wygraną. Szczerze mówiąc, pobudziło to też jej ciekawość.

- Wpuść go. Będzie grzeczny.

- Tak, pani doktor.

Dziewczyna była zbyt dobrze wyszkolona, by okazać brak szacunku, z jej miny wynikało jednak niedwuznacznie, że uważa, iż lekarka nie powinna się zadawać z tego rodzaju ludźmi. Oddaliła się, trzymając plecy sztywno wyprostowane. Po chwili w drzwiach gabinetu pojawił się Gwynn.

- Witaj, pani doktor - pozdrowił ją z płytkim, uprzejmym ukłonem.

- Witaj, siepaczu handlarza niewolników - odparła.

- Musimy to robić? - zapytał z westchnieniem.

- Nie musimy. Po prostu to lubię. Usiądź.

Wskazała mu krzesło pod oknem, a sama zajęła miejsce za biurkiem.

- Czy mam rację, przypuszczając, że chodzi o ofiary, których spodziewasz się w sorn? - zapytała.

- Masz. - Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. - Nie muszę ci mówić, że większość tutejszych lekarzy wie o chirurgii polowej tyle, co psia dupa.

- Nie zyskasz mojej sympatii, obrażając moich wrogów. Służysz odrażającej sprawie, Gwynn.

Rozpostarł szeroko dłonie.

- Z pewnością nie sugeruję, byś stanęła po naszej stronie. Chciałem tylko zapytać, czy zechcesz przyjąć tu rannych. Most Pomników jest blisko i można by ich z łatwością tu przetransportować.

- Nie wątpię w to. Ale ten szpital jest przeznaczony dla parafian z Limewood. Mam kopię rejestrów parafialnych. Jeśli któryś z waszych ludzi w nich figuruje, z pewnością



otrzyma tu łóżko.

- Skoro już mowa o łóżkach, przyjrzałem się po drodze waszym salom. Temu szpitalowi bardzo by się przydał zastrzyk gotówki.

- Jak wielki?

- Pewnie z dziesięć tysięcy florenów.

- Mogłabym się niemal wzruszyć myślą, że twój szef tak bardzo dba o swoich oprychów - odpowiedziała Raule, z trudem powstrzymując śmiech.

- Trudno jest znaleźć dobrych pracowników - zauważył Gwynn z pozbawioną wyrazu twarzą. - Powiedziałem mu, że jeśli trzeba będzie uratować komuś życie, ty poradzisz sobie z tym najlepiej. Jest skłonny przekazać darowiznę na szpital w zamian za gwarancję twojej pomocy. Pozwoliłem sobie mu powiedzieć, że zapewne nie przyjmiesz prywatnej łapówki.

Wzięła w rękę pióro i postukała jego końcem w blat. Pokręciła głową.

- Muszę przyznać, że gdy sobie wyobrażę, jak obie grupy zbierają się na moście i ruszają do boju, zastanawiam się, czy łatwy do przewidzenia rezultat nie byłby najkorzystniejszy dla miasta.

- Masz prawo do własnej opinii - odparł ze spokojem. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale choć najwyraźniej utraciłaś wszelki szacunek i sympatię do mnie, ja nadal zachowałem wysoką opinię o tobie. Mogłabyś z bolesną szczerością odpowiedzieć, że ty zasługujesz na szacunek, a ja nie, nie zapominaj jednak, że oferuję ci pieniądze, które mogą pomóc biednym mieszkańcom dzielnicy.

- Wiesz, że to nie takie proste.

- Sama to komplikujesz.

Zauważył leżącą na biurku Raule ulotkę i wziął ją w rękę.

- Doktor Lone - przeczytał na głos - prezentuje rewolucję w medycynie, odcięcie płąta czołowego. Dzięki tej taniej, szybkiej procedurze zbrodniarze i obłąkańcy zmieniają się w potulne baranki. - Uniósł wzrok. - O co tu chodzi?

- To dżentelmen, który wbija ci kilof w oko i przecina mózg na pół.

- I potraktowany w ten sposób delikwent żyje?

- Pod warunkiem, że kilof był czysty i nie doszło do infekcji. Być może powinieneś opowiedzieć o tym szefowi. Doktor Lone zapewnia, że jego pacjenci mogą zastąpić niewolników jako siła robocza.

- To brzmi intrygująco - stwierdził Gwynn, odkładając ulotkę z powrotem na biurko.

- Nie dla mnie. - Raule wzruszyła lekko ramionami. - Mam ci pokazać, co mnie intryguje?

- Proszę bardzo.

Wyszła z gabinetu i ruszyła ku swemu małemu laboratorium. Otworzyła drzwi i wpuściła Gwynna do środka. Obejrzał kolekcję potworków, unosząc brwi ze zdziwienia.

- To dowody - oznajmiła. - Jak ci się podobają?

Gwynn podszedł do jednej z półek, by przyrzeć się dokładniej zawartości słoików. Znalazł płód o dwóch takich samych zakończeniach ciała i obrócił słoik w rękach, przyglądając mu się uważnie ze wszystkich stron.

- Dowody na co? - zapytał wreszcie, odstawiając słoik na miejsce.

- Na to, że nie wszystko jest w porządku. Że coś tu nie gra. Wiem, że to raczej nie jest rewolucyjna myśl. Ale potem trafiłam na to. Łap.

Chwycił zręcznie słoik, który mu rzuciła. W środku było krokodylowe dziecko. Gwynn uniósł słoik do oczu.

- Wygląda ślicznie. Czy ma za zadanie wzbudzić we mnie ojcowskie uczucia?

- Nie ma żadnego zadania. Czy raczej miało zadanie, ale nie było w stanie go wykonać. Nie mogło nawet żyć.

Przyjrzał się uważniej eksponatowi.

- Chcesz mi powiedzieć, że to nie jest falsyfikat?

- Niestety, to autentyk. Urodziła je jedna ze sprzedawanych przez was niewolnic Iko. Powiedziała mi, że to była odpowiedź na jej modlitwę. Dziecko miało zostać zbawcą jej ludu, ale jego ciało i głowa zamieniły się miejscami i umarło.

- Wierzysz w to?

- Nie jestem pewna. Nie potrafię jednak przedstawić bardziej wiarygodnego wyjaśnienia. Wiem jednak dokładnie, co to jest.

Popatrzył na nią pytająco.

- To ty, Gwynn. Ty, Elm i wszyscy ci, którzy już dawno temu zeszli na złą drogę i nie chcą wrócić na właściwą. Niestety, nie mam pojęcia, czego wam brakuje.

Roześmiał się cicho i rzucił jej słoik.

- No dobra - rzekł. - Chyba zrozumiałem, co subtelnie próbowałaś mi powiedzieć. Nie będę już więcej marnował twojego czasu.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Zaczekaj.

Staął w drzwiach.

- Dwadzieścia tysięcy. Zrobię to tylko dla ludzi z Limewood. I chcę, żeby połowę wypłacono mi z góry, tylko za to, że się zgodziłam.

- Pół szarlatanka, pół odrzyskóra. - Gwynn znowu się roześmiał. - To okazało się całkiem proste, prawda? Dostaniesz swoje dwadzieścia tysięcy.

Raule była wściekła na siebie, że nie zażądała więcej. Nie pokazała jednak tego po sobie.

- Umowa stoi - oznajmiła. - A teraz bądź tak miły i zostaw mnie samą.

- Oczywiście, pani.

Pochylił głowę w ukłonie i wyszedł. Raule zaczęła, aż jego kroki umilkną. Potem wzięła słój w rękę.

- Wygląda na to, że dostaniemy forszę, mały bożku. Może jednak przyniosłeś mi szczęście.

\*\*\*

Większość kawalerów Rogowego Wachlarza poświęciła poranek w dniu przed bitwą na jazdę konną w Klubie Sportowym Tarasu Mimosz. Potem Gwynn i Marriott poszli do łaźni. Parny upał zwabił tu tłum klientów.

- Twój koń nieźle dziś skakał - zauważył Marriott, gdy usiedli w basenie i zajęły się nimi odziane w szyfon dziewczyny.

- Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeśli go przygotuję do skakania przez stosy trupów - odparł Gwynn, rozsiadając się wygodnie w wodzie.

Jedna z uśmiechniętych sylfid wylała mu na głowę pachnący fiołkami szampon, a druga zaczęła masować ramiona.

- Brawo. To mi się podoba. Minęło już zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio stoczyliśmy porządną walkę. Nie mogę się tego doczekać. - Głos Marriotta brzmiał całkowicie szczerze.

- Możesz się pocieszyć i za mnie - stwierdził Gwynn. - Ja wolę uważać na siebie.

- Ach, nie gadaj, że ci tego nie brakuje. Masz to we krwi, tak samo jak ja. Wojna, przyjacielu. Elm miał rację. Mężczyzna musi wejść w ogień.

- Widzę, że jesteś w dobrym nastroju - zauważył Gwynn.

- Wreszcie czuję, że żyję, Gwynn. Po raz pierwszy od dawna. Znowu pragnę walczyć. Mam tylko nadzieję, że to wystarczy.

- Wystarczy do czego? - zapytał Gwynn, tknięty nagłym przecuciem.

- Żeby zginąć honorową śmiercią. Ręce mi drżą. Mówiłem ci o tym, prawda? To dla mnie najlepsze wyjście, Gwynn. Honorowe wyjście. W gruncie rzeczy nie miałem złego życia, ale nie mam zamiaru ciągnąć tego dłużej. Chcę, żeby już się skończyło.

Gwynn poczuł, że ogarnia go lekkie znużenie.

- W porządku, Marriott. Jeśli zginiesz, to czy dostanę twoje spinki ze szmaragdami?

- Jasne. Możesz sobie wziąć wszystkie, które mam.

- To zbyt wielka szczodrość.

- Mniejsza z tym.

Gwynn zanurzył głowę pod wodę i nie wynurzał się na powierzchnię tak długo, jak zdołał wstrzymać oddech. Wyobrażał sobie, że unosi się w oceanie, niczym butelka z listem rzucona przez rozbitka.

Świetnie się bawię. Gwiazdy są ciepłe, nocą plaża lśni jak jedwab. Szkoda, że cię tu nie ma.

\*\*\*

Gwynn nalał sobie małą brandy, dodał wody sodowej i wyszedł ze szklaneczką na balkon. Spoglądał z góry na taras Corozo, zastanawiając się nad nocną ucieczką z Ashamoil. Jeśli tu zostanie, równie dobrze może pójść na Most Pomników i palnąć sobie w łeb, oszczędzając wysiłku nieprzyjacielowi.

Gdyby jednak opuścił miasto, nie mógłby prosić Beth, żeby porzuciła pracę, by mu towarzyszyć. To byłoby śmieszne i nierozsądne. Z pewnością by mu odmówiła.

Nie chciał wyjechać z Ashamoil sam i zostawić jej w mieście. Nie chodziło tylko o to, że naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Zmusił się do szczerości wobec samego siebie i przyznał, że nie czuje się jeszcze gotowy z nią rozstać. Zadał też sobie pytanie, czy kiedykolwiek się poczuje.

Nadal wypełniał go zachwyty. Gdy poczuł go po raz pierwszy, porównał owo wrażenie do kwiatu, teraz jednak skłaniał się ku opinii, że właściwszą analogią byłoby ziarno: głęboko ukryte jądro ujawniało swe pierwsze tajemnice otaczającej je ciemności, ale większa część jego ogromnego potencjału nadal była snem, pozostającym w królestwie niezrealizowanych możliwości. Gdy pomyślał o możliwości jego urzeczywistnienia, w jego sercu rozbłysło światło. Zadał sobie pytanie, czy to nie śmieszne, że zginie zaraz po tym, jak je zauważył, nim zdąży uczynić cokolwiek więcej niż podziwiać jego istnienie.

Odpowiedział sobie na to pytanie wymuszonym uśmiechem.

Zastanawiał się, czy do niej nie pójść, ale w końcu postanowił tego nie robić. Wstydził się idiotyzmu, w którym miał wziąć udział, gdy wszędzie słońce, obawiał się też, że uczucia nim zawładną i odsłonią się przed nią całkowicie. Nie czuł się na to przygotowany, podobnie

jak na rozstanie z nią.

\*\*\*

Siłacz Hart leżał w łóżku obok śpiącej żony, w pojedynczej izbie, którą zamieszkiwali. Był środek nocy, ale jego żona wkrótce miała wstać i udać się do tkalni, gdzie pracowała szesnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Jej nieładna, zmęczona twarz, tak droga siłaczowi, wydawała się w półmroku młodsza i delikatniejsza. Uniósł głowę i ujrzał ich córeczkę, która spała smacznie w kołysce w nogach łóżka.

- Coś usłyszałem, złotko - powiedział do żony, tak cicho, by jej nie obudzić. - „Pod Głową Lichwiarza”. Wyszedłem na zaplecze, żeby odpowiedzieć na zew natury. Znalazłem mały ściek i przykucnąłem nad nim. Niektórzy bez skrępowania opróżniają kiszki publicznie, ale przecież wiesz, że jestem wrażliwym człowiekiem. Kiedy srałem, z baru wyszło dwóch przygłupów. Słyszałem, jak lali na mur. Rozmawiali przy tym tak głośno, że tylko głuchy kapuściany głąb mógłby ich nie usłyszeć. Jeden powiedział drugiemu coś ciekawego. Przyszło mi na myśl, że pewni ludzie w Urzędzie Celnym z chęcią by się o tym dowiedzieli. Wiesz, że jestem dobrym, praworządnym obywatelem. Dowiedziałem się też, że są ludzie, którzy płacą za usłyszane na mieście pogłoski. Zastanawiam się, czy wiedzą, ile naprawdę są warte pieniądze.

Żona Harta poruszyła się przez sen i zaczęła cicho chrapać. Trącił ją łokciem. Stęknęła i uciszyła się.

- Chodzi mi o naszą córeczkę - ciągnął Hart. - Na co może w życiu liczyć, jeśli będzie dorastała w biedzie? Wiem, że pragniesz dla niej więcej niż jesteśmy w stanie jej dać. Niedobrze mi się robi na myśl, że będzie musiała pracować jak pies cały dzień, jak ty, biedaczko. Nie. Chcę, żeby nasza córka miała lepsze życie. To jest początek. - Hart wziął leżący na stoliku przy łóżku portfel i wyjął zeń złożone banknoty. - Pięćset florenów - oznajmił, pocierając je w palcach. - Jutro rano zaniosę je do banku. Będzie ich więcej, jeśli ktoś skorzysta na informacji, którą przekazałem. Znacznie więcej. Powiedziałbym ci o tym, złotko, ale wiedziałem, że nie będziesz zadowolona. Masz zbyt wiele zmartwień. To jedno wezmę na siebie. Siła musi mi się w końcu na coś przydać, tak?

Hart schował banknoty i położył portfel z powrotem na stoliku. Potem wyciągnął się obok żony, starając się zapomnieć, że dzieli ich teraz od siebie ta tajemnica.

# CZTERNAŚCIE

Nad Mostem Pomników unosił się smród końskich odchodów, rozkładających się w dusznym, porannym upale. Granie niewidocznych cykad mieszało się z łoskotem nadrzecznych fabryk. U przeciwległych końców mostu zebrały się dwa zbrojne oddziały. Na południowym brzegu stali ludzie z Rogowego Wachlarza - czterdziestu jeźdźców i około dwustu pieszych. Elm zwołał wszystkich zbirów i oprychów, których miał na swej nieoficjalnej liście płac. Na północnym brzegu kłębił się liczniejszy oddział policji celnej i jej sojuszników. Posągi spoglądały z góry na ciągnące się między obiema grupami pole bitwy. Rzeźby stworzono z myślą o oglądaniu ich z daleka. Każda miała około dwudziestu stóp wysokości i stała na wysokim na sześć stóp cokole usytuowanym po wewnętrznej stronie balustrady.

Odzianych w galowe stroje kawalerów Rogowego Wachlarza zlewał pot. Stajenni zaczęli przygotowywać konie tuż po północy. Wszystkie wierzchowce miały grzywy powiązane w warkoczyki, a ich sierść błyszczała niczym atlas. Dosiadający białej klaczy Elm wyjechał na czoło, by wygłosić mowę o poświęceniu i chwale. Gwynn dosiadający konia mającego oczy osłonięte klapkami zajął miejsce w pierwszym szeregu jeźdźców, między Marriottem a Łokciem. Przyjrzał się twarzom otaczających go ludzi. Palili jeszcze ostatnie papierosy albo pili płynne śniadania z butelek bądź manierek, ale zbyt wielu z nich uśmiechało się jak szaleńcy. Łokieć przybrał poważną, szlachetną minę - Gwynn nie miał pojęcia, jakim cudem dokonał tej sztuki, Marriott zaś wyglądał zbyt spokojnie. Był tu również Elei, gdzieś w tylnych szeregach. Elm chciał, żeby chłopak wziął udział w bitwie. „Niech zdobędzie ostrogi” - rzekł. Z najstarszych rangą członków towarzystwa tylko Biscaya

zwolniono z uczestnictwa w walce. Przybył tu w lektyce, by się przyglądać. Tareda również patrzyła, zza przydymionych szyb powozu.

Oba oddziały czekały cierpliwie, jak szachiści przed partią, ale wokół nich narastało ożywienie. Zgromadził się tłum gapiów, którzy stali na tarasach pod mostem i nad nim, tłoczyli się przy oknach i na dachach. Krążące wokół dzieciaki z gangów rzucały się w oczy w swych jaskrawych strojach. Handlarze mieli niezły utarg, sprzedając kiełbaski i bułki na śniadanie, a kilku dziennikarzy z miejscowych gazet zajęło miejsca blisko mostu; wszyscy trzymali w rękach notesy. Na dole, pośrodku rzeki, łódź wycieczkowa rzuciła kotwicę i na pokładzie pojawiła się grupa elegancko ubranych ludzi zadzierających głowy, niektórzy mieli lornetki teatralne.

To będzie jatka, pomyślał Gwynn. Nie wątpił w to nawet przez chwilę. Zapalił osiemnastego auto-da-fé dzisiejszego dnia. Elm nie przygotował żadnej strategii. Nie wydał żadnych rozkazów, poza tym, że kazał im ruszyć do ataku i wykazać się odwagą. Gwynn zastanawiał się, co będzie z końmi. Wierzchowce Rogowego Wachlarza uczono zachowania spokoju podczas walki, wszystkie też były przyzwyczajone do strzałów, nigdy jednak nie uczestniczyły w tak wielkiej bitwie. Gwynn podejrzewał, że gdy walka się zacznie, konie natychmiast rzucają się do ucieczki.

Ponieważ nie spodziewał się, by miał ujść z życiem w przypadku porażki, postawił większość swoich pieniędzy na zwycięstwo. Bukmacher obstawiał osiem do jednego przeciwko Rogowemu Wachlarzowi.

- Wytrą wami most - oznajmił radośnie. - Klienci lubią moje stawki. Z mojego punktu widzenia najlepiej byłoby, gdyby zginął pan właśnie dzisiaj.

Podczas przemowy Elma Gwynn sprawdził broń. Miał jak zwykle dwa rewolwery u pasa i dwa kolejne schowane pod płaszczem, zapasowe bębny z nabojami oraz speera - nie znalazł w Ashamoil lepszego sztucera - przewieszzonego przez ramię.

Elm zakończył przemowę. Życzył swym ludziom szczęścia i przesunął się na tyły. Jego świeżo odkryta odwaga nie była aż tak wielka, by miał osobiście poprowadzić szarżę. Ten zaszczyt miał przypaść Marriottowi, który pierwszy zgłosił się na ochotnika. Marriott spojrzał na Gwynna.

- Ach, czuję się wspaniale! Jakbym miał we krwi stado wilków! - warknął i wybuchnął ostentacyjnie gwałtownym śmiechem.

- Okrutnie się cieszę z twojej radości - odparł Gwynn. Zawsze z Marriottem strzegli nawzajem swych pleców, ale podczas dzisiejszej walki nie liczył na podobną czujność rodaka. Oplótł wodze wokół łęku siodła i wziął w ręce sztucer.

Marriott prychnął pogardliwie, a potem znowu się roześmiał i poklepał towarzysza po ramieniu.

- Będziemy dziś wieczorem pić z czaszek poborców podatków, przyjacielu, a jeśli nie przeżyjemy, będziemy ucztować w sali poległych bohaterów!

Marriott wy dobył wielki bojowy młot, który przed laty zabrał wrogowi zabitemu na dalekiej północy i krzykiem wydał rozkaz szarży.

Gwynn dotknął ostrogami końskich boków i jego rumak pognął cwałem razem z pozostałymi. Podkowy stukwały głośno o bruk. Nieprzyjacielska kawaleria zmierzała ku nim niczym fala ciemnoniebieskich mundurów.

Jadący na lewo od Gwynna Spiczasty Jasper stanął nagle w strzemionach i zawył wściekle, odsłaniając wysadzane klejnocikami zęby. Po przeciwnej stronie Sam Skręcacz uniósł wysoko strzelbę na słońce. Kierując koniem nogami, Gwynn wycelował w nieprzyjacielskiego jeźdźca i wystrzelił.

Kiedy nacisnął spust, wszędzie wokół eksplodował ogłuszający huk strzałów. Jeździec, w którego celował, spadł z siodła i stratowały go konie towarzyszy. Gwynn nie widział, czy ktoś po ich stronie oberwał. Przepraszając w myślach cały koński ród, zaczął celować do wierzchowców. Dwa runęły na ziemię. Następne wpadały na nie, zrzucając jeźdźców.

Marriott popędził sam wprost przed siebie i wpadł jak szaleniec w straż przednią nieprzyjaciela, wymachując młotem na lewo i prawo. Koń pod nim padł, ale Marriott zdołał złapać jednego z wrogów i ściągnąć go na ziemię. Kiedy dosiadał jego wierzchowca, kolejny nieprzyjaciel wymierzył weń pistolet, lecz zastrzelił go Gwynn.

Gwynn nie miał zamiaru docierać do środka mostu. Podjechał do prawego brzegu, wziął w ręce wodze i spróbował zatrzymać konia pod posągami. Instykt stadny wziął jednak górę i zwierzę nie chciało zwolnić. Gwynn przyjrzał się następnemu posagowi, przedstawiającemu amazonkę. Cokół znajdował się mniej więcej na wysokości jego pasa. Nie miał czasu na rozważania, czy to dobry pomysł. Zarzucił sztucer na ramię, podciągnął nogi, kucnął na moment na siodle i skoczył.

Wylądował na cokole bezpiecznie, choć boleśnie, uderzając o kolano posagu. Odzyskawszy równowagę, obejrzał się i zobaczył, że jego koń zniknął w ciżbie walczących. Na moście zapanował chaos. Zgodnie z przewidywaniami Gwynna wiele wierzchowców próbowało uciec, choć głównie te, które nosiły niebiesko-czarne rzędy Urzędu Celnego. Leżące na ziemi zwierzęta były przeszkodą dla jeźdźców. Niektórzy nadal siedzieli w siodle, większość zsiadła jednak i walczyła na piechotę. Wielu porzuciło też broń palną na rzecz



szabel i bagnetów.

Skryty za potężnymi nogami amazonki Gwynn wypatrywał celów. Ktoś jeszcze - chyba Łokieć, choć trudno było to ujrzeć przez czarne kłęby dymu, które wypełniły już powietrze - postąpił podobnie i prowadził ogień zza posągu po przeciwnej stronie.

Szanse pewnego strzału trafiały się rzadko. Gwynn postanowił celować cały czas w ten sam punkt i strzelać, gdy na muszce pojawi się nieprzyjaciel. Nim zabrakło mu naboarów, zastrzelił sześciu ludzi. Zastanawiał się przez mgnienie oka, czy nie przerwucić się na rewolwery, postanowił jednak zawierzyć celności sztucera i zaczął go ładować.

Gdy był w połowie tej czynności, w prawe ramię trafił go pocisk. Impet cisnął nim do tyłu. Gwynn spadł z cokołu z krzykiem, który zginął w ogólnym zgiełku. Zleciałby z mostu do rzeki, gdyby wpadł na balustradę za posągiem. Zdołał złapać się jej lewą ręką - w tej samej chwili uderzając gwałtownie zębami o barierę - i trzymał się jej rozpaczliwie.

Miał wrażenie, że prawe ramię przebił mu rozżarzony drut, kończyzna posłuchała go jednak, gdy kazał jej się poruszyć. Tłumiąc ból, podciągnął się i wsparł kolano na murku. Postanowił schować się bezpiecznie za posągiem i poczołgał się w jego stronę. Przeszkadzał mu sztucer, który miał pod sobą.

Gdy tylko znalazł się za cokołem, stoczył się z balustrady i wylądował, przykucnięty, na ziemi. Coś natychmiast wypadło zza posągu i pomknęło ze świstem ku niemu.

Gwynn uniósł błyskawicznie speera i zablokował lufą uderzenie bułata. Wzdłuż jego prawej ręki przebiegł ogień. Widział już przeciwnika. Mężczyzna z kocią bródką zabarwioną na szafranowożółty kolor przywoził Gwynnowi na myśl trytona.

Gwynn zerwał się na nogi, jednocześnie obracając sztucer w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ten ruch odtrącił szablę na bok, odsłaniając mężczyznę z brodą trytona. Gwynn wykorzystał okazję, kopiąc przeciwnika w kolano.

Usłyszał i poczuł, że kość pękła. Napastnik krzyknął i zachwiał się, wypuszczając z rąk bułat. Gwynn odrzucił sztucer, wyciągnął lewą ręką rewolwer i strzelił mu trzy razy w pierś poniżej szafranowej bródky.

Pokonany wróg runął na ziemię i Gwynn osunął się w ślad za nim. Zerknął na zranioną kończynę. Miał w rękawie dwie dziurki o średnicy pół cala, jedną powyżej, drugą poniżej miejsca, gdzie kula przeszła mięsień. Dodatkową atrakcją stanowił fakt, że wszystkie przednie zęby mu się ruszały i promieniował z nich ból.

Zaatakował go kolejny nieprzyjaciel, uzbrojony w bagnet. Gwynn uniósł lewą rękę i wystrzelił, ale za pierwszym razem chybił. Zdażył jeszcze, w ostatniej chwili, wypalić po raz drugi. Uchylił się przed padającym na ziemię ciałem i dobił przeciwnika strzałem w głowę.

Walki rozprzestrzeniły się na cały most, najintensywniejsze jednak toczono u północnego krańca. To oznaczało, że Rogowy Wachlarz wygrywa. Gwynn nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nagle poczuł, że musi zamrunąć. Z siwych kłębow dymu wyłoniła się czarna sylwetka. To był jego koń. Posuwał się lekkim truchtem, jakby przebywał na jakiejś sympatycznej łące.

- Gdzie byłeś? - zapytał z westchnieniem Gwynn. - Wybrałeś się na wycieczkę?

Koń nie odpowiedział, Gwynn wzruszył ramionami, wdrapał się na siodło i skierował się naprzód. Załatwił jeszcze trzech ludzi, nim sobie uświadomił, że dwóch ostatnich powalił strzałami w plecy. Siły Urzędu Celnego były w odwrocie. Daleko z przodu ktoś krzychał po anvallicku:

- *Laiho! Geyro laiho!*

Zwycięstwo.

\*\*\*

- Miałeś szczęście. Znowu - stwierdziła Raule, kończąc zaszywanie rany Gwynna. Związała nitkę i ucięła koniec. - Rana jest czysta. Powinna się zagoić bez problemu, choć przez pewien czas będzie ci przysparzać zasłużonych dolegliwości.

- Wszyscy mieliśmy szczęście - zgodził się Gwynn.

To było coś więcej niż szczęście, dodał w myśli. Jakaś siła zmieniła zasady.

Żaden z kawalerów Rogowego Wachlarza nie zginął ani nie został poważnie ranny. Kilku ludzi straciło konie, głównie z powodu złamanych nóg, i na tym koniec. Nic dziwnego, że Raule była w świetnym nastroju. Dostanie dwadzieścia tysięcy i nie będzie nawet musiała zbyt się napracować.

Chciał wybrać się do Beth, ale Elm rozkazał wszystkim natychmiast stawić się na uczcie zwycięstwa w „Diamentowym Klubie”. Pojechał już tam z Eleiem. Syn Elma zabił człowieka i wyszedł z walki bez szwanku. Najodważniejszym i najfartowniejszym bohaterem dnia z pewnością był jednak Marriott, który załatwił Nanida, rozbijając mu czaszkę młotem bojowym.

Gdy już jedna z nowicjuszek zabandażowała mu ramię, Gwynn odszukał rodaka. Po drodze spotkał Łokcia. Jego mina wyrażała pogodną satysfakcję człowieka, który dowiódł swej wartości. Nieco dalej siedział Marriott. Kolejna młoda zakonnica opatrywała mu ranę na szczęce. Nie sprawiał wrażenia, by cieszył się z ocalenia życia. Na jego twarzy malował się ból.

Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- Tego się nie spodziewałem, Gwynn.

- Daj spokój, życie nie może być aż takie straszne.

- Ale kiedy człowiek ma inne plany, przyjacielu, kiedy człowiek ma inne plany...

Gwynn zostawił go i poszedł poszukać łazienki.

\*\*\*

Podczas przyjęcia w „Diamentowym Klubie” towarzyszyło mu przemożne poczucie, że jest obserwatorem, nie uczestnikiem wydarzeń. Jego towarzysze oddawali się rozpuście na kanapach i pełnej chrząszczy podłodze - Elm sprowadził z tej okazji do klubu najlepsze dziwki. Gwynn siedział z Marriottem i pił.

Jego przewidywania powinny się sprawdzić. Bitwa powinna była zakończyć się klęską. Nie miał pojęcia, w jaki sposób idiotyczna pewność siebie jego towarzyszy zdołała zatriumfować nad rzeczywistością, tak jednak najwyraźniej się stało. Nie chciał zaglądać darowanemu koniowi w zęby, nie mógł jednak nie myśleć o konsekwencjach porannych wydarzeń.

Zjawili się chłopcy od bukmachera z kopertami. Wyglądało na to, że wszyscy kawalerowie Rogowego Wachlarza postawili znaczne sumy na swoje zwycięstwo. Gwynn wziął pieniądze i schował je ostrożnie do kieszeni Marriotta jednak nie wygrał nic.

- Byłem pewien, że zginę - poskarżył się.

Gwynn mógł jedynie postawić mu następną kolejkę. Po jakimś czasie przybył posłaniec z wiadomością dla Elma. Ten go wysłuchał, a następnie podszedł do Gwynna.

- Znalazłem nasz głos w ciemności - oznajmił. - Chcę, żebyś się tym zajął. - Ma żonę i jedno dziecko. Zrobimy jak zawsze. Jesteś wystarczająco trzeźwy, żeby zapamiętać adres?

Gwynn skinął głową.

- Pokój siedemnasty w starym budynku Cechu Serowarów na Katońskiej.

- Kto...?

- Siłacz z pierdolonego jarmarku, jeśli potrafisz w to uwierzyć.

Gwynn przypomniał sobie, że Hart również był „Pod Głową Lichwiarza”. Nie znał osobiście siłacza, ale i tak poczuł się zaskoczony. Hart robił wrażenie małomównego, spokojnego człowieka, nie kogoś, kto powtarzałby plotki albo wtrącał się w sprawy innych.

- To pewne?

- Absolutnie. To twój przyjaciel, czy co?

- Nie. Po prostu to niepodobne do niego.

- Człowiek słyszy coś, czego nie powinien usłyszeć, robi się chciwy, przychodzą mu do głowy rozmaite pomysły. A potem ginie.

- Kiedy?

- Zrób to w hiver. Zabierzesz ze sobą Eleia. Dzisiaj poszło mu świetnie, ale musi się nauczyć praktycznej strony interesu.

- Proszę bardzo.

Elm odszedł. Gwynn rozejrzał się wokół i wypatrywał Eleia. Chłopak leżał na kanapie, ledwie widoczny pod dwiema nagimi pięknosciami. Elm nie wyznaczył dotąd dziedzica, ale z pewnością lubił swoje najmłodsze dziecko. Jeśli Elei dożyje odpowiedniego wieku, ojciec może mu przekazać przywództwo w Rogowym Wachlarzu, pomijając starsze rodzeństwo, które obecnie kierowało interesami Elma w innych miastach. Gwynn pomyślał, że jeśli tak się stanie, czasy mogą się zrobić naprawdę interesujące.

Nie chciał pograżać się na dłużej w myślach o przeszłości. Nie miał pewności, czy zechce zostać w Ashamoil, gdy związek z Beth się skończy, a nadal był przekonany, że nie może on trwać zbyt długo.

- Chyba powinienem już iść - oznajmił Marriottowi.

- Popatrz przedtem na moje ręce - zażądał jego rodak.

Gwynn spełnił jego prośbę. Palce Marriotta drżały.

- Na moście miałem ręce spokojne. A popatrz teraz. Wyglądają jak dziewice w noc poślubną!

Marriott zalał się łzami. Gwynn znowu usiadł i objął towarzysza zdrowym ramieniem. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Został w klubie, ściskając w dłoni ostatni kieliszek, podczas gdy jego przyjaciel uparcie wychylał kolejkę za kolejką, aż wreszcie stracił przytomność.

Gwynn wdrapał się ciężko na schody. Zatrzymał się na górze i zamrugał, oślepiiony światłem. Idąc po konia, patrzył pod nogi. Wiedział, że chód ma nieco chwiejny. Do tego nie przebrał się po bitwie, strój miał więc zbrukany krwią i tak dalej. Nie chciał patrzeć ludziom w oczy. Wdrapał się na siodło z wielką ostrożnością, wziął w ręce wodze i pojechał wreszcie spotkać się z Beth.

\*\*\*

Spodziewał się, że będzie się na niego gniewała, a przynajmniej okaże irytację, że nie

powiedział jej o bitwie, ale nie zrobiła tego. Oznajmiła mu flegmatycznie, że czytała o niej w gazetach.

- Wyglądasz paskudnie - zauważyła.

- A ty wyglądasz pięknie.

Poprowadziła go do łóżka i zostawiła w nim.

Przeleżał tam całe popołudnie, co chwila zapadając w mroczny sen i budząc się. Gdy ocknął się po raz pierwszy, zorientował się, że jest nagi. Podczas następnych interludów jawy Beth czasem była obecna, a czasem nie. Za którymś razem poczuł, że jej dłonie przesuwają się po jego ciele, dotykają go z delikatnością szeptu, zataczając powolne kręgi. Później zauważył, że skupiła uwagę na jego zabandażowanym ramieniu i pokrywających mu ciało siniakach, jakby uszkodzenia szczególnie ją interesowały. Jeśli rzeczywiście tak było, potrafił to zrozumieć. Nie miał nic przeciwko temu.

Kiedy ocknął się znowu i zobaczył, że Beth gapi się na niego, zdobył się na sardoniczny uśmiech.

- Czy powinienem złamać sobie nos albo stracić oko?

- Nie, to by było fatalne.

- Omal nie wybiłem sobie paru zębów.

- W takim przypadku nie zastałbyś mnie w domu.

- Jesteś okrutniejsza ode mnie, moja droga.

- Obawiam się, że definiuje cię twa zarozumiałość. Gdybyś nie miał do niej powodów, byłbyś zupełnie innym człowiekiem.

Te słowa obudziły go do końca.

- Nie doceniasz mojej wyobraźni, pani. Potrafiłbym się przystosować do tej sytuacji. Wstawiłbym sobie sztuczne zęby z czerwonego koralu i złota, a także szklane oko. Nie, znalazłbym sobie mnóstwo szklanych oczu. Zacząłbym je zbierać. Miałbym oczy z wszelkich rodzajów szkła: rubinowego, srebrnego, matowego, wytrawionego, błyszczącego...

- Dobra - przerwała mu - przypuśćmy, że potrafiłabym się z tym pogodzić. Przyznaję, że uważałam cię za wyznawcę bardziej konwencjonalnej koncepcji piękna.

- Być może tak jest rzeczywiście - przyznał. - Śmiem jednak twierdzić, że mógłbym zmienić upodobania.

- Większość ludzi próbowałaby ukryć podobne rany - stwierdziła z uśmiechem. - Ty zaś wolałbyś zastąpić je ozdobami. Czy uważasz swe ciało jedynie za coś w rodzaju stroju, który można swobodnie zastąpić korałem i barwionymi szkiełkami?

- Jeśli mówimy wyłącznie o wyglądzie zewnętrznym, do pewnego stopnia zapewne

tak. To wszystko tylko materia.

- Szkielet nosi mięśnie, mięśnie okrywa skóra, a skóra wdziewa ubranie?

- W rzeczy samej. Twarz to maska ze skóry, a oko to kamyk połączony z mózgiem.

Wyciągnął rękę i przesunął palcem od kącika jej oka do linii włosów. Pocałowała go w czoło, a potem wstała i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i wkrótce z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły odgłosy krzątający towarzyszącej pracy.

Pogrążył się w myślach. Nie tylko w nim zaszła zmiana. Wyglądało na to, że zmieniła się natura świata. Cudowne zwycięstwo Rogowego Wachlarza; krokodylowe dziecko; mężczyzna z lotosem, jeśli nie był oszustem - wszystko to skłaniało go do zastanowienia. Jeśli teoria Beth była prawdziwa i faktycznie każdy mieszkał we własnym świecie, jego świat zmieszał się z innym światem, którego praw nie rozumiał. Taki świat byłby jak roślina, która po zasadzeniu w obcej glebie rozrasta się niepowstrzymanie, albo nawet jak zakaźna choroba. Co, jeśli istniał świat, który potrafił zmienić wszystko, czego dotknął, i uczynić to niezwykłym? Beth najprawdopodobniej twierdziłaby, że jest jego właścicielką, w rzeczywistości mogła jednak być tylko jednym z jego osobliwych stworzeń, jego hybryd, jego objawów.

\*\*\*

- Dyskrecja zawsze ma kluczowe znaczenie - mówił półgłosem Gwynn do Eleia, który jechał przed nim brukowaną uliczką między urwiskiem tarasu a murem fabryki konserw. Stukot końskich kopyt zagłuszał ich rozmowę. - Jeśli ktoś zacznie zadawać pytania, a to czasami się zdarza, bo nie każdy urzędnik w tym mieście jest przyjacielem twojego ojca, musimy mieć alibi, świadka, który potwierdzi, że byliśmy w tym czasie gdzie indziej.

- I teraz jedziemy właśnie do tego świadka?

- Tak jest.

W zaułku było za ciemno, by Gwynn mógł cokolwiek wyczytać z twarzy podopiecznego, wyczuwał jednak w głosie chłopaka nieśmiałą radość z tego, że miał rację.

Gwynn po raz pierwszy miał do czynienia z Eleiem, który przed wyjazdem do Musendy przebywał w szkole z internatem w Phaience. Jak dotąd chłopak okazał się uważny, spokojny i sympatyczny. W jego zachowaniu nie wyczuwało się ani śladu chciwości i bezwzględności. Gwynn zastanawiał się, czy Elei zrećźnie ukrywa te cechy, czy też rzeczywiście jest ich pozbawiony.

Zaułek zaprowadził ich na Plac Grających Kurantów. Gwynn zatrzymał konia przed

łukiem bramy wiodącej na podwórko. W czerwonym oknie na piętrze budynku paliło się światło. Przywiązali konie przy wejściu, odpięli juki od siodła i weszli po kilku schodach na ganek. W głęboką ościeżnicę wprawiono stare rzeźbione drzwi z drewna sandałowego z mosiężną kołatką w kształcie dwóch splecionych ze sobą postaci. Gwynn ujął kołatkę i zapukał. Po chwili usłyszeli zbliżające się powoli kroki. Drzwi otworzyła im przystojna kobieta w sukni z aksamitu, tej samej ciemnoczerwonej barwy co okno. Głęboki dekolt odsłaniał kształtne piersi. Wyciągnęła z uśmiechem rękę i Gwynn wsunął w nią zwitek banknotów.

Kobieta zaprosiła ich skinieniem do środka. Wewnątrz panował różowy półmrok. Wszystkie meble pokrywały atlasowe narzuty, a w powietrzu unosiła się intensywna woń perfum. Zaprowadziła gości do sypialni i zostawiła ich tam. Przebrali się w ubrania, które ze sobą przynieśli: buty o gumowych podszewkach, czarne kurtki z kapturami i chusty tego samego koloru. Kiedy wyszli z pokoju, kobieta zaprowadziła ich do tylnych drzwi, wychodzących na zaułek tak wąski, że Gwynn ledwie się w nim mieścił. Płynął tamtędy cuchnący rynsztok. Gwynn ruszył przodem, Elei podążył za nim.

- Powie, że byliśmy z nią? - zapytał cichym głosem chłopak.

- Tak. Towarzyszyłem ci na wycieczce.

- I uwierzą jej?

- Jeśli nikt nie zaprzeczy jej słowom.

- Dlaczego jej ufamy?

- To honorowa kobieta, a przynajmniej honoruje pieniądze, które otrzymała. To prawda, że ktoś mógłby oferować jej więcej, ale musiałaby też rozważyć konsekwencje narażenia się twojemu ojcu.

Elei nie zadawał już więcej pytań. Przeszli razem jakieś pół mili, posuwając się naprzód zaułkami, które w końcu zaprowadziły ich na pogrążoną w półmroku ulicę. Stojące przy niej budynki były ongiś wspaniałe. Na wielu widniały jeszcze stare nazwy urzędów, banków, cechów oraz innych instytucji o podobnym znaczeniu. Większość przed co najmniej stuleciem przerobiono na tanie budynki mieszkalne i od tego czasu nikt ich nie remontował ani nie odnawiał elewacji. W blasku bijącym od żółtego nieba oraz w świetle ustawionych w równych odstępach latarni można było zobaczyć nad portykami gęsto rozmieszczone, barokowe dekoracje oraz szeregi zapadających się, żelaznych balkonów.

Po obu stronach wejścia do budynku usytuowano kolumny z szarego marmuru, a także kamienne posągi krów. Gwynn zatrzymał się i zniknął w cieniu frontonu. Elei wcisnął się między pilastry po drugiej stronie drzwi. Obaj unieśli chusty, by zasłonić twarze. Gwynn

przyniósł zestaw stalowych wytrychów i zajął się zamkiem. Okazał się zaskakująco dobry, jak na tak zapuszczoną kamienicę. Otworzenie go zajęło mu stanowczo zbyt wiele czasu, w końcu jednak zdołał uporać się z tym zadaniem.

Hol wypełniał dźwięk starczego chrapania. Gwynn zapalił zapalniczkę. Pomarszczony odźwierny, czy może konsjerż, leżał na pryczy pod ścianą ozdobioną freskiem wyobrażającym sielankową scenę, niemal całkowicie już zniszczonym przez czas i wandalów. Gwynn wręczył zapalniczkę Eleiowi i wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki buteleczkę oraz gąbkę. Wylał zawartość buteleczki na gąbkę i w powietrzu uniósł się słodkawy zapach chloroformu. Potem zatrzymał na chwilę gąbkę nad ustami staruszka, czekając, aż sen przejdzie w utratę przytomności. Później ruszył na górę po schodach. Dzięki gumowym podeszwom poruszał się bezgłośnie. Skinął z aprobatą głową do Eleia, który produkował tylko minimalną, możliwą do zaakceptowania ilość hałasu.

Pokój numer siedemnaście znaleźli na piątym piętrze. Tym razem zamek nie sprawił trudności. Za drzwiami znajdowała się pojedyncza, ubogo umeblowana izba przedzielona drewnianym przepierzeniem. Na oknie nie było zasłony ani rolety. Nocny blask rzucał na wszystko bursztynową poświatę.

Gwynn skinął na Eleia, nakazując mu pójść za sobą, po czym podszedł do przepierzenia i zajrzał za nie. Stało tam stare, mosiężne łóżko, na którym spała samotna kobieta. W ustawionej w nogach łóżka kołysce leżało niemowlę. Gwynn zauważył, że kobieta ma bardzo nieatrakcyjną twarz i wydziela kwaśny odór, a jej ukryte pod kołdrą w obrzydliwe, jasnozielone kwiaty ciało nie jest zbyt kształtne.

Zaczerpnął powoli powietrza. Zranione ramię nadal mu dokuczało, a chloroform wywołał ból w głębi czaszki. Wziął się w garść, ponownie wyjął buteleczkę i gąbkę, a potem wszedł za przepierzenie. Kiedy pochylił się nad leżącą, zaczęła się budzić. Szybko nakrył jej twarz gąbką i zczekał, aż kobieta straci przytomność. Z drugiej kieszeni wyciągnął wąski nożyk i szczypce. Wręczył je Eleiowi.

- Ja mam to zrobić? - wyszeptał chłopak.

- Jeśli chcesz.

Elei wziął z namysłem instrumenty. Popatrzył niepewnie na szczypce.

- A co to właściwie ma być?

- Nie powiedziano ci, na czym polega zadanie?

Chłopak pokręcił głową.

- Błąd jej męża polegał na tym, że za dużo gadał. W związku z tym karę należy wymierzyć za pośrednictwem narządu służącego do gadania, czyli języka. Tak właśnie twój



ojciec zwykł sobie radzić z tego rodzaju sytuacjami. To będzie jasne ostrzeżenie.

Chłopak skinął głową.

Gwynn doszedł do wniosku, że Elei poradzi sobie z zadaniem. Nie miał ochoty zatrzymywać się zbyt długo w tym nędznym miejscu ani zwlekać z wykonaniem odrażającej roboty. Oparł się o ścianę i zapalił auto-da-fé.

- Zdejmij płaszcz i podwiń rękawy. Lepiej, żebyś nie wyszedł stąd upaprany dowodami winy.

Elei posłuchał jego rady.

- A teraz posadź ją i odchyl jej głowę do tyłu. - Chłopak wykonał polecenie. - Otwórz jej usta, weź język w szczypce i pociągnij go w górę - ciągnął Gwynn. - Kiedy dotknie podniebienia, przetnij go, tak głęboko, jak zdołasz sięgnąć.

Elei wykonał wszystkie czynności zgodnie z poleceniami Gwynna.

- Nie widzę, co robię. Leje się mnóstwo krwi - wyszeptał po kilku sekundach.

- Pracuj na czuja.

Elei posłusznie zaczął piłować i w końcu udało mu się odciąć język.

- Gdzie mam go położyć? - zapytał, trzymając amputowany narząd w szczypcach.

- Wszystko jedno. Może być na tej półce. Doprowadź się do porządku i idziemy.

Chłopak położył język w miejscu wskazanym przez Gwynna. Na prawo od łóżka stała umywalka z dzbankiem pełnym wody. Elei umył nóż i szczypce, wytarł je w szmatę i wręczył Gwynnowi. Potem umył ręce. Odwracał przy tym głowę, spoglądając z lekkim zaciekawieniem na kobietę.

Z jej gardła wydobyło się głośnie bulgotanie. Po chwili z nosa i ust trysnęła krew.

- Czy ona umiera? - wyszeptał Elei.

- Tak.

Chłopak skończył się myć. Gwynn sprawdził stan kobiety. Nie żyła. Potem ruszył ku wyjściu. Elei zatrzymał go, chwytając za rękaw.

- O co chodzi?

- A co z...?

Chłopak wskazał głową na kołyskę.

- Nic. Zostaw je.

- Z litości?

- Żeby się zabezpieczyć. Człowiek, któremu nie zależy na życiu, z łatwością może cię zabić. Jeśli masz wroga i darujesz mu życie, pamiętaj, żeby miał po co żyć. Ja wolę zabijać swoich wrogów, ale twój ojciec jest bardziej wyrafinowany ode mnie.

Elei skinął głową.

Gwynn poprowadził ich na zewnątrz tą samą drogą, którą przyszli. Gdy szli w dół wąskimi schodami, zaalarmował go nagły hałas za plecami. Uchylił się w ostatniej chwili i wymiociny Eleia spadły na schody.

- Przepraszam - wychrypiał chłopak, zatrzymując się. - Bardzo przepraszam...

Nawet w półmroku łatwo było zauważyć, że jest straszliwie zawstydzony.

- Elei, jeśli sądzisz, że to może ci się przydarzyć, dobre wychowanie nakazuje ostrzec człowieka, który idzie przed tobą. Chyba że chciałeś poddać próbie mój refleks?

To miał być żart, próba zlekceważenia incydentu, ale Elei wziął słowa Gwynna poważnie. Na jego twarzy pojawił się wyraz głęboko urażonej dumy młodszego dziecka.

- Elei, żartowałem.

- Aha.

- Dobrze się czujesz?

- Już chyba tak. Czy musisz powiedzieć o tym ojcu?

- Tylko jeśli zapyta.

- Chyba nie przyjdzie mu do głowy pytać o coś takiego, prawda?

- Chyba nie.

- To świetnie - ucieszył się Elei. Wyprostował się nagle. - Już nigdy się nie porzygam, kiedy kogoś zabiję.

Bez dalszych incydentów wrócili do domu z czerwonym oknem, przebrali się w codzienne ubrania i pożegnali z gospodynią. Kiedy szli przez podwórko, Elei zapytał, czy mogą wpaść do „Diamentowego Klubu” czegoś się napić. Powiedział, że ma w ustach paskudny posmak. Gwynn się zgodził i obaj ruszyli na Świetlistą.

Tak się złożyło, że spotkali w klubie kilku znajomych. Tareda śpiewała, a Marriott, Spiczasty Jasper, Łokieć oraz dwaj młodszy kawalerowie - Porlock i Spindrel - siedzieli za stolikiem najbliższym sceny. Naznaczone czerwonymi plamami chrząszcze zniknęły, ale część pytonów pozostała na miejscu. Były tłuste i rozleniwione, rozpieszczone przez klientelę, która traktowała je jak pieski pokojowe i dawała im resztki oraz słodycze. Gwynn zauważył, że Marriott stara się nie patrzeć na Taredę, ale na jego twarzy i tak odciskało się piętno tragicznej miłości. Jasper i Łokieć przywitali Eleia z ojcowską zyczliwością. Rzecz jasna, chcieli się dowiedzieć, jak mu poszło. Gwynn złożył dłoń, kładąc ją na drugiej - znak, że robotę wykonano. Obaj zaczęli gratulować Eleiowi. Łokieć klepał go po plecach, zapewniając, że pewnego dnia zostanie szefem. Chłopak przyjmował wszystkie te komplementy ze skromnością.

Jasper postawił mu mocny koktajl, a jeden z młodszych kawalerów próbował mu podać joss. Gwynn jednak na to nie pozwolił. Elm nie miałby nic przeciwko temu, że Elei upije się z jego ludźmi, ale nie byłby zadowolony, gdyby chłopak doprowadził się do utraty przytomności.

Wszyscy kolejno stawiali Eleiowi drinki. Noc ciągnęła się ospale. Rozmowa zeszła na łowienie ryb. Łokieć chciał wybrać się nad rzekę, żeby łapać pstrągi. Gwynn cały czas miał oko na podopiecznego, starannie ukrywając ponury nastrój.

Podczas następnej przerwy Tareda podeszła do ich stolika. Zachęcony przez przyszywanych wujków, zarumieniony Elei zapytał, czy zrobi mu ten zaszczyt i usiądzie obok niego. Spojrzała nań z góry jak starsza siostra i powiedziała, że jest synem swojego ojca. Usiadła na krześle, które przysunął dla niej niezdarnie, i zaczęła go wypytywać o jego rodzinę w Musendzie i o szkołę, do której tam chodził. Marriott gapił się w pustkę.

Gwynn dopił drinka i poszedł do baru po następnego. Gdy za niego płacił, usłyszał strzał.

Pognał sprintem do stolika, odtrącając ludzi na bok. W całym klubie zapadła cisza, którą zmaćił głos Spiczastego Jaspera, wykrzykującego najobrzydliwsze przekleństwa. Gwynn dopadł do stolika i zobaczył, że Elei leży na podłodze, zwinięty w pól. Tareda, Spiczasty Jasper i Łokieć pochylali się nad nim. Marriott zniknął.

- Co się stało? - wydyszał Gwynn.

Tareda uniosła wzrok.

- Podekscytowany, złapał mnie za cycek. Odepchnęłam go i wtedy Marriott go postrzelił - wyjaśniła bez ogródek.

Elei wykrzywił twarz z bólu, krzycząc słabo przy każdym wydechu.

- Oberwał w brzuch - wyjaśnił Jasper. - Może warto by go było zabrać do tej twojej lekarki. Chyba że chcesz natychmiast zwiewać.

- Wszyscy powinniśmy zwiać - stwierdził Łokieć. Mięsień w jego policzku drżał nerwowo.

Gwynn patrzył na to wszystko z oddali, jakby był zupełnie inną osobą, kimś obcym, kto ogląda całą scenę przez teleskop. Ukłęknął przy chłopaku, by sprawdzić zakres obrażeń. Wlot rany znajdował się po lewej stronie tułowia, około dwóch cali poniżej żeber. Gwynn spodziewał się ujrzyć ranę od kuli większego kalibru, to jednak była najwyżej dwudziestka dwójka. Z rany sączyła się ciemna krew.

Obejrzał plecy Eleia, ale nie znalazł wylotu rany.

Nie mając pojęcia, gdzie ugrzęzła kula, nie był w stanie określić, jak ciężki jest stan

chłopaka.

- Zabiorę go do szpitala - zaproponował niespodziewanie dla samego siebie. - Byłem za niego odpowiedzialny. Wy dwaj - wskazał na Spindrela i Porlocka - podnieście go. Niech ktoś zawiadomi Elma.

Obaj młodzieńcy wyglądali, jakby się spodziewali, że Elm w każdej chwili może wyskoczyć na nich z jakiejś kryjówki. Podnieśli Eleia bardzo ostrożnie. Z ust chłopaka wyrwało się długie, płaczliwe westchnienie.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Jasper, spoglądając dziwnie na Gwynna. Skinął głową. Nadal towarzyszyło mu wrażenie, że wszystko to rozgrywa się gdzieś bardzo daleko.

- Marriott uciekł? - zapytał.

- Wybiegł w noc.

- Weź mój powóz - zaproponowała Tareda.

- Dziękuję, tak właśnie miałem zamiar zrobić - odparł Gwynn. - Ktoś cię podwiezie.

Skinął krótko na dwóch dźwigających Eleia młodzieńców i wszyscy trzej ruszyli naprzód. Pozostali goście siedzieli w bezruchu, nie odzywając się ani słowem, i patrzyli wszędzie, tylko nie na pechowych ludzi z Rogowego Wachlarza.

# CZEŚĆ TRZECIA

# PIĘTNAŚCIE

Na wpół obudzona Raule przewróciła się na drugi bok, próbując znowu zasnąć. Pukanie do drzwi jednak nie milkło. Usłyszała, że siostra woła ją po imieniu.

Podniosła się z wysiłkiem.

- O co chodzi? - zapytała, szukając po ciemku ubrania.

- Rana postrzałowa - wyjaśniła siostra. - To młody chłopak. Przywiózł go mężczyzna, jeden z tych kawalerów. Są w sali operacyjnej.

Lekarka zbiegła na dół za siostrą i wpadła do maleńkiej sali operacyjnej. Ranny leżał na stole z obnażoną piersią. Był przytomny i jęczał z bólu. Raule nie poczuła się zaskoczona, gdy zobaczyła, kim jest jego towarzysz.

Gwynn miał minę anioła śmierci, którego nagle opuściła odwaga. Wcisnął w ranę coś, co wyglądało jak stołowa serwetka. Odsunął się, żeby zrobić jej miejsce.

- Czemu nie mogę się wreszcie ciebie pozbyć? - zapytała, krzywiąc się. - Nie próbuj mi odpowiadać. Kto to jest?

- Elei. Syn Elma - odpowiedział pośpiesznie Gwynn. - Postrzelono go jakieś dziesięć minut temu. Możesz być pewna...

- Że mi zapłacisz? W to nie wątpię. - Raule namydliła ręce. - Ty go postrzeliłeś?

- Nie.

- Kula nadal tkwi w środku - zauważyła siostra, przygotowując zastrzyk morfiny.

Elei uniósł głowę.

- Czy umrę? - wydyszał.

- Może nie umrzesz - odparła Raule.

Siostra zrobiła chłopakowi zastrzyk w biodro. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do środka wpadły kolejne zakonnice, niosąc obrusy, imbryki i baseny. Wkrótce Eleia otoczyła ściana habitów i barbetów.

Gwynn opuścił salę. Gdy drzwi zatrzasnęły się za nim, oparł się o ścianę korytarza i zasłonił oczy dłonią.

Był tu sam, Porlocka i Spindrela odesłał razem z powozem. Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć trzecia.

Poszedł do gabinetu Raule, ale drzwi były zamknięte. Przypomniawszy sobie wiszące w korytarzu klucze, i wrócił po nie. Jeden pasował do zamka. Znalazł w środku pióro i papeterię, napisał więc do Beth, że wpakował się w kłopoty i byłoby lepiej, gdyby nie wychodziła z mieszkania przez kilka dni. Podpisał list i zakleił kopertę, po czym pobiegł na najbliższą większą ulicę i rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnego posłańca. Jego koń został w „Diamentowym Klubie”. Na zewnątrz było niewielu ludzi. W drzwiach obejmowała się jakaś para, całkowicie zaabsorbowana sobą. Ktoś leżał na ulicy, przykryty kocem.

Po chwili Gwynn znalazł, czego szukał. W bocznym zaułku grupa młodzieńców siedziała beczynnie wokół płonącej beczki na ropę. Spojrzenie Gwynna przyciągnęła kamizelka wyszywana błyszczącymi w blasku ognia cekinami.

Ruszył w stronę grupy. Usłyszawszy jego kroki, wszyscy odwrócili głowy.

- Hej, potrzebujesz roboty?! - zawołał do chłopaka w kamizelce.

Na twarzy tamtego pojawił się na moment wyraz zachwytu, który jednak szybko ustąpił miejsca wystudiowanej nonszalancji.

- Może i tak. A co to za robota?

Gwynn pokazał mu list.

- Dostarcz to.

Podał mu adres domu na Schodach Żurawich i wręczył pięćdziesiąt florenów.

- Kiedy? - zapytał chłopak.

- Natychmiast - odparł Gwynn.

- Hej, ja to zrobię za dwadzieścia! - zawołał mniejszy chłopiec.

Ten, z którym rozmawiał Gwynn, odwrócił się i dzielił go w ucho.

- Przepraszam - powiedział do Gwynna.

- Bierz się do roboty.

Chłopak wzruszył ramionami i popędził przed siebie.

- Ruszaj tyłek! - zawołał za nim Gwynn.

Młodzieniec przyspieszył.

Gwynn wrócił do szpitala, usiadł na drewnianej ławie pod salą operacyjną i zapalił papierosa. Czuł w ranie pulsujący ból, głowa również znowu go rozboleła. Gdzieś tu powinno być laudanum, stłumił jednak pragnienie poszukania go. Musiał zachować jasność umysłu.

Nie miało znaczenia, czy Marriott rzeczywiście chciał zabić Eleia, czy też miał zamiar oddać strzał ostrzegawczy i zdradziły go drżące ręce. Był trupem. Chyba że uciekł z miasta i znajdował się już daleko, a Gwynn wątpił, by to zrobił. Marriott mógł się ukrywać, ale nie opuści miasta, w którym przebywała Tareda Forever.

Uśmiechnął się z goryczą. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zdoła tak dokładnie zrozumieć obsesję Marriotta.

Śmierć Eleia będzie wyrokiem również dla niego. Nawet jeśli chłopak wyżyje, Elm zapewne zechce ukarać Gwynna za to, że nie dopilnował jego bezpieczeństwa. Gdyby musiał się martwić tylko o siebie, mógłby uciekać albo walczyć. W najgorszym razie zastrzeliliby go. Lepsze to niż wycieczka nad rzekę w betonowych butach.

Musiał jednak myśleć również o Beth. Nie miał pojęcia, czy jej niezwykła władza nad ludzkimi sercami ocali ją przed morderczym kaprysem Elma, gdyby miało dojść do najgorszego. Jeśli jednak zostanie w mieście i odda się w ręce szefa Rogowego Wachlarza, będzie mógł liczyć na to, że kara, jaką ten postanowi wymierzyć, spadnie wyłącznie na niego i Beth będzie bezpieczna. Wyglądało na to, że jest jednak zdolny do poświęcenia.

Wypalił całą paczkę auto-da-fé. Otoczony niedopalkami, rozejrzał się wokół. W korytarzu nie paliło się światło, ale drzwi sali operacyjnej miały szklane szyby i w bijącym przez nie świetle mógł przeczytać plakaty na tablicy wiszącej na ścianie. Wszystkie nosiły pieczęcie Kościoła oraz rozmaitych towarzystw na rzecz publicznego tego i moralnego owego. Zawierały barwne opisy chorób wenerycznych oraz tyrady przeciwko „nienaturalnym nałogom”.

Jeden atakował też tytoń. „Odrażający i Niebezpieczny Nałóg Palenia, który Obraża Nos, Znieczula Podniebienie, Powoduje Starzenie Się Skóry oraz Postępujący Uwiad Całego Ciała”. Gwynn przesunął wzrok do ostatniej linijki: „Tytoń Zabija Cię Powoli, Ale Niezawodnie”.

Zupełnie jak czas, pomyślał. Ale jeśli chcesz wykonać robotę szybko, zawodowcy polecają kule.

\*\*\*

- Gwynn.



Obudził się nagle.

Leżał na ławie. Nie pamiętał, kiedy zasnął. Raule stała obok niego. Podsunęła mu tackę, na której leżał niewielki, spłaszczony kawałek ołowiu.

- Możesz dziękować opatrności za małe kule - stwierdziła. - Dotarła do żołądka i już tam została. Być może spowolnił ją wypełniający żołądek alkohol. Jeśli nie dojdzie do zakażenia, za parę tygodni będzie mógł wrócić do domu. Za miesiąc nie powinno zostać ani śladu.

- To nie jest tylko marzenie, prawda? - zapytał Gwynn.

- Skąd mam wiedzieć?

Spojrzał na pocisk. Pamiętał, że pomyślał, że rana jest mała. Nie mogąc dłużej ufać swym rękóm, Marriott zapewne zaczął używać lekkiego pistoletu.

- Jesteś królową lekarzy - powiedział do Raule, wstając z ławy. - Ile jestem ci winien?

Machnęła lekceważąco ręką. Na moment wbiła weń spojrzenie wyrażające wiele sprzecznych uczuć. Potem wróciła do sali operacyjnej, zamykając za sobą drzwi.

Gwynn opuścił szpital i ruszył w stronę „Diamentowego Klubu”, gdzie czekał jego koń. Była już szósta rano. Zatrzymał się przy kiosku, by kupić papierosy i gazetę. Incydent w klubie opisywano na pierwszej stronie. Gwynn nie przeczytał artykułu. Wyrzucił gazetę do kosza i przygotował się na spotkanie z Elmem.

\*\*\*

W ogrodzie przed willą zatrzymali go Tack i Snapper.

- Znasz zasady - oznajmił Tack.

Gwynn oddał mu broń i uniósł ręce. Snapper przeszukał go gruntownie. Gwynn skrzywił się boleśnie, gdy młodszy mężczyzna dotknął rany.

- Przepraszam - powiedział Snapper. Zabrał Gwynnowi nóż schowany w prawej cholewie, wyprostował się i skinął głową.

- W porządku. Szef jest w basenie.

Gwynn wszedł do willi, eskortowany przez bliźniaków. Prywatny apartament Elma znajdował się na górze, na drugim piętrze.

- Jeśli będziemy musieli cię zabić... - zaczął Tack, gdy szli na górę.

- ...chcemy, żebyś wiedział, że miło było cię znać, Gwynn - dokończył Snapper.

- Nawzajem, panowie - odparł serdecznie Gwynn.

Jeśli Elm postanowi okazać mściwość, to Tack i Snapper będą musieli połamać mu

ręce, zatopić nogi w betonie i wrzucić go do Skamandra. Do tej chwili równie dobrze mogli być uprzejmi.

Dotarli na najwyższe piętro i weszli do korytarza wyłożonego parkietem z orzechowego drewna, nakrytym zdobnym dywanem. Na jego końcu, między dwoma złotymi popiersiami Elma, znajdowały się drzwi z matowego szkła, prowadzące do łaźni. Snapper pociągnął za sznurek dzwonka, by oznajmić ich przybycie, a potem bracia wprowadzili Gwynna do środka.

W pomieszczeniu było pełno pary. Oświetlały je stojące we wnękach lampy naftowe. Tam, gdzie obłoki pary były rzadsze, można było zobaczyć kolejne złote posążki: nagie nimfy, syreny i aniołki, wszystkie połączone z podłogą delikatnymi, pozłacanymi łańcuszkami. Za następnymi drzwiami znajdował się piec, było słychać cichy, głuchy szum palnika.

Pierwszy basen wypełniała woda, ale nikogo w nim nie było. Zaslona z listków złota ukrywała drugi, usytuowany dalej. Gwynn znieruchomiał. Tack i Snapper wyciągnęli broń. Mijały minuty. Po obu stronach zasłony było słychać pluskanie wody.

Wreszcie rozległ się głos Elma.

- A więc się zjawiłeś. To znaczy, że mój syn żyje.

Potem znowu rozległo się pluskanie. Gwynn starał się odczytać zamiary szefa z jego tonu, ale okazało się to niemożliwe.

- Tak - odparł po prostu.

- Powiedz mi, jaki jest jego stan - zażądał Elm.

- Lekarka spodziewa się, że wróci w pełni do zdrowia, jeśli nie dojdzie do komplikacji.

Znowu poruszyła się woda.

- Powiedziano mi, że to Marriott go postrzelił - ciągnął Elm.

- To prawda.

Znowu nastąpiła długa przerwa. Gwynn czuł spływający mu po plecach pot.

Wreszcie Elm przerwał milczenie.

- Gwynn, muszę zdecydować, co z tobą zrobić. Elei postąpił głupio, a pozostali powinni go pilnować, gdy ciebie nie było, niemniej jednak muszę kogoś ukarać.

Gwynn wbił spojrzenie w twarz posążka.

- Na razie przyjmę, że ta lekarka nie myli się co do rokowania - ciągnął Elm. - W związku z tym mój tymczasowy wyrok na ciebie i Marriotta brzmi następująco: można by powiedzieć, że ten błąd zrodził się z serca albo z kutasa, ja jednak mówię, że zrodził się z rąk.

Dostarczysz mi ręce Marriotta. Musisz to zrobić do jutrzejszej północy. Tak wygląda moja sprawiedliwość i moja łaska dla was obu. Chyba rozumiesz, że to rzeczywiście jest łaska?

Na moment Gwynna zalała fala potężnej, tchórzliwej ulgi, która jednak zaraz opadła, ustępując miejsca pogardzie do samego siebie. Wyobraził sobie, że tłucze raz po raz czaszką Elma o ścianę, aż wreszcie ta pęka jak owoc granatu. Potem zawładnęło nim suche, cuchnące stęchlizną uczucie, które już pozostało.

Elm mówił dalej, jakby dotąd nie powiedział nic szczególnie istotnego.

- Jasper rozkazał kilku ludziom poszukać Marriotta. Będą w Pasażu Wioli. Natychmiast idź się z nimi spotkać.

Odesłany w ten sposób Gwynn odwrócił się, spodziewając się irracjonalnie, że zaraz poczuje uderzające go w plecy kule. Nic takiego się jednak nie stało. Tack i Snapper wyprowadzili go z łaźni i oddali mu broń. Nie odzywali się i on również milczał. Przypiął kabury do pasa i ruszył przed siebie. Bliźniaki nie podążyły za nim.

Gdy był na schodach, usłyszał dobiegający z zewnątrz huk. Wybiegł do ogrodu i zorientował się, że z nieba leje się strumieniami deszcz, zupełnie jakby z jakiegoś niebiańskiego oceanu wypadło dno. Kiedy przebywał w domu Elma, do miasta dotarł monsun.

Dźwięczny łoskot wody lejącej się na dachy i ulice, a także wpadającej w fale Skamandra, niósł się echem między ścianami doliny. Większą część Ashamoil zasłaniała nieprzerwana, szarobiała kurtyna. Gwynn w kilka sekund przemokł do suchej nitki.

Idąc ku stajniom, zauważył czyjaś sylwetkę, zmierzającą w jego stronę.

To była Tareda. Przemokła tak samo jak on i nie miała butów.

- Rozmawiałam z nim - oznajmiła. - Zrobiłam, co mogłam.

- Niewykluczone, że uratowałaś mi życie - odparł.

- Co się stanie? - zapytała, odwracając od niego wzrok.

Gwynn jej powiedział.

- Tak strasznie mi przykro - wyszeptała.

Patrzyli na siebie, mrugając w deszczu. Wpływ chwili zmuszał ich do zatrzymania się. Szukali jakiegoś odpowiedniego słowa albo bezpiecznego gestu, jakby taki maleńki triumf uprzejmości mógł wszystko zmienić.

- Muszę wracać do środka - powiedziała wreszcie.

Wyminęła go. Ruszył dalej sam, czując się niematerialny jak duch.

Po godzinie znalazł się w pasażu. Sklepy nadal były zamknięte, żelaznych krat nie podniesiono. Nie musiał czekać długo, nim podeszło doń dwóch podejrzanych typów.

Przedstawili się jako Gwóźdź i Szczupak.

- Znaleźliśmy go - oznajmił mężczyzna zwany Gwoździem. - Jest w Sangreal. Chyba nigdzie mu się nie śpieszy.

Gwynn znał Sangreal. To była jedna z najpaskudniejszych nor nad rzeką.

- Czy ktoś go obserwuje? - zapytał.

Gwóźdź chrząknął potwierdzająco.

- Jeśli gdzieś się ruszy, zostawimy wiadomość w „Diamentowym Klubie” - zapewnił.

Gwynn pokręcił głową.

- Nie. - Nie chciał zaglądać do klubu Elma, jeśli nie będzie to konieczne. - Nawet węże mają uszy i potrafią mówić - dodał w charakterze wyjaśnienia. Przerwał na chwilę, by się zastanowić nad odpowiednim miejscem. - Spotkajmy się w „Szaleństwach Ludzi”. Będę tam jutro wieczorem.

- O której?

- O ósmej.

- Może być - zgodził się Gwóźdź.

Obaj mężczyźni się oddalili i Gwynn wdrapał się na siodło, by ruszyć przez deszcz w górę Schodów Żurawich.

\*\*\*

Beth otworzyła mu drzwi odziana tylko w halkę. W jej mansardzie było gorąco i parno.

- Dostałam twój list - oznajmiła. - Nigdzie się nie wybieram, a poza tym nie muszę się bać twojego szefa. Za bardzo się wszystkim przejmujesz, Gwynn. - Ujęła jego dłoń. - Chodź, pokażę ci, nad czym pracowałam.

Otworzył usta, ale zaraz zamknął je znowu. Nie przekazał jej w liście żadnych szczegółów, a ona najwyraźniej nie była nimi zainteresowana.

Uświadomił sobie nagle, że nie istnieje dla niej w tym samym sensie, w jakim istnieje we własnych wyobrażeniach. Sporządziła sobie jego kopię, interpretację przepuszczoną przez filtr jej pragnień i priorytetów.

Co za tym idzie, on z pewnością stworzył analogiczną kopię Beth.

Podążył za nią do pracowni.

- To pierwsze odbitki - poinformowała go, wskazując na dwanaście rycin suszących się na stole. - Co o nich sądzisz?

Ryciny pod wieloma względami przypominały jej wcześniejsze dzieła przedstawiające przytłaczającą architekturę oraz nieuchwytnie formy życia, te, które tak go zaintrygowały. Na tych nowych obrazach również dominowały ciemne tony, a budynki miały monumentalny styl. Przedstawiały to samo wyimaginowane miejsce, lecz życie jego mieszkańców, przedtem obecne tylko jako delikatna aluzja, odsłonięto teraz całkowicie. Drzwi i okiennice otworzyły się, ukazując świat za murami.

Gwynn nie potrafił ująć swej opinii w słowa. Gdy Beth postanowiła przedstawić ukryty świat, geniusz najwyraźniej ją opuścił.

Jego mieszkańcy przypominali dziwaczne chimery z jej poprzednich prac, przekroczyli jednak granicę dzielącą proteuszowe kaprysy wyobraźni od portretów ludzkiego upodlenia. Jeden z mężczyzn miał trzecią świńską nogę, gdzie indziej widział kobietę z pełnym mleka krowim cyckiem zamiast piersi, innej kobiecie zamiast rąk wyrastały z barków dwa węże, a mężczyzna klęczący między jej rozłożonymi szeroko nogami miał w ustach kilka par sektorów zamiast zębów i języka, i tak dalej. Te postacie również oddawały się zmysłowemu rozkoszom, ale tym razem nie dostrzegało się w nich przyjemności. Ich twarze, bez wyjątku ludzkie, wyrażały jedynie pogardę, głupotę i wstręt.

Zadał sobie pytanie, czy jest zblazowany, czy może w tej chwili - z uwagi na kłopoty, które go spotkały - nie jest w stanie dostrzec piękna ani czuć przyjemności. Im dłużej jednak przypatrywał się obrazom, tym bardziej był pewien swojego zdania.

Nie zauważył w rycinach nic, czego szaleni nie potrafilyby wydobyć ze schorzałych zakamarków umysłu. Jeszcze bardziej zaniepokoił go fakt, że na każdym z obrazów widział siebie, czy raczej jakiś fragment siebie, jakby go poćwiartowano i podzielono między poszczególne sceny. Wiele postaci - zarówno sprawców bólu i poniżenia, jak i ich ofiar - przypominało go pod jakimś względem.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem - rzekł, nie chcąc jawnie wyrazić niezadowolenia. - Co one właściwie mają wyobrażać?

- Proces zdobywania blizn - wyjaśniła Beth. - Stój spokojnie - dodała, widząc zdziwioną minę Gwynna.

Spełnił jej życzenie i zaczęła rozpinać jego ubranie. Czuł się jak sklepowy manekin. Po chwili był już nagi do pasa. Głaskała jego skórę, muskając ją niezwykle delikatnie czubkami palców. Potem objęła dłonią zranione ramię i ścisnęła je mocno przez bandaż.

Obrzucił ją pełnym bólu spojrzeniem.

- To rzeczywistość - oznajmiła. - Ciało jest realne. Zachowuje nasze wspomnienia znacznie wierniej niż umysł.

- Pani, co, u licha... - wybuchnął, lecz nagle umilkł.

Zbliżyła do niego twarz i poczuł woń jej oddechu. Jej usta były kadzielnicą, z której płynęły dwa różne zapachy: uzdrawiający aromat różanego ogrodu zanieczyszczony odorem świeżo zabitej zwierzyny.

Stał nieruchomo, porażony szokiem, podczas gdy dłonie Beth dotykały jego blizn.

- Zazdrościłam ci, ponieważ nosisz na sobie historię spotkań ze śmiercią. Każdy potrafi nosić urodę, ale siła zbyt często nie ma okazji, by się uwidocznić i zyskać podziw. Kiedy widzę, jak kwas wgryza się w metal, wyobrażam sobie, że ten metal to moja skóra. Rozumiesz?

Gwynn potrząsnął głową.

- Beth...

Spojrzał jej w oczy i zauważył, że żelazna zasłona w końcu zniknęła. Ujrzał w błyszczącej czerni coś, co znał od dawna.

Miał nadzieję odnaleźć tam wiele, ale z pewnością nie to, co sam stworzył.

Zebrał pośpiesznie myśli. Odór jej oddechu zrodził się z wizji, którą miał u Vanbutchella. Czy mogła ona być autentycznym przykładem jasnowidzenia, ostrzeżeniem? Jeśli tak, zapach mógł być objawem jakiejś choroby albo działania toksyny. Być może szkodziły jej chemikalia, których używała do pracy.

- O co chodzi, Gwynn?

- Boję się, że dopadła cię choroba. Nie jesteś dziś sobą.

- Nigdy nie czułam się lepiej - zapewniła. - Jeśli nadal będziesz się o mnie martwić, uznam to za dokuczliwe. Jestem wyjątkowo zdrowym przedstawicielem swojego gatunku.

Dowiodła fizycznej sprawności. Kochała się z nim gwałtownie, a on odpowiedział w taki sam sposób. W pewnej chwili spoliczkowała go, a on użył całej siły, chcąc obrócić ją na brzuch i wziąć na sposób zwierząt. Nie potrafił powiedzieć, czy zrezygnował z tego pomysłu i dobrowolnie rozluźnił uścisk, czy też okazała się za silna. Tak czy inaczej, znowu zwróciła się do niego twarzą, uniosła ręce i zacisnęła je na jego gardle. To była tylko zabawa, ale wyczuwał ukrytą pod wierzchnią warstwą gniewną przemoc. Jego ciało nadal zaspokajało swe żądze, niemal samodzielnie, ale nad duchem zapanowało przygnębienie. Obietnica nieznanых terytoriów zniknęła za horyzontem.

- Chyba wniknęłaś mi pod skórę - przyznał, gdy już skończyli i odsunęli się od siebie.

- Nie skarżę się, bo sam się o to prosiłem. Obawiam się jednak tego, że ja wniknąłem pod twoją.

- Chciałeś się zmienić, prawda? Być może ja również tego pragnę.

Uspokoiła się już. Uśmiechała się, leżąc na boku, ale w jej oddechu i pocie Gwynn nadal czuł tę samą, intensywną woń. Jej słowa go zaskoczyły.

- Wyobrażałem sobie, że jesteś katalizatorem - odparł. - Zmieniasz wszystko, czego dotkniesz, ale sama pozostajesz niezmienna.

- To romantyczne wyobrażenie, ale nie jest zgodne z prawdą. Pamiętaj, że to ja cię znalazłam. Byłeś składnikiem, którego potrzebowałam.

- Nie jestem tego pewien.

- Przekonasz się.

„Stałaś się dla mnie droga”. Pragnął wyrzec te słowa, ale potrafił tylko powiedzieć jej, że czuje się zmęczony i nie może zostać dłużej, a jutro będzie zajęty pracą i w związku z tym się nie zobaczą.

Popołudnie spędził na kanapie salonu swego apartamentu, starając się odpocząć i odzyskać spokój. Nie zdołał jednak tego dokonać. Myśli o Beth i o Marriocie ciągle krążyły w jego głowie niczym dwa koniki na karuzeli.

Jeśli wykona literę rozkazu Elma, nie będzie musiał zabić Marriotta. Bez rąk można żyć. Być może powinien zaoferować mu ten wybór. W końcu doszedł jednak do wniosku, że skoro Marriott chce umrzeć, tak będzie lepiej.

\*\*\*

Ciemną nocą siłacz Hart owinął ciało żony w czyste prześcieradło. Następnie uniósł je w ramionach i ruszył z nim do domu człowieka, który władał magią.

Czarodziej usłyszał pukanie i otworzył mu drzwi. Miał na sobie czarną szatę, na której wyhaftowano złotą nicią magiczne symbole. Kiedy zobaczył, co przyniósł siłacz, jego stara twarz zmarszczyła się w wyrazie głębokiego smutku.

- Panie Vanbutchell.

Hart przywitał czarodzieja nazwiskiem, pod którym go znał, ale nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

- Rozumiesz, że nie potrafię jej wskrzesić? - zapytał Vanbutchell, użytkownik magii. - Mogę jedynie dać ci broń. Będziesz też musiał zapłacić, raz, a potem drugi.

- Zgadza się - odparł Hart. Z oczu płynęły mu łzy, tak pełne gorzkiego poczucia winy, że zostawiały na twarzy głębokie wyżłobienia.

- Proszę bardzo.

Vanbutchell zaprowadził go do pustego pokoju. W suficie była tam okrągła dziura,

otwierająca izbę na niebo. Drugi, identyczny, otwór w podłodze zapewniał łączność z ziemią.

- Stoimy w athanorze - wyjaśnił Vanbutchell. - To miejsce jest osią i matrycą. W określonych chwilach, przy użyciu odpowiednich materiałów, alchemia może tu dokonywać niesłychanych rzeczy. Stój, nie podchodź bliżej. Podam ci cenę. Wszechświatowi musisz zapłacić własnym życiem.

- Nie dbam o nie.

- Zażądam również zapłaty dla siebie. Masz córkę. Przynies ją jutro do mnie. Będzie o mnie dbała na stare lata, a jeśli wykaże się talentem, zrobię z niej czarodziejkę.

- Lepszy będziesz ty niż dom dla biednych. Dostaniesz ją. Masz moje słowo.

- Zostaw więc to, co przyniosłeś, i wróć jutro o tej samej porze. Dam ci broń, której pragniesz.

- Dlaczego muszę ją zostawić? Powinno się ją godnie pochować.

- Chodzi o materiał. Przeobrażę jej cielesne szczątki w narzędzie twojej zemsty. Masz coś przeciwko temu?

Hart pochylił głowę.

- To może być sprawiedliwe - mruknął. - Tak. To z pewnością będzie sprawiedliwe.

Uklęknął i położył owinięte w prześcieradło ciało na podłodze.

Vanbutchell wsparł dłoń na potężnym ramieniu siłacza.

- Mógłbym dać ci jakiś środek na twój ból.

- Nie.

Czarodziej pokiwał głową z wielkim smutkiem.

Hart wyszedł i wrócił do domu. Następnie wziął córeczkę w ramiona i opowiedział jej wszystko o matce, nie pomijając tego, w jaki sposób zginęła i jaką rolę on w tym odegrał. Była jeszcze zbyt mała, by mogła cokolwiek zrozumieć, czuł jednak, że ma obowiązek powiedzieć jej prawdę. Leżał potem w łóżku, nie mogąc zasnąć, a z jego oczu lały się nienaturalne, żrące łzy. Od czasu do czasu pogrążał się na chwilę w marzeniach, że żona nadal spoczywa tuż obok.

Następny dzień przyniósł monsunowe deszcze. Hart nie wstawał z łóżka. Słuchał szumu wody, tuląc córkę w ramionach. Gdy wreszcie znowu zapadł zmierzch, próbował się z nią pobawić, ale była niespokojna. Przewinął ją i nakarmił, lecz nadal płakała i marszczyła buzię. On również się rozplakał, tym razem zwyczajnymi łzami, spływającymi po bolesnych śladach na jego skórze.

- Niebo płacze, ty płaczesz, ja płacę - wyszeptał. Zaczął chodzić z córeczką po izbie. Ruch wyraźnie ją uspokoił, nie zatrzymywał się więc, dopóki nie nadeszła pora, by iść do



Vanbutchella.

Mag nie otwierał mu przez długi czas. Wyglądał dziś starzej.

- To nie było łatwe - oznajmił Hartowi. - Ja również musiałem zapłacić. Ale słusznie postąpiłem, umożliwiając wymierzenie kary - mamrotał pod nosem, najwyraźniej mówiąc do siebie. - Wymierza się za mało kar, zbyt wiele zła uchodzi sprawcom na sucho. Być może dzięki temu staniemy się rozsądniejsi i surowsi w ocenach.

Spojrzał wyczekująco na siłacza.

- Ma na imię Ada - powiedział Hart. Pocałował delikatnie córeczkę w czoło i wręczył ją Vanbutchellowi.

Czarodziej przyjrzał się uważnie małej twarzyczce i skinął z namysłem głową.

- Pewnego dnia zostanie czarodziejką. Otrzyma nowe imię.

- To już nie moje zmartwienie - odparł bez wyrazu Hart.

- Zaczekaj chwilę.

Vanbutchell zniknął z niemowlęciem na zapleczu. Po krótkiej chwili wrócił. Poruszał się powoli, trzymając w ramionach coś innego.

To była broń, topór. Do długiego na cztery stopy styliska z kutego żelaza przytwierdzono dwustopowe, rozszerzające się ostrze. Czarodziej wręczył oręż Hartowi.

Siłacz ujął go bardzo ostrożnie. Topór ciążył mu w dłoniach. Na błyszczącym obuchu o krawędzi ostrej jak brzytwa wyryto piękne kwiaty, pokrywające metal wymyślnymi wzorami. Dotknął go delikatnie, przesuwał koniuszkami palców po zdobnej powierzchni.

- Tak jest, wykonano go z fizycznych szczątków twojej żony, oby jej dusza wkrótce odnalazła spokój - odpowiedział na niewypowiedziane pytanie Vanbutchell. - Nie ja wybrałem jego kształt, nie stworzyłem też wzorów, które widzisz na metalu. Tym po prostu się stała.

Porażonego grozą i żalobą siłacza wypełniła na moment duma z kobiety, jaką była jego żona. Ciężkie życie sprawiło, że postarzała się przedwcześnie, teraz jednak trzymał w rękach dowód na to, że duszę miała piękną, nawet jeśli świat tego nie zauważał. Ta myśl nie przyniosła mu pocieszenia, wzmocniła jednak jego determinację.

Nie był wojownikiem. W młodości służył przez krótki czas w wojsku, ale minęło już dwadzieścia lat, odkąd ostatnio wykorzystał swą siłę w celu innym niż bawienie gapiów na jarmarku. Mimo to odnosił wrażenie, że zna trzymaną w rękach broń równie dobrze, jak znał ciało żony.

- Ruszaj na spotkanie zemsty i swego losu. Powiem twojej córce, że jej ojciec był bohaterem - oznajmił Vanbutchell, nie bez ironii, ale również ze sporą dozą szczerości. -

Zrobiłem dla ciebie jeszcze jedno. Twoi wrogowie wkrótce uwierzą, że nie żyjesz. Nie będą cię szukać.

Czarodziej pokłonił się i odszedł, powłócząc nogami.

Hart wyszedł w strugi ulewy, przyciskając topór do piersi. Ani przez chwilę nie wątpił, że to Towarzystwo Rogowego Wachlarza jest odpowiedzialne za okaleczenie i śmierć jego żony. Innych podejrzanych nie było. Miał do czynienia z potężnym wrogiem, lecz jeśli zginie, próbując wyrzeć zemstę, będzie to dlań zasłużona kara.

# SZESNAŚCIE

Gwynn spędził cały dzień na planowaniu morderstwa Marriotta, skupiając się na owym zadaniu z maksymalną intensywnością, na jaką potrafił się zdobyć.

Wstał wcześniej i opuścił dom, odziany w nieprzemakalną pelerynę. Upał i siekący deszcz sprawiły, że na ulicach nie było prawie nikogo. W wezbranych wodach Skamandra unosiły się krokodyle.

Nie do rzeki. Tego był pewien.

Po trzech godzinach konnej jazdy dotarł do granic Ashamoil. Dalej ciągnęło się nowe przedłużenie miasta, które w krótkim okresie swojego istnienia zdążyło już zasłużyć na miano Małego Piekła. Znajdowały się tu rzeźnie, garbarnie, fabryki kleju i im podobne, przed osiemnastu miesiącami przeniesione tu z dawnych miejsc rozporządzeniem władz miejskich, które starały się poprawić wygląd nadrzecznej części śródmieścia. Gwynn często przepływał łodzią obok Małego Piekła, ale nigdy w nim nie był.

Znalazł tu chaos blaszanych baraków oraz smród tak okropny, że aż szczypał go w oczy. Jego wierzchowiec podrzucał łbem i parskał wściekle.

Gwynn obserwował z siodła poczynania rzeźników. Zabijali świnie. Brezentowy dach osłaniał wielki plac przed deszczem, ale zwierzęca krew i odchody zamieniły go w grzęzawisko. Gwynn nie był tu jedynym gościem. Dwóch wieszczków przykucnęło nad wypatroszoną świnia, podwinawszy szaty do kolan, i dźgało wnętrzości bambusowymi kijkami.

Gwynn myślał o mieczach, nożach i sztyletach. Przyglądał się ludziom podzynającym świńskie gardła, obserwował, z jak wielkim wysiłkiem wbijają noże w ciało

zwierzęcia.

Marriott nie był ostatnio dla niego zbyt dobrym przyjacielem. Gwynn nie czuł już bliskości, jaka łączyła ich w dawnych czasach.

Zważywszy wszystko razem, biała broń miała utylitarny charakter. Nawet najpiękniejszy miecz łączyło bliskie pokrewieństwo z rzeźnickim nożem. A on naprawdę nie chciał poczuć woni krwi starego przyjaciela ani tego, jak ostrze przecina jego ciało i druzgocze kości.

Nie. Zrobi to inaczej.

Gwynn opuścił Małe Piekło i skierował się z powrotem do miasta. Potem wjechał na Wzgórze Tytana, kierując się do muzeum wojny. Spędził dwie godziny w chłodnych, suchych salach kamiennego budynku, oglądając pogrążoną w uspieniu broń. Był tu jedynym gościem. Niektóre z eksponatów były interesujące z technicznych, estetycznych bądź historycznych względów, poza bronią palną nie znalazł tu jednak niemal nic, co byłoby odpowiednie dla jego celów. Jednakże, jeśli ostrze wymagało nadmiernej bliskości, kula uderzała ze zbyt daleka i za łatwo było ją wystrzelić. Nie miał zamiaru popełnić podobnej nieuprzejmości.

Na dworze niesiony wiatrem deszcz przerodził się w ruchome ściany wody, które zderzały się ze sobą gwałtownie. Gwynn zjechał na dół. Minęło już południe i czuł się głodny. Zatrzymał się przed barem szybkiej obsługi i zamówił talerz wędzonych śledzi oraz jajecznicę. Pochłoniął wszystko, nawet nie czując smaku.

Nieco dalej natknął się przypadkiem na plac, na którym wieszano człowieka. Nieszczęśnik szarpał się i dławił, kat bowiem związał sznur za krótko. Gwynn mógł jedynie potrząsnąć głową na taką nieudolność. Zaczekał chwilę i ciało w końcu zwisło bezwładnie - choć nie nieruchomo, gdyż kołysało się na wietrze jak lampa.

Zwykle uduszenie byłoby groteskowe, a także trudne. Zastanawiał się nad użyciem chloroformu, a potem jakiejś mniej bezpośredniej metody duszenia, porzucił jednak ten pomysł, ponieważ brakowało mu stylu.

Zostawała trucizna.

Miała ona swoje zalety. Jeśli wybierze odpowiednią substancję, uda mu się uniknąć fizycznych cierpień; będzie mógł to zrobić z bliska, a zarazem zachować odpowiedni dystans; jeśli zaś chodzi o styl, była dyskretna i stanowiła uświęcony tradycją element tragicznego dramatu. Skazanemu na zagładę protagoniście trucizna dawała niezwykłą, stylizowaną śmierć, zostawiała mu czas na wygłoszenie monologu, w trakcie którego ciało nie padało nagle na scenę jak marionetka, której przecięto sznurki, ale obracało się powoli w posąg upamiętniający znaczenie postaci.

Nie trzeba było dodawać, że w rzeczywistości podobnie efektowne wyjście raczej nie wchodziło w grę. Skojarzenie zachowywało jednak moc i Gwynn pomyślał, że jeśli to on ma być autorem epizodu śmierci Marriotta, nie chce, by była ona bezsensowna, nie miała żadnego dostrzegalnego związku z życiem, które ją poprzedzało. Nagle przyszła mu na myśl żona siłacza, jako przykład absurdałnej śmierci. Podobny dysonans był materiałem odpowiednim do komedii, ale tylko do pewnego - co prawda subiektywnego - punktu, za którym zaczynała się groza. Ona rzecz jasna również mogła być atrakcyjnym materiałem, ale tylko wtedy, gdy ofiarą był ktoś obcy.

W jego głowie zrodziła się myśl - czysto hipotetyczna - by zadać Marriottowi śmierć w jakiś budzący grozę sposób. Rozważył ją z czystej ciekawości, zastanawiając się, jaki wpływ wywarłoby to na jego umysł. Wypróbował w myślach rozmaite scenariusze, stawiając reprezentującego go homunkulusa na scenie własnej wyobraźni w jej najbardziej szalonym wydaniu. Gdy ujrzał, jak homunkulus popełnia najdziksze okrucieństwa z głupkowskim uśmiechem hipokryty na twarzy, upewnił się, że są granice, których nie potrafiłby przekroczyć. Nawet najmroczniejsza strona jego osobowości nie życzyłaby Marriottowi cierpień.

Przyszło mu na myśl, że nigdy jeszcze nie zdradził przyjaciela. Zawsze dotąd udawało mu się uniknąć tej ostateczności.

Do dzisiaj.

Zdecydował się na truciznę. Miał jednak stosunkowo niewielkie doświadczenie w jej użyciu, postanowił więc poszerzyć swą wiedzę. Wyruszył przez Most Fontann na północny brzeg i dotarł do brukowanych uliczek dzielnicy uniwersyteckiej, które zaprowadziły go do nakrytej kopułą biblioteki, składnicy wiedzy nagromadzonej przez tysiąclecie.

Budynek był usytuowany w połowie wysokości wzgórza, na stoku zwróconym ku rzece. W ciągu godziny Gwynn zdołał wyszukać trzy dostępne w mieście substancje, które nadawały się do jego celu. Był przekonany, że Vanbutchell ma na składzie przynajmniej jedną z nich, został więc w czytelnicy jeszcze przez pewien czas, wertując kolejne tomy w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu wyjaśnić stan Beth. W żadnym z labiryntów chemii, biologii i historii nie znalazł jednak odpowiedzi.

Mówił w przenośni, że wniknął pod jej skórę, czy jednak podobna inwazja mogła mieć nie tylko psychologiczny charakter? Zważywszy jego wcześniejsze obawy dotyczące ludzi z Rogowego Wachlarza, byłoby straszliwą ironią, gdyby się okazało, że jedynym prawdziwym zagrożeniem dla niej był on sam.

Gdy wreszcie odłożył na bok woluminy, słońce już zaszło.

Nadal jednak było upalnie, a deszcz lał strumieniami. Woda wypadała z rynien i spływała ulicami, unosząc rozliczne odpadki. Tam, gdzie nie było bruku, ulice pokryło błoto. W jeden dzień Ashamoil zmieniło się w brudne trzęsawisko.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Gwynn pojechał na portowy jarmark.

Wszystko nakryto plandekami w czerwono-niebieskie pasy i ruch trwał w najlepsze. Większość sprzedawców była na miejscu, choć mieli bardzo niewielu klientów. Siłacz, ze zrozumiałych względów, nie był obecny. Gwynn zlecił śledzenie go innej agentce Elma, kobiecie znanej jako Słodka Myszka. Karły wykonywały akrobatyczne numery z przygnębieniem malującym się na twarzach.

Gwynn jechał przed siebie, nie zwracając zbytnej uwagi na otoczenie.

Omali nie wpadł na kogoś, kto wybiegł zza rogu. Okazało się, że to wielebny. Nie miał przeciwdeszczowego ubrania i przemókł do suchej nitki. Podbiegł do Gwynna.

- Wiem, co kombinujesz! - zawołał.

Gwynn uciszył go spojrzeniem.

- Wiem, co kombinujesz - powtórzył wielebny. - Nie rób tego. Proszę, nie rób.

- Ojczy, nie gadaj od rzeczy.

Wielebny potrząsnął głową.

- Pogłoski rozchodzą się szybko. Twój biedny przyjaciel jest powszechnie znany. Niefortunny incydent w klubie widziało wielu świadków. Wszyscy spekulują, jaki los go czeka. Zrodziło się we mnie przypuszczenie, że sytuacja wymaga twojej interwencji, mój synu, i dlatego śledziłem dziś twoje wędrówki. Deszcz pomógł mi ukryć się przed twoim spojrzeniem. Temu, kto cię zna, nietrudno było odgadnąć twój cel. Wiem, że wcale nie chcesz tego zrobić!

- Wiesz bardzo niewiele, powinieneś jednak zdawać sobie sprawę, że nie warto słuchać plotek.

- To skaże cię na potępienie!

Wielebny rzucił się na ziemię, padając na twarz przed Gwynnem. Ten trącił konia, każąc mu ruszyć naprzód. Wierzchowiec przeszedł nad leżącym. Kapłan wstał, rzucił się w pogoń i złapał jeźdźca za kostkę. Gwynn spróbował się uwolnić i przekonał się, że nie jest w stanie. Uścisk wielebnego okazał się niespodziewanie silny.

- I co teraz zrobisz, zastrzelisz mnie? - zapytał kapłan.

Nieliczni widzowie oderwali spojrzenie od występów, gapiąc się na tę nową atrakcję. Gwynn przyglądał się wielebnemu, jakby nagle sobie uświadomił, że wcale go nie zna.

- Mam im powiedzieć, co zamierzasz uczynić? - wysyczał kapłan. - Mogę to

wykrzyczeć i wszyscy ci ludzie mnie usłyszą, a potem powtórzą innym. Zastrzelisz wszystkich?

- Nikogo nie obejdą twoje krzyki - odparł Gwynn. - A już zwłaszcza mnie.

- Proszę bardzo - rzekł wielebny. - Jak sobie życzysz.

Puścił nogę Gwynna i odsunął się parę kroków. Zaczepnął tchu, żeby krzyknąć, ale w ostatniej chwili opuściła go odwaga. Zdziwieni gapie zobaczyli, że kapłan stoi z szeroko otwartymi ustami, jakby demonstrował dentyście wnętrze jamy ustnej.

- Przepraszam, panowie - rozległ się spokojny, znużony głos, dobiegający gdzieś z dołu, zza pleców wielebnego. To był człowiek z lotosem wyrastającym z pępka.

- Niechcący usłyszałem waszą rozmowę. - Leżący na ziemi mężczyzna uniósł głowę, spoglądając na nich. - Nie mam zwyczaju wtrącać się do spraw innych ludzi, ale w tym przypadku czuję się do tego zmuszony. Kapłanie, czemu nie zademonstrujesz mi, co może osiągnąć świętość? Mógłbyś dokonać tego, czego nie potrafił zrobić nikt inny. Uwolnić mnie od tej jałowej egzystencji. Pozbywszy się lotosu, będę mógł znaleźć pracę i żonę. Będę mógł mieć dzieci.

- Nie potrafię tego zrobić - odparł wielebny.

- To kłamstwo - skwitował mężczyzna z lotosem.

Kapłan miał zażenowaną minę. Gwynn przyglądał się temu, nie okazując zainteresowania.

- A czy on się powściągnie i przestanie zdradzać własną duszę, jeśli usunę tę przyczynę twych cierpień? - zapytał wielebny.

- Warto spróbować.

- Kim jesteś, mój panie?

- Ja? - zdziwił się mężczyzna z lotosem. - Nikim, panie. Po prostu człowiekiem bezczynności.

Gwynn przymrużył powieki, spoglądając spod kaptura peleryny na człowieka z lotosem. Ten to zauważył i uniósł ku niemu twarz.

- Miał pan zły dzień? - zapytał. - No cóż, może jutro będzie lepiej. - Skinął na wielebnego. - No, zrób to. Co masz do stracenia!

- Nawet nie masz pojęcia - mruknął wielebny. Mimo to podszedł do leżącego na ziemi mężczyzny, pochylił się i wyciągnął rękę do wysokiego, różowego kwiatu.

- Jeden szyling - zażądał leżący.

Kapłan wręczył mu monetę i mężczyzna schował ją pod materac.

Wielebny uklęknął, złapał obiema rękami łodygę lotosu i pociągnął.

Kwiat wyszedł na zewnątrz. Ciągnął się za nim długi korzeń, do którego przylegały krwawiące grudy. Mężczyzna krzyknął przenikliwie, a potem zaczął jęczeć z bólu. Z dziury w brzuchu trysnęła jaskrawoczerwona, tętnicza krew. Kapłan wypuścił lotos z rąk, gapiąc się z przerażeniem na szkarłatny strumień. Pochylił głowę i skrył twarz w dłoniach.

- Mam prośbę - wyszeptał konający. - Zasadź ten korzeń w żyznej glebie. Może wyrośnie z niego coś dobrego.

Wielebny nie usłyszał jego słów albo je zignorował. Gwynn zsunął się z konia i podniósł lotos z ziemi.

- Morderca! - zawołał ktoś głośno w tej samej chwili.

Gwynn obejrzał się za siebie. Nie chodziło o niego. Jakiś brudny zbir trzymał w ręce nóż, gotowy rzucić nim w plecy wielebnego. Gwynn mógłby uratować kapłana, przewracając go na ziemię, lecz zamiast tego wyciągnął rewolwer i strzelił. Kandydat na zabójcę zeszywniał, zachwiał się i padł na ziemię.

Gwynn pomachał ręką, by rozproszyć dym wystrzału.

- Ktoś jeszcze? - zapytał.

Tłumek rozproszył się pośpiesznie.

Gwynn zaczekał chwilę, ale wielebny nie unosił wzroku ani nie ruszał się z miejsca. Tymczasem były dziwoląg wykrwawiał się powoli. Gwynn zostawił kapłana i podążył wzdłuż rzeki. Myślał o pokrywającym jej dno mule, pełnym zgnilizny i trupów. Nie wiedział zbyt wiele o ogrodnictwie, był jednak przekonany, że tego rodzaju grunt powinien się okazać żyzny. Rzucił kwiat do rzeki.

Uczyniwszy to, skierował się do „Szaleństw Ludzi”, gdzie czekał nań Gwóźdź, który zameldował, że Marriott nadal siedzi w Sangréal.

- Nigdzie się stamtąd nie rusza. Wychodzi tylko się wyszczać, to wszystko.

- W porządku. Ale nadal miejcie go na oku.

- Jak sobie życzysz.

Gwynn dał Gwoździowi trochę pieniędzy, a potem pojechał do wujka Vanbutchella. Alchemik był w domu. Tym razem otworzył mu drzwi w czarnej szacie i równie czarnej mycce. Piżama zniknęła bez śladu. Dzisiaj w jego zachowaniu nie było nic anielskiego. Nie dostrzegało się w nim też śladu zagubienia. Miał na sprzedaż to, czego potrzebował Gwynn. Przyniósł małą, porcelanową szkatułkę zapieczętowaną czarnym lakiem. Gwynn uniósł brwi, usłyszawszy żadaną cenę.

- To rzadka maść. Masz szczęście, że miałem ją na składzie - oznajmił Vanbutchell. - Zresztą - ciągnął, wruszając ramionami - skoro i tak masz zapłacić za swoje czyny, również



dobrze możesz zacząć teraz.

Gwynn nie miał ochoty się spierać. Odliczył gotówkę i zabrał puzderko. Nagle nasunęła mu się pewna myśl. Zapytał alchemika, czy zna jakiś narkotyk albo truciznę, która przesyciłaby oddech aromatem róż i surowego mięsa.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Vanbutchell. - Z pewnością nie mam na sprzedaż niczego w tym rodzaju.

- A czy może to powodować jakaś inna przyczyna, na przykład choroba?

- Nie słyszałem o niczym podobnym.

Gwynn nie odniósł wrażenia, by staruszek coś przed nim ukrywał. Wyszedł, starając się zapomnieć o niepokoju o Beth.

\*\*\*

W Sangréal śmierdziało jak w latrynie. Było tu gorąco i ciemno. Na ubłoconych kafelkach podłogi wily się półnagie ciała. Z kłębowiska wyłoniła się czyjaś ręka i złapała Gwynna za poły płaszcza. Kopnął ją wyposażonym w ostrogę butem. Ktoś zaklął szpetnie i ręka się cofnęła.

Gwynn przepchnął się na tył pomieszczenia, wypatrując Szczupaka. Zauważywszy go, wskazał głową w stronę wyjścia. Szczupak gapił się nań przez chwilę tępo, po czym powłókł się ku drzwiom.

Tylną połowę sali zajmowały małe prycze, na których leżały zaćpane lumpy. Gwynn znalazł Marriotta pod ścianą. Prycza była dla niego za krótka i jego nogi z niej zwisały. W dłoniach trzymał długą mosiężną fajkę do palenia opium. Oczy miał zamknięte, a twarz postarzała o dziesięć lat. Skóra była popielata, włosy przyklejały mu się do czoła, a policzki pokrywały plamy potu. Sąsiednia prycza była wolna. Gwynn usiadł na niej.

- Marriott.

Nie zareagował.

Mógłbym to zrobić teraz, pomyślał Gwynn, zapalając papierosa. On również zamknął oczy, próbując wprowadzić się w odpowiedni nastrój. Gdy ujrzał, w jakim stanie jest Marriott, ironia całej sytuacji przemówiła doń z pełną siłą.

- To ty...

Usłyszawszy ochryply głos długoletniego towarzysza, Gwynn otworzył oczy.

Marriott patrzył na niego.

- To ty... to śmieszne... było tu tylu ludzi, ale ciebie nie widziałem. Zastanawiałem się,

gdzie mogłeś się podziąć. - Rozciągnął usta w krzywym uśmiechu. - Myślałem, że wrzucili cię do rzeki. - Odkasznął, odwrócił powoli głowę i splunął w trociny. Potem znowu przetoczył się ku niemu. - Jak się masz, Gwynn?

- Nieźle.

- A Tareda?

- Z nią też wszystko w porządku.

- Opowiedz mi o niej, dobra? Opowiedz mi wszystko. Jakie piosenki teraz śpiewa?

- Te same, co zawsze.

- To znaczy, że nadal jest nieszczęśliwa - wyszeptał Marriott. Zaciągnął się fajką. - Czy nadal ją kochają?

- Tak.

- Śpiewa dziś w „Diamentowym Klubie”. Chcesz się tam wybrać?

- Nie dzisiaj. Może następnym razem.

- Twoja różanowłosa pani, he? Nie mogę powiedzieć, że nie jestem zazdrosny. Mimo to cieszę się z twojego szczęścia. Zatrzymaj ją przy sobie, Gwynn. Nie strać jej. - Marriott chrząknął, zakasłał i wsparł się na łokciach. Zwrócił twarz ku Gwynnowi. - Cieszę się, że przyszedłeś mnie odwiedzić. Spodziewałem się ciebie. Myślałem, że zjawisz się szybciej. Zdziwiłem się, że nie było cię, gdy przyszli inni.

- Inni?

- Och, nie wiem. Śniła mi się kupa ludzi.

- To nie jest sen. To jawa.

Marriott ponownie się zaciągnął.

- Wszystko przez moje ręce. Nie chciałem postrzelić chłopaka. Nie chciałem nawet wyciągnąć broni. Ręce mi drżą, Gwynn.

Gwynn stłumił myśli i uczucia, jakby zakręcił kurek.

- Mogę się poczęstować? - zapytał, wskazując na fajkę.

- Proszę bardzo.

Marriott podał mu fajkę. Gwynn odłożył papierosa i ujął masywny przedmiot w obie dłonie. Wciągnął w płuca trochę słodkiego dymu, ale niezbyt wiele. Nim oddał fajkę, wytarł ustnik urękawicznionymi palcami. Przyjmując ją, Marriott skinął głową, jakby wiedział, co robi. Potem zaciągnął się, długo i głęboko, i znowu opadł na pryczę, oddychając cicho. Gwynn pomyślał, że może to już będzie koniec. Trucizna, której użył, powodowała sen przechodzący w śmierć równie gładko, jak para rozprasza się w powietrzu.

- To chyba dobrze, że człowiek może spać tak długo - odezwał się jednak po chwili

Marriott. - Jedną trzecią dnia, a nawet połowę, jeśli się postara. Przypominam sobie, że kiedy w Brumai wydostaliśmy cię z księżęcego więzienia, spałeś jak zabity i nie można cię było dobudzić. Pamiętasz?

- Pamiętam - przyznał Gwynn, sięgając po papierosa.

- A pamiętasz pociąg, który ukradliśmy?

- Jasne. Numer dziewięćdziesiąt siedem.

- Kazałeś mi sypać węgiel.

- Bo nie umiałeś prowadzić lokomotywy.

- Następnym razem ja będę prowadził. Ty możesz zająć się szuflą.

- Zgoda, Marriott.

- Byłem jak ropucha, która chce pochwycić księżyc. - Głos Marriotta stawał się coraz bardziej niewyraźny. - Myślałem, że potrafię go połknąć, jak perłę. Wiem, co zrobiłeś. Ręczyłem za ciebie, za twój honor. Ale w ten sposób będziesz mógł zatrzymać swoją panią. Tak właśnie bym pomyślał na twoim miejscu.

Gwynn czekał. Pierś Marriotta poruszała się coraz wolniej. Po kilku minutach sprawdził puls leżącego. Był słaby. Marriott nie powiedział już nic więcej, a gdy Gwynn ponownie sprawdził tętno, nie wyczuł go.

Opuścił lokal i po chwili wrócił do niego ze Spiczastym Jasperem, z którym przyjechał powozem. Wzięli razem ciało i wynieśli je na górę tylnymi schodami. Nikt nie próbował ich zatrzymać. W lokalach tego rodzaju ludzie byli przyzwyczajeni do widoku wynoszonych ciał.

Gwynn i Jasper załadowali swe brzemię do powozu. Ulewa i wichurki uspokoiły się już. Było parno jak w cieplarni. Jasper ujął w dłonie lejce i skręcił w cichą, nadrzeczną uliczkę. Zatrzymali się nad wodą i wynieśli ciało z powozu.

- Chcesz, żebym ja to zrobił? - zapytał Jasper.

- Nie, zrobię to sam - odparł Gwynn.

Miał w powozie ołowiane ciężarki, które przywiązał do nóg Marriotta. Następnie wydobył szablę i dwoma cięciami przerąbał nadgarstki trupa. Skinął głową do Jaspera i obaj wtoczyli ciało do rzeki. Utonęło szybko. Twarz zabitego zamieniła się w zamazaną plamę koloru owsianki, a potem zniknęła. Gwynn wyprostował się, dysząc ciężko. Na rękawiczkach nadal miał pozostałości bezbarwnej, tłustej maści. Zdjął je i również wyrzucił.

Gdy wrócił do willi, Elm przyjął z jego rąk skórzany worek. Otworzył go, by sprawdzić zawartość, po czym uśmiechnął się i splunął do środka. Spojrzał bez słowa na Gwynna i cisnął worek na podłogę. Następnie położył złożoną dłoń na drugiej.

Gwynn wrócił tej nocy do Sangréal, leżał na pryczy i upalił się do nieprzytomności. W jednej z wizji, które przemknęły przez jego umysł, ujrzał małe, zakopane głęboko w ziemi ziarno. Było czarne, jakby wypalił je ogień.

# SIEDEMNAŚCIE

Gdy Elm przyszedł odwiedzić Eleia w szpitalu, Raule drugi raz ujrzała granda z bliska. Kiedy widziała go po raz pierwszy, przed bitwą na moście, sprawił na niej wrażenie człowieka, który lubi grać rolę króla. Podziękował ostentacyjnie za jej wysiłki, choć w końcu okazało się, że nie musiała robić zbyt wiele, a potem odliczył zapłatę dla szpitala, wyjmując świeżo wydrukowane banknoty z nefrytowej szkatułki. Miała wówczas nadzieję, że już nigdy go nie zobaczy.

Towarzyszyło mu dwóch potężnie zbudowanych, bliźniaczych zbirów. Jeden trzymał w ręku parasol. Elm uklonił się uprzejmie. Zbiry również zgięły się jednocześnie w pół, jak para mimów.

- Pani doktor, Gwynn mówi, że jest pani przekonana, iż Elei w pełni wróci do zdrowia  
- rzekł Elm.

- Tak, ale trzeba na to czasu i spokoju.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Proszę bardzo. Siostra pana zaprowadzi.

- Dziękuję.

Elm znowu się uklonił, po czym podążył za dyżurną siostrą. Kobieta patrzyła prosto przed siebie, jakby eskortowała samego diabła.

Raule oparła się wygodnie w fotelu. Była w wyjątkowo kiepskim humorze. Nikt nie mógłby mieć wątpliwości, co sądzi o Elmie. Myśl, że postawił nogę w jej małym królestwie, budziła w niej wściekłość.

Spróbowała odnaleźć w sobie współczucie dla ofiar jej gościa, lecz bez powodzenia.

Jej sumienie pozostawało widmem. Potrafiła wzbudzić w sobie niesmak, ale współczucie jej się wymykało. Przypomniała sobie doktora Lone'a, lobotomistę. Przyszło jej na myśl, że być może z jej mózgu również wycięto jakiś istotny fragment.

Pamiętała chwilę, gdy po raz pierwszy zauważyła u siebie brak sumienia. To również wydarzyło się podczas czegoś w rodzaju chirurgicznej operacji.

To było w Kraju Miedzi, w typowej, otoczonej murami osadzie zbudowanej w oazie. Składała się ona z około stu prymitywnych, glinianych domostw i było tam więcej kóz i kur niż ludzi. Wioska nie była rajem, ale nadawała się na bazę dla przeobrażonych w bandytów żołnierzy, którzy nią zawładnęli.

Przerażeni mieszkańcy poddali się bez walki. Gwynn wygłosił do nich mowę, opisując korzyści, jakie przyniesie im udzielenie schronienia jego bandzie. Obiecał, że bandyci zapłacą za wszystko, co zjedzą, a podczas pobytu w obrębie murów osady będą się zachowywali jak uprzejmi goście. Gdy jednego z jego ludzi złapano na próbie zgwałcenia miejscowej dziewczyny, Gwynn dowiódł szczerości swych słów. Kazał się zebrać mieszkańcom i swoim ludziom, a potem na oczach wszystkich osobiście ściał sprawcę.

Kilka dni później banda, składająca się teraz z trzydziestu sześciu ludzi, wybrała się nocą, by napaść zbliżającą się karawanę. Raule czekała w sali operacyjnej, którą urządziła w jednym z domów. Towarzyszyły jej trzy miejscowe kobiety, które miały pomagać w gotowaniu wody i cięciu tkaniny na bandaże. Przypominała sobie ich pozbawione uśmiechu twarze oraz oczy, w których zaległa obojętność wobec losu.

Z trzydziestu sześciu bandytów wróciła dokładnie połowa. Tylko nieliczni zdołali uniknąć ran. Dwaj następni zmarli przed świtem. Kupcom towarzyszyli przebrani żołnierze z Armii Bohaterów. Napastnicy wpadli w zasadzkę.

Ocalali bandyci zdołali pojmać dwóch towarzyszących karawanie żołnierzy. Gwynn - który kuśtykał na obandażowanej nodze, po raz kolejny uniknąwszy o cal trwałego okaleczenia, i wściekł się bardziej niż kiedykolwiek dotąd - na spółkę z dwoma towarzyszami wyciągnął z jeńców informację, że zdrajcą był jeden z mieszkańców osady. Ponieważ żołnierze nie potrafili bądź nie chcieli powiedzieć, kto nim był, Gwynn rozkazał poderżnąć obu gardła.

Następnego ranka zwołał pod szafotem wszystkich mieszkańców osady. Jego ludzie, siedzący na wielbłądach, otoczyli zgromadzonych i kazali im klęknąć w szeregach. Gwynn wszedł na szafot, oparł się o szubienicę i zażądał, żeby winny się przyznał. Obok niego stało przyniesione z jednego z domów żelazne łóżko, pozbawione materaca.

Mieszkańcy odpowiedzieli milczeniem. Przedtem wspólnie zaakceptowali obecność

intruzów, a teraz - jakby wiatr nagle się zmienił - wspólnie rzucili im wyzwanie.

- Rozważcie moje słowa - przemówił do tej ciszy. - Jeśli nikt się nie zgłosi, zrobimy to na stary, nudny sposób. Jeden z was będzie ginął co minutę, dopóki winny kontaktów z żołnierzami się nie przyzna lub nie wskaże go ktoś inny.

- Nie chodzi ci o prawdę! - zawołał jakiś mężczyzna. - Chcesz tylko przelać krew!

Gwynn skinął lekko głową do Czerwonej Harni, która zastrzeliła śmiałka.

Spływająca na piasek krew nie przerwała jednak milczenia. Gwynn odczekał minutę, a potem skinął głową po raz drugi.

Wtem pewien nastoletni chłopak zerwał się na nogi i zawołał, że to on jest winny. Potem wstała kobieta, krzycząc, że to ona powiedziała żołnierzom na suku, że w osadzie są bandyci. Posypała się fala wyznań. Wszyscy, starzy i młodzi, przekrzykiwali się nawzajem, wyznając swą winę.

Gwynn wystrzelił. Hałas ucichł nagle. Mieszkańcy osady rozejrzeli się wokół, by sprawdzić, którego z nich zabito. Okazało się, że Gwynn oddał strzał w powietrze, to jednak wystarczyło, by przerwać impet protestów. Ludzi opuściła szalona odwaga. Wszyscy uklękli z powrotem, gdy niedawni goście wycelowali w nich karabiny.

Gwynn wskazał na młodzieńca, który odezwał się pierwszy. Pstryknął palcami. Najbliższy bandyta zsunął się z wielbłąda, złapał nieszczęśnika i zaciągnął go na szafot. Tym razem nikt inny nie przyznał się do winy.

Gdy wieszali chłopaka, na jego twarzy pojawił nieziemski, bardzo piękny, niemal idiotyczny uśmiech męczennika. Potrzykali go w powietrzu przez chwilę, żeby sprawić mu ból, ale nie skrócić karku. Nim zaczął konać, dwaj bandyci odcięli go i przywiązali do łóżka.

Raule, której Gwynn rozkazał stać przy łóżku, by mogła służyć jako chirurgiczny doradca, zauważyła, że gdy tylko chłopak zaczął normalnie oddychać, na jego twarz natychmiast powrócił nieziemski uśmiech. Nie zniknął nawet wtedy, gdy Gwynn wyciągnął długi, złowrogi majcher.

Pierwszym ruchem rozciął koszulę chłopaka. Po drugim popłynęła krew. Po trzecim młodzieniec zaczął krzyczeć. Nigdy już nie miał się uśmiechnąć. Jego krzyki nie milkły, gdyż nie włożono mu w usta knebla. Raule nie była do niczego potrzebna. Gwynn pracował z precyzją i zręcznością. Wkrótce ujrzała granaty, korale i krwawniki, ukryte bogactwa ciała odsłonięte przed światłem dnia. Powietrze wypełnił smród. Gwynn dźgał, ciął i rznął bez zbytniego pośpiechu. Od czasu do czasu przerywał, by odgonić ospałym gestem gromadzące się wokół otwartego ciała muchy. Wokół szafotu zgromadziły się wioskowe psy, przywabione odorem krwi. Towarzyszyło im wielkie, naznaczone bliznami, porośnięte białym futrem

psisko należące do Gwynna, które machało ogonem, szczekając radośnie do pana.

Gdy Raule przyglądała się tej powolnej egzekucji, przypomniała się jej opowieść o proroku, który w pewnym punkcie swej kariery spotkał anioła, a ten otworzył mieczem jego ciało od gardła aż po pachwinę, a potem obmył jego serce wodą święconą i wypełnił je klejnotami symbolizującymi wiedzę oraz wiarę. Czyż wszyscy nie pragnęlibyśmy uwierzyć, że wypełniają nas cenne, piękne, niezniszczalne obiekty, a nie miękkie, śmierdzące flaki, pomyślała wówczas machinalnie.

Chłopak wrzeszczał tak przeraźliwie, że jego krzyki mogłyby zrównać z ziemią całą wioskę. Raule wiedziała, że mężczyzna zastrzelony przez Czerwoną Harni miał rację. Nie chodziło o prawdę. Czy ich zdradzono, czy nie, kto był winny, a kto niewinny - wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. Gwynn musiał dać swym ocalałym ludziom czyjaś krew, bo inaczej zażądałby jego własnej. Raule zauważyła też, że wyładowanie frustracji sprawia mu wyraźną przyjemność.

Krażył, utykając, wokół łóżka. Dźgał i ciął. Gdy Raule ostrzegła go, że chłopak umiera, owinał fragment jelit wokół noża i cisnął go psom. Walcząc o zwisający z szafotu smakołyk, zwierzęta wyciągnęły więcej wnętrzości, by każdy członek sfory mógł dostać kawałek. Po chwili jelita rozwinęły się do końca.

Klęczący ludzie nie odzywali się ani słowem przez cały czas egzekucji. Ich godność była porażająca, przerażająca. Wtedy właśnie Raule po raz pierwszy uświadomiła sobie, że czegoś jej brakuje: stała na szafocie, nie czując grozy ani wstydu, nie czując zupełnie nic poza strachem przed godnością cichych.

Elm wrócił do gabinetu Raule w towarzystwie dwóch umięśnionych cieni, wrywając ją ze wspomnień.

- Bardzo pani dziękuję za uratowanie życia mojemu synowi - rzekł. Miał ze sobą sporo pieniędzy, spiętych złotym klipsem do banknotów i zaczął je teraz odliczać.

Raule powstrzymała go, unosząc rękę.

- Nie potrzeba - oznajmiła chłodno.

Wzruszył lekko ramionami i schował pieniądze.

- Mam jedną prośbę - dodał. - Nie wątpię, że mogę bezpiecznie powierzyć syna pani opiece, ale nie chcę, żeby dalej przebywał z tymi wszystkimi chorymi ludźmi. Musi dostać prywatną salę.

- No pewnie. Przygotuję dla niego królewski apartament - zadrwiła Raule, patrząc ze złością Elmowi prosto w oczy. - W tym budynku nie ma ani kawałka prywatnej przestrzeni. Jest całkowicie publiczny, jak jedna z pańskich zagród dla niewolników. Pański syn leży w



sali dla niezakaźnych pacjentów. Jeśli to panu nie wystarcza, może pan go zabrać do innego szpitala.

Elm pokręcił głową.

- Może i jest pani cudzoziemską szarlatanką o manierach kozła, ale dowiodła pani swych lekarskich umiejętności. Nie znam w mieście nikogo podobnego. Mój syn tu zostanie.

Raule wzruszyła ramionami.

- W takim razie będzie leżał na wspólnej sali. Niech pan pamięta, że w ogóle nie powinien przebywać pod tym dachem. To szpital dla mieszkańców Limewood.

Elm uniósł brwi. Poruszył nerwowo ustami.

- Uważa się pani za coś w rodzaju obrońcy ubogich, prawda?

- Nie, tylko za ich lekarza - odparła Raule.

- Nie boi się pani, że to zajęcie wniknie pani pod skórę? - zapytał. Nie odpowiedziała.

- Cały ten brud, nędza, cierpienie, czy nie boi się pani, że nigdy tego z siebie nie zmyje? - zakończył z uśmiechem.

Raule odsunęła krzesło i wstała.

- Czemu nie zapyta pan siebie, czy pańskie zajęcie nie wnika panu pod skórę? Może pan się nad tym zastanowić w drodze do domu.

Pokazała mu drzwi.

Z twarzy Elma nie zniknął uśmiech.

- Jak pani sobie życzy, pani doktor. Ale proszę dbać o mojego syna. - Przerwał na chwilę. - Może powinna się pani zastanowić nad faktem, że jego los jest teraz powiązany z pani losem.

Odwrócił się i wyszedł. Zdublowane zbiry podążyły za nim. Kiedy wyszli, z ust Raule wyrwało się głębokie, przeciągłe westchnienie.

Nocą zaskoczyła ją wizyta Jacope Vargeya. Towarzyszyła mu dziewczyna, z którą Raule widziała go wcześniej. Oboje sprawiali wrażenie szczęśliwych. Jacope oznajmił, że opuszczają razem Ashamoil i zabierają ze sobą Emilę.

- Poszukamy lepszego miejsca - oznajmiła dziewczyna.

Raule życzyła im szczęścia. Być może gdzieś rzeczywiście istniało inne miejsce. Co dawało jej prawo mówić im, że go nie ma?

Pomyślała, że dobro wyrasta ze szczelin świata niczym mech, karmione przez ukryte korzenie czerpiące z niedostrzegalnych źródeł.

Trzy noce po zabójstwie Marriotta Gwynn przyjechał do „Szaleństw Ludzi”, gdzie miał się spotkać ze Słodką Myszka.

Młoda kobieta przyniosła mu wiadomości o siłaczu Harcie.

- On nie żyje - zapewniła, potrząsając czarnymi lokami, opadającymi na nagie, śniade ramiona. - Powiesił się na wielkim drzewie figowym na Placu Grających Kurantów.

Zapytał ją, czy widziała ciało. Odpowiedziała, że nie, ale słyszała o tym od kilku godnych zaufania ludzi. Zapłacił jej i zwrócił się ku wyjściu.

- Hej! - zawołała Słodka Myszka.

- O co chodzi?

- Nie widziałam cię ostatnio z tą twoją rudą boginią. Znowu jesteś sam?

Była ładną dziewczyną, mniej więcej w wieku Taredy.

- Szkoda - powiedziała, gdy Gwynn potrząsnął głową, i uśmiechnęła się, trzepocząc rzęsami. - Ale założę się, że potrafisz zdradzać.

Gwynn zatrzymał palec pod brodą dziewczyny i odchylił jej głowę.

- Och, tak. Na wiele sposobów, o jakich nawet ci się nie śniło.

Spojrzała mu w twarz i przestała się uśmiechać. Odsunęła jego palec.

- Wiesz co? Jesteś naprawdę niezwykłym człowiekiem.

- W niezwykłym świecie - dodał cicho.

Skrzywiła się, chcąc powiedzieć coś jeszcze. Nagle jednak jakiś człowiek wpadł do baru i podbiegł do Gwynna. To był Spindrel. Coś wyraźnie nim wstrząsnęło.

- Kurwa, szukam cię już trzy godziny!

Gwynn stłumił westchnienie. Nie miał pojęcia, na czym polega problem, i wcale nie chciał się tego dowiedzieć.

- Jesteś potrzebny - poinformował go Spindrel.

Gwynn zacisnął usta i zazgrzytał bezgłośnie zębami.

Słodka Myszka uśmiechnęła się drwiąco.

- Życzę panom przyjemnej nocy - powiedziała i zniknęła.

Gwynn odwrócił wzrok od dociekliwego spojrzenia Spindrela. Ten wzruszył ramionami i skierował się w stronę wyjścia. Gwynn omal nie podążył za nim. Nagła myśl kazała mu jednak złapać młodzieńca za ramię i odwrócić ku sobie. Wskazał na tylne drzwi i zaczął się przepychać do nich. Spindrel zaklął i podążył za nim. Gwynn oddalił się od niego szybko i wyszedł na dwór, pozwalając, by drzwi się zamknęły.

Po chwili wyszedł przez nie Spindrel i spojrzał prosto w czarną lufę rewolweru.

- Czy jeśli wyjdziemy drzwiami frontowymi, będą już na mnie czekali? - wyszczał Gwynn.

- Co?

- Jeśli Elei umrze, pójdę do rzeki. Wiesz o tym. Czy on nie żyje?

- Nie chodzi o chłopaka, ty świrnięty skurwielu! - wydyszał rozwścieczony Spindrel. - To Łokieć. Łokieć nie żyje.

\*\*\*

Spojrzenie Elma przesunęło się po zebranych kawalerach niczym zardzewiała piła drapiąca nagą skórę.

- Nie macie żadnych pomysłów? - zapytał. - Żadnych? Czy wasze mózgi wachają już kwiatki od dołu?

Nikt nie miał się zaśmiać z jego żartu i nikt tego nie zrobił.

Nie spotkali się w pokoju zebrań, ale w chłodnym pomieszczeniu w piwnicy willi. W świetle jedynej lampy było widać czterdziestu mężczyzn, którzy marszczyli brwi, poprawiali ubrania, skupiali uwagę na paznokciach, drapali się po głowach, jednym słowem robili wszystko, tylko nie patrzyli na Elma.

- Za co wam płacę, w imię wszystkich moich kurew? - ciągnął ich szef ze znużeniem w głosie.

„Nie za znajomość zjawisk nadprzyrodzonych”, miał ochotę odpowiedzieć Gwynn. Pośrodku pokoju, na stalowym stole, leżało obłożone blokami lodu ciało Łokcia. Uderzenie ostrym narzędziem rozplatało mu czaszkę od prawej skroni aż po górną wargę. Nie to jednak wzbudziło niepokój Gwynna. Chodziło o kwiaty. Ranę wypełniały maleńkie, płaskie, jasnozielone kwiatuszki o pięciu płatkach. Więcej ich było widać pod powierzchnią skóry w okolicach cięcia.

Gwynn stał zupełnie nieruchomo, starając się, by jego twarz wyrażała równie mało jak białe ściany pomieszczenia. Widział podobne kwiaty całkiem niedawno, na pościeli w sypialni siłacza.

Próbował spojrzeć na to z różnych stron, zawsze jednak wracała doń myśl, że stan ciała Łokcia sugeruje spotkanie między światem żywych a światem umarłych.

Nie ulegało wątpliwości, że podobne spotkanie należy do królestwa zjawisk nadzwyczajnych, królestwa, do którego się przenosił - czy może, które wnikało w niego - od nocy, gdy spotkał Beth.

- Rzecz jasna, podejrzany jest Urząd Celny - usłyszał głos Elma. - Podobnie jak każdy, kto mógł mieć powody, by wykończyć Łokcia. Zbadajcie sprawę. Co więcej, dwóch z was będzie przez cały czas pilnować mojego syna. Standardowe zmiany, przez całą dobę. Uważajcie też wszyscy na własne tyłki.

\*\*\*

Wracając konno do miasta przez sączącą się mżawkę, Gwynn przypomniał sobie dyskusję o szaleńcu i pianinie, jaką toczył z wielebny. Miał wrażenie, że ów szaleniec siedzi teraz w jego umyśle, a także w świecie zewnętrznym, narzucając typowy dla snów brak logiki zarówno myślom, jak i materii.

Jego umysł, czepiając się rozsądku, starał się logicznie rozważyć implikacje śmierci Łokcia. Jeśli rzeczywiście winny był duch siłacza lub jego żony, wracający z grobu, dlaczego zabił Łokcia, choć oczywistymi celami byłoby Elei i Gwynn? Być może duch nie był wybredny albo postanowił posuwać się powoli ku wielkiemu finałowi. Tak czy inaczej, Gwynn miał powody do obaw.

Wielu jego kolegów wykonało na widok ciała gesty chroniące przed złym okiem, ale nikt nie odważył się wspomnieć na głos o nadprzyrodzonych przyczynach śmierci. Gdy Elm wspominał o Urzędzie Celnym, ludzie okazali wyraźną ulgę.

Gwynn pojechał na Schody Żurawie.

\*\*\*

Natychmiast zauważył, że stan Beth się pogorszył.

Liczba wyprodukowanych przez nią rycin świadczyła, że kobieta pracowała niemal bez chwili wytchnienia. Jej twarz była zapadnięta, a oczy podkrążone. Otaczała ją dwuznaczna woń, którą pamiętał ze swego snu, jakby była dzikim zwierzęciem. Gwynn odnosił wrażenie, że jej spojrzenie jest jednocześnie spojrzeniem zabójcy i ofiary, broni i rany. Takie właśnie było to, co być może sam stworzył i co zauważył po raz pierwszy podczas ich poprzedniego spotkania.

Mówiła bardzo niewiele. Na podłodze pracowni i sypialni leżały setki rysunków. Beth siedziała na krześle z półprzymkniętymi powiekami.

Gwynn wybrał kilka przypadkowych szkiców. Niektóre wykonano atramentem, inne zaś węglem drzewnym i kredą. Każdy wyobrażał jego albo mężczyznę, który bardzo go

przypominał. Przerzucał je jeden po drugim i widział tego samego człowieka w bardzo różnych sytuacjach. Żadna z nich nie była jednak przyjemna: stał na moście nad posępnym bagnem niczym samotny strach na wróble, nakreślony węglem drzewnym; przykucnął w mrocznym wejściu, spoglądając z wykrzywioną twarzą na coś ukrytego w niknącym w mroku zaułku; stał na szerokim, mrocznym tarasie i wył bezgłośnie do złowrogiego nieba; na wielu szkieletach towarzyszył umarłym, stał nad nimi z zakrwawioną szablą albo dymiącym rewolwerem, czaił się wśród otaczających grób żałobników, obejmował powieszoną kobietę, tańczył tarantelę ze szkieletami; sam był martwy albo umierający, na pustych ulicach, na pokładzie łodzi, na ołtarzu; utonął w podmorskim lesie wodorostów;gnił w łańcuchach w lochu; leżał w salonie, pobity i porzucony przez nieznaną sprawców; legł nago na ghacie, a falliczne węże wznosiły się nad nim, gotowe uderzyć.

Wziął kolejną stertę rysunków i również zaczął je przeglądać. Znalazł obraz, na którym stał obok łóżka. Leżała na nim wychudzona rodzina złożona z mężczyzny, kobiety i dwojga dzieci. Jego sobowtór spoglądał z ryciny na widza z ironiczną, zapraszającą miną. Jedną ręką wskazywał na leżących, jakby oferował na sprzedaż cielesne rozkosze z nieszczęsnymi chudzielcami. Następną ryciną wyglądała niemal identycznie, ale to jego ciało, w równie kiepskim stanie, spoczywało na łóżku, a rolę sprzedawców grało dwóch chłopaków o ostrych rysach twarzy. W miarę, jak oglądał kolejne sceny, jego postać utraciła dlań znaczenie, jak powtarzane zbyt wiele razy słowo. Położył rysunki z powrotem na podłodze, strzepnął z rękawiczek resztki kredy i zwrócił się w stronę Beth. Popatrzyła na niego i skinęła leniwie głową.

- Nie liczyłam na to, że ci się spodobają. Nie zamierzam ich nikomu pokazywać.

- Muszę przyznać, że się z tego cieszę - rzekł. - Pani, obawiam się, że nie byłam dla ciebie dobrą muzą.

- Och nie, wręcz przeciwnie - zaprzeczyła, potrząsając energicznie głową. - Wręcz przeciwnie, jesteś idealny. Nie mógłbyś być lepszy, nawet gdybym stworzyła cię sama.

Gwynn usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Nie mam wina - przyznała. - Nigdzie nie wychodziłam.

- Jadłaś coś?

- Pożywiałam się niezwykłym mięsiwem - odparła, wskazując na stosy rysunków. - I wydałam cudowne owoce. Nic mi nie dolega. Widzę jednak, że jesteś niezadowolony.

- Najwyraźniej tego właśnie pragnęłaś.

Beth znowu potrząsnęła głową.

- Rzecz po prostu w tym, że bazylierek nie może znieść własnego odbicia w lustrze.

Odbiłam cię w sobie i ten widok sprawia ci ból.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że od nocy naszego spotkania moje życie coraz bardziej upodabnia się do snu. Wtedy pragnąłem się zmienić, szukałem magii. Nie potrafiłbym ci wówczas wyjaśnić, o jakiego rodzaju zmianę mi chodzi. Zrozumiałem to, gdy ją wreszcie znalazłem. Utraciłem ją jednak za szybko. Mimo to sen trwa nadal. Czy widziałaś kiedyś, żeby z rozszczepionej czaszki wyrastały kwiaty, jak ze skrzynki na oknie? Ja widziałem. Zaledwie przed godziną.

- Mój biedny skurczybyku - wyszeptła. - Nie rozumiałeś, jaką rolę w tym wszystkim odgrywasz. Czy wiesz, jaki jest cel sztuki?

- Instynkt podpowiada mi, że jest nim upiększanie życia, ale przecież nie jestem artystą.

- Jesteś nim w większym stopniu niż ci się zdaje. Sztuka jest świadomym tworzeniem obiektów owianych świętą tajemnicą. Wiele przedmiotów to tylko martwe rzeczy, czysto użyteczne. Wiele wydarzeń nie ma żadnych konsekwencji. Są zbyt banalne, by mogły wzbogacić nasze doświadczenie życiowe. To niefortunne, albowiem nie możemy się rozwijać, jeśli coś nie poruszy mocno naszego ducha, a nie mogą tego uczynić obiekty, które same nie mają duszy. Większość tego, co składa się na nasze życie, jest w rzeczywistości martwa. Dla człowieka pierwotnego sprawy miały się inaczej. Sam wykonywał przedmioty, których potrzebował, kształtował je i dekorował po to, by były nie tylko użyteczne, lecz również pełne mocy. Starał się nasycić swą broń naturą tygrysa, a garnki życiem roślin. I potrafił osiągnąć ten cel. Wygląd, materiał, historia, kontekst, niepowtarzalność, być może ta ostatnia w największym stopniu, składały się na magię, która tworzyła duszę. My, nowocześni demiurgowie, jesteśmy jedynie wydajnymi kopistami. Tylko niewiele przedmiotów obdarzamy duszą. Ważnym wyjątkiem mogą być lokomotywy, które tak bardzo przypominają bestie, ale w niemal całej reszcie wszystkiego, czym nieszczęśni współcześni ludzie wypełniają świat, dostrzegam stłumienie świętego pierwiastka, wygaszenie ognia życia. Tworzymy martwy świat, budujemy cmentarz. A na grobowcach układamy wieńce poezji i bukiety malarstwa, żeby przypominały nam o życiu. To właśnie podejście wyraziłeś, mówiąc, że sztuka ma upiększać życie. Świętość nie jest już czymś integralnym, stała się opcją, luksusem, który sam lubisz, mój drogi przyjacielu, aczkolwiek nieświadomie. Nosisz ozdoby pod wpływem tych samych instynktów, którymi kierował się dzikus, wkładając przerażającą maskę z gliny oraz pióropusz, i zachowujesz się w niezwykle wykalkulowany sposób, podobnie jak ja. W ten sposób robimy z siebie obiekty otoczone aurą świętości. To niezwykle wyczyn, stać się kimś niepowtarzalnym przy przeludnieniu w dzisiejszych

czasach.

Uniosła rękę z oparcia fotela i zatoczyła nią krąg w powietrzu.

- Zrodziło się we mnie przekonanie, że sterujemy swymi indywidualnymi sferami istnienia przez spektrum możliwych światów za pomocą wyborów, jakich dokonujemy, i czynów, które popełniamy. Większość ludzi trzyma się znanych szlaków i w związku z tym nie mogą zawędrować daleko. Ich życie jest zbyt skromne, być może również zanadto prywatne. Tylko niezwykłość umożliwia nam ruch, albowiem niezwykle uczynki powodują odrzucenie przez normalność, którą nimi obrażamy, co skłania nas do poszukiwania innej normalności, która będzie nam bardziej odpowiadała. Ekscentryczność zawsze wiąże się z ryzykiem, ale mnie sprzyjało szczęście... nie, byłam ostrożna i poruszałam się powoli, małymi kroczkami, robiąc użytek z narzędzi symbolizmu i metafory. Starożytni nieufnie odnosili się do sztuki. Niektóre dzieła wolno było oglądać wyłącznie garstce wtajemniczonych znawców, ich widok mógłby bowiem zmienić nieprzygotowanych ludzi w głązy, drzewa albo zwierzęta. Dzisiaj nikogo to już nie obchodzi. Mogłabym trudyć się tu przez całe życie, produkując obiekty mocy, i nikt nie oskarżyłby mnie o czary. - Uśmiechnęła się blado. - Przywołałam złego ducha i od tej chwili wszystko, co robię, jest próbą zrozumienia go. Nie jest dobrym żołnierzem, który walczy tylko z innymi żołnierzami. Jest przestępcą, który ingeruje w życie innych, narzuca im swój paradygmat, wyznacza im rolę ofiary. Potem jednak wraca do tłumu i staje się jednym z jego członków. Może i nosi blizny, ale pozostaje gładki jak marmur. Składa zwodnicze obietnice dalszej zmiany, śmiertelnych ran, dramatu, jakim jest śmierć, wyzwalająca i przeobrażająca formę oraz humory... Tylko sobie wyobrażam historie, których mi nie opowiada. - Westchnęła. - Nie jesteś nim, a zarazem jesteś. Wezwałam cię do siebie. Tamta akwaforta była prawdziwym obiektem mocy. Z pewnością wielu innych mężczyzn mogłoby odegrać tę samą rolę, ale to ty teraz tu siedzisz.

- Powiedz mi więc, jaką rolę odegrałem - zażądał Gwynn. - Obawiam się, że była to rola szaleńca i że cię skrzywdziłem. - Zacerpnął głęboko tchu, szukając odpowiednich słów. - Kiedy przybyłem do tego miasta, byłem skłonny przyznać rację każdemu, kto by twierdził, że na świecie pozostało już niewiele tajemnic. Jednakże w tobie, pani, najpierw w twej rycinie, a potem w żywej osobie, ujrzałem coś równie odległego i tajemniczego jak gwiazdy. A gdy wyciągnąłem rękę po nieznaną, poczułem się jak człowiek, który przemierzył wielką pustynię, nigdy nie widząc niczego więcej niż piasek i ubity trakt pod jego stopami, a nagle ujrzał miraż ogrodu i miasta, potem zaś przekonał się, że fatamorgana jest realna i większa niż cała pustynia, która okazała się zaledwie maleńką częścią mirażu.

- To znaczy, że poczułeś miłość, która jest stanem pożądania i jednocześnie jego

zaspokojenia - stwierdziła.

- Być może masz rację. Jednakże, by wyrazić to twoimi słowami, wróciłem do tłumy. Ale to jeszcze nie wszystko. Z mojego punktu widzenia prawa natury się zmieniły. Ten proces zaczął się w chwili, gdy cię spotkałem. Owey nocy śniło mi się, że podążam za czerwoną nicią, by cię odnaleźć. Śniło mi się też, że pachniesz różami i krwią. Ten zapach się utrzymuje.

- Sole transformacji - stwierdziła z uśmiechem. - To rzeczywistość, nie sen. Podejrzewam, że zawsze byłeś skłonny widzieć we mnie istotę ze swoich snów, wyobrażać sobie, że ty jesteś wędrowcem, a ja przygodą, środkiem, który pozwoli ci osiągnąć szczęśliwszy stan. Widziałeś przejawy magii i postanowiłeś uwierzyć, że należą one do mojej sfery bytu. Czyż nie identyfikowałeś się jako niebezpieczny intruz, być może jedyna istota, która może mnie skrzywdzić?

Gwynn nagle poczuł się zmęczony. Ranę wypełniał mu ból, pulsujący w rytm uderzeń serca, jakby wbijało mu w ranę gwóźdź.

- Opowiem ci nasze historie - zapowiedziała Beth. Wstała z fotela i poszła do pracowni. Gwynn podążył za nią, ale zatrzymał się przy drzwiach. Beth podeszła do trapezowego okna. - Kiedyś ci mówiłam, że przybyłam na ten świat, zamieniając się na miejsca z dzieckiem, które chciało go opuścić. Pamiętasz?

- Pamiętam, że mówiłaś, że to był sen albo wytwór wyobraźni.

- Śniło mi się - zaczęła - że wypuściłam z ust jedwabną nitkę i zaczęłam ją sobie owijać wokół głowy. To był początek kokonu.

Jajo, które podarował jej Gwynn, nadal leżało na parapecie. Podniosła je.

- Przekonamy się, co jest w środku?

- Jeśli sobie życzysz. Jest twoje.

Uniosła rękę, jakby chciała rzucić jajem o ścianę. Potem zaśmiała się cicho i odłożyła je na miejsce. Odeszła od okna, krzyżując ręce na piersiach.

- Pochodzisz z daleka, Gwynn. Jeśli kiedykolwiek czuleś się tu samotny, nie musiałeś szukać powodów. - Przerwała, być może czekając, aż zaprzeczy, on jednak milczał. - Pamiętam, jak byłam małym dzieckiem i płakałam przeraźliwie z powodów niezrozumiałych dla nikogo - podjęła. - Jedna z ciotek zapytała mnie, co się stało, a ja odpowiedziałam jej, że chcę wrócić do domu. Rzecz jasna, odrzekła, że przecież jestem w domu. Nie powiedziałam nic, ale byłam pewna, że to kłamstwo. Zawsze czułam się jak zagubiony wędrowiec, mimo że całe życie spędziłam w tym mieście. Przeniosłam się tutaj, do nadrzecznej dzielnicy, gdzie wszystko ciągle się zmienia i życie w niczym nie przypomina bytowania w uporządkowanym



społeczeństwie, w jakim się wychowałam, co mogło tłumaczyć, dlaczego czułam się jak cudzoziemka. Teraz jednak chcę wrócić do domu. W miejsce, w którym żyłam, nim zamieniłam się miejscami z tamtym dzieckiem. Kiedyś uważałam, że to metafora, teraz jednak myślę raczej o metamorfozie. - Mówiąc, opuściła pracownię, przeszła obok Gwynna i wróciła do sypialni. Potem padła na łóżko, rozrzucając szeroko ręce. - Buduję swój kokon - mówiła, patrząc w sufit. - Kiedy się z niego wyłonię, będę mogła wrócić do domu.

- A gdybym ci powiedział, że boję się, że budujesz tylko labirynt, więzienie?

- Mnie również nasunęła się ta myśl. Ale labirynt musi ukrywać w swym robaczywym sercu coś żywego i niezwykłego. W więzieniu musi być więzień. Może owa niezwykła istota, ów więzień, nie może zaistnieć, dopóki nie zbuduje się dla niego więzienia? Spodobała ci się moja larwalna postać, ale co powiesz na widok imago? Gwynn cofnął się z powrotem do sypialni.

- Przez długi czas byłem przekonany, że w ludzkiej naturze leży wymyślanie najdziwniejszych wyjaśnień zjawisk, których nie pojmujemy, a także wiara w istnienie spraw wykraczających poza to, co wszyscy znamy, ponieważ nie możemy znieść myśli o granicach i końcach. Jesteśmy nienasycony i pragniemy niemożliwego. Szczyciłem się tym, że nie mam złudzeń, ale, jak każdy, z pewnością ich pragnąłem.

- Kokon, który wyśniłam, jest utkany z czerwonych nici - oznajmiła. - Powiedziałbyś, że mój umysł po prostu stworzył sen ze znajomego materiału ciała, czy raczej, że moje ciało, mój koloryt, istnieje w tej postaci po to, by uczynić ów sen możliwym?

- Na to nie potrafię odpowiedzieć. To twoje ciało i twój sen.

- Nasz sen - sprzeciwiła się. - Ja śniłam go świadomie, a mój zły duch niemal bez udziału świadomości, ale śniące umysły nas obojga władają tą samą mocą. Wniosłam w nasz sen organizującą magię duszy, wkładem ducha był zaś chaos materii. Jest nie tylko osobliwy i ekscentryczny, lecz również monstualny. Rozdziera zasłonę dzielącą życie od śmierci. Ja również zaobserwowałam złamanie praw natury, i to jego moc to sprawiła, a ty, symbolicznie, zgodnie ze świętymi prawami metafory i obrazu, jesteś nim. Powiedziałam ci, że byłeś składnikiem, którego potrzebowałam. Masz moc łamania zasad. Jesteś nienaturalnym czynnikiem, który przekształca naturę.

- Jestem człowiekiem - sprzeciwił się Gwynn. - Urodziłem się, postarzałem, a pewnego dnia z pewnością umrę.

- Być może wcale nie musi się tak stać - stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałas mi kiedyś, że za mało pragnę od świata. Ale nawet to najwyraźniej jest

poza moim zasięgiem.

- Przemawia przez ciebie gorycz pozostała po zimie. Musisz zdecydować, jak daleko jesteś gotów zawędrować, mój północny bazyliisku, jeśli nie chcesz ciągle wracać w to samo miejsce. Działa tu alchemia, proces już się zaczął i nie możesz się od niego odgrodzić. Możesz jednak wybrać stan, jaki na koniec osiągniesz. Jeśli pragniesz tajemnic, zawsze będę o krok przed tobą. Musisz tylko podążać za mną.

Gwynn potrząsnął z namysłem głową.

- Obawiam się, że umarli mają prawo mnie zatrzymać. Potrafiłbym uwierzyć we wszystko, co mówisz, pani. Być może rzeczywiście w to wierzę. Byłbym w stanie zapomnieć, kim jestem, i wyobrazić sobie, że stałem się częścią ciebie. Być może umrę i zostanie ci tylko twój zły duch, oczyszczony z domieszki ludzkiego pierwiastka.

- Zaufasz mi? - zapytała. - Zaczekasz tu na koniec procesu?

- Muszę już iść.

- Ale wrócisz - zapowiedziała.

Opuścił mansardę.

\*\*\*

Prowadząc konia w dół Schodów Żurawich, przez cienie pod wspornikami budynków, Gwynn pograżył się w kontemplacji.

Zawsze staję się kimś innym, reinterpretacją człowieka, którym byłem wczoraj, przedwczoraj i we wszystkich poprzednich dniach mojego życia, myślał. Przeszłość odeszła, istnieje tylko we wspomnieniach, a czymże są wspomnienia, jeśli nie myślą, kopią spostrzeżeń, nie bardziej i nie mniej prawdziwą niż wszelkie kaprysy, fanaberie i inne objawy pobudzenia umysłu? Jeśli zaś chodzi o czyny, słowa i myśli definiujące indywiduum, owe definicje zmieniają się niczym pogoda. Niekiedy można w nich odkryć ciągłość i regularności, lecz równie często są to chaos i nagłe zmiany.

Uświadomił sobie, że jego myśli upodabniają się do myśli Beth. To go nie zaskoczyło. Co więcej - kręcił się wkoło za tą myślą - nie zaskakiwało go to właśnie dlatego, że myślał jak ona.

Gdy wreszcie położył się do łóżka, towarzyszyła mu niezwykle silna świadomość, że sen bardzo przypomina śmierć. W samotności snu stał się więźniem wspomnień. Spotkał się w nich z Marriottem w labiryncie złożonym z kamiennych korytarzy. Brodził w nich po kostki w brudnym śniegu i tłuczonym szkłe. Gdy sen się zaczął, Marriott odciął Gwynnowi

ręce, uniemożliwiając mu walkę, a potem nogi, co wykluczyło również ucieczkę. Potem było coraz gorzej. Cierpiał ból przez wiele godzin, nie mogąc się obudzić. Ze snu wyrwał go dopiero budzik. Ciało Gwynna zlewał pot, serce tłukło mu gwałtownie, mięśnie miał obolałe.

Czuł się paskudnie. Najchętniej zostałby w łóżku, ale musiał iść pilnować Eleia.

# OSIEMNAŚCIE

Raule nie była zadowolona, że oprychy Elma cały czas przesiadują w szpitalu. Gdy tylko Gwynn zjawiał się na poranną zmianę, którą dzielił ze Spiczastym Jasperem, przekazała mu swoją opinię w bardzo bezpośrednich, a nawet prostackich słowach. Próbował ją przeproszać, ale wygoniła go z gabinetu i zatrzasnęła drzwi.

Elei miał lekką gorączkę i co chwila zapadał w sen. Gwynn i Jasper grali w karty dla zabicia czasu, używając łóżka jako stolika. Wielebny przyłączył się do nich, na zaproszenie Gwynna.

Przed końcem zmiany do sali wpadł Spindrel w towarzystwie drugiego młodzieńca. Byli spoceni i zdyszani, a na ich twarzach malował się strach.

- Sprzątnęli Biscaya - wydyszał Spindrel. - Porlocka też. Wygląda na to, że obu zabito nocą. Wyglądają tak samo jak Łokieć. Identycznie. - Przełknął ślinę. - Będzie drugie zebranie. Mamy przejść po was wartę.

Gwynn i Jasper zostawili karty i wyszli pośpiesznie, zostawiając całą pulę wielebnemu. Po chwili konie niosły ich długą, stromą trasą z Limewood do willi Elma, choć wkoło szalała burza z piorunami.

- Gwynn, powiedz mi, co robiłeś dziś w nocy? - odezwał się Jasper.

- Spałem.

- Ja też.

Jasper oblizwał ostre zęby, jak zwykł to robić, gdy coś go podekscytowało.

Inni ustępowali im z drogi, w pewnej chwili obaj musieli jednak zjechać na bok, gdy z przeciwnej strony nadjechała szalonym pędem kareta zaprzężona w szóstkę koni. Stangret -

niewyraźna, muskularna sylwetka - pomachał do nich ręką.

Gdy karetą ich minęła, obaj kawalerowie popatrzyli na siebie. Jasper potrząsnął głową, by usunąć wodę z oczu. Obaj rozpoznali należącą do Elma karetę. To oznaczało, że powoził Snapper albo Tack.

- Jak myślisz, dokąd pojechał? - zapytał Jasper.

Gwynn potrząsnął głową. Nie miał pojęcia.

- Może do wszystkich diabłów?

- Mam już tego dość - poskarżył się Jasper. - Chciałbym się wycofać i przeprowadzić w jakieś spokojne miejsce.

- Uważaj, czego sobie życzysz - ostrzegł go Gwynn. - Nigdzie nie jest spokojniej niż na cmentarzu.

Jasper przeszył go pełnym złości spojrzeniem.

\*\*\*

Tłuste cielsko Biscaya i chude zwłoki Porlocka leżały w zimnym pomieszczeniu. Księgowemu rozplataną czaszkę, podobnie jak Łokciowi, Porlocka zaś niemal przecięto na pół w pasie. Rany były gęsto wypełnione kwiatami, jak rynsztoki późną wiosną.

Gdy Gwynn z Jasperem weszli do środka, w pomieszczeniu przebywał tylko Sam Skręcacz.

- Sam, gdzie się podział szef? - zapytał Jasper. - Przed chwilą widzieliśmy karetę. Zapychała w stronę rzeki jak pociąg towarowy.

Sam pociągnął wąż jednym palcem całym i jednym okaleczonym.

- Zemdlął - wyjaśnił. - Tutaj. To wyglądało na atak serca. Nim stracił przytomność, kazał Tackowi i Snapperowi, żeby go zabrali do tej szarlatanki Gwynna.

Gwynn zastanawiał się, jak na to zareaguje Raule.

- Przejąłem kierownictwo - oznajmił Sam. Po śmierci Biscaya był najstarszym rangą z kawalerów. - Nie wiem, co tu się, kurwa, dzieje, ale ktoś z pewnością to wie. Najpierw sprawdzimy naszych znanych wrogów. Na górze, w sali spotkań, leży księga z gabinetu Elma. Weźcie po stronie i sprawdźcie nazwiska. Pracujcie razem. Niech nikt nigdzie nie chodzi sam.

- Po stronie na dwóch, czy po stronie na każdego, Sam? - zapytał Jasper.

- Kurwa, po stronie na każdego, Jasper. To długa lista.

Deszcz przestał padać, pierwszy raz od dawna i zapewne na krótko. Na dworze, czuli się, jakby wchodzili w gorącą, szarą paszczę bestii, która wstrzymała oddech, czekając, aż w

jej brzuchu zbiorą się nowe, potężniejsze burze. Liście na drzewach w ogrodzie zwisały bezwładnie, ociekając deszczówką. Po długiej wodnej chłóście wyglądały jak zmaltretowani kochankowie.

Gwynn poluzował krawat i zapalił papierosa. Jasper podążył za jego przykładem.

- I co o tym wszystkim sądzisz, Gwynn? - spytał, zaciągnawszy się głęboko i spojrzawszy na niebo. Gwynn wzruszył ramionami.

- Myślałem, że wyjedziesz, po tym... - Jasper umilkł. Odkasznął. - To nie mój interes. Na pewno miałeś powód, żeby zostać. Ale...

- Wiem. Widzieliśmy już trzy dobre powody do wyjazdu.

- Niektórzy mogliby wykorzystać tę szansę i uciec.

- Niektórzy to zrobią.

- Ja też zostanę. To dziwne, że człowiek nagle odkrywa w sobie zasady, nie?

- Lepiej przygotujmy plan pracy.

Gwynn czuł się, jakby przeżywał jednocześnie dwa różne życia.

\*\*\*

Roboty było mnóstwo. Gwynn i Spiczasty Jasper musieli się zwijać jak w ukropie, żeby z nią nadażyć. Doszły ich wieści, że Elm czuje się już lepiej, ale na razie Sam nadal wszystkim kieruje. Gorączka Eleia przychodziła i odchodziła. Zgodnie z przewidywaniami Gwynna Rogowy Wachlarz stracił wielu członków. Liczba uciekinierów sięgała dwudziestu.

Pod koniec drugiego dnia Gwynn i Jasper zdążyli już przesłuchać trzydziestu ludzi. Zęby ciemnoskórego mężczyzny, kłapiące o włos od nosa, ust albo ucha związanego delikwenta, pozwoliły im usłyszeć wiele nazwisk. Gwynn wiedział, że trują się na próżno, starał się jednak wywierać należycie groźne wrażenie, w nadziei że Jasper nie zauważy jego obojętności.

Późną nocą drugiego dnia zatrzymali się w cichej herbaciarni na południowym prześle pozbawionego środka Mostu Spalonego. Ostatni odwiedzony dziś gość mieszkał niedaleko. Poczerniałe od płomieni łuki i przypory drewnianego mostu wzmocniono przed paroma stuleciami stalowym rusztowaniem, które jednak szybko rdzewiało w wilgotnym klimacie Ashamoil. Dlatego wielokrotnie dodawano do niego nowe wzmocnienia, nigdy nie usuwając starych. Z biegiem czasu most przerodził się w małe jądro okolone rozległą, rdzewiejącą otoczką. Deszcz rozmywał najstarsze, przeżarte korozją fragmenty, sypiąc brązowym proszkiem w szyby lokalu.

- Powinniśmy odwiedzić szefa - stwierdził Jasper.

Gwynn poczuł się zobowiązany zgodzić się z tym.

- Jutro. Do obiadu powinniśmy się uporać z całą listą.

Potał ramię. Gorączkowa aktywność ostatnich dwóch dni z pewnością nie przyśpieszała gojenia się rany.

Następnego dnia deszcz był brudny, a wiatr cuchnący, jakby chmury zgniły od zbyt długiego wiszenia na niebie, a powietrze zaśmierdło się w paszczy monsunowej bestii. Od rana do wieczora w szczyty wzgórz biły pioruny, zwalając kilka wysokich drzew w ogrodach bogaczy. Echo grzmotów wypełniało całą dolinę. Skamandrem nadal władały krokodyle. Gwynn widział jednego z bliska, gdy jechał Esplanadą na spotkanie ze Spiczastym Jasperem. Bestia wydała mu się idealnym wcieleniem siły i lenistwa. Za jej oczami i ekstrawaganckimi, uśmiechniętymi szczękami kryły się setki milionów lat historii. Gwynnowi przemknęło przez głowę, że fakt, iż te tępe bydlaki o małych mózdkach zawsze wyglądają, jakby rozważały jakieś niezwykle, złowrogie tajemnice albo snuły skomplikowane, przesyczone okrucieństwem plany, jest jednym z bardziej udanych żartów natury.

Mógłby wykraść trochę czasu, by odwiedzić Beth, zwlekał z tym jednak. Wybrał się do łaźni i wylegiwał w wodzie przez godzinę, wyłącznie w towarzystwie ślicznotek, które myły mu włosy i przynosiły drinki.

\*\*\*

- Będę żył i mój syn również - zapowiedział Elm. - Nasz dom nie upadnie.

- Świetnie wyglądasz, szefie - zapewnił Snapper.

- Jasper, czy ktoś jeszcze zginął? I czy rozwiążaliście zagadkę?

Elm zadał im te pytania już po raz trzeci.

- Nikt i nie - powtórzył Jasper. - Wszyscy nad tym pracujemy.

Elm zamknął oczy.

- To pracujcie dalej. Wszyscy jesteście leniwymi psami i tyle.

Elm leżał na łóżku ustawionym obok łóżka Eleia, Tack i Snapper przenieśli się na stałe do sali, żeby pilnować szefa. Ponieważ wszystkie pozostałe łóżka były zajęte, Gwynn doszedł do wniosku, że z pewnością śpią na podłodze. Ojcu i synowi podano wielkie dawki środków uspokajających. Gwynn zadał sobie pytanie, czy to było rzeczywiście konieczne. Raule nie było w szpitalu. Według dyżurnej siostry poszła na wizyty domowe. Czy chodziło tylko o to, że Elm nie potrafił sobie wyobrazić, by pracowita lekarka ze swym szlachetnym

powołaniem i zjadliwą dezaprobatą wobec niemoralnego zachowania mogła go oszukać? Gwynn zastanawiał się nad tym przez chwilę i doszedł do wniosku, że zachowa te myśli dla siebie.

- Gwynn.

Podszedł do łóżka.

- Zdecydowałem, co z tobą zrobię, jeśli mój syn umrze. Pójdiesz do rzeki, Gwynn. Jesteś użyteczny, ale jeśli Elei nie wyżyje, nie chcę już nigdy więcej oglądać twojej twarzy. - Z ust Elma wydostało się przeciągłe westchnienie. - Będziesz miał się czego bać. Z pewnością bałeś się tego już przedtem. A mimo to nie uciekłeś. Podobnie jak Marriott. Odkąd zrobiłeś Marriottowi, co ci kazałem, jak mogę ci zaufać?

- Chyba dowiodłem, gdzie spoczywa moja lojalność - odparł z twarzą bez wyrazu Gwynn.

- Spoczywa? Czy ona spoczywa? To właśnie mnie niepokoi.

Elm zasnął.

\*\*\*

Ukrywający się w zalanej piwnicy porzuconego domu przy jednej z cichszych uliczek nadrzecznych slumsów Hart usiadł na stole, który służył mu jako łóżko. Między meblem a schodami wiodącymi na ulicę ustawiono pięć krzeseł o wystających nad powierzchnię wody siedzeniach, pozwalających dotrzeć do stołu suchą stopą. Przyniósł je tu staruszek, poprzedni lokator piwnicy. Nieszczęśnik padł trupem ze strachu na widok siłacza, który szukał tylko chwilowej kryjówki przed deszczem. Teraz jego ciało unosiło się w wodzie, obgryzane przez ryby. Hart widział je niewyraźnie w świetle dnia wpadającym do środka przez okienka pod sufitem - małe, ostro zarysowane cienie krążące wokół większego.

Był dzień. Hart siedział ze skrzyżowanymi nogami, trzymając topór na kolanach.

- Pearl - wyszeptał. Ostatnio zaczął się zwracać do broni imieniem żony. - Pearl, kochanie... - Ucichł, przyciskając ostrze do nieogolonego policzka. - Kochanie - wyszeptał - czy naprawdę to zrobimy?

Nie wiedział, który z członków Towarzystwa Rogowego Wachlarza ją zabił, postanowił więc wymordować wszystkich. Dopadł jednak dotąd tylko trzech, a żądza krwi już w nim gasła. Jego plany zakrojonej na szeroką skalę zemsty zaczynały wyglądać groteskowo.

- Wiem już, że potrafisz zabijać, ale ja chyba tego nie potrafię. - Poglaskał ostrze. - Przykro mi, złotko. Tak bardzo przykro.



Topór był zimny i piękny. Jego błyszczące ostrze przemawiało do Harta głośniejszym niż słowa. Czyżby płomień jego miłości już dogasał, czy tak łatwo przyszło mu zapomnieć o dziesięciu latach małżeństwa?

- Och, kochanie, złotko... - zawodził bez przerwy Hart, czując, że zalewają go fale smutku, jakby to on leżał w wodzie, na wpół zjedzony przez ryby. Płakał, a łzy spływały po bruzdach w jego policzkach. Siedział, zawodził i łkał, aż wreszcie została w nim jedynie pustka. W tej pustce coś jednak grzechotało, coś zbyt łagodnego, nazbyt biernego i zbyt silnie skrępowanego pojęciami dobra i zła.

Z pewnością była to jego dusza. Cóżby innego? Nienawidził jej za to, że jest taka słaba, niezdolna do wielkości. Medytując nad małością własnej duszy, zadał sobie pytanie, czy to właśnie dlatego zawsze się starał uczynić swe ciało wielkim i silnym.

Odłożył topór na stół, przeczołgał się po krzesłach i wyszedł na ulicę.

Twarz zmoczył mu żółty, śmierzdzący deszcz, deszcz jak szczyny wszystkich psów na świecie, niesionym wiatrem cuchnącym wychodkiem i grobem.

Wrócił na dół. Tym razem zlekceważył krzesła, brodząc przez wodę. Uniósł topór i przycisnął go do policzka.

- Pomóż mi - wyszeptał. - Pomóż mi to zrobić, złotko.

W jego umyśle nagle otworzyły się drzwi. Ujrzał za nimi pokój, a w tym pokoju Elma, rozkazującego Gwynnowi zabić jego żonę. Potem zobaczył swój stary dom. Stał się świadkiem morderstwa. Starał się powstrzymać wizję, ale musiał ją obejrzeć do końca. Gdy wreszcie się rozwiła, zaryczał jak dzika bestia, wypełniając swym głosem piwnicę.

# DZIEWIĘTNAŚCIE

Elm nadal przebywał w szpitalu w Limewood, a Sam Skręcacz próbował udowodnić, że potrafi go zastąpić. Nie udało im się odkryć mordercy, ale z pewnością byli w stanie go wymyślić. Znalaziono kozła ofiarnego pod postacią młodego mężczyzny, znanego przeciwnika handlu niewolnikami. Zasłynął on z tego, że zwykł wykonywać reklamarskie, pseudoartystyczne gesty. W zeszłym roku zgromadził około pięćdziesięciu rąk i nóg, utraconych przez niewolników w fabrykach, i zawiesił je na drutach pod transparentem, który wyjaśniał, skąd pochodzą, między dwoma centralnymi słupami Mostu Fontann, gdzie widziano je ze wszystkich przepływających rzeką statków. Walczył też w bitwie na Moście Pomników i stracił tam kilku towarzyszy. Podczas przesłuchania przyznał się z radością do spowodowania śmierci Łokcia, Biscaya i Porlocka.

Sam, który lubił eleganckie rozwiązania, zarządził, że egzekucję urządzi się w ogrodzie posiadłości, w gaju bzów nieopodal willi, gdzie na idealistę czekała garota. Trupa ciśnięto do rzeki.

\*\*\*

Następnego dnia był croal i Gwynn jak zwykle poszedł się spotkać z wielebnym.

- Wyglądasz naprawdę paskudnie, mój synu - oznajmił kapłan. - Co ostatnio porabiałeś?

- Jak zwykle, popadałem w kłopoty.

Gwynn dogasił auto-da-fé i popatrzył na ustawione na stoliku potrawy. Wyglądało na

to, że zostały przygotowane mniej starannie niż zazwyczaj. Zauważył wiele siekanych mas, błyszczących od oliwy i auszpiku. Podano je w odwróconych do góry dnem żółtawych skorupach. Feni wyjaśnił, że był zmuszony wprowadzić pewne oszczędności.

- Polecam to - zaczął, wskazując na różowawą mieszaninę. - Zgniły garnek z tchawic, boczku i kiszek stolcowych. Smakuje znacznie lepiej niż brzmi.

- Nie jesteśmy wybredni, Feni - zapewnił Gwynn i nałożył sobie porcję.

- Nadal jesteś z Beth? - zapytał wielebny.

- Chyba muszę odpowiedzieć, że tak.

- To świetnie. Miłość do tylko jednej osoby nie zbawi rzecz jasna twojej duszy, ale to zawsze jakiś początek.

Wielebny wypełnił usta flakami z cebulą, a potem znowu wykonał sztuczkę z papierosem i zapalkami.

- Jak właściwie to robisz?

- No wiesz, magik nie powinien zdradzać swoich tajemnic. Odpowiem ci jednak. Mam papierosy i zapalki ukryte w rękawach. Wyjmuję je i chowam z powrotem. To bardzo prosta sztuczka.

- Nie wierzę. Nawet najzwyczajniejszy uliczny sztukmistrz musi mieć pewną zręczność i grację w ruchach rąk, a, szczerze mówiąc, u ciebie tego nie widzę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pozwól mi na dygresję. Opowiem ci o pewnych zjawiskach, które ostatnio zaobserwowałem. Pierwszym z nich był noworodek z ludzką głową i ciałem krokodyla. Na szczęście, był martwy.

- Widziałem go - wtrącił wielebny. - W gabinecie okropności pani doktor.

Feni przyniósł srebrny dzbanek z herbatą i lakierowaną miseczkę. Gwynn wykonał swój zwyczajowy rytuał z buteleczką z agatu, a potem pociągnął łyk.

- Drugie zjawisko dotyczy trzech mężczyzn, których zabito potężnymi ciosami masywnego, ostrego narzędzia. W każdym przypadku śmiertelne rany z niewytłumaczalnych powodów były wypełnione zielonymi kwiatami. Można je było zobaczyć również pod skórą wokół ran. Umieszczenie ich tam mogłoby być wykonalne, gdyby użyto chemikaliów do uniesienia skóry, ale nie pozostały na niej żadne ślady.

Potem opowiedział o pościeli w domu siłacza.

Kiedy skończył, wielebny westchnął z boleścią.

- Mój synu, mój synu, ogarnia mnie rozpacz.

- Nie ma na to czasu - stwierdził Gwynn, machając z irytacją widelcem. - Jestem

przekonany, że moich towarzyszy zabił duch. Uderza na oślep i nie zaatakował dotąd po raz czwarty, obawiam się jednak, że to zrobi.

Wielebny pokiwał głową i westchnął po raz drugi.

- Duchy stają się coraz powszechniejszą plagą. A wszystko to dlatego, że obchodzimy się z umarłymi coraz bardziej niedbale. Ale jeśli chcesz mnie prosić o egzorcyzm, nie zrobię tego. Cokolwiek spotka cię z powodu twych ostatnich grzechów, zasługujesz na to. Nie będę próbował ci pomóc. Znajdę sobie kogoś innego i zacznę od początku.

Gwynn potrząsnął niecierpliwie głową.

- Nie chciałem cię prosić o pomoc. Jest też coś więcej, ale nie zamierzam ci o tym mówić. Wystarczy, że wspomnę, że zasady się zmieniły. Próbuję zrozumieć, na czym polegają te zmiany. Nie zdziwił cię fakt istnienia potomka kobiety i krokodyla, widma najwyraźniej też nie są dla ciebie czymś nadzwyczajnym. Dla mnie jednak to nie są normalne zjawiska.

- Mój synu, oczywiście, że nie są normalne. Wyjaśnienie jest jednak proste. Jak już wspominałem, duchy to skutek ludzkiego niedbalstwa, jak śmieci na ulicach. Jeśli zaś chodzi o potwory i inne zjawiska wykraczające poza prawa natury, są one dziełem Boga. Jego święta obecność objawia się za pomocą cudów, dla dobra tych ludzi, którzy są wyjątkowo ślepi.

- Takie właśnie bzdury spodziewałem się od ciebie usłyszeć - mruknął Gwynn ze znużonym szyderczym uśmiechem. Jego pogarda nie była jednak do końca szczerą. Rozmowa z wielebnym przychodziła mu z łatwością. W końcu mówili ciągle o tym samym.

- Kto tu opowiada bzdury, mój synu? Rodzi się we mnie przypuszczenie, że jesteś zły ponad wszelką możliwość odkupienia. Obawiam się, że traćłem z tobą czas.

- Doprawdy? To dziwne. Ja właśnie zacząłem się bać, że jest na odwrót.

Kapłan wzruszył ramionami, próbując okazać lekceważenie, ale w jego oczach pojawił się błysk nadziei.

- Podejrzewam - ciągnął Gwynn - że ta twoja sztuczka z papierosami jest kolejnym przykładem złamania praw natury. Gdybym przeszukał twój płaszcz, nic bym nie znalazł w rękawach, prawda?

Gwynn planował zdobyć tyle danych, ile tylko zdoła. Przemknęła mu przez głowę pełna czarnego humoru myśl, że w świecie, w którym wszystko może się zdarzyć, niewykluczone jest również istnienie boga. To z pewnością spowodowałoby nowe problemy.

Wielebny obrzucił go bardzo długim spojrzeniem.

- O mało cię nie opuściłem - oznajmił wreszcie. - Być może nie jest mi to pisane. Niech i tak będzie. Podjąłeś ryzyko, że zrobisz z siebie durnia. To może być oznaka postępu. -

Wstał z krzesła. - Chodźmy na dwór.

Gwynn podążył za kapłanem do zaułka za lokalem.

Deszcz znowu przestał padać na chwilę, ustępując miejsca parnemu upałowi. Powietrze w zaułku było wilgotne, rynsztoki wypełniała stojąca woda, na niebie zaś kłębiły się żółte chmury monsunowe, wiszące nad budynkami jak zwały tłustej skóry. Gdy kapłan i Gwynn wyszli z lokalu, firmament przeszła fioletowa błyskawica. Potem huknął grom, niczym strzał z moździerza. Na widok ropiejących chmur Gwynnem zawładnęła tęsknota za czarnym niebem, gwiazdami, planetami i księżycem.

- Dobra - odezwał się wielebny. - Patrzysz?

Jego obwisła twarz wyrażała nadzieję, jak u buldoga proszącego o kość.

- Z wielką uwagą, ojczu.

Wielebny wydobył znikąd papierosa, a potem zapalną.

- Widziałeś, skąd się wzięły?

- Nie.

- Znakomicie. - Kapłan zdjął marynarkę i pokazał Gwynnowi, że w rękawach nic nie ma. Potem podał mu ubranie. Gwynn przeszukał je, nic nie znalazł i oddał marynarkę wielebnemu. Ten podwinął rękawy, odsłaniając gołe przeramiona. - Mam się rozebrać do naga? - zaproponował.

Gwynn wzruszył ramionami.

- To wolne miasto, ojczu.

Wielebny zapalił papierosa i zaczął wypuszczać kółka dymu. Jedno po drugim zamieniały się w kobiece twarze, które wisiały w wilgotnym powietrzu przez kilka sekund, rozpraszając się powoli. Wielebny wypuścił trzy następne kółka, czyniąc z nich dymny żaglowiec płynący po dymnym morzu, dymnego zbójcę wiszącego na dymnym drzewie i dymnego chłopaka łapiącego dymną rybę.

Zapadła bardzo długa cisza.

- Aha. Rozumiem - odezwał się wreszcie Gwynn.

- Ale nadal nie ujrzałeś światła, tak?

Gwynn westchnął głęboko.

- Zawsze potrafiłeś robić takie rzeczy czy zdobyłeś ten talent dopiero niedawno?

- Niektóre sprawy muszą pozostać prywatne - odparł wielebny. - Dotyczą tylko człowieka i jego Boga. - Włożył marynarkę. - Twój punkt widzenia się nie zmienił. To nie ulega wątpliwości.

- Wołałbym wierzyć, że zawdzięczasz to wyłącznie własnym mocom - odparł Gwynn.

- No cóż, jeśli nic przyrodzonego ani nadprzyrodzonego nie przekonało cię o istnieniu Boga, nie ma powodu, by miało się to udać moim sztuczkom. Będziesz ze mnie drwił tutaj czy wrócimy do środka?

Gwynn potrząsnął głową.

- Ponieważ świat z każdą chwilą wydaje mi się coraz śmieszniejszy, opuściła mnie zdolność spoglądania nań okiem szydery.

- Kolacja nam wystygnie - przypomniał wielebny.

Gwynn zadał sobie pytanie, co właściwie utracił kapłan.

Cofnął się o krok i spojrzał w głąb zaułka.

- Odpowiedź nie istnieje, prawda? Być może do tej pory potrafiłeś tylko robić iluzjonistyczne sztuczki, a teraz zdobyłeś... jak to nazwać? Tajemne moce. Niemniej, nawet gdybyś mi wszystko wyjaśnił, nie potrafiłbym ci uwierzyć, ponieważ wiem, że cierpisz na urojenia. - Ponownie potrząsnął głową. - Jestem zbyt zmęczony. Pójdę już do domu.

Oddalił się, rozchlapując butami kałuże.

Gdy sylwetka Gwynna zniknęła w oddali, wielebny uniósł wzrok ku niebu.

- Przykro mi, ale przecież wiesz, że to wszystko, na co mnie obecnie stać - oznajmił. - Brak mu wrażliwości. Nie potrafię powiedzieć, czy ci z nas, którzy cierpią, nie znają wdzięczności. Ty pewnie znasz odpowiedź.

Wielebny patrzył na chmury, bez śladu niesmaku, jaki czuł na ich widok Gwynn. Potrafił sobie przynajmniej wyobrazić, że ponad nimi, za zasłoną zwykłej materii, kryje się coś więcej. Gorzej by było, gdyby patrzył na czyste niebo i nadal nic nie widział.

\*\*\*

Dopiero następnego wieczoru Gwynn zdobył się w końcu na to, by pójść do domu na Schodach Żurawich.

Pod drzwiami Beth poczuł intensywną woń: nie szalony zapach róż i krwi, ale zwyczajny smród rzeźni. Na tabliczce na drzwiach było teraz napisane: BETHIZE CONSTANTIN, TEURG.

Za drzwi dobiegały jakieś hałasy oraz stłumione głosy kilku osób. Gwynn zapukał, w prawej ręce trzymając rewolwer.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stała za nimi Beth.

Z jej twarzy zniknęło znużenie. Wrócił urok i towarzyszące mu wrażenie siły. Miała na sobie długą, przylegającą do ciała suknię zielono-złotego koloru, jej najbardziej elegancką.

W rudych splotach błyszcząły ozdobione klejnotami grzebienie i szpilki.

- Mój ciemnowłosy dżentelmen - powiedziała, uśmiechając się leniwie. Uścisnęła go.

Z bliska jej zapach był silniejszy niż odór padliny.

Gwynn przytulił ją mocno.

- Beth.

Odsunęła się.

- Czy jesteś śmiercią, czy diabłem?

- Moja odpowiedź się nie zmieniła.

Objęła go i zaprowadziła do środka.

- Chodź, moja cmentarna zjawo, i rozejrzyj się - wyszeptwała.

W pracowni było gorąco jak w piecu, a panujący tam fetor przywodził na myśl Małe Piekło. W pomieszczeniu ujrzał mnóstwo potworów - stojących, kucających i leżących na podłodze. To one były źródłem smrodu, wszystkie bowiem składały się z fragmentów zwierzęcych ciał, uzupełnionych elementami materii roślinnej i nieorganicznej: orchideami, owocami granatu, częściami maszyn, kawałkami szkła.

Miały wiele głów - małych, świńskich, końskich, a w jednym przypadku nawet tygrysią - oraz wiele kończyn. Uwijali się między nimi ludzie o osłoniętych szmatami twarzach, przyszywając, przywiązując i przyklejając nowe elementy. Gwynn rozpoznał sępy, takie same, jak te, które przed kilkoma miesiącami pośpiesznie uprzętnęły zwłoki pechowego alfonsa i jego Krwawych Duchów.

Wydawało się, że pracownia się powiększyła, żeby móc pomieścić wszystkie. Czas również musiał się rozciągnąć, nie wydawało się bowiem możliwe, by Beth zdołała zgromadzić tak liczne materiały, nie mówiąc już o zmontowaniu rzeźb, od chwili, gdy ostatnio ją widział, nawet jeśli pomagali jej złowrodzy asystenci.

Jeśli były to chimery z jej wyobraźni, przeniesione z papieru w trzy wymiary, nie emanowała od nich ekstatyczna radość pierwszego pokolenia ani okrucieństwo drugiego. Nie wykrywał w nich żadnych uczuć. Choć jednak figury były nieukończone i tłoczyły się w pracowni jak bydło w zagrodzie, otaczała je aura, której istnieniu Gwynn nie mógł zaprzeczyć, wykraczająca poza ich gwałtowny atak na zmysły wzroku i powonienia. Przyszło mu na myśl, że to tak, jakby wydobyte spod ziemi albo z głębin oceanu ciała pradawnych tytanów uzupełniono wywodzącymi się z późniejszych epok fragmentami, przyniesionymi w to samo miejsce przez grawitację albo ruchy ziemi. Choć każda z obcych bestii była zupełnie nowa, a materiał, z którego je wykonano, gwarantował, że pożyją krótko, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu przesycała je moc rodząca się z samej starożytności.

Gwynn poczuł się zaćmiony, pokonany, epigoński, przelicytowany.

- Możemy zmusić coś do istnienia, tworząc jego odbicie - oznajmiła Beth. - Mam dla ciebie zagadkę: Jeśli lustro odbija substancję, co odbija substancja?

- To substancjalne pytanie - spróbował zażartować Gwynn.

Stojąca z tyłu Beth złapała go za ramiona.

- Cała materia jest starożytna. Ty i ja, nasze cielesne postacie, te trupy, powstały razem ze wszechświatem. Najdalsza przeszłość nadal nam towarzyszy, choć w bardzo przemieszanej postaci. Żywa substancja, ciało, te ordynarne mięśnie, kości i włosy, są dla nas najłatwiej dostępnym, potężnym medium transformacji. Nauczyłam się tego od ciebie, mój sługusie handlarza niewolnikami, mój skrytobójco.

- To nie są inteligentne istoty - wyszeptał. - Przemawia do mnie ich nieczystość, ale ich głupota już nie.

- To są Lordowie Złych Rządów - odparła, przytulając się do niego. Jej głos muskał jego gardło niczym skrzydełka osy. - A ci drudzy to znawcy, koneserzy - dodała. - Powiedzieli, że od dawna wiedzieli o mojej pracy i zaoferowali mi swe usługi. Ich tradycje sięgają bardzo dawnych czasów.

Gwynn słyszał ją niewyraźnie. Wyraził już swą opinię i czuł teraz, że martwe oczy osadzone w zwierzęcych czaszkach wpatrują się weń obłąkańczo. Po twarzy spływał mu pot. Czuł suchość w gardle. Spróbował powiedzieć, że gdy rozum śpi, budzą się potwory, ale zamiast tego z jego ust wyrwały się słowa:

- Moje łóżko jest gniazdem skorków.

Wszystko, co widział, migotało pod wpływem upału. Kształty roztapiały się, zestalały i znowu roztapiały.

Odniósł wrażenie, że najbliższy potwór, amfısbeno o głowach pawiana i osła przyszytych do ciała bawolicy, poruszył obojgiem ust:

- Czyż nie pożądasz smrodu rzeczywistości? - zapytał pawian.

- W pełnej podejrzeń piwnicy? - dodał osioł.

Gwynna przeszła nagle świadomość faktu, że jest człowiekiem nowoczesnym. On jeden tutaj nie bawił się świetnie. Tak nie mogło być. Wziął się w garść, stracił wzruszeniem ramion dłonie Beth i uśmiechnął się okrutnie.

- Pokażę ci smród rzeczywistości - oznajmił, wyciągając Gol'achab. Jednym, błyskawicznym ruchem uciął głowę pawiana.

Łeb osła zalał się łzami.

Jeden z sępów podkuśtykał bliżej i podniósł uciętą głowę. Wyjął spod łachmanów



kościaną igłę, przytknął głowę do tułowia i zaczął szyc. Beth złapała Gwynna za ramię.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała.
- Sprowokował mnie, pani - rzucił od niechcenia.
- To tylko dzieci - odparła.

\*\*\*

Gwynn odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Wesołość przegnała irytację. Dał się oczarować, pocałunki stłumiły wszelkie argumenty. Nie przestawał się śmiać, podczas gdy sępy otoczyły go, odebrały mu broń, a potem niezgrabnymi, lecz delikatnymi palcami zdarły z niego ubranie. Ucieszył się, że jest nagi, bo upał był straszliwy, ale potem któryś z sępów podniósł z ziemi worek, wydobyl z niego sztywny, rzeźnicki fartuch z czarnej skóry oraz długą, czarną opaskę. Jedna z istot zawiązała mu fartuch na karku i w pasie, druga zaś zasłoniła mu oczy opaską. Potem trzecia włożyła mu na ramiona czarny płaszcz z szenili, cuchnący piwem i czosnkiem. Gdy prowadziły go do sypialni, zdołał wreszcie stłumić śmiech i odzyskać dech w piersiach.

Jego nozdrza wypełnił odór sfinksa. Kroczył bosymi stopami po papierach, odnosząc wrażenie, że wszystko to są jego niepoehlebne portrety.

Poirytowany Gwynn szarpał się z więzami i wreszcie zdołał się uwolnić od niewygodnego kostiumu. Zamrugał oślepiiony jasnym blaskiem. Pod sufitem sypialni zawieszono co najmniej dwadzieścia lamp. Beth siedziała na brzegu łóżka, naga poza klejnotami we włosach. Kokieteryjnie podciągała nogi.

Odwróciła głowę w bok, odsłaniając piękną, muskularną szyję.

Uklęknął na łóżku, osunął się na plecy i pociągnął ją na siebie. Zastanawiał się, dlaczego jej odór kiedykolwiek mu przeszkadzał. Wsysał oddech Beth, wypełniając płuca jej perfumami.

Sępy nie opuściły pokoju. Stały pod ścianami. Zaczęły śpiewać, głosami gładkimi jak łój.

Wsluchał się i zdołał rozróżnić słowa:

*Czaszka to gorzelnia zbrodni*

*Gardło to mosiężny rynsztok*

*Serce to ptak śpiący w locie*

*Kręgosłup to schody sabotażysty*

*Prawa ręka to cień  
Lewa ręka to korzeń  
Oko to zaćmienie  
Brzuch to cmentarz  
Dupa to trumna wyłożona jedwabiem  
Skóra to worek na kości*

- Co oni śpiewają? - zapytał, chichocząc.
- Pieśń miłosną - odparła Beth.
- Jeśli tak, to cipa jest kasynem - mruknął niewyraźnie Gwynn, całując ją w wymienione miejsce. - A twoja to nadzwyczajny...
- To lubię - ucieszyła się Beth, prostując nogi.

*Przyływa okręt do nocnych piasków,  
Nadciąga unia chaosu i czasu.*

Sępy nie przestawały śpiewać. Gwynn nie miał już im za złe, że się gapią. Zdawał sobie sprawę, że w tym przypadku pragnienie cielesnej rozrywki jest jedynie elementem czegoś bardziej skomplikowanego, zakrojonego na większą skalę. Czegoś, co nie mieściło się w spektrum ludzkich namiętności. Drażnił ją ustami, a potem uspokajał. Jej ciało było ambrozą, czymś najdoskonalszym na świecie. W chwili spóźnionego oświecenia uświadomił sobie, że dzięki temu, że je posiadał, jego własne ciało również mogło się wydać zdrowe, wolne od zepsucia i blizn. Stał się istotą pozbawioną wszelkiej historii. Wnikał językiem w ustnik Beth, spijał jej płyn jak zwierzę sączące rosę z mchu, gotowy narazić się na wszelkie możliwe konsekwencje.

Wtem cztery głosy przemówiły jednocześnie:

*Wszystkich was, szlachetne manekiny, mężczyźni i kobiety o surowych  
rysach, niezwykłych oczach i zębach jak noże, uznaję za swoich. Kochacie  
jesienny księżyc za mgłą, letnie uroczyny, profil przystojnego kochanka,  
wieczorny lot żurawi, deszcz padający do morza, a czasem nawet innych ludzi.  
Brawo!*

::

*Powiedziano mi, że zaprowadzą mnie do centryfugi i prasy, albowiem*

*lekarzy nigdy nie opuszcza optymizm i są przekonani, że jeśli użyją drastycznych środków, z pewnością znajdą we mnie coś wartościowego. Raz na tydzień bezlitośni agenci będą zbierać moje łzy.*

::

*Nigdy nie gardziłam domem wspomnień, gdzie czekają takie niespodzianki, jak szereg ostrołukowych okien, w których odbija się morze, omszała kamienna pięść służąca jako kroksztyn, staruszka o szerokim grzbiecie wkładająca dłoń do wiklinowego koszyka pełnego żółtych jabłek, głošny, głęboki dźwięk dzwonu. Sławę zdobywało się w rynsztokach żałoby, a w południe miłość zmieniała się w tygrysa.*

:

*Gdzieś są ogrody, w których pawie śpiewają jak słowiki, gdzie są karawany rozłączonych kochanków wędrujących na spotkanie ze sobą; rubinowe ognie na szczytach odległych gór i błękitne komety nadlatujące wiosną niczym szafiry przemierzające czarne niebo. Jeśli to nieprawda, spotkaj się ze mną na podwórku hańby. Zasadzimy tam szubieniczne drzewo i będziemy się kołysać niby smętne wahadła, nie dotykając się ani razu.*

Ujrzał przed sobą światło w ciemności. Oświetlało tajemnice ciała ukryte wewnątrz Beth: hieroglify wypisane na jej skórze jak tatuaże, a między owymi znakami skamieniałości maleńkich stworzonek. Ich kształty były takie same, jak kształty symboli: słońca, księżycy, haczykowate gwiazdy, wielokomorowe spirale.

Teraz z kolei ona wzięła go w usta i kipiały w nim fale głębokiej rozkoszy, równie niezwyklej jak cała reszta. Czuł na całym ciele przedłużający się nacisk, jakby znalazł się w paszczy olbrzyma, który wydzieliał z głębi swego ciała humory, obracając go gładko na lewą stronę poprzez gąbkę porów.

Wtem wszystkie nerwy wypełnił mu płonący fosfor. Przez jego ciało przetaczał się kolos poruszający się na kołach z ognia. Zapłonął, przerodził się w dym; obłok węgielków, próbował przesłonić słońce; słońce stanęło do walki i zapaliło go po raz drugi, aż zmienił się w jeszcze subtelniejszą substancję.

Wrócił do siebie w tej samej chwili, gdy osiągnął szczyt razem ze swą kochanką. Ekstaza była silna i nieodparta niczym śmierć. Gdy jej fale wreszcie opadły, osunął się na poduszki. Był straszliwie rozgrzany i niemal całkowicie odrętwiały, znieczulony jak trędowaty.

Sępy wyszły gęsiego do pracowni, szepcząc coś do siebie.

- Zostań tu. Śpij - powiedziała Beth, tak samo jak ich pierwszej nocy.

Gwynn nie mógł powstrzymać zamykających się oczu.

\*\*\*

Kaik mknął przez kanał w dżungli.

Śniący umysł Beth zawiesił na czarnym niebie nad kolumnadą drzew łańcuch księżyców i otoczył łódź eskortą w postaci armady węży wodnych o głowach świecących jak żywe węgielki.

Miała na sobie czerwoną jedwabną szatę, przylegającą do ciała ściśle jak rękawiczka, a twarz zasłoniła maską z rubinowego szkła. Jej towarzysz, który siedział przy wiosłach, wtapiał się w ciemne tło. Widać było tylko fałdy czarnego domina oraz równie czarny kapelusz o szerokim rondzie.

On wiosłował, a ona mówiła.

- Ta dziewczynka, kiedy była mała, miała żółtą filcową piłkę. Bawiła się nią w pokoju dzieciennym, gdy monsun nie pozwalał jej wyjść na dwór. Kiedy była bardzo mała, kochała tę piłkę za to, że była jasna i miękka, ciepła i lekka. Nadszedł jednak dzień, gdy pokochała piłkę za to, że mogła ją zamienić w słońce. Nosila ją gorliwie po pokoju i dzięki temu godziny dnia mijały, a gdy schowała ją do kufra, przywoływała noc. Dzień i noc, które w ten sposób stworzyła, były prawdziwsze od tych, które panowały na zewnątrz, kiedy nie pozwalano jej wychodzić. Tego dnia, gdy piłka stała się słońcem, dziewczynka zaczęła swą podróż. Dzisiaj jest już blisko celu. Obdarta Różyczka pójdzie na Tajemniczą Galę, zakończy drogę przez sen i dotrze do wolnego od więzów miejsca, gdzie wszystkie sny są rzeczywistością, do wszechświata, który stworzyła tak dawno temu.

Wioślarz nie odzywał się ani słowem. Cały czas popychał łódź naprzód.

Wreszcie dotarli do skrzyżowania kanałów.

- Na lewo - poleciła.

- Z mojego czy z twojego punktu widzenia, pani?

- Z twojego - uściśliła.

Wioślarz skręcił. Za skrzyżowaniem zaczynał się labirynt krzyżujących się ze sobą szlaków wodnych. Beth wskazywała mu drogę. Mijali ślepią wielkich bestii, płonące pochodnie, rozsypujące się mury z cegły i kamienia o podstawach zanurzonych w rzece, roje orchidei i chmury pyłku.

Niebo jaśniało stopniowo. Księżycy nadal były widoczne, ale utraciły świetlistość, dżungla ustąpiła zaś miejsca rzadszemu lasowi złożonemu z paproci i wysmukłych palm.

W miarę jak świat jaśniał, jej towarzysz przybierał jeszcze na mroczności.

Wreszcie przybił do brzegu i wciągnął wiosła do łodzi. Zbliżali się do klifu. Stał, podczas gdy ona wysiadła na brzeg. Urwisko było tak wysokie, że za jego krawędzią mogła zobaczyć tylko niebo, słyszała jednak szum otwartych wód, wiedziała więc, że ocean jest blisko.

- Pójdiesz ze mną na urwisko popatrzeć na świt? - zapytała.

Wyszedł z łodzi i poszli razem.

Minęli ostatnie palmy i wyszli na szczyt klifu. Rozpostarł się przed nimi bezkres oceanu. Niewyczerpana, niszczycielska, spowita mrokiem nocy, budząca grozę głębia wzywała ich do siebie. Na horyzoncie jaśniało.

- Mogę tu zostać tylko na chwilę - oznajmił.

Nie patrzyła na niego, wiedząc, że nic by nie zobaczyła.

- Jesteśmy już bardzo blisko - powiedziała.

- Teraz, i teraz, i teraz, i teraz... - szeptał głos oceanu.

Usłyszała cichy głos tego, który stał obok niej:

- Kochałem wszystko, co w tobie znalazłem, i pożałowałem tego, czego nie mogłem znaleźć.

Potem rozległo się westchnienie. Słońce wynurzyło się zza horyzontu i stojący obok niej cień padł na ziemię, wydłużając się coraz bardziej, aż wreszcie zmienił się w długi, czarny, samotny drogowskaz.

\*\*\*

Gwynn obudził się późną nocą. W gardle go piekło. Beth spała głęboko. Wszystkie lampy już się wypaliły, a kotary były zasłonięte, nie widział więc jej twarzy. Wstał i poszedł do pracowni.

Wszystkie sępy spały na podłodze. Gwynn przyjrzał się chimerom w żółtym blasku nocy. Próbował zobaczyć w nich tylko śmierdzące bożki, farsowe dziwolągi stworzone przez obłąd, lecz oczy odmawiały mu posłuszeństwa. Zupełnie jakby coś przeobraziło jego zmysły - wzmocniło je albo uszkodziło, nie potrafił tego określić - dostrzegał w nich nagie teofanie, inteligencje wolne od ograniczeń śmierci i nieporównanie przerastające ludzi.

Próbował sobie wyobrazić akt stworzenia, który doprowadził do ich powstania, nie

potrafił jednak dokonać tej sztuki. Czekał, aż naprawiony dwugłowiec - albo jakiś inny stwór - przemówi, ale żaden z nich tego nie uczynił. Przyszło mu do głowy, że nie mogą tego zrobić, gdy ich kreatorka śpi.

Przypomniał sobie opowiedzianą przez Beth historię o diabluku w skrzynce. Zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby w pełni przyjął jej zaproszenie. Gdyby został dłużej, spał dłużej. W jakim świecie by się obudził i jakie miejsce by mu w nim przypadło? A także, czy nadszedłby dzień, w którym jego świadomość stałaby się zależna od jej świadomości?

Podszedł do trapezowego okna i stał przy nim przez długi czas. Myślał o umarłych, zastanawiał się, gdzie mogą być.

Na koniec, pozbawiony drogowskazu dla swych pożądań, postąpił zgodnie z własną naturą.

# DWADZIEŚCIA

Chmury oberwały się, uwalniając najstraszliwszą ulewę w tym roku. Nadrzeczne budynki zalala woda, a te o bardziej wątej konstrukcji zostały zmyte do rzeki i odpłynęły z prądem.

Nic jednak nie mogło powstrzymać nieustannego ruchu w interesie. Gwynn miał się spotkać ze Spiczastym Jasperem i dostarczyć broń pułkownikowi. Wstał późno i celowo przeciągnął posiłek w barze na Paradzie Tourbilliona. Pochłonał sadzone jajka, pasztet z węgorka oraz gofry z mango i bitą śmietaną. Był głodny jak wilk. Podczas posiłku przeczytał od deski do deski *Chór poranny*. Nigdzie ani słowem nie wspomniano o Elmie ani o Rogowym Wachlarzu. To było niezwykle. Na pierwszej stronie zamieszczono artykuł o krokodylu, który przedostał się do łazienki w wybudowanej na szczycie wzgórza willi rodziny z towarzystwa. Na stronach poświęconych modzie opisywano nowy wynalazek, chemiczny jedwab o dźwięcznej nazwie „ksefron miedziowy”. Gwynn pożyczył ołówek od kelnerki i spróbował rozwiązać krzyżówkę na stronie z łamigłówkami. Zdołał odgadnąć połowę haseł. Uznał, że to niezły wynik, jak na cudzoziemca.

Po celowo przedłużonym posiłku dosiadł konia i pojechał na nabrzeże, przy którym cumowały łodzie Rogowego Wachlarza. Czekali już na niego Jasper i Spindrel. Słońce było zaledwie bladym wirem wśród deszczowych chmur, które przesłaniały całe niebo, spowijając miasto i rzekę gęstą białą mgłą. Inne statki było widać wyłącznie dzięki latarniom oraz czarnym kłębowi dymu buchającym z kominów. Nawigacja byłaby zupełnie niemożliwa, gdyby pogoda nie zmniejszyła znacznie ruchu na rzece.

Pod pokładem panował taki upał, że wszyscy trzej mężczyźni rozebrali się do pasa.

Tarfid, przebywający w piekle maszynowni, pracował w samych kalesonkach. Gwynn zapalił z przyzwyczajenia, ale było za gorąco i w efekcie papieros wypalił się sam.

Głowę wypełniała mu niejasna pustka, czuł się jak gość na kończącym się przyjęciu. Zagubiony w myślach, które zawracały i krzyżowały się ze sobą, jak ścieżki ślepych odkrywców, omal nie przegapił przystani „Majestica”. Lamp przeciwmgłowych na obu jej końcach nie zapalono. Gwynn zaklął, odciął dopływ pary i uruchomił syrenę, wydobywając z niej długi, gniewny ton. Rzeka wezbrała tak bardzo, że fale niemal sięgały pomostu. Spindrel przywiązał cumę, a Gwynn i Jasper wdziali ubrania. Polecili Spindrelowi wezwać ich syreną, gdyby miał jakieś kłopoty, po czym wyszli na pomost i ruszyli przez trawnik w stronę hotelu.

Gdy byli już blisko, Jasper przesunął językiem po barokowych zębach.

- To powietrze... - mruknął.

Gwynn pociągnął nosem i również to poczuł: we mgle unosił się znajomy odór śmierci.

Zastanawiał się, co znajdą tym razem.

W hotelu panowała osobliwa cisza. Choć na dole i w niektórych oknach na górze paliły się światła, pod werandą nie było tragarzy ani strażników, ze środka nie dobiegały też dźwięki muzyki.

Gwynn i Jasper weszli na werandę, kierując się ku drzwiom. Gwynn przyłożył oko do jednej z szybek i wyciągnął rewolwer z prawej kabury. Widział przez szkło słaby zarys biurka recepcji, powinni tam się jednak kręcić goście i pracownicy hotelu, a on nie dostrzegł żadnych ruchów. Potrząsnął głową i na ten znak Jasper również wyciągnął broń. Obaj obeszli budynek. Na zapleczu było równie cicho, jak przy wejściu frontowym.

Gwynn zatrzymał się bliżej drzwi.

- Drugi - powiedział Jasper.

- Dziękuję, kochanie - mruknął Gwynn. Otworzył drzwi i wcisnął się plecami w ścianę, gotów strzelać albo uciekać. Nic się nie wydarzyło. Doszedł do wniosku, że atak mu nie grozi, obrócił się powoli i zajrzał do środka.

Na podłodze ujrzał przyczyny ciszy, smrodu i nieobecności personelu, spoglądające nań pustymi oczami. Światło żyrandoli padało na trupy kilkunastu strażników, służby, a także ludzi w mundurach organizacji pułkownika Brighta. Większość zastrzelono, ale paru zakłuto bądź zatłuczono na śmierć.

Gwynn i Jasper wymienili spojrzenia. Bez słowa ruszyli zbadać pomieszczenia na parterze. W holu i w jadalni znaleźli kolejne trupy pozbawione broni i kosztowności. Z niektórych zdarto część lub całe ubranie. Między ludźmi pułkownika leżeli też cywilni goście,



ale nie było ich dużo. Podczas monsunu niewielu ludzi podróżowało, a łodzie wycieczkowe nie kursowały w ogóle. Gwynn rozpoznał w większości ofiar stałych mieszkańców „Majestica”.

W kuchni znaleźli około dwudziestu zamordowanych pracowników hotelu oraz niezwyklego trupa. Mężczyzna był niemal zupełnie nagi, a w twarz miał wbity tasak. Ramiona zdobiły mu rytualne geometryczne blizny wojownika Iko.

Gwynn trącił go stopą.

- Tu karta się odwróciła - mruknął.

- Jedna karta, ale gdzie pozostałe? - odparł Jasper. - Jeśli tylko jeden z nich miał pecha, trudno uwierzyć, by zostawili tu trupa.

- Może po prostu o nim zapomnieli?

- A może to zmyłka. Winni mogą być Siba.

Jasper wessał powietrze przez zęby.

Poszli na dół, sprawdzić piwnicę. Drzwi były otwarte i znaleźli tam więcej ciał, ale nie było wśród nich Luzan. Jasper otarł czoło.

- Został jeszcze bar - zauważył. - Masz ochotę wypić parę kolejek?

- Z wielką ochotą - zgodził się Gwynn.

Wrócili na górę i skierowali się do baru na parterze. Były tam dwuskrzydłowe schody z ciemnego drewna o szybkach z zielonego, matowego szkła, zapowiadające oazę spokoju dla mężczyzn, daleką od bieli i kryształu wypełniających resztę hotelu.

Spiczasty Jasper otworzył szeroko drzwi.

I cofnął się o krok.

- Święty...

Gwynn zamarł w bezruchu.

- Dla kogoś z pewnością.

Musiał przyznać, że sprawcy masakry nieźle się postarali. Czterdziestu, może pięćdziesięciu zabitych, głównie ludzi pułkownika, lecz również paru kelnerów, kilku strażników i muzyków, ułożono na podłodze w asymetrycznym, lecz z pewnością zaplanowanym, linearnym wzorze, utrzymanym w tym samym stylu, co tatuaże na skórze zabitego Iko. Stoliki w barze usunięto na bok i ustawiono pod ścianami, żeby zrobić miejsce na asambłaż.

W jego środku ustawiono w trójkąt trzy wysokie lampy. Zdjęto z nich abażury, zastępując je głowami pułkownika Brighta, kaprała Joina oraz trzeciego mężczyzny. Gwynn widział go kilkakrotnie i rozpoznał w nim kupca kierującego drugą częścią biznesu

Rogowego Wachlarza. Bez względu na to, jak obecnie przebiegała wojna w Luzie, intruzi najwyraźniej nie byli już tam mile widziani.

Jasper ściągnął z pała głowę pułkownika. Popatrzył na nią z niesmakiem, a potem cisnął na drugi koniec pokoju. Odbiła się od ściany i potoczyła pod bar.

Jasper stanął na środku pomieszczenia i spojrzął na Gwynna.

- To już chyba koniec - stwierdził.

Gwynn musiał się z nim zgodzić. Jeśli Elm wróci do zdrowia, może zdoła odbudować interesy Rogowego Wachlarza, ale to wymaga czasu i nie będzie mógł płacić pensji ludziom takim jak oni.

Jasper podszedł do baru i nalał sobie kolejkę. Gwynn zrobił to samo.

- Za nieobecnych przyjaciół - wznosił toast.

- Za nieobecnych przyjaciół - powtórzył Jasper i stuknął się z nim kieliszkiem.

Wypiwszy połowę butelki brandy, wybrali się na piętro. Na schodach i na górze leżały kolejne trupy, ale nie znaleźli już artystycznych układów ani kolejnych Luzan. Gwynn nadal uważał, że zabrali swych zabitych ze sobą, przyznawał jednak, że wszystko jest możliwe. Nie obchodziło go to zresztą zbytnio.

Apartament pułkownika Brighta doszczętnie ograbiono. Niemal nic nie ocalało. Obraz przedstawiający rycerza i kobietę leżał na podłodze, pocięty na paski. W miejscu, gdzie przedtem wisiał, w ścianie znajdował się kwadratowy otwór. Z pewnością wyjęto stamtąd sejf. Na biurku leżało kilka dokumentów. Żaden nie wyglądał na szczególnie ciekawy, ale Jasper i tak je zabrał. Sprawdzili pozostałe pokoje na pierwszym i drugim piętrze, ale nie znaleźli nic poza kolejnymi pomordowanymi żołnierzami i gośćmi.

Opuszcili hotel drzwiami frontowymi i wrócili na pokład. Jasper opowiedział o wszystkim Spindrelowi, Gwynn zaś skierował stateczek w stronę Ashamoil. W połowie drogi przestało padać, ale nie zwiększył prędkości. Jego dwaj towarzysze nie skarżyli się na to. Nie mieli do czego się śpieszyć.

Gdy w końcu dotarli do miasta, promienie zachodzącego słońca nadały Skamandrowi rdzawą barwę, a krokodyle gromadziły się już na wieczorną ucztę przy pomostach. Sam Skręcacz nie przyjął wieści filozoficznie. Kiedy przestał wrzeszczeć, osunął się na krzesło, pytając nerwowo, jak o tym powie Elmowi.

Gwynn zaproponował, że on to zrobi. Trzej towarzysze spojrzeli nań pytająco.

- I tak powinienem tam zajrzeć, żeby sprawdzić, czy pani doktor nie wykopała naszego szefa na ulicę.

Spiczasty Jasper sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, nie zrobił tego jednak.

Sam wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Wychodząc, Gwynn usłyszał histerycznie brzmiący głos Spindrela:

- I co mamy teraz zrobić?

- Zmiatać stąd - odpowiedział Jasper.

\*\*\*

Raule z namysłem obracała mały instrument w palcach prawej dłoni, podziwiając jego miniaturowy, śmiesznie filigranowy kształt. Potem przeniosła spojrzenie na nieprzytomnego mężczyznę leżącego na stole operacyjnym.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu twego syna - zaczęła, pochylając się nad twarzą pacjenta. - Nie mogłam mu pomóc. Jego choroba nie miała nic wspólnego z raną. To był pasożyt, robak Margoyla. Sekcja to potwierdziła. Jaja z reguły znajdują się w ślinie i pozostają bezpiecznie uspione, ale kiedy dostaną się do krwi, robaki wykluwają się i mnożą jak szczury, atakując narządy wewnętrzne. Choroba jest niemal w stu procentach śmiertelna. Jeden z objawów wygląda tak, że mocz robi się czarniawy, a stolec żółty. Gdy zwrócono moją uwagę na te symptomy, wyjaśniłam twojemu synowi, co mu się stało. Kiedy sobie uświadomił, że zapewne umrze, opowiedział mi o pewnym czynie, którego dokonał na twój rozkaz. Mówił, że skaleczył się przy tym w palec, ale rana była płytka i niemal jej nie zauważył. Nawet drobne skaleczenie jest jednak dla robaków szeroko otwartą bramą. Powinnam też wyrazić żal, jeśli chodzi o twoich zbirów. Wiem, że wykonywali tylko swoją robotę, ale to samo można powiedzieć o mnie. To się nazywa chirurgia, sztuka usuwania z organizmu chorych, zezłościwiałych i martwiczych tkanek. W tym przypadku ty jesteś taką tkanką.

Gdy sobie uświadomiła, że Elei umiera, nie sprawiło jej trudności przygotowanie dwóch strzykawek, a następnie, przy pomocy dyżurnej siostry, zaaplikowanie zastrzyków obu ochroniarzom. Dawka morfiny była tak wielka, że mogłaby powalić konia. Z Tackiem i Snapperem poradziła sobie bardzo skutecznie.

Elm nawet nie zauważył, że bliźniaki zasnęły przy kartach. Był zbyt zajęty oglądaniem barwnych snów.

O ile Raule potrafiła to ocenić, Elm rzeczywiście kochał syna. To jednak nie wystarczało, by ją wzruszyć.

- Zwierzęta również dbają o swoje młode, prawda? Nie ma w tym nic więcej -

powiedziała do siebie. - Ile naprawdę może ważyć na szalach cnoty miłość do własnego dziecka? Z pewnością tylko miłość do obcych liczy się naprawdę.

Rzecz jasna, nie było w tym żadnej pewności. Raule zdawała sobie sprawę, że widmo jej sumienia nie jest w stanie zastąpić autentyku. Z drugiej jednak strony zdolność dokonywania moralnych osądów bez ulegania opartemu na niepewnym gruncie emocji sumieniu również miała swoje zalety.

- Zło rozkwita, ponieważ dobrzy nie są wystarczająco dobrzy - wyszeptwała. - A czasami im również trafiają się złe dni.

- Tak też myślałem, że ufając ci, postąpił naiwnie. Uniosła spojrzenie i zobaczyła Gwynna, który wszedł bezgłośnie do sali. Nie odezwała się do niego.

- Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku - oznajmił, spoglądając jej w oczy. Skrzyżował ręce na piersi, trzymając dłonie blisko broni. - Widzę jednak, że potrafisz zadbać o siebie. - Zerknął na leżących na podłodze Tacka i Snappera. - Czy jeszcze żyją?

- Na razie - odparła. - On jednak... - Wskazała na Elma. - To prostak i ignorant, Gwynn. Nie warto służyć takiemu panu.

- Znam jego charakter. Wszyscy czasem bywamy prostakami i ignorantami. Powinnaś się dowiedzieć, że Rogowy Wachlarz tak czy inaczej jest skończony. Nie wątpię jednak, że twoja pogarda jest sprawiedliwa. Zrób z nim, co chcesz.

- Dziękuję za pozwolenie - odparła z sarkazmem w głosie.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie powinnaś się też dowiedzieć, że już mnie nie zobaczysz. Od chwili przybycia do tego miasta przestaliśmy się lubić, ale mam nadzieję, że zdołamy się rozstać bez obelg.

Raule zastanowiła się nad jego słowami i ku swemu zaskoczeniu skinęła głową.

- Jeśli nie jesteśmy już przeciwnikami - zgodziła się ostrożnie i wyciągnęła doń rękę, tę, w której nie trzymała instrumentu.

Uścisnęli sobie krótko dłonie.

- Staraj się unikać kłopotów, rewolwerowcu - rzekła bez uśmiechu.

- Ty również, pani doktor. Przynajmniej po dzisiejszym dniu.

Tak się rozstali.

Gdy Raule została sama, wzięła się do roboty. Nie trwało to długo. Skończyła, umyła ręce i wróciła do gabinetu, by napisać starannie sformułowaną rezygnację. Zakleiła kopertę i zostawiła list na biurku. Potem zeszła do laboratorium, spojrzeć po raz ostatni na swą kolekcję potworów. Szczególnie uważnie przyglądała się krokodylowemu dziecku. Omal nie zabrała go ze sobą, doszła jednak do wniosku, że jego miejsce jest w Ashamoil, i zostawiła je

na półce.

\*\*\*

W ciągu trzech następnych dni Gwynna widywano w różnych niezwykłych miejscach w mieście. Zaskakiwał ludzi w podmiejskich salach balowych i pijalniach dżinu na poddaszach. Zauważono, że często ogląda się, jakby podejrzewał, że ktoś go śledzi. Wiele czasu poświęcał na czyszczenie rewolwerów i nigdy nie spał.

W końcu jednak postanowił wrócić z dobrowolnego wygnania i odwiedzić mansardę Beth. Obawiał się, że zachował się przewrotnie, wychodząc niepostrzeżenie. Wyobrażał sobie, że nie zdobędzie się na opuszczenie miasta, jeśli ona w nim zostanie. Dlatego miał nadzieję, że ją tu znajdzie, śmiało marzył, że zmieniła się z powrotem w kobietę, z którą spędził tak wiele dni i nocy, pogrążony w szczęśliwym lenistwie. Nadal trwała przerwa w opadach deszczu i powietrze przerodziło się w gorącą, niemal niezdarną do oddychania zupę. Kary rumak Gwynna przedzierał się przez nią, zwieszając nisko łeb i tocząc pianę, jakby ciągnął straszliwie ciężki wóz.

Okna na poddaszu były ciemne. Gwynn wjechał na podwórko i spojrzał w górę. Drzwi u szczytu schodów były lekko uchylone. Zaplótł wodze na gałęzi jabłoni i wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie na raz. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Popchnął je. W pracowni było pusto.

Sępy, wiszące na ścianach ryciny, prasy, metalowe balie i inne zwykłe w takich miejscach rekwizyty - wszystko to zniknęło. Chimer również nie było. Czuł jedynie zapach wilgoci i kurzu.

Sypialnię także opróżniono. Tylko kominek przepelniały spalone papiery. Gwynn ujął kartę, która nie spaliła się do końca. Pozostał na niej niewielki fragment obrazu: cztery odcinki palców, rozpięta na treliazu gałąź drzewa, linia brzegu. Resztki.

Jego usta wypowiedziały bezgłośnie jej imię.

Na łóżku leżał list. Przeczytał go raz, a potem drugi:

*Twoja nieruchomość była bezruchem chwili niepewności przeciągniętej na lata. Byłeś żalobą po tym, co utracone i nieobecne, i strachem przed stratami, które dopiero nadejdą. Bywałeś niekiedy wcieleniem fascynującego okrucieństwa i wyczerpania. Twoje spojrzenie miało moc obrócić mnie w kamień, ale moje władało mocą zwierciadła. Nasze drogi się rozchodzą. Ja*

*zmierzam ku niebu, Ty na powierzchnię.*

Poniżej znajdował się szkic, namalowany grubą kreską przy użyciu tuszu. Przedstawiał sfinksa wylegającego się na dywanie z kamieni i pnączy. Kobieca twarz była odwrócona w trzech czwartych, kierowała spojrzenie ku czemuś znajdującemu się poza obrazem. Wyrażała zachwyt, jakby istota dostrzegła coś bardziej intrygującego niż ona sama. Poniżej znajdowała się druga część tekstu:

*Pozostaje tylko osuszyć skrzydła w nowym powietrzu i pożegnać się z moim przyjacielem, wężem, nim zapomnę formy języka, które rozumie. Nad rzeką szumi rozświetlony słońcem wiatr. Czuję się podekscytowana jak mała dziewczynka, choć przecież nigdy nie byłam młoda. Za chwilę wskoczę na swój trapez i odlecę ku morzu, oceanowi oraz wielkiemu światu za murami. Jedną zagadkę zostawię, by ją rozwiązał, jeśli potrafi: gdzie był mój kokon?*

Gwynn pobiegł do pracowni. Z trapezowego okna wyjęto szkło. Farba na parapecie była podrapana, pokryta głębokimi rysami. Można by uwierzyć, że to ślady pazurów.

Pochylił twarz nad parapetem i powęszył, starając się poczuć jej zapach, ale bez skutku. Przeklął bezgłośnie swe człowieczeństwo, żałując, że nie ma zmysłów zwierzęcia. Wychylił się na zewnątrz, spoglądając w dół.

Na pnączach porastających ścianę coś wisiało. To było jajo, które dał jej tak dawno temu. Pokrywające je barwniki wyblakły na słońcu. Wyciągnął rękę i uniósł je. Było mokre, zimne i trochę miękkie.

Zastanawiał się, czy go nie rozbić, by się przekonać, jakiego rodzaju stworzenie siedzi w środku. Możliwości były niezliczone, ale tylko do chwili, gdy zniszczyłby skorupę i poznał prawdę.

Odłożył jajo z powrotem na parapet.

- Pani, czyż nie zatonałem w tobie niemal na śmierć? - wyszeptał. - Czy znalazłaś sobie inną muzę, jakąś bardziej uniwersalną i zmienną zjawę? Czy jestem jedynie pozostałością?

W jego głowie zrodziła się oszałamiająca myśl: Beth zabrała jakąś jego część, być może najlepszą, zostawiając jedynie tę mniej godną wersję jego osoby, która będzie się wahała między pobudkami płynącymi z nudy i pożądania, aż wreszcie spotka ją nieunikniony rozpad.

Osunął się na parapet. Z oczu popłynęły mu łzy.

I nagle...

Był na dole, dostrzegał go załawionymi oczyma. Kołysał się na lekkim wietrze.

Długi rudy włos.

Jego koniec zaczepił się o pnącze nieco poniżej okna. Wiatr w każdej chwili mógł go porwać.

Gwynn wychylił się niebezpiecznie daleko, wyciągając ręce, ale nie zdołał dosięgnąć włosa, który po chwili odleciał z wiatrem.

Powiew jednak uniósł go wyżej i urękawicznione palce Gwynna zacisnęły się na nim.

Włos zwisał w jego dłoni, kołysał się na jego oddechu, kurcząca się spirala, ogniste dążenie, bezgłośna harmonia meteoru, szyfr bez rozwiązania, rozpustna tancerka.

Co miał z nim zrobić? Oprawić w medalion i oglądać od czasu do czasu, jak to zrobił z ryciną?

Wtem nawiedziła go niepowstrzymana myśl, że włos jest nasycony mocą, że giętka nie zawiera esencję Beth. Uniósł go do ust, zwinął między językiem i zębami, a potem połknął.

Wziął sobie przynajmniej tyle z niej, a także list, jako dowód, gdyby kiedykolwiek miał zwątpić, że naprawdę znał jego autorkę.

\*\*\*

Wujek Vanbutchell był w domu. Otworzył mu z niezwykłą dla siebie szybkością, ubrany w swój kostium złożony ze smokingu i piżamy. Na pytanie, czy ma jeszcze „Morza Księżyca”, odpowiedział, że zachował niewielki zapasik. Zostawił Gwynna i po chwili wrócił z fiolką. Wręczając mu ją, powiedział, że trzy krople będą bardzo adekwatną dawką.

- Przyjemnie było mieć cię za klienta - oznajmił łagodnym tonem alchemik. - A przynajmniej korzystnie - dodał, gdy Gwynn oddalił się poza zasięg słuchu.

# DWADZIEŚCIA JEDEN

Wielebny opuścił Żółty Dom. Dręczony poczuciem winy, napawał się wspomnieniem dziewczyny imieniem Onycha, która miała talię otoczoną gładkim, mosiężnym gorsetem, a szyję wydłużoną za pomocą pierścieni wykonanych z tego samego materiału. Kapłan szedł do Feniego. Posuwał się naprzód powoli. Marynarkę i kamizelkę miał rozpięte, lecz i tak sapał i dyszał. Czuł też, że jego serce pompuje krew z wielkim wysiłkiem. Gdy dotarł do bistra, poczuł potężną ulgę. Omal nie wbiegł do środka przez zasłonę z pomarańczowych paciorków.

Z wielkim zdumieniem ujrzał wewnątrz swego adwersarza. Gwynn siedział za stolikiem w rogu, pochylony nad dzbankiem do herbaty. Włosy opadały mu na twarz i wydawało się, że nie zauważył przybycia kapłana. Wielebny nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział Gwynna u Feniego poza umówioną porą ich spotkań w croale.

Wielebny zamówił „Czarny Kordiał”, jak zwykle.

- Niech będzie cała butelka - dodał, spoglądając na Gwynna.

Feni wzruszył ramionami, otworzył butelkę i wręczył ją kapłanowi, po czym wskazał głową na Gwynna.

- Twój przyjaciel siedzi tu już od dłuższego czasu. Ma potężny odlot.

- Nic dziwnego, w końcu to ćpun.

- Mógłbyś go przekonać, żeby poszedł do domu, wielebny - zasugerował Feni. - Ale z drugiej strony, możesz tu zostać i pić, żeby się przekonać, który z was umrze pierwszy. Postawiłbym na niego, ale nigdy nie wiadomo.

- Przepraszam, umrze?

- No wiesz, zejdzie z tego świata. Zgaśnie. Kopnie w kalendarz - uściślił Feni.



- Dlaczego któryś z nas miałby umierać? - zainteresował się wielebny.

Feni wskazała głową na swą siostrę i jej przyjaciółki, które siedziały za stolikiem, pogrążone w hałaśliwej rozmowie.

- Karty mojej siostry mówią, że dzisiejszej nocy ktoś wyzienie ducha w moim lokalu, a one nigdy się nie myślą. Myślałem, że to będzie twój przyjaciel, ale skoro się zjawieś, to możesz być ty. Być może niebo wezwie cię dziś do siebie, hę?

- Niebo zapomniało już moje imię, Feni. A może to ty umrzesz? Przyszła ci do głowy taka ewentualność?

Kapłan położył pieniądze na kontuarze i odwrócił się, słysząc za sobą głośnie prychnięcie barmana. Podszedł z butelką do stolika Gwynna. Jego adwersarz uniósł powoli głowę, ukazując obraz niezwykle w jego przypadku zaniedbania. Twarz miał nieogoloną, włosy nieuczesane, a oczy wyglądały bardzo niepokojąco. Białka przybrały barwę fuksji, a źrenice skurczyły się bardzo, osamotniając jasne tęczęwki, które wyglądały jak dwie meduzy unoszące się w krwawych sadzawkach.

Rozciągnął usta w przerażającym uśmiechu.

- Siadaj, ojciec - rzekł, wskazując bezwładną dłonią przeciwległe krzesło. - Proszę.

- Co ci spędza sen z powiek, mój synu? - zapytał wielebny, siadając na wskazanym miejscu.

- Głosy przekupniów. Szczekanie psów. Syreny statków. - Gwynn zakasłał. - Wybacz, że jestem dziś niezdrow. To szczególna okazja.

- Co za okazja?

Gwynn sięgnął po stojącą na stoliku fiolkę i wytrząsnął do herbaty sporo kropli. Przechylił miseczkę i pociągnął łyk.

- Wróciłem do kawalerskiego życia. Beth odeszła. Nic mi nie zostało.

Wielebny uniósł butelkę do ust, ale nagle ją odstawił. Choć raz zapragnął być trzeźwy. Miał dla Gwynna odrobinę współczucia, przede wszystkim jednak cieszył się, że dopadł przeciwnika w chwili, gdy jest zupełnie bezbronny. Kapłan doszedł do wniosku, że to dla niego szansa, która może już się nie powtórzyć. Mógł zwabić Gwynna na ścieżkę wiary. Ogarnęło go podniecenie. Natychmiast zaczął się modlić:

*O Najwyższy Boże, skrusz to, co zostało z rozumu tego człowieka. Ty, czyja słodycz jest ekstazą, czyj oddech jest wonią perfum i hukem gromu, ukaż się jako najwłaściwszy obiekt wszelkich tęsknot. Przybądź do owej duszy, która leży w swym namiocie jałowości, pozbawiona wszelkiej wiedzy o Tobie. Potem bądź żarliwy i nie wahaj się uderzyć swymi gorejącymi ustami. Uderz szybko, by zadać cudowną i chwalebłą ranę błogosławieństwa. Nie*

*pozwalaj, by powalony odzyskał rozsądek, który kazał mu dotąd podążać ścieżką błędu!*

Przemawiając w ten sposób do swego nieobecnego bóstwa, wielebny gapił się jednocześnie z uwagą na adwersarza, próbując ustalić, czy jego wysiłki przynoszą jakikolwiek rezultat.

Gwynn odstawił miseczkę i wyprostował się nieco. Potem, bardzo powoli, odchylił głowę do tyłu, kierując wzrok ku niebu. Na ten znak serce wielebnego zabiło gwałtownie.

- Co widzisz?! - zawołał, nie mogąc się powstrzymać.

Gwynn zmarszczył brwi, jakby próbował coś wypatrzeć. Kapłan czekał, wstrzymując oddech.

Po chwili Gwynn spojrział z powrotem na niego.

- Nic nie widzę - odparł, wykrzywiając twarz w grymasie dogłębnego niesmaku. Postukał palcem w fiolkę. - To świństwo nieraz już dawało mi delirium lepsze od przeciętnego, ale dzisiaj, nieważne ile bym połknął, widzę tylko publiczne ściany świata. Zaczynam się zastanawiać, czy ten cholerny stary skurczybyk nie sprzedał mi jakiegoś innego płynu. To równie dobrze mogłyby być małpie szczyny.

Dogłębnie rozczarowany kapłan oklapł na krześle. Nie zamierzał jednak dać za wygraną. Gwynn pogrzyżył się w apatycznym milczeniu, wielebny zaś planował nowy atak.

- No dobra, znowu spójrz w górę - odezwał się, gdy był już gotowy.

- A po co?

- Jeśli nie spróbujesz, nigdy się tego nie dowiesz.

Gwynn uniósł spojrzenie, z miną sugerującą, że boleśnie nadużyto jego tolerancji.

Tym razem w powietrzu nad nim unosiło się oszałamiająco piękne oblicze przesycone nadludzką inteligencją. Twarz była jednocześnie kobieca i męska, dojrzała i młodzieńcza, poważna i wesoła, mroczno tajemnicza i płonąca namiętym zainteresowaniem, przed którym nic nie było osłonięte. Mądre, dumne usta uśmiechały się. W dół spływała woń kadzidła i goździków. W powietrzu obok twarzy pojawiła się dłoń o skórze złożonej z setek błyszczących klejnotów. Ścisnęła złote berło. Uniosła je wysoko, a potem zaczęła opuszczać wdzięcznym łukiem.

Gwynn uchylił się odruchowo i wyciągnął rewolwer.

- Hej! - zawołał stojący za barem Feni. - Co ty wyprawiasz?

Nie widział, do czego celuje Gwynn, gdyż wielebny uczynił obraz widocznym jedynie dla swego adwersarza.

Twarz, dłoń i berło zamigotały i roztopiły się w powietrzu.

- Przepraszam - mruknął Gwynn, chowając broń do kabury.

- Dobra, ale pamiętaj, że jak coś uszkodzisz, będziesz za to płacił - ostrzegł go barman.

Gwynn usiadł spokojnie i przez chwilę łypał na wielebnego z podejrzliwością w zamglonych oczach. Kapłan zdyszał się lekko.

- Nic by ci się nie stało, mój synu!

- To był twój bóg, jak rozumiem?

- Całkowicie nieadekwatna imitacja Jedyne Piękna, Niezwycięzonego - odparł skromnie kapłan.

- Szkoda, że nie mam twoich halucynacji, ale gdybym chciał obejrzeć przedstawienie kukielkowe, poszedłbym na jarmark. Bądź tak uprzejmy i nie rób już tego więcej.

- Mój synu...

- Daj sobie z tym spokój, ojcze - poprosił Gwynn ze znużeniem w głosie. - Choć na tę jedną noc zaprzestań prób doprowadzenia mnie do zguby. To ty powinieneś umieć okazać współczucie.

- Właśnie dlatego cię nie porzucę. Popełniłem błąd, myśląc o tym przedtem. Zbyt wiele w ciebie zainwestowałem.

- Obawiam się, że ta inwestycja przyniesie ci tylko straty. Opuszczę miasto, nim nadejdzie pora tego, co nazywają tu świtem. - Gwynn obrócił fioletową perłę w palcach. - Myślałem, że to pokaże mi, dokąd odeszła, ale wygląda na to, że sny robią z nas słabych głupców i ofiary oszustów. Oddaliła się poza wszelkie horyzonty, a ja jestem zmuszony oglądać twoje żałosne przedstawienie. Bez niej nigdy nie będzie prawdziwej magii, jedynie nudny korowód widm. Podejrzewam, że jej ciało i dusza były jednym i dzieliły ze sobą nieśmiertelność. Należeliśmy do różnych gatunków. Ja, niestety, znacznie bardziej przypominam ciebie. Przyznaję, że będzie mi brakowało naszych dyskusji, ojcze. Z większością osób, które ktoś podobny do mnie spotyka w życiu, trudno nawiązać ciekawą rozmowę.

- W takim razie wyruszę z tobą - oznajmił dzielnie wielebny.

- Nie.

- Pojadę twoim śladem. Nie zdołasz mnie powstrzymać.

- Jeśli to zrobisz, zabiję cię przy pierwszej okazji.

- Nie wierzę ci.

Gwynn obrzucił go wyjątkowo złowrogim spojrzeniem.

- Wybaczę ci twoją nieuprzejmość, bo masz nie po kolei w głowie.

Zalewał go pot. To byłoby niesprawiedliwe, gdyby Gwynn postanowił go sprawdzić i nagle wyszedł w chwili, gdy mógł się okazać podatny na łaskę. W ciszy swego umysłu zaczął

się modlić jeszcze intensywniej, nie przestając jednocześnie asekurować się w słowach.

- Pojadę z tobą. Nie boję się ciebie. Zostanę twoim towarzyszem.

- Niedobrze mi się robi na samą myśl.

- Będę twoim przyjacielem.

- Och, daj spokój...

Wielebny obrzucił go pełnym urazy spojrzeniem. Udając obrażonego, skrzyżował ręce na piersiach, ale w duchu nadal odmawiał modlitwy. Zapadła długa cisza.

- Wiesz co - odezwał się wreszcie Gwynn. - W dzisiejszych czasach konwencjonalna opinia głosi, że to światło tworzy cienie. Prawda wygląda jednak inaczej. Ciemność była pierwsza. Jest nieporównanie starsza i trwalsza niż światło. Ono pożyczka tylko przestrzeń na krótką chwilę, a potem się rozprasza albo odchodzi gdzie indziej. Wtedy ciemność powraca, jakby nic jej nigdy nie zakłóciło. Jeśli popłyniesz w dół Skamandra, oddalając się od miasta, będziesz mógł zobaczyć gwiazdy. W bezksiężycowe noce nie widać niemal nic innego, bo cały świat ogarnia pustka. Gwiazdy są bardzo dzielne, skoro nie przestają świecić pośród bezkresnej obojętności, ale są również podstępne. Odrywają nasze spojrzenie od tego, co leży między nimi. Absolutnej pustki. Jeśli prawda rzeczywiście jest tym, co trwa i nigdy nie zmienia swej natury, niebyt jest prawdziwszy od bytu. Gwiazdy z pewnością nienawidzą tego miasta. Ile czasu minie, nim nauczymy się stawiać horoskopy z lamp gazowych?

Gwynn zakończył przemowę z nutą pasji. Nagle zrobił zeza i osunął się na podłogę, spadając na bok.

Wielebny zauważył, że siostra Feniego i jej przyjaciółki wymieniły znaczące spojrzenia. Łypnął na nie ze złością i pochylił się nad leżącym.

- Mój synu?

Gwynn usiadł z drżeniem. Potem się podźwignął i ruszył ku drzwiom na zapleczu, ale minął się z nimi o kilka stóp i spróbował otworzyć ścianę. Kapłan podbiegł doń, przeprowadził go we właściwe miejsce i nacisnął klamkę. Gwynn ruszył naprzód, stracił równowagę i zwałił się na twarz. Z ust wyrwało mu się wulgarne przekleństwo. Spróbował się podnieść, ale w połowie tej czynności osunął się z powrotem na ziemię. Leżał zdyszany w rynsztoku, co w obecnej chwili było dość korzystne, ponieważ dopadły go gwałtowne torsje. Zwracał pozostałości ognia: wilgotny popiół i pył węglowy, potem sól, czarną oliwę, jeszcze czarniejszą smołę, a na koniec porcję rtęci. Dopiero wtedy skurcze żołądka ustąpiły. Wyczołgał się z rynsztoka i znieruchomiał z głową wspartą o mur, a nogami wystającymi do zaułka. Sprawiał wrażenie człowieka porażonego niemocą zarówno fizyczną, jak i psychiczną.

Wielebny przyglądał się temu występowi z konsternacją.

- Trzymaj się, przyniosę ci wody - rzekł i pobiegł z powrotem do Feniego.

\*\*\*

Dostrzegał plamy żółtego nocnego nieba w lukach między chaosem schodów, markiz, kurników i sznurów na bieliznę. Wszystko to chwiało się niczym olinowanie statku kołyszącego się na falach. Gwynn zamknął z niesmakiem oczy. Czaszkę wypełniał mu huk wystrzałów. Wyglądało na to, że amunicji nigdy nie zabraknie.

- Powiedz mi, jaka jest wartość wzniosłości w świecie, którego codziennej rzeczywistości nie sposób już odkupić... Słuchasz mnie, chłopcze?

Mówił jeden z jego dawnych nauczycieli. Siedział w kurniku, zgięty wpół jak człowiek-guma, przyciskając twarz do drucianej siatki.

- Czuję się raczej kiepsko, proszę pana - usłyszał własny głos Gwynn. - Dlaczego nie zapyta pan kapłana?

- Pytam ciebie, chłopcze.

- Nie mam pojęcia. Niech pan mi powie. Albo pana spalę, wyrucham cały pański świat na obie strony, zniszczę wszystko, co pan kocha...

Halucynacja nie potrafiła mu odpowiedzieć, więc zniknęła.

Gwynn podniósł się w takim stopniu, w jakim tylko mógł, to znaczy na kolana. Zastanawiał się z irytacją, kiedy wielebny przyniesie wodę.

Nagle usłyszał czyjeś kroki. Zbliżyły się nie od bistra, lecz z głębi zaułka. Spojrzał w tamtą stronę.

Od nieznanego dzieliło go jeszcze jakieś sto jardów. Mężczyzna był wysoki i szeroki w barach, odziany w długą przeciwdeszczową pelerynę. Gdy podszedł bliżej, zrzucił ją. Był potężnie zbudowany, miał na sobie wyłącznie przepaskę biodrową z tygrysiej skóry. Trzymał w rękach coś, co błyszczało odbitym blaskiem nieba. Gwynn przyjrzał się uważniej i rozpoznał kształt topora.

Strach otrzeźwił go nieco, przywracając mu siłę. Oparł się o ścianę, klęcząc na jednym kolanie. Prawą ręką wyciągnął rewolwer. Złapał go w obie dłonie i odciągnął kurek.

- Ach, to wreszcie ty! - zawołał. - Przekonamy się, jakiego rodzaju zjawą jesteś, zrodzoną w umyśle, czy w świecie zewnętrznym. Pod względem metafizycznym to bardzo istotne pytanie.

Widmo Harta milczało.

Gwynn zaczekał, aż zbliży się na odległość pięćdziesięciu jardów, a potem wystrzelił dwa razy. Jeśli duch mógł zabijać żywych ludzi, być może żywy człowiek mógł też zabić ducha.

Siłacz machnął błyskawicznie toporem, nie zatrzymując się.

Gwynn strzelił po raz trzeci, ale rezultat był identyczny.

Hart był już tak blisko, że Gwynn widział bruzdy na jego twarzy. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, skąd się wzięły. Wycelował w sam środek szerokiej piersi i wystrzelił trzy pozostałe kule.

Siłacz odbił wszystkie toporem.

Adrenalina pomogła Gwynnowi wstać. Cofnął się kilka kroków, wciskając się w ścianę.

- Jest niezła, co? - zapytała zjawą głosem, który zdumiał Gwynna swym zwyczajnym brzmieniem.

- Kto? - zainteresował się Gwynn, próbując zyskać na czasie. Wyjął z pasa nowy bębenek i zastąpił nim stary. W normalnej sytuacji cała procedura zajęłaby mu najwyżej trzy sekundy, jego palce najwyraźniej jednak utraciły pamięć i poruszały się niedbale, jak somnambulicy na namorzynowym bagnie.

- Moja żona. Nazywała się Pearl.

Hart nie przestawał się zbliżać. Gwynn znowu się cofnął.

- Powiedziała mi, kto ją zabił. Załatwię chłopaka i jego ojca, ale najpierw policzę się z tobą.

Gwynn potrząsnął głową.

- Chłopak umarł. Jego ojciec też nie pociągnie już długo. Twoja żona nie żyje i ty również. Wracaj do grobu.

- Moja żona nie umarła, mały człowieku. Trzymam ją w rękach. - Hart ryknął śmiechem. - Ja również żyję. Dałeś się oszukać. Ty jesteś tu jedynym trupem.

- Skoro mówisz, że żyjesz, to ja mówię, że umrzesz - warknął Gwynn, okazując więcej odwagi niż czuł jej w rzeczywistości. Licząc na to, że topór nie zdoła odbić dwóch pocisków jednocześnie, wyciągnął drugi rewolwer i zaczął strzelać z obu luf, tak szybko, jak tylko potrafił, dopóki nie zabrakło mu kul.

Siłacz stał bez ruchu, ale topór wirował jak skrzydła kolibra. Ani jeden pocisk nie zdołał się przedostać.

Hart podszedł bliżej, odwrócił się bokiem i opuścił topór do wysokości bioder, trzymając go równolegle do ziemi, ostrzem w tył.

Gwynn odrzucił bezużyteczne rewolwery i zaczął uciekać. Miał wrażenie, że brodzi we wzburzonym morzu. Jedna z fal zachwiała nim tak potężnie, że omal się nie przewrócił, ale niemal natychmiast druga go wyprostowała.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Szybkość, z jaką poruszała się broń, była niesamowita. Czy to znaczyło, że królestwo cudów nie zniknęło? Gdyby jego poszukiwania tajemnicy i odmiany zakończyły się tym, że odnalazłby je pod postacią zwykłej śmierci, byłoby w tym stanowczo zbyt wiele ironii. Została jednak jeszcze jedna alternatywa: to nie topór był niewiarygodnie szybki, lecz on poruszał się nieprawdopodobnie powoli. Wszystkie jego strzały chybiły, a halucynacje stanowiły jedynie usprawiedliwienie krępującego niepowodzenia.

Wyciągnął Gol'achab i zaczerpnął głęboko tchu.

- Niezła sztuczka - wydyszał. - Jak ona to robi?

- Miłość jest silna - odparł Hart. - I śmierć także.

Zamachnął się toporem.

Gwynn raczej wątpił w szanse sparowania ciosu, nie pozostało mu jednak nic innego, jak spróbować. Uniósł Gol'achab w obu rękach i opuścił ją z szybkością bicia, w pełni się spodziewając, że topór przetnie jego ciało na dwoje.

Okazało się, że jednak powstrzymał cios.

Gdy zadźwięczała stal, Gwynn szarpnął bronią do tyłu i obrócił nagle rękojeść, starając się zahaczyć topór krzywizną szabli. Manewr okazał się skuteczny, co dało mu czas na wyprowadzenie kontrataku.

Skoczył naprzód, wyciągając przed siebie sztych Gol'achab. Była to zmyłka, lecz najwyraźniej skuteczna, bo siłacz uniósł stylisko topora, by zablokować atak, odsłaniając dolną część piersi oraz brzuch. Gdy jednak Gwynn opuścił szablę i spróbował pchnąć przeciwnika w tułów, topór był już na miejscu. Jego uderzenie zablokowało atak z siłą tak wielką, że Gol'achab omal nie wypadła Gwynnowi z rąk. Stracił równowagę i zatoczył się do tyłu. W ostatniej chwili instynkt kazał mu się pochylić i topór przemknął nad jego głową.

\*\*\*

- Kiepsko z nim - powiedział do Feniego wielebny. - Potrzebuję dla niego wody.

- Będę musiał ją zagotować - odparł barman. Zdjął ze ściany żelazny imbryk i odkręcił kran na ścianie. Trysnęła z niego ciecz koloru khaki.

Wielebny skrzywił się.

- Jem u ciebie od lat, Feni. Tylko mi teraz nie mów, że bierzesz wodę z rzeki.

Barman potrząsnął głową.

- Ze zbiornika z deszczówką. Ale jak ci się zdaje, skąd się bierze deszcz?

Zapalił palnik i postawił na nim imbryk.

Nim woda zdążyła się zagotować, na zapleczu rozległy się strzały.

- Wygląda na to, że twój przyjaciel spotkał się z przeznaczeniem - zauważył Feni.

- Nonsens. - Wielebny spojrział na tylne drzwi. - Strzela do zjaw zrodzonych w jego otumanionym umyśle.

Feni wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale słyszę tam dwa głosy.

- Masz głowę pełną przesądów twojej siostry - zadrwił wielebny. Mimo to wstał i podszedł do drzwi. W tej samej chwili usłyszał szcęk metalu o metal i stęknienia wysiłku. To z pewnością brzmiało jak walka. Przypomnił sobie słowa Gwynna, który opowiadał mu o morderstwach. Czy jednak Gwynn rzeczywiście walczył o życie, czy tylko okładał szablą rynnę? Wielebny dotknął klamki, ale nagle się zawahał.

\*\*\*

Topór poruszał się tak szybko albo Gwynn tak powoli, że niemal cały czas musiał się ograniczać do defensywy. Mógł się uchylać, cofać, zahaczać ciężkie ostrze i odbijać jego ataki, ale na tym koniec. Gdy tylko spróbował się przebić przez gardę siłacza, topór go zatrzymywał. Jego taktyka była całkowicie nieskuteczna, jakby walczył z przypiływem albo lawiną. Wielokrotnie nie udawało mu się uchylić na czas i jego ciało pokrywały coraz liczniejsze skaleczenia. Chwiał się na nogach i dyszał, a niestrudzony siłacz wciąż nacierał na niego z twarzą bez wyrazu. Jego oczy wyglądały w półmroku jak dziury w masce. Warstewka potu pokrywająca szeroką twarz sugerowała, że rzeczywiście żyje, niewykluczone jednak, że był tylko biernym narzędziem i to topór nim władał.

Gwynn obawiał się, że wąska klinga jataganu może pęknąć pod uderzeniami ciężkiego oręża. Niewykluczone jednak, że jego nadgarstki złamią się szybciej.

Zablokował skierowane w dół uderzenie, które mogło mu odciąć prawą stopę. Podźwignął szablę z całej siły, przesuwając topór ku górze. Nie przerywając ruchu, uniósł Gol'achab nad głowę, gotowy wyprowadzić atak, który jednak musiał się zmienić w zasłonę, gdyż Hart cofnął się o krok i zakreślił toporem w jednej ręce. Jego manewr był lustrzanym odbiciem ataku Gwynna, ale topór dotarł na miejsce szybciej. Gwynn ponownie sparował



cios, i cofnął się szybko, starając się zyskać choć trochę wolnego miejsca. Topór nie przestawał go ścigać. Przesunął się w lewo, zatoczył Gol'achab kolejny łuk nad głową, przełożył jatagan do lewej ręki i skoczył naprzód, mierząc w skroń siłacza po nieosłoniętej prawej stronie.

W tej samej chwili topór zatoczył kolejny łuk, uderzając poziomo. Gwynn znalazłby się wewnątrz jego kręgu, ale Hart skrócił uchwyt i ostrze trafiło w bok przeciwnika, przechodząc przez mięśnie jak rozgrzany nóż przez masło.

Gwynn padł na ziemię. Z ust wyrwał mu się krótki, ochrypliwy krzyk. Natychmiast spróbował wstać, tłumiąc palący ból, ale stopy zaplątały mu się w długie ostrogi. Potknął się i zachwiał bez cienia gracji. Spodziewał się, że to jego ostatnia chwila, jednak śmiertelny cios nie padł. Uniósł wzrok i zobaczył, że Hart stoi nad nim. Nie śpieszyło mu się.

Gwynn zdołał się w końcu podnieść. Uświadomił sobie, że rana nie jest zbyt poważna. Była za płytka, by mogła się okazać śmiertelna. To była jednak czysto akademicka kwestia. Następne cięcie go zabije, albo to, które nadejdzie po nim. Uświadomił sobie z absolutną pewnością, że, cokolwiek zrobi, nie ujdzie z życiem z tej walki. Mógł jedynie zdecydować, w jaki sposób ją przegra.

Zaczerpnął tchu i spojrzał siłaczowi prosto w oczy.

I wyczytał w nich jedyną drogę, jaka mu pozostała.

Wypuścił z rąk Gol'achab i rozpostarł je szeroko w geście poddania.

Topór imieniem Pearl nie wahał się ani chwili.

\*\*\*

Wielebny uważnie słuchał brzęku oręża i zorientował się, gdy hałas ucichł. Wyteżył słuch, nasłuchując innych dźwięków: krzyków albo odgłosów ucieczki. Słyszał jednak tylko gdakanie kur.

Wziął się w garść, przypomniał sobie, że miał zamiar wyjść, zmusił ręce do otworzenia drzwi, a nogi do wyjścia na zewnątrz.

W zaułku panował spokój. Poza podekscytowanym drobiem nic się tu nie poruszało ani nie wydawało żadnych dźwięków. W niewielkiej odległości od drzwi na ziemi leżały dwie sylwetki. Zawołał Gwynna po imieniu. Żaden z leżących się nie poruszył.

Kapłan popędził w tamtą stronę. Po drodze napotkał wielką kałużę krwi, ale przebiegł przez nią, nie zwalniając kroku. Dotarł do bliższego z leżących i zatrzymał się.

To był Gwynn. Nie żył. Coś przecięło mu lewy bark, docierając do mostka. Szeroko

otwarte oczy wpatrywały się w niebo.

Drugi mężczyzna, leżący obok, żył. Wielebny poznał siłacza z portowego jarmarku. Wielką, niezwykłą broń, którą trzymał w rękach, pokrywała krew. Nie mogło być wątpliwości, co spowodowało śmierć Gwynna.

Siłacz spojrział na kapłana.

- Ona na mnie czeka - wyszeptał. - Nie zostawi mnie tu samego. Wybaczyla mi i teraz mogę do niej pójść. Moja Pearl.

Uśmiechnął się blade i zamknął oczy. Wielebny nie widział na jego ciele żadnych ran. Wyczuł, że dusza się poruszyła, opuściła ciało niczym wyrwany ząb, nie zostawiając nic za sobą.

Wrócił do Gwynna i przykucnął obok niego. Zamknął drżącą ręką powieki adwersarza i przesunął palcami nad jego twarzą, przywołując światło. Jego blask padł na krew, połamane kości oraz niezliczone kwiatki wypełniające ranę.

Kapłan zalał się łzami.

- Tak bardzo mi żal, mój synu - bełkotał. - I to nie tylko dlatego, że utraciłem szansę zbawienia naszych dusz. - Posadził Gwynna, ciągnąc go za kłapy marynarki, i potrząsnął nim mocno. - To niesprawiedliwe! Zaczynałeś się zmieniać! Wiem, że tak było! Czynyłem postępy! Na pewno bym wygrał! Słyszysz? Na pewno bym wygrał!

Przestał potrząsać ciałem, kiedy sobie uświadomił, że dosłownie rozpada mu się ono w rękach.

- Cholera, cholera! - powtarzał wielebny. Przesycająca zwykle jego modlitwy elokwencja opuściła go nagle. - Niech cię cholera weźmie! I mnie też!

\*\*\*

Arktyczny wiatr dał bez przeszkód nad białym oceanem śniegu, który ze wszystkich stron sięgał aż do czarnej kopuły nieba. Na firmamencie widniała biała galaktyka i, wysoko na północy, pokryta dziobami perła księżyc w pełni.

To była krawędź żywego świata, dzień drogi psim zaprzęgiem od końcowej stacji sięgającej najdalej na północ linii kolejowej. Przywiozła go tutaj jedna z młodszych wrózek. Miał osiem albo dziewięć lat. Wsłuchiwał się w głos kobiety, stłumiony przez focze futra.

- Dalej już nie pojedziemy. Tam ciągnie się królestwo umarłych. A gdy żywe słońce się wypali, żywy księżyc ściemnieje i wszystko co żywe przeminie, ich świat będzie jedynym światem i będzie trwał wiecznie. Cały czas jest jedynie łupinką unoszącą się na spokojnym

oceanie. Ta łupinka zawiera wszechświat, miała dzień narodzin i będzie miała dzień śmierci, gdy pochłonie ją ocean i wszystko, co zawierała, zginie, poza tym, co umarli zachowają w swych wspomnieniach.

Spojrzał w tę samą stronę, gdzie ona, ku dalekiemu kresowi tundry, miejscu, gdzie biała ziemia stykała się z przypominającymi płatki śniegu gwiazdami. Wiatr szarpał jego futrem, docierając aż do trzewi. Bolały go dłonie i stopy, oczy i kości twarzy. Każdy oddech, który zaczerpnął, był jak łyk lodu. Nie potrafił powstrzymać dzwonięcia zębów, uśmiechnął się więc, chcąc pokazać wróżce, że drży tylko z zimna, nie z powodu jej nieubłagane smutnych przepowiedni. Uśmiechnęła się, jakby chciała z niego zadrwić, uniosła jednak dłoń obleczoną w rękawicę o jednym palcu i przyciągnęła chłopaka bliżej, by schować go pod swoim futrem. Potem znowu zaczęła mówić. Opowiadała mu historie, w które przestał już wierzyć, ale słuchaniem których jeszcze się nie zmęczył. Mówiła o jego sławnych przodkach, o ich honorowych i haniebnych czynach, ich walkach, zbrodniach i namiętnościach. Usłyszał w jej głosie coś, co później, po wielu latach, miał zidentyfikować jako nostalgię za sprawami, których nigdy nie znała i nigdy nie miała poznać.

Lokomotywa, którą wrócili, wyglądała jak potomek bestii z opowieści wróżki. Siedząc w gorącej, brudnej od sadzy kabinie, słuchał z zainteresowaniem słów maszynisty, tłumaczącego mu, jak funkcjonuje maszyna. Zapamiętał każde usłyszane słowo o rurach, ciśnieniu, zaworach, paliwie i całej reszcie. Wszystko to wydawało mu się cudowne. Gdy wreszcie wrócił do cytadeli i położył się do łóżka, przed zaśnięciem jego umysł wypełniały myśli o wspaniałej lokomotywie i o tym, jak mógłby przekonać tych, którzy decydowali o jego wykształceniu, by pozwolili mu zostać maszynistą. Gdy jednak w końcu zasnął, jego sny nie miały nic wspólnego z tymi chłopięcymi nadziejami. Nie śniły mu się lokomotywy, ani nawet potwory i bohaterowie, lecz stalowe wieże, niebosiężne i puste w środku, połączone ze sobą galeriami, w których świstał żalobny wicher. W tych szybach i korytarzach krążyły białe kruki, tłukące rozpaczliwie o gładkie ściany w daremnym poszukiwaniu drogi wyjścia.

W owym śnie wędrował po całej konstrukcji niczym duch, przenikając swobodnie przez ściany, które powstrzymywały kruki. Teraz jednak wrócił do wież jako człowiek i więzień.

Leżał na dnie szybu o srebrzystych, niemal zwierciadlanych ścianach. Białe kruki i ich odbicia krążyły wysoko nad nim. Spoczywał na plecach, unieruchomiony niewidzialną siłą. Poczł w ustach coś ostrego i uświadomił sobie, że z języka wyrastają mu ciernie. Poza tym, jedynym fizycznym bodźcem, jaki czuł, było skrajne zimno, tak potężne, że żywego człowieka z pewnością by zabiło. Dla martwego było jednak tylko zwykłą niewygodą.

Nie był sam. Wokół zebrali się inni. Najbliżej stał Marriott, a obok niego Hart i jego żona. Dalej przystanął generał Anforth, a przy nim pułkownik Bright, trzymający głowę pod pachą. Byli tam też Łokieć i Biscay, a z tyłu wielu innych. Wszyscy spoglądali na niego z nieskrywaną drwiną.

- W końcu go dorwaliśmy, panie generale - odezwał się pułkownik Bright, spoglądając na generała Anfortha.

- Na wszelki wypadek lepiej palnijmy mu w łeb - zaproponował Anforth. - Kto ma broń?

- Nie ma potrzeby, panowie - uspokoił go Marriott. - Ten, kto zrobi to z prawdziwą finezją, jest już blisko.

Anforth spojrział na zegarek.

- Jeśli wkrótce się nie zjawi, będziemy musieli zorganizować lincz - oznajmił z nutą autorytetu.

\*\*\*

Wielebny ujął prawą rękę Gwynna. W przeciwieństwie do silacza, jego były adwersarz nie umarł szybko. Kapłan wyczuwał w nim jeszcze ducha, trzymającego się uparcie resztek życia.

- Co za sobaczy los - poskarżył się. - Właśnie w tej chwili... czy uwierzyłbyś, że przyszedł mi do głowy dobry argument? Śmiem twierdzić, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli cię z nim zapoznam. Pomyśl: mimo że traktowałeś bliźnich w sposób haniebny, wykazując przerażającą obojętność na ich los, interesowały cię zwierzęta i świat natury. Mógłbym uwierzyć, i uwierzę, by ulżyć sobie na sercu, że zainteresowanie istotami tak bardzo niepodobnymi do ciebie, przynajmniej pod względem fizycznym, to dowód, że ty również tęskniłeś za boskością i postrzegałeś ją we wszystkim, co istnieje. Gdybyś pożył dłużej, z czasem wróciłbyś do domu. Uwierzę w to, przyjacielu.

Wielebny otarł łzy.

- Chwytam się brzytwy, ale przecież zdarza mi się to nie po raz pierwszy. Czyż wszyscy wierni nie muszą tak postępować? Ty również łaknąłeś nieskończoności. Muszę uwierzyć przynajmniej w to. Ty również pragnąłeś owej nienazwanej rzeczy, którą ludzkie serca utraciły i nie przestają jej oplakiwać. Nasuwa mi się myśl, że w moim rozumowaniu tkwił błąd. Nie czujemy nieobecności Boga, lecz nieobecność wszystkiego, co Bóg utracił, co oddzieliło się od niego i odmawia powrotu, sądząc, że zostało wgnane.

Wielebny uświadomił sobie, że gada od rzeczy. Ucichł nagle i przez chwilę ścisnął w milczeniu dłoń Gwynna. Czuł, że dusza konającego trzyma się uparcie ciała. Z pewnością bała się je opuścić i stawić czoło przerażającemu losowi, jaki ją czekał.

- Wiem, że nadal tu jesteś - podjął po chwili kapłan. - Zdajesz sobie sprawę, że jeśli nie odejdziesz dobrowolnie, będę musiał cię wygnać? Gdyby coś z ciebie zostało w tym świecie, niechybnie spowodowałoby kłopoty. Ale nie musimy się śpieszyć. Zaczekajmy.

Znowu musiał otrzeć oczy. Wyczarował w ustach zapalonego papierosa i zaciągnął się mocno.

- Paskudnie się porobiło, co? Ciekawe, czy mnie słyszysz. Jest pewna historia, z którą powinienes się zapoznać. Być może należało ci ją opowiedzieć już dawno temu. Wtedy jednak uważałem, że przyjmiesz ją z cynizmem. Nadal sądzę, że tak byś zrobił, gdybyś żył. Niewykluczone jednak, że teraz patrzysz na wszystko z innej perspektywy. Mój synu, muszę aż do samego końca próbować skłonić cię, byś wyraził skruchę, uwierzył i poddał się woli Boga. Nadal jeszcze możesz uniknąć wpadnięcia w czeluść niewybranych.

Wielebny przerwał, by strzepnąć popiół na ziemię.

- Widziałeś moje małe magiczne sztuczki i, być może słusznie, wątpieś, by były znaczącym dowodem na istnienie bożego majestatu. W młodym wieku dysponowałem jednak mniej frywolnymi talentami. Gdy Bóg się do nas zbliża, możemy dokonać niezwykłych rzeczy, a ja byłem bardzo blisko Boga. W dzisiejszych czasach Kościół uważa ten temat za raczej wstydlivy. Rozumiesz, specjaliści od papierkowej roboty i czystych ław wołają, by Bóg nie zbliżał się do nich zbyttnio. Najwyższa moc stanowi zagrożenie dla moralności publicznej. Być może trzeba było się uciec do tego argumentu. Zapewne przyjąłbyś go przychylnie. Zbaczam jednak z tematu, a nie mamy na to czasu, prawda? Bóg kazał mi zamieszkać wśród trędowatych i dotykać ich, by dręcząca ich choroba przeszła na mnie. Potrafisz sobie wyobrazić, co się zaczęło wtedy dziać? Cuda, mój przyjacielu, cuda!

Wielebny poczuł, że nagle zaschło mu w gardle. Doszedł do wniosku, że ma jeszcze czas wrócić do Feniego po butelkę.

- Nigdzie nie odchodź, mój synu - ostrzegł Gwynna. - Idę po małego klina.

\*\*\*

Gwynn spoglądał na gapiących się nań ludzi. Rozmawiali ze sobą w języku, którego nie rozumiał. Od czasu do czasu któryś z nich wskazywał na niego i w tłumie rozbrzmiewał gniewny pomruk.

Wielebnego nie było obok niego, ale Gwynn słyszał jego głos.

Bał się tego, co się z nim stanie, bał się bardziej niż kiedykolwiek. Zachwiał się nagle.  
Duma go opuściła.

- Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie tutaj - błagał, z trudem poruszając ciernistym językiem.

# DWADZIEŚCIA DWA

Kapłan wrócił z butelką w ręku i ponownie przykucnął obok ciała Gwynna.

- Przyszło mi do głowy - przemówił do byłego adwersarza - że choć rozmawialiśmy ze sobą tak często, nigdy się razem nie upiliśmy. To wielka szkoda.

Wypił łyk i pociągnął nosem, by stłumić łzy.

- O czym to mówiłem? Aha, brałem na siebie ból innych. Chorych, kalekich i szalonych. Bóg uzdrawiał ich za moim pośrednictwem. Muszę przyznać, mój nieszczęsny przyjacielu, że czuję ulgę, nie musząc spierać się z tobą o ten szczegół. Ja zawsze zdrowiałem po paru dniach. Nigdy nie zadawałem sobie pytania, dlaczego ja cierpię, by uwolnić od nich bliźnich. Muszę nawet przyznać, że cieszyłem się z nich, sądząc, że mnie uszlachetniają. Byłem przekonany, że w ten sposób zasługuję na łaskę Boga. Gdybyś nie był w tak niefortunnej sytuacji, wybuchnąłbyś teraz gromkim śmiechem, nieprawdaż? Wiesz co? Nie zastanawiałem się również nad tym, dlaczego Bóg wybrał akurat mnie. Wydawało mi się zupełnie naturalne, że spotkała mnie łaska bożej obecności i że zlecono mi wykonywanie bożych dzieł. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuje człowiek zakochany w nieskończonej mocy. Byłem dziesięć razy bardziej arogancki od ciebie! W owych czasach, dniach mojej dumy, wędrowałem od wioski do wioski. W jednej z tych wiosek spotkałem dziewczynę. Jej ciało było okaleczone, twarz zniekształcona, a umysł ograniczony i pograżony w szaleństwie. Ludzie z wioski uznali ją za winną rozwiązłości. Wówczas uważano to za poważną zbrodnię, ukamienowali więc dziewczynę, choć nie całkiem na śmierć. Pokazali mi ją, sądząc, że pochwalę ich prawość. W swym gniewie przywołałem ogień z nieba. To z pewnością ich zaskoczyło! Muszę przyznać, że sam również się

zdziwiłem. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, by zrobić coś takiego. Okazało się to jednak zupełnie łatwe. Ogień spalił wszystkich w wiosce. Nigdy nie czuleś podobnego żaru! Mężczyźni, kobiety, dzieci, może ze dwustu ludzi, zmienili się w żagwie. Płomienie pochłonęły wszystkich poza mną i dziewczyną. Gdy wreszcie się wypaliły, siedzieliśmy skuleni pośród popiołów jej bliskich. Nie odzywała się ani słowem, nie okazywała żadnej reakcji. Wtedy ją uzdrowiłem. Przejąłem na siebie jej obrażenia, i przez trzy dni cierpiałem tak samo jak ona. Dziewczyna tymczasem odzyskała zdrowie, urodę i inteligencję. Opiekowała się mną przez te trzy dni, nadal nie odzywając się ani słowem. Czwartego dnia, gdy już wracałem do siebie, zapytała, dlaczego to zrobiłem. Dlaczego nie mogłem po prostu jej uzdrowić i tyle? Zapytała też, jakiemu diabłu służę. Odpowiedziałem, że nie służę diabłu, ale Pozakończonemu, Niezaprzeczalnemu Bogu. Odparła, że jestem w błędzie. Potem wsiadła na muła i opuściła wioskę. Śledziłem ją wzrokiem. Kiedy zniknęła mi z oczu, poczułem, że błogosławiona obecność mnie opuściła. Jak mógłbym opisać to wrażenie? Czulem się, jakbym w jednej chwili utracił wszystkie członki i zmysły, całą radość i nadzieję. Popadłem w obłęd i nie odzyskałem zdrowych zmysłów przez bardzo długi czas. Zdarłem z siebie szaty i tarzałem się w popiołach wieśniaków. Jako szaleniec poznałem prawdziwe możliwości mych cudownych mocy. Przywoływałem burze ognia, paliłem skały i piasek. Nauczyłem się tworzyć owady ze swych dłoni i skorpiony z nóg. Opanowałem też te drobne sztuczki, które już znasz. Mogłem zrobić wszystko, tylko nie poczuć Boga. Rozumie się samo przez się, że zlorzeczyłem niebiosom. Głośnym krzykiem domagałem się przebaczenia i odpowiedzi. Czy moje nagłe zrodzone talenty podpalacza i jarmarcznego sztukmistrza pochodziły od Boga? A jeśli nie, to od kogo? Czy to była zwyczajna dziewczyna? Czy może anioł, zesłany, by poddać mnie próbie? A jeśli tak, na czym polegała ta próba? Dlaczego wyniesiono mnie tak wysoko tylko po to, bym upadł? I czy Bóg wiedział, że upadnę?

Głos wielebnego przeszedł w krzyk. Kapłan powstrzymał się nagle.

- Mój obłęd również był burzą ognia - podjął ciszej, lecz z wielką pasją. - Z czasem się wypalił. Pewnej nocy, leżąc nago na ziemi, uświadomiłem sobie, że odzyskałem zdrowe zmysły. Bóg nadal był nieobecny, ale rozum powrócił. Postanowiłem uwierzyć, że próba, której nie przeszedłem, miała sprawdzić, czy potrafię kochać bliźniego równie mocno, jak Boga. Twój lud wcale nie jest głupi: miłość do doskonałego Bóstwa może nam przeszkodzić w kochaniu niedoskonałych ludzi. Jest jednak bożą wolą umożliwić powrót zagubionym, a tego nie da się osiągnąć bez miłości. Postanowiłem więc, z pewnością potrafisz sobie wyobrazić moją unізoną pokorę, że wrócę na ścieżkę uzdrowiciela i będę spełniał bożą wolę, czekając na uzdrowienie i powrót światła. Nie spodziewałem się, co się wydarzy, ale być



może ty się tego domyśliłeś. Utraciłem moc uzdrawiania. Nie potrafiłem wyleczyć nawet pęcherza czy bólu głowy! Od tej pory potrafię czynić jedynie całkowicie bezużyteczne cuda. Nie umiem nawet stworzyć gorzały! - Wielebny uśmiechnął się zjadliwie. Po jego twarzy znowu spłynęły łzy. - W którym miejscu popełniłem błąd? Ty przynajmniej robisz wrażenie urodzonego potępieńca, mój synu. Nie musiałeś znosić cierpienia, jakim jest utrata łaski. Nie masz o tym pojęcia!

\*\*\*

Płacz i zawrodozenie wielebnego dotarły do leżącego na dnie szybu Gwynna. Poirytowany sentymentalnym uzalaniem się nad sobą kapłana, uczeplił się resztek dumy i godności. Język zrobił mu się sztywny jak gałąź akacji, a ciernie przebiły podniebienie, nie był więc już w stanie mówić. Mógł jedynie skierować do wielebnego bezpośrednią myśl:

*Ojczy, drzę na myśl, jaki obraz musimy sobą przedstawiać, ty i moje doczesne szczątki. Czy naprawdę nie mógłbyś wypowiedzieć kilku godnych, choć bezużytecznych słów pociechy i nadziei albo zażartować dla złagodzenia nastroju? A jeśli to przekracza twoje możliwości, czy nie mógłbyś przynajmniej ofiarować mi daru milczenia?*

\*\*\*

Jednakże, choć Gwynn słyshał wielebnego, kapłan pozostawał głuchy na jego próby nawiązania porozumienia. W końcu przestał płakać. Wytarł nos w rękaw, odchrząknął i ponownie przemówił do Gwynna:

- I co teraz pocznę? Z kim będę toczył spory? Ty szalony skurczybyku. Kobieta! Mógłbyś żyć bez niej. Ten drugi nieszczęśnik, siłacz, zapewne był dobrym człowiekiem. Powinienem teraz siedzieć obok niego i modlić się za spokój jego duszy. Ale jego nie znam, a ciebie tak. Chcę przez to powiedzieć, że wiem, iż jesteś najbardziej niegodziwym, podłym i najmniej wartościowym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Mimo to, kiedy spotykaliśmy się w croale, rozmawialiśmy przy posiłku jak przyjaciele. Bez ciebie będę tylko łągą przesiadującym w barze. Powinienem się modlić za twoją duszę, ale sądzę, że gdybyś żył, nie byłbyś z tego zadowolony. Zresztą to nie ma znaczenia, bo Bóg i tak mnie nie słysha.

\*\*\*

Masz rację, kapłanie. To byłby dla mnie dodatkowy afront, pomyślał Gwynn. Spróbował zamknąć oczy, by nie widzieć otaczającego go tłumu, ale jego powieki były tak samo nieruchome jak język.

\*\*\*

- Pozwól mi do siebie mówić - ciągnął wielebny. - Z kim innym będę mógł jeszcze kiedyś pogadać? Posłuchaj: Bóg pragnie kochanków. Bóg nie jest łagodny. Jest bocianem brodzącym na podmokłej łące i tygrysem w nocy. Samotność, tęsknota za tym, co utracone, cokolwiek każe psom szczekać, gdy nie ma do tego widocznych powodów, a całemu gatunkowi krokodyli nie robić przez sto milionów lat nic poza spaniem i zabijaniem: z pewnością znalazłeś tego wszystkiego, gdy utraciłeś swą kobietę. Miałeś swego rodzaju odwagę i kochałeś piękno. Kochałeś boży świat. Byłeś...

Wielebny nie potrafił już ciągnąć tego dłużej.

- W dupę z tym. Byłeś odwrotnością łaski. Pławiłeś się w świadomej ignorancji, szczęśliwy jak świnia tarzająca się w gównie. Mnóstwo ludzi powiedziałyby, że to godne i sprawiedliwe, a do tego cholernie korzystne dla wszystkich, że umarłeś młodo. A Bóg okazał wielką łaskę, dając ci szybką śmierć. Dobrzy i mądrzy powiedzieliby, że świat stanie się lepszy, gdy go opuścisz. Fakt, że samolubnie się z nimi nie zgadzam, nie ma najmniejszego znaczenia. Próbowiałem bawić się w rajfura, zwabić cię na bożą ścieżkę, ale w rezultacie nauczyłem się kochać ciebie. Jeśli więc dzisiaj przegrałeś, ja również poniosłem klęskę. Nadal nie udało mi się pokochać całej ludzkości. Przynajmniej cierpiałeś. To zawsze coś. Może to będzie jakaś pokuta. A jeśli dla ciebie, być może również dla mnie. Pragnę tylko odzyskać bożą miłość.

Wielebny umilkł. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Spoglądał na twarz Gwynna, pokrytą maską krwi i bitumicznego błota. Wyjął chusteczkę, zamoczył ją w „Czarnym Kordiale” i zabrał się do roboty. Trunek okazał się skutecznym rozpuszczalnikiem i kapłan zdołał doprowadzić wygląd Gwynna do porządku. Wlał mu nawet trochę alkoholu do ust i wyczyścił nim zęby.

- Proszę bardzo - mruknął, odrzucając na bok chusteczkę. - Nadal nie jesteś zbyt urodziwym trupem, mój synu, ale wyglądasz lepiej niż przedtem.

Wtem w głowie przygnębionego kapłana zrodziła się skrzydlata myśl. Była przerażająca, lecz zarazem piękna. Coś w niej wydawało się głęboko sprawiedliwe. Ale...

- Będzie mi potrzebny zdrowy odpał - mruknął.

Wypowiedziawszy na głos tę myśl, wielebny wyprostował się nagle.

Musiał działać szybko, by nie dać sobie czasu na zmianę zdania. Wbiegł do bistra i po chwili wrócił z herbatą i fiolką Gwynna.

Zatrzymał się u jego boku i śmiało przelał całą zawartość fiołki do miseczki z herbatą. Następnie położył dłoń na czole leżącego, jakby go błogosławił, a drugą ręką uniósł miseczkę w toaście.

- Twoje zdrowie, biedny skurczybyku! Zawsze wiedziałem, że będziesz dla mnie kluczem do zbawienia. - Przemawiał dobrodusznym tonem, by dodać sobie odwagi. Nie mógł sobie pozwolić na to, by zwolnić i zastanowić się nad tym, co robi. Obawiał się, że w takim przypadku nie odważyłby się wprowadzić w życie planu, który przyszedł mu do głowy. - Gdyby ktoś oddał za ciebie życie, gdyby umarł w taki sam sposób, jak ty umarłeś, to czy zszedłbyś ze ścieżki grzechu? Czy twoje ciało zapamiętałoby ból, jaki wycierpiało, i wzdrygnęło się przed zadawaniem bólu innym? Można żywić taką nadzieję, choć bardziej prawdopodobne jest, że pozostaniesz zdegenerowanym skurwielem aż po kres swych dni. Nie ma już jednak znaczenia, czy zwrócisz się ku prawości, czy nie, czy zdołam przywrócić twą duszę Bogu. To nieważne, gdyż złożę ofiarę o równej wartości.

Wielebny uniósł miseczkę i wlał sobie całą jej zawartość do gardła.

Herbata miała silny smak smoły, być może pochodzący od narkotyku. Po paru sekundach wielebny zakreślił się w głowie. Po kilku następnych pośliznął się w kałuży krwi. Jedna ręka opadła mu na ciało Gwynna. Potem utracił władzę we wszystkich kończynach.

- Poświęcam życie, żeby się zbawić - wybełkotał. - Spójrz, niewierny świecie, oto mój wielki comeback! Tylko dzisiaj!

Nawet w swych najlepszych dniach, gdy służył jako święty mąż czyniący cuda na pustyni, wielebny nie próbował wskrzeszać zmarłych. Podobne ambicje zawsze wydawały mu się bluźnierstwem. Nie wiedział, czy potrafiłby wówczas dokonać tej sztuki, zdawał sobie jednak sprawę, że z pewnością nie powinno mu się to udać teraz, gdy utracił łaskę. Mimo to, gdy czuł, jak chemiczne moce wsysają go do cichego, ciemnego ścieku, nie obawiał się niepowodzenia.

Wydawało mu się, że leżał w gęstej pustce przez długi czas, w końcu jednak się rozproszyła i zaczęły się wizje. W pierwszej chwili ujrzał raj i pociągające hurysy, potem zaś inne rzeczy. Nie miał słów, by je opisać. Były przerażające, lecz zarazem niezmiernie upragnione.

Słyszał muzykę albo coś, co ją przypominało.

Coś oddychało. Ów oddech wypełniał muzyką cały świat, wszystkie światy. Coś leciało bez końca, wiecznie samotne w bezkresnej nocy.

Kapłan poczuł otchłanny smutek, porażający strach. Chciał umrzeć, pragnął, by ktoś go zabił.

Spróbował przelać się w pustkę, ale to pustka wlała się w niego.

\*\*\*

Istota zmaterializowała się nad Gwynnem, wysoko w szybie, w którym nadal krążyły białe kruki. Zatoczyła krąg i zaczęła powoli opadać: wąż z obłoków białej pary, o wijącym się ciele eleganckim jak równanie i długiej głowie ozdobionej koroną z diamentów. Wąską paszczę wypełniały równe szeregi stalowych zębów, a pod dwoma wałami kostnymi kryły się oczy przypominające lodowate gwiazdy. Gwynn rozpoznał Smoka Chłodu. Gapie odsunęli się na bok. Wszyscy pokłonili się nisko. Smok Chłodu odwzajemnił ich pokłon. To był ostatni komiczny moment.

Istota wiała się nad nim, wydając dźwięki przywodzące na myśl pracującą maszynę parową. Z jej paszczy wyrwał się krzyk, wizg piły tnącej metal. Zatoczyła krąg, a potem opadła na jego twarz niczym czepek noworodka.

Owinęła się wokół jego ciała i zacisnęła sploty, wnikając w nie, aż wreszcie Gwynn przestał ją widzieć, choć nadal wyczuwał jej obecność. Tam, gdzie przeszła, czuł się umniejszony. Krążyła po spirali, szukając pożywienia, penetrowała wszystko, na co się natknęła, łatwo jak mgielka przesuwająca się między bezlistnymi gałęziami drzew w zimie.

Znała drogę. Wracała do domu.

\*\*\*

- Wepchnie wieczność i w twoje szercze - mamrotał wielebny przez sen. - Nie ma wyjątków. Wieczność. Nienaszyczone pragnienie nieskończoności. Chyba już jestem wysztarczająco wyszoko, mój szynu. Podążam za chmurami chwały. Nigdzie nie odchodź, zoszań tutaj. Tak jeszt, a teraz patrz, jak kapłan szkacze. Dokądkolwiek odszedłesz, pozwól, że czę tam zaśtapię...

Gdyby ktoś obserwował te wydarzenia z okna albo ze schodów w zaułku, zauważyłby, że gdy wielebny skończył mówić, jakaś niewytłumaczalna siła zadziałała na ciało mężczyzny przykryte zarzuconym niedbale ramieniem kapłana. Ze straszliwej rany trysnęły odłamki

kości, jak pestki melona z ust chłopca. Za nimi podążyły kwiaty, wyrzucone w obłoku konfetti. Lewa ręka, zwisająca pod groteskowym kątem, przesunęła się do normalnej pozycji, rozszczerzone żebra połączyły się na nowo, pokryły je mięśnie, a potem skóra. Reszta ran zamknęła się mniej dramatycznie, a gdy wszystko już było naprawione, klatka piersiowa znowu zaczęła się podnosić i opadać.

Gdy już to wszystko się wydarzyło, uszy wyimaginowanego obserwatora zaatakowałby straszliwy krzyk, który wyrwał się z gardła kapłana, gdy jego ciało przeszła rana biegnąca od ramienia po mostek, a serce rozszczepiło się na dwoje.

# DWADZIEŚCIA TRZY

Gwynn poczuł zapach krwi.

Żyje. Tak brzmiała jego pierwsza myśl.

To niemożliwe, podążyła za nią druga.

Lepiej to sprawdzić, podpowiedziała trzecia.

Otworzył oczy. Zobaczył żółte niebo, kurniki i całą resztę. Przez kilka minut leżał bez ruchu, ograniczając się do oddychania. Był zbyt zdumiony, by robić cokolwiek więcej.

Powoli odzyskał wolę działania.

Zdawał sobie sprawę, że na jego piersi spoczywa ręka, był jednak dotąd przekonany, że to jego własna. Teraz jednak ustalił, że tak nie jest. Szary, flanelowy rękaw pozwolił mu zidentyfikować jej właściciela.

Gwynn odwrócił głowę, upewniając się z ulgą, że odzyskał zdolność ruchu. Nim zdążył zaczerpnąć tchu, przekonał się, że może się poruszać bardzo szybko. Zerwał się instynktownie na nogi, by się oddalić od zakrwawionego towarzysza.

Popatrzył na trupa wielebnego. Nie mógł oderwać spojrzenia od jego wytrzeszczonych oczu i od jego rany. Pomacał własny bark w miejscu, gdzie uderzył topór. Potem sprawdził bok. Ubranie miał przesiąknięte krwią i pocięte, ale na tym koniec. Zdjął rękawiczki i dotknął skóry koniuszkami palców, ale nie znalazł nawet najdrobniejszego śladu. Na wpół zagojona rana ramienia nie zniknęła jednak. Nadal wypełniał ją pulsujący ból. Pobolewało go również wiele innych miejsc, czuł się zmęczony i niezdrowy. Mimo to jego ciało było w zasadzie nieuszkodzone.

Trudniej było ocenić stan umysłu.

Spróbował jakoś zrozumieć małą scenę, którą miał przed oczyma. Zobaczył nieruchomego siłacza i leżącą na ziemi obok niego Gol'achab. Ujrzał miseczkę i pustą fiolkę. Przypomnił sobie, ile „Mórz Księżyca” zużył. Wspomnił też słowa, które wypowiedział wielebny, kiedy...

Kiedy nie żyłem?

Podniósł Gol'achab. Na klindze pojawiło się kilka nowych szczerb. Trzymając szablę w rękę, sprawdził Harta w poszukiwaniu oznak życia. Nie znalazł ich. Nic też nie wskazywało, co mogło być przyczyną śmierci. Nie było jednak wątpliwości, że zwłoki są całkowicie materialne.

Schował Gol'achab i skierował swą uwagę na topór. Wyjął go z rąk martwego siłacza z wielką ostrożnością, obawiając się, że może nagle ożyć i go zaatakować. Obracał oręż w półmroku, przyglądając się klindze i wyrytym na niej kwiatom. Pokrywały ją teraz niezliczone wgłębienia i rysy.

Położył topór obok ciała olbrzymiego mężczyzny.

Powróciły wspomnienia, przemykające chaotycznie przez jego głowę, dawne czasy mieszały się z ubiegłym tygodniem. Poirytowany Gwynn spróbował wziąć w garść swój umysł.

Dzieciństwo spędził w fortecy, w skutej lodem krainie, wyjeżdżając niekiedy do zagranicznej szkoły z internatem, wiele lat służył w zaciężnej armii, kolejne lata przeżył jako desperado na pustyni, potem znalazł zatrudnienie jako zbir służący grandowi imieniem Elm, ale porzucił go na pastwę nieprzyjemnego losu. Przypominał sobie związek z rudowłosą artystką nazwiskiem Beth Constanzin. Odnalazł ją i podążył za nią aż na granice innego świata, w którym materia była równie plastyczna jak myśl.

Przeszukał kieszenie, odnalazł jej list i wyciągnął go. Papier nasiąknął krwią, która zatarła litery i rysunek. Pamiętał tylko ogólny sens oraz urywki słów: *Twoja nieruchomość... podekscytowana jak mała dziewczynka. Ku wielkiemu światu za murami...* a także ostatnią zagadkę. Siedząc u Feniego, rozważał wiele możliwych odpowiedzi.

List był śliski i Gwynn pozwolił, by wypadł mu z palców.

Przypomnił sobie, jak wypuścił szablę w taki sam sposób. Uderzenia, które nastąpiło potem, z pewnością nie mógłby zapomnieć. Jego śmierć nie była żartem delirium. Kości zachowały wspomnienie urazów, nerwy zbyt dokładnie pamiętały szokujący impuls bólu.

W chwili szaleństwa przypomniał sobie słowa Beth: *Tylko niezwykłość umożliwia nam ruch... Jest nie tylko osobliwy i ekscentryczny, lecz również monstrialny. Rozdziera zasłonę dzielącą życie od śmierci.*

I oto dokonał czegoś najniezwykłego.

Przyzwalając na zatrzymanie maszyny, jaką było jego ciało, miał nadzieję wykroczyć poza egzystencję śmiertelnika i podążyć za Beth. Nie miał właściwie wielkiego wyboru, świetnie jednak wiedział, czego pragnie. Zrobił wszystko, co było możliwe w tej sytuacji. Nie liczył na to, że jego ciało przeżyje. Stał tu jednak, żywy i w pełni realny.

Czemu zawdzięczał ocalenie? Swej żalostnej kapitulacji, włosowi, który połknął, czy bogu wielebnego? A może jakiemuś innemu czynnikowi, który różnił go od reszty ludzi? Czyżby dotarł do progu nieśmiertelności tylko po to, by wielebny przyciągnął go z powrotem? A może kapłan uratował go przed ostateczną zgubą?

Kim był, gdzie i kiedy przebywał i skąd się wziął?

Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

Rozejrzał się w poszukiwaniu rewolwerów. Kiedy podnosił je z ziemi, z nieba zaczęły padać wielkie krople deszczu. Po kilku sekundach deszcz przerodził się w ulewę, a po kilku następnych w oberwanie chmury. Stał nieruchomo, pozwalając, by strugi wody go umyły. Pił ją potężnymi łykami, płukał nią gardło, w jego ustach bowiem utrzymywał się ohydny posmak.

Wtedy właśnie przypomniał sobie, jak wymiotował. Rozejrzał się w poszukiwaniu popiołu i całej reszty, a także zielonych kwiatków. Było już jednak za późno. Wszelkie zanieczyszczenia spłynęły rynsztokami z wartką wodą, pomieszane ze sobą.

Niepewność zyskała dominację. Gwynn, jak człowiek szukający azylu, przywitał ją z radością.

Odgarnął włosy z czoła i podrapał szczękę, krzywiąc się, gdy poczuł szorstką szczecinę porastającą mu skórę. Uświadomił sobie, że się garbi, i wyprostował się pośpiesznie. Potem wrócił powoli do ciała.

- Mówiłeś, że potrafisz się uzdrowić, tak? - powiedział do wielebnego.

Trup wpatrywał się w deszcz.

Gwynn czekał przez chwilę, ale w stanie wielebnego nie zaszła żadna zmiana.

Odwrócił się i spojrzał na siłacza. Nawiedziło go dziwne pragnienie. Nie widział powodu, by mu nie ulec. Położył dłoń na rękojeści Gol'achab, ale potem jego spojrzenie padło na topór. Wypełniło go głębokie przekonanie, że gdyby użył tej broni, byłoby to nieprzyzwoite, niestosowne i wulgarne. Z tego właśnie powodu schylił się po nią i zamachnął z całej siły, ignorując ból w zranionej kończynie. Ostrze z łatwością przebiło grubą szyję. Gwynn odłożył topór, czując się lepiej.

Z kolejnym bolesnym wysiłkiem przerzucił sobie ciało wielebnego przez ramię,



zaniósł je do bistra i posadził na krześle.

Feni wytrzeszczył oczy. Jego siostra i jej przyjaciółki również. Ubzdryngoleni dziennikarze obrócili się na stołkach barowych i również wlepili weń spojrzenie. Gwynn zignorował ich wszystkich. Po raz ostatni przemówił do swego martwego oponenta.

- Jeśli rzeczywiście mnie uratowałeś, nie jestem pewien, czy powinienem ci dziękować. Sam mi mówiłeś, że nie może być chwały bez poświęcenia. Niedawno zrodziła się we mnie wiara w coś podobnego, ale teraz nie mogę już być tego pewien. Chwila, gdy mogłem się o tym przekonać, minęła. A druga może już nigdy nie nadejść. Nie wiem, który z nas zwyciężył, a który przegrał. Nie mogę powiedzieć, bym miał nadzieję, że ty wygrałeś, chciałbym jednak, byś znalazł to, czego szukałeś.

Gwynn zostawił wielebnego na krześle, podszedł do baru i wyjął portfel. Skóra osłoniła przed uszkodzeniem banknoty. Odliczył małą sumę, a potem drugą, większą.

- To za herbatę - oznajmił mrugającemu powoli Feniemu. - A to za pogrzeb naszego dobrego kapłana.

Opuścił bistro, odgarniając zasłonę z paciorków.

Feni popatrzył na wielebnego, a potem na banknoty, jakby się spodziewał, że znikną albo zamienią się w suche liście bądź w kawałki skóry umarłego, jak to ponoć zdarzało się pieniądzom z królestwa duchów.

\*\*\*

Gdy Gwynn wdrapywał się na schody Corozo, jego uszu dobiegły nocne odgłosy. Jak zwykle poczuł też smród politory i przypalonych grzanek.

Wróciwszy do mieszkania, ruszył prosto do umywalki, oczyścił się za pomocą trzech kwart wody szałwiowo-fiołkowej, ogolił się i umył włosy, wypłukując z nich wszystkie ślady krwi. Potem wybrał strój odpowiedni na podróż: czarne spodnie z kozłej skóry; batystową koszulę barwy kości słoniowej; czarną kurtkę jeździecką w niezłym stanie, uszytą z sukna; kremowy płócienny krawat, który zawiązał luźno; oraz solidne, wygodne buty. Uczesał włosy i związał je czarną wstążką. Doprowadziwszy wygląd do porządku, ułożył całą broń na biurku, a potem zaczął ją czyścić i oliwić.

Cały dobytek zapakował do dwóch juków. Wymyślne stroje, które nosił w Ashamoil, zostawił na wieszakach, w tym również pawi płaszcz. Po chwili wahania zostawił również buteleczkę z mandragorą. Zabrał tylko paczkę auto-da-fé i trochę brandy na noc, które spędzi na szlaku. Następnie wszedł do sypialni i podszedł do lustra.

Nie ujrzał w swej twarzy nic, czego nie było tam od lat.

Na próbę skaleczył się lekko nożem w wewnętrzną powierzchnię lewej dłoni. Rana krwawiła normalnie, bez żadnych objawów cudownego zdrowienia.

Spróbował uwierzyć w boga wielebneho, ale przekonał się z ulgą, że nie potrafi.

- Prawdę mówiąc - powiedział do siebie - gdyby rzeczywiście jakiś bóg był odpowiedzialny za przywrócenie mi życia, musiałbym się zastanowić, co go skłoniło do wysłania kogoś takiego jak ja z powrotem na ulice świata. Trudno to uznać za jednoznaczny akt łaski.

Odwrócił się od spoglądającego wzgardliwie odbicia w lustrze i zgasił lampy w pokoju. Wrócił do biurka i otworzył szufladę, w której leżała zawinięta w papier *Rozmowa sfinksa z bazyliszkiem*. Zawahał się. Przyszła mu do głowy szalona myśl, że rycina mogła się zmienić. Wyobraził sobie, że stanie przed nim nowa tajemnica, nowy ślad, którym będzie mógł podążać i który zaprowadzi go do Beth, dokądkolwiek mogła odejść.

Nie rozbił jaja i mało brakowało, by nie odwinął też ryciny, w końcu jednak zdecydował, że musi mieć pewność.

Zdjął papier.

Przyglądał się długo rycinie, nim się wreszcie upewnił, że nie zmienił się nawet najmniejszy szczegół. Owinął ją z powrotem i zamknął szufladę.

O dach nadal tłukł monsun. Gwynn owinął się nieprzemakalną peleryną i włożył kapelusz z szerokim rondem.

Zbliżał się czas odejścia.

\*\*\*

Musiał pukać kilka minut do drzwi szpitala w Limewood, nim wreszcie otworzyła mu młoda siostra. Łatwo było zauważyć, że płakała.

- Pani doktor nie ma - oznajmiła krótko i spróbowała zamknąć mu drzwi przed nosem.

Gwynn złapał za klamkę i wcisnął się do środka, przepaszając siostrę w paru słowach. Poinformował ją, że to nie potrwa długo, i ruszył do sali, w której leżał Elm, nie zważając na protesty kobiety. Łóżko oddano już komuś innemu. Sprawdził wszystkie sale, ale nigdzie nie znalazł granda.

- W laboratorium - poinformowała go siostra, gdy mijał ją w korytarzu. Nie chciała patrzeć mu w oczy.

Gwynn udał się we wskazane miejsce. W pomieszczeniu było ciemno. Słyszał oddech,

powolny i ciężki. Na półce leżały świece. Zapalił jedną. Elm siedział na krześle w niezgrabnej, bezwładnej pozycji.

Gwynn podszedł bliżej. Grand miał rozdziawione usta, a na podbródku błyszczała mu ślina. Lewe oko okrywał bawełniany opatrunek. Prawa powieka mrugała powoli.

- Elm?

Gwynn podszedł jeszcze bliżej.

Oko skierowało na niego spojrzenie cierpiącego ból zwierzęcia. Być może jednak nie do końca zwierzęcia. Gdzieś tam mogła się jeszcze kryć jakaś uwięziona cząstka ludzkiej inteligencji. Było tu ciemno i Gwynn nie miał pewności.

Krzesło ustawiono przed stołem sekcyjnym. Na blacie leżały dwa przedmioty: książka oraz małe, przypominające kilof narzędzie. W książkę wsunięto kartkę papieru. Gwynn odstawił świecę i otworzył tom na zaznaczonej stronie.

Kartka okazała się ulotką doktora Lone'a. Kółkiem zaznaczono zdanie: „Dzięki tej taniej, szybkiej procedurze zbrodniarze i obłąkańcy zmieniają się w potulne baranki”.

Książka była dziennikiem Raule. Na górze strony lekarka napisała, że Elei umarł, a ona rezygnuje ze stanowiska. Poniżej znajdowała się notatka dotycząca Tacka i Snappera: „Powiedziano mi, że obaj potężnie zbudowani dżentelmeni padli ofiarą niefortunnego nieporozumienia z agentami Cechu Końskich Rzeźników i Wytapiaczy Tłuszczu. Względ na wrażliwość czytelnika nie pozwala mi dokładniej opisać szczegółów owego incydentu. Pytania należy kierować pod adresem wytwórni mydła w sąsiednim budynku”. Resztę tekstu stanowił dość chaotyczny wywód na temat sumienia. Ostatnie zdanie brzmiało: „Zło rozkwita, ponieważ dobrzy nie są wystarczająco dobrzy”.

Gwynn spojrział na Elma, zastanawiając się nad tymi słowami.

Wyrwał kartę z dziennika, przysunął ją do płomienia i spalił w zlewie razem z ulotką. Kilof schował z powrotem do szuflady. Usunąwszy dowody, poczuł się lepiej, choć nie przypuszczał, by niedobitki Rogowego Wachlarza mogły naprawdę zagrozić Raule. Potem poszedł poszukać siostry.

Znalazł ją w jednej z sal. Odeszła od pacjenta, przy którym się modliła, żeby porozmawiać z Gwynnem w drzwiach.

- Jestem jedynym świadkiem - oznajmiła. - Nikt inny tego nie widział. - Była zupełnie spokojna. - Chce pan mnie zabić?

Potrząsnął głową.

- Chcę was uwolnić od tego... kłopotu - odparł. - Jeśli zaś chodzi o wszystko, co się wydarzyło, mam nadzieję, że nikt nie będzie was niepokoił, choć, niestety, nie mogę tego

zagwarantować.

- Dziękuję - odrzekła po chwili milczenia.

- Nie ma sprawy.

Gwynn wrócił do laboratorium i usiadł naprzeciwko Elma.

- No cóż, wygląda na to, że nasze drogi w końcu się rozejdą.

Grand mrugnął.

- Przykro mi z powodu Eleia - ciągnął Gwynn. - To nie był zły chłopak. Nie można też zapominać o Taredzie, prawda? Ale ona pewnie sobie poradzi.

Przerwał, próbując się zorientować, czy Elm rozumie cokolwiek z jego słów. Nie potrafił tego ocenić.

- Pani doktor mnie zaskoczyła, choć być może powinienem się tego spodziewać. Nie mogę też zaprzeczyć, że raczej się z tego cieszę. - Gwynn uśmiechnął się blado. Uniósł głowę, nie odrywając spojrzenia od oka Elma. - Zastanawiam się, czy nadal jesteś w stanie pragnąć zemsty. Nie wyglądasz na to, być może jednak chciałbyś umrzeć. To życzenie zawsze mogę spełnić. Pójdziemy obejrzyć światła na rzece, a potem z tobą skończę. Co ty na to?

Miał wrażenie, że Elm poruszył się lekko.

- Zastanów się chwilę - zaproponował Gwynn.

Spojrzał na ustawione na półkach słoje z potworkami. Wstał i podszedł do nich.

W bladym świetle żalosne stworzenia nabrały złowrogiego wyglądu. Gwynn odnalazł krokodylowe dziecko. Uniósł słoje i przyjrzał się jego zawartości. Potworek nadal wyglądał jak autentyczna anomalia, nie jak falsyfikat.

- Czy jesteś kolejną pozostałością? - wyszeptał Gwynn. Wrócił do Elma i postawił przed nim słoje.

- W pewnym sensie to twój ostatni syn - poinformował go.

Elm zwiesił głowę. Z ust spływała mu ślina. Gwynn odkręcił wieczko, wyjął eksponat i wsadził go do kieszeni granda.

- Wstawaj. Musimy już ruszać.

Ujął siedzącego mężczyznę pod pachy i podniósł go. Gdy już Elm wstał, był w stanie iść, choć nieco chwiejnie. Kiedy Gwynn wyprowadzał go ze szpitala, okazywał całkowitą obojętność. Poszli na zaplecze, po konia, a potem Gwynn skierował się ku pobliskiej rzece, jedną ręką prowadząc rumaka, a drugą Elma.

Zatrzymał się w głębokim cieniu nadrzecznej magazynu i parę kroków od Elma. Kiedy go puścił, grand stał nieruchomo na deszczu, otwierając i zamykając oko z

regularnością zegarka.

Gwynn wyciągnął Gol'achab i przeszył mu brzuch.

Elm osunął się na ziemię, szarpiąc się i krztusząc. Gwynn kopnął go parę razy, a potem poderżnął mu gardło. Wytarł szablę o rękaw zabitego, pochylił się i wepchnął ciało do rzeki.

Następnie dosiadł konia i wrócił na wąskie, słabo oświetlone uliczki.

Opuszczając Limewood, minął Sad. Pod brezentowymi markizami na skraju placu paliły się czerwone i zielone lampy, a na jego środku, w deszczu, dwóch chłopaków krążyło wokół siebie.

Gwynn stłumił pragnienie powrotu na Schody Żurawie. Ruszył w górę inną trasą, zmierzając w stronę dworca.

# EPILOG

Napis na tablicy głosił: DEAD BULLOCK SOak. Pod koniec autorowi zabrakło miejsca na wielkie litery.

Była tu tablica, ale nie było miasta. Za nią ciągnął się rozległy obszar pokryty gruzem. Najwyraźniej osadę zrównała z ziemią straszliwa burza piaskowa.

Raule wyprowadziła wielbłąda na resztki głównej ulicy. Wszędzie wały się ludzkie i zwierzęce ciała. Sprawdziła wszystkich zabitych ludzi. Nie żyli od mniej więcej doby.

Po sześciu miesiącach wędrówki postanowiła w końcu wracać do domu. Dowiedziała się, że generał Anforth nie żyje, a jej nazwisko i twarz dawno już zapomniano. Poza tym w Kraju Miedzi nie zaszły żadne istotne zmiany. Wybrała się do Dead Bullock Soak, by znaleźć zatrudnienie jako miejscowy lekarz. Gdyby przybyła tu wczoraj, podzieliłaby los mieszkańców.

Na końcu ulicy tylna połowa ceglanego domu stała jeszcze. Przed nią spał na krześle staruszek. Gdy na jego twarz padł cień Raule, otworzył oczy.

- To z pewnością pani doktor - przywitał ją natychmiast z sarkazmem. - Miło, że pani wreszcie do nas dotarła.

- Czy ktoś jeszcze ocalał?

- Muchy. Może też parę jaszczurek.

Raule nie straciła jednak nadziei. Wróciła do ruin i przeszukała je starannie. Okazało się to stratą czasu. Wróciła do połówki domu, gdzie staruszek piekł sobie posiłek na blasze.

- Czy to była burza? - zapytała.

- Myśli pani, że to widziałem? - odparł, nie spoglądając na nią. - Schowałem się tutaj.

W końcu wiek ma swoje przywileje.

Po chwili dodał nieco ciszej:

- Nie, to nie było dzieło natury. Nie chcę pani okłamywać. Widziałem to. Może mnie pani nazwać starym durniem, ale wiem jeszcze, gdzie mam dupę. To było z kamienia, ale się ruszało. Przybiegło zza tego pagórka na południowym zachodzie. To była zagadka. Może mnie pani nazwać szaleńcem i zająć się jaszczurkami, jak pani chce.

Raule nie widziała sensu zostawać tu dłużej. Ruszyła w stronę pagórka, wznoszącego się jakieś dwie mile od miasteczka. Minąwszy go, ujrzała przed sobą połąć pokrytą wydmy. Przed nimi ciągnął się szereg ogromnych, niezwykle skamielin. Wszystkie miały czaszki, kręgosłupy i kończyny, jak szkielety zwierząt, ale wśród ich elementów uwidaczniały się również ozdoby skamieniałej roślinności oraz kawałki przerdzewiałego metalu. Można było sobie wyobrazić, że przesuwające się przez niezliczone tysiąclecia wydmy stworzyły z nagromadzonych w nich przez cały ten czas odpadków coś bardzo zbliżonego do ładu. Formacje były znakomicie zachowane, jakby piasek ukrywał je przez długi czas i dopiero niedawno cofnął się niczym fale oceanu, odsłaniając skamieliny. Być może przesunęła go ta sama siła, która zrównała z ziemią osadę.

Raule ruszyła wzdłuż szeregu, zdumiewając się tym pozbawionym króla dworem. Dotarłszy do miejsca, gdzie zaczynały się wydmy, wjechała na pierwszą z nich i ruszyła wprost przed siebie. Jechała tak przez trzy dni. Choć nie miała już zbyt wiele wody, pozostała wierna impulsowi, który kazał jej wybrać tę drogę. Jeśli los nie przywiódł jej do domu po to, by leczyć ludzi, chciała się dowiedzieć, dlaczego wróciła do starego, suchego kraju, by znowu włączyć się po nim bez celu. Jeśli przeznaczona jej była śmierć, pogodzi się z tym, nie zaakceptuje jednak wstydu i rozczarowania, jakie by przeżyła, gdyby się dowiedziała, że nie ma dla niej miejsca na świecie.

Bezwzględnie uparta, pozwoliła, by jej zapasy wody się wyczerpały.

\*\*\*

Gdy już była bliska śmierci z pragnienia, usłyszała dzwonki wielbłądów i ludzkie głosy. Z zachodu nadciągała grupa Harutaimów. Zdołała do nich dotrzeć i nie mieli nic przeciwko temu, że towarzyszyła im przez dzień, a potem drugi; a następnie rok i kolejny. Nauczyła się wiele od ich znachorów i sama została szanowaną znachorką. W ciągu tych lat odbudowała też - ziarno po ziarnku - utracone sumienie, choć w zupełnie innej postaci.

Kraina koczowników składała się z linii, wielu linii, a ziemia między nimi była

wyłącznie mało istotnym wypełnieniem. Od czasu do czasu Raule zadawała sobie pytanie, czy uciekła ze skazanego na zagładę świata, umknęła znikąd dokądś. Równie często zastanawiała się jednak, czy nie jest elementem tego, co świat zostawił za sobą, gdy przerodził się w coś nowego, coś wspanialszego, czego nie potrafiło pojąć to, co zostało - suche i linearne jak kość, jak żyłki uschniętego liścia.

Z upływem lat obie te myśli przychodziły jej jednak do głowy coraz rzadziej.

\*\*\*

Wiatr wiejący znad Krawędzi targał jego długie włosy. Od urwiska opadającego ku Pustyni Solnej dzieliło go tylko kilkaset stóp ziemi niczyjej, porośniętej karłowatymi krzewami i suchą trawą.

Za sobą miał niskie wzgórza, na których znajdowała się nekropolia. Za miastem umarłych ciągnęło się miasto żywych, gdzie przestępców sądzono nie w trybunałach, lecz w teatrach. Nowy gmach teatru zbudowano na pustkowiach za nekropolią i modna publiczność schodziła się tam, by obejrzeć wymierzanie sprawiedliwości.

Ustawioną na otwartym powietrzu scenę oświetlał nowomodny cud: wiatrakowe turbiny zmieniały moc dmącego na pustkowiach wichru w energię światła. Gwynn stał w blasku rozżarzonych kul, znacznie jaśniejszym niż światło lamp gazowych. Lewą dłoń wsparł na rękojeści szabli, prawą zaś podtrzymywał jedwabną maseczkę. Miała ona czarny kolor, tradycyjnie przydzielany obronie. Jego przeciwniczka wdziała białą maskę.

Hałaśliwy tłum uciszył się, gdy mistrz ceremonii wystąpił i odczytał zarzuty. Kiedy Gwynn wciągnął w płuca woń podniecenia ludzi, przepelniającej ich żądy krwi, w jego oczach pojawił się blask, którego nikt nie widział. Uwielbiali patrzeć, jak zabijał, a jeśli zginie, również będą zachwyceni. Ich dwuznaczne pragnienia były dlań wszechogarniającą pieszczotą, docierającą do niego z oddali.

Jako sławny szermierz prawa cieszył się popularnością we wszystkich warstwach społecznych. Miał apartament w jednym z najlepszych hoteli: marmurowa posadzka, pozłacane lustra i fortepian. W kołnierzu nosił spinę z klejnotem, którą otrzymał od córki ministra sprawiedliwości. Zatrudniał pokojowego, sekretarza i kucharza. Jego podobiznę wykorzystywano w najrozmaitszych upominkach: figurkach z porcelany i celulozoidu, kartach, amuletach, rękojeściach noży, papeterii. Twarz Gwynna można było zobaczyć nawet na pseudowotywnych świecach.

Mistrz ceremonii odczytał krótki tekst i złożył dokument. Potem rozpostarł szeroko



ręce przy akompaniamencie aplauzu tłumu. Strasy zdobiące jego szatę błyszcząły w świetle reflektorów.

- Panie i panowie, zaraz zacznie się proces - zawołał! - Oto Szampierze Stron!

Gwynn i jego przeciwniczka wystąpili na środek sceny. Modne audytorium eksplodowało oklaskami.

- Brawo! Brawo! - krzyczeli widzowie, wymachując nad głowami chusteczkami i kołatkami.

Nosząca białą maseczkę kobieta była wysoka i muskularna. Poznał madame L. C. Należała do najlepszych szermierzy w mieście i niemal zawsze walczyła po stronie oskarżenia. Jego klientem był Moldo Ramses, zbir z rodziny Hrida. To był proces o morderstwo, walka więc teoretycznie miała być stoczona na śmierć i życie. W praktyce jednak tak dramatyczne rozstrzygnięcie zdarzało się rzadko. Na ogół jeden z walczących wcześniej się poddawał.

Paru kolegów Gwynna ze Świątyni Matadora Vamamarcha pomachało doń dyskretnie z prywatnej łoży. Choć Vamamarch należał do tych towarzystw pojedykowiczów, które zachęcały swych członków do przyjmowania jedynie najbardziej lukratywnych przypadków (określony procent zysków oddawano do wspólnej kasy, która wypłacała emerytury, pokrywała wydatki medyczne oraz dbała o osierocone rodziny), pozostawiano im niejaką swobodę wyboru, zależnie od gustu. Gust Gwynna niekiedy skłaniał go do podjęcia się pewnych spraw za zapłatą niższą od zwyczajowej, czy wręcz za darmo. Dlatego uważano go za człowieka o szlachetnym charakterze, a nawet za coś w rodzaju bohatera albo przynajmniej - w ocenie jednego ze współczesnych komentatorów - jednego z ludzi zaspokajających tęsknoty mas w czasach, gdy prawdziwi bohaterowie nie istnieją bądź też z jakiegoś powodu opinia publiczna ich odrzuca. Niemniej to dzięki ludziom takim jak Hrid nie brakowało mu pieniędzy i mógł sobie od czasu do czasu pozwolić na demonstrację szlachetności.

Dzięki dyskrecji połączonej z przekupstwem udało mu się ukryć swą przeszłość przed wścibstwem dziennikarzy. Krążyły plotki o tragicznym romansie, nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że Gwynn sprawia wrażenie człowieka, który nie dźwiga żadnych brzemion. W rzeczy samej jego sercu na ogół nic nie ciążyło. Lubił konsensualny charakter tutejszych pojedynków, miał mnóstwo wolnego czasu, był mecenasem sztuki i nauki, a w jego kalendarzyku nigdy nie brakowało wieczorków i przyjęć. Wiedziano, że jest ateistą i przeciwnikiem niewolnictwa. W związku z tym cieszył się szczególnie wielką popularnością w kręgach liberalnych i postępowych. Z chęcią uczestniczył w debatach dotyczących filozofii, estetyki i metafizyki, ale nie dawał się wciągać w spory teologiczne. Twierdził, że ten temat

nudzi go straszliwie.

Nigdy już nie spotkał Raule ani o niej nie usłyszał. Po opuszczeniu Ashamoil nie był też już więcej świadkiem żadnych niewiarygodnych zjawisk. Nadal nie pamiętał własnych snów. Większa część nocnych godzin była dlań jedynie czarną pustką. Przez wszystkie te lata kilka razy zdarzyło się jednak, że obudził się ze wspomnieniem snu, w którym pojawiła się Beth - czasami jako kobieta, a czasami jako sfinks. Zastanawiał się też niekiedy nad jej zagadką. Możliwe odpowiedzi obracały się w jego umyśle niczym skrzydła wiatraka. Kokon wisiał wewnątrz snu, wewnątrz jej serca, a może nawet jego serca. Wewnątrz pożartych godzin snu, na śmietniku przeszłości albo w otchłani przyszłości, wiecznie nieznanego czasu tuż za chwilą bieżącą. Być może jego nitki przesywały cały świat i jego również. Albo znajdował się gdzie indziej, w jakimś miejscu lub stanie bytu, na który nie potrafił skierować spojrzenia, podobnie jak nie potrafił ujrzeć ciemnej strony księżyca.

Madame L. C. wyciągnęła oręż zamaszystym ruchem. Gwynn równie teatralnym gestem wy dobył swą szablę o komicznej nazwie i uśmiechnął się do widzów.

Walka była trudna, ale zwyciężył. Wygrał w owym mieście jeszcze wiele pojedynków, aż wreszcie jego długie czarne włosy posiwiały, przybierając kolor gładzonego żelaza. Potem relacje o życiu Gwynna stają się jednak małą o wielu ogonach (z pewnością sam byłby bardzo zadowolony z podobnej sytuacji). Różne wersje ich zakończeń można podzielić na trzy grupy: prozaiczne - jego zdrowie zaczyna szwankować, wiele lat ciężkiego życia w końcu daje o sobie znać; przerażające, w których, na przykład, cud wielebnego traci nagle moc i podczas jakiegoś przyjęcia czy innej publicznej okazji jego ciało rozszczepia się wzdłuż linii uderzenia topora siłacza; i wreszcie bajkowe.

Jedna z najpopularniejszych wersji z tej ostatniej - najliczniejszej - kategorii opowiada, że w późniejszych latach Gwynn, który nadal był sławny, ale przestał już być obiektem westchnień, przegrał w końcu walkę w fatalny sposób. Gdy leżał na scenie, czekając na szybko nadchodzącą śmierć, w teatrze zapadła pełna szacunku cisza. Nagle wielu widzów wyczuło czyjąś obecność. Jeden z nich określił zjawę jako „przerażająco starą i prymitywną oraz koszmarne zimną”.

W tej samej chwili, gdy owo wrażenie zmaćło spokój widzów, przez dach przebiło się coś innego. Świadców zgadzali się, że była to jakaś olbrzymia bestia, ale sypiący się z góry tynk przesłonił zarysy jej ciała, nikt więc nie widział jej dokładnie. Zatrzymała się na scenie tylko na krótką chwilę, po czym odleciała błyskawicznie, opuszczając teatr przez wybitą wcześniej przez siebie dziurę. Kilku ludzi siedzących w pierwszych rzędach zraniły spadające fragmenty dachu.

Wszyscy opisywali woń stworzenia podobnie, jako odór morderstwa na różnym klombie. Ludzie zgadzali się również, że pierwsza istota umknęła, gdy tylko pojawił się intruz. Powszechna opinia głosiła, że choć drugiego stworzenia nie otaczała aż tak przerażająca aura jak pierwszego, mogło ono być groźniejsze dla przypadkowych gapiów. Przez dwa tygodnie wszyscy w mieście mówili o tym incydencie. Snuto najróżniejsze spekulacje odnoszące się do natury obu istot oraz losu, który spotkał Gwynna. Gdy bowiem zamieszanie w teatrze minęło, okazało się że ciało zniknęło. Na scenie została tylko plama krwi wsiąkającej w deski, trochę pyłu, szybko potem zebranego przez łowców pamiątek, oraz ubranie, w którym znaleziono cienką warstewkę skóry, jak zrzuconą przez węża. Ubranie, skóra, a także sławna szabla, Gol'achab, szybko zniknęły w prywatnych kolekcjach. Publika musiała się zadowolić krwią. Jest potwierdzonym faktem, że we wschodniej części Płaskowyżu Teleute nadal sprzedaje się czerwony proszek mający służyć jako talizman przed złym okiem, jednakże teorie mające wyjaśnić pochodzenie owego przesądu są równie liczne jak opowieści opisujące koniec życia Gwynna.

Trzeba jeszcze dodać, że w Ashamoil, w epoce rządów reżimu Pływających Generałów, podczas pory suchej, gdy w mieście kwitną plamiste pnącza, Skamandrem przyplłynęło coś, czego nigdy dotąd nie widziano. Istota wylazła na brzeg. Miała ciało olbrzymiego krokodyla oraz głowę człowieka. Stała na krótkich, tylnych nogach, odsłaniając lotos wyrastający z pokrytego łuską brzucha, i oznajmiła, że jest bogiem. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż ktoś natychmiast ją zastrzelił, trafiając w sam środek czoła. Sprawcy nie udało się odnaleźć, a gdy wydobyto kulę, okazało się, że należy ona do typu nieużywanego od trzystu lat.

Potwora zabalsamowano i wystawiono w Muzeum Historii Naturalnej. Wkrótce jakiś wandal uciął mu głowę.